

P. 9.786 Chel. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/334 - 8/335 1975



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Z. HAUPT: **SZPICA**

**CO ROBIĆ? : JESZCZE JEDEN KRAJOWIEC - CZY W
POLSCE JEST MOŻLIWA OPOZYCJA? ; M. HIRSZO-
WICZ - O POLITYCZNEJ ROLI INTELIGENCJI ;
T. WYRWA - KOLEGA TO ZROBI...**

**INAUGURACYJNA DYSKUSJA W LONDYŃSKIM
KLUBIE « KULTURY »**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	3
Zygmunt Haupt:	<i>Sz p i c a</i>	20
Janina Kowalska:	<i>Vivat Regina!</i>	27
C O R O B I Ć ?		
Jeszcze jeden Krajowiec:	<i>Czy w Polsce jest możliwa opozycja?</i>	44
Maria Hirszowicz:	<i>O politycznej roli inteligencji</i>	51
Tadeusz Wyrwa:	<i>Kolega to zrobi...</i>	66
—	<i>Inauguracyjna dyskusja w londyńskim klubie „Kultury”</i>	73
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Zbigniew Byrski:	<i>U.S.A. — dzisiaj</i>	83
Feliks Gross:	<i>Rewolucja etniczna</i>	89
Norbert Żaba:	<i>Czy Finlandia jest satelitą sowieckim?</i>	95
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	102
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	111
K R A J		
Artur Korwin:	<i>Po nas choćby trawnik...</i>	114
—	<i>Tajemnica państwowa</i>	121
—	<i>Orenburski wiatr...</i>	123
—	<i>Niszczenie filmowych materiałów archiwalnych w PRL</i>	123
S Ą S I E D Z I		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	125
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	131
Wiktor Sukiennicki:	<i>Białoruskie czasopisma na Zachodzie (3)</i>	135
—	<i>Ameryka i Bałtowie</i>	140
M. D.:	<i>Kronika ukraińska</i>	141
G. F. i K. S.:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	143
SPRAWY I TROSKI		
Zbigniew Jasiński:	<i>Testament i krzywda R. Gronowskiego</i>	146
Jerzy Jankowski:	<i>Opowiadanie o polskim życiu kulturalnym we Francji</i>	156
—	<i>Działalność Biblioteki Polskiej w Londynie w roku 1974</i>	161
—		
KRONIKA KULTURALNA		
Witold Wirpsza:	<i>Demoralizacja szlachetna</i>	163
Józef Czapski:	<i>Śladem Piniego</i>	175
M. Broński:	<i>Odpowiedź</i>	179
K S I Ą Ź K I		
Bohdan Brodziński:	<i>Stara linia w nowym wydaniu</i>	181
Janina Katz-Hewetson:	<i>Polak wieczny tułacz</i>	186
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	188
Adam Nasielski:	<i>Od Marxa do Alexa</i>	195
M. Broński:	<i>Socjalizm dla dorosłych</i>	206
E. Żagiell:	<i>Encyklopedia Lithuanica</i>	209
Józef Lewandowski:	<i>Szkice o rosnącej ideologii</i>	212
Józef Lewandowski:	<i>Książka o Bierucie</i>	216
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	219
—		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	222
♦		
♦		
K. Akuła, W. Sukiennicki, H. Chorążyna, NN, B. J. Jenne, Zb. Jasiński, St. Marcinkowski, Wł. Rozenbaum, Al. W. Rudziński, F. Śmieja, M. Mieroszewska:	<i>Listy do Redakcji</i>	231
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	239
—	<i>POSK — Informacja i Apel</i>	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1975

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Czytelnik z Polski, po raz czwarty	F. 30,00
Jerzy Lipka, Benalmadena Costa (Malaga), Hiszpania	F. 24,00
Prof. dr Zdzisław Marek, Sydney, NSW (Australia), po raz szósty	F. 90,00
Anna Radomska, Londyn	F. 200,00
Juliusz S. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz dziewiąty i dziesiąty	F. 810,00
A. T. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Leonarda Kociemskiego	F. 100,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Claremont, Cal. (USA), po raz dziesiąty	F. 155,00
Anonimowo, Niemcy Zachodnie	F. 36,00
Bezimiennie z Malmö (Szwecja)	F. 30,00
Bezimiennie z Ottawy (Kanada)	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

DO CZYTELNIKÓW « KULTURY »

Z przykrością zawiadamiamy, że z przyczyn technicznych zarówno dawno zapowiadana Bibliografia „Kultury” w opracowaniu Marii Danilewicz Zielińskiej jak drugi tom „Archipelagu GULag” Aleksandra Sołżenicyna ukażą się dopiero na jesieni br.

REDAKCJA



P.9.786 Chw Arch

Dziennik pisany nocą

Siena, 27 lutego 1975

A więc istnieją jeszcze włoskie miasta, w których z okna na drugim piętrze słychać nocą każde słowo szeptu we wnęce bramy! Widzę stąd *Piazza del Campo*, ogromną i wymiecioną muszlę z czarną naroślą *Fonte Gaia* po środku. Widzę też cień dawnego getta, wysepki domów które budowano wzwyż, nie wając się wyjść poza jej obręb. Noc jest chłodna i ciemna i czysta, jak chłodny i słonecznie czysty był cały ten dzień od wyjazdu o świcie z Neapolu. Trudno uwierzyć, a jednak mam to wciąż przed oczami: rozgraniczenie krajobrazów pokrywa się dokładnie z linią demarkacyjną między dzielnicami. Za Orvieto umbryjski pejzaż zimowy — żółta ziemia, zacieki młodej i jaskrawej zieleni, czerwono-rdzawe drzewa; od Val di Chiana toskańska łagodna płynność o lekko przydymionych kolorach.

Minęło piętnaście lat od mojego dłuższego pobytu w Sienie. Teraz wyskoczyłem tu tylko na dzień z wizytą do Malarza i jego Arcydziedła.

Duccio i *Maestà*: pisząc o nich, ześlizgiwano się prawie zawsze w zastawione jakby sidła formułek; albo fałszywie poetyckich, albo pedanteryjnie klasyfikacyjnych. Nawet relacje o pierwszym wrażeniu kopiują z drobnymi wariantami ten sam skrót metaforyczny: rozjarzona gwiazda w piwnicy, oślepiający skarb w grocie, złote źródło w mrocznej otchłani. U klasyfikatorów Duccio występuje jako malarz „styku bizantyńsko-gotyckiego”, jako „malarski dramaturg” i „chrześcijański Sofokles zagubiony Bóg wie czemu w królestwie plastyki”, jako „mistrz kompozycji i ilustracji”. Najwięcej nabruździł Berenson (określenia pochodzą przeważnie od niego), który nonsens o „ilustracyjności” Duccia

mógł być przecież sobie darować, oglądając w bliskim sąsiedztwie freski prawdziwego i uroczego zresztą ilustratora Pinturicchia (czyli Malarczyka, ale jedynie ze względu na niski wzrost) na ścianach *Libreria Piccolomini*. Duccio niczego w *Maestà* nie ilustruje, niczego świadomie nie komponuje i nie dramatyzuje. Opowiada Żywą Legendę głosem tak świeżym i klarownym, że ma się uczucie brania udziału w jej narodzinach. A raczej rozkłada ją mimo woli w tym opowiadaniu na mnóstwo głosów, aż *Maestà* staje się swoistą partyturą Oratorium o Pierwotnej Wierze. Amatorzy jungowskiej teorii archetypów powiedzieliby: chrześcijaństwo w postaci nieskażonej, u szczytu formy kształtującej, przed zakrzepnięciem w język znaków rytualnych i symboli. W wielu figurach Duccia, zwłaszcza w aniołach, odbywa się chwilami przemiana widzialnego w niewidzialne. To już nie jest malarstwo, lecz coś *poza*.

Kto mówi że Siena to *Duomo* i *Maestà*, musi znać kronikarski przekaz o wprowadzeniu obrazu Duccia do katedry 3 czerwca 1311 roku, cytowany w przewodnikach i książkach z nieodłącznym zdaniem o „ludowym pokłonie hołdowniczym dziełu sztuki”. Bardziej niż hołdem, sienneński obchód był karnawalem. Tak o nim myślę patrząc na puste *Campo*, które w tamten czwarty dzień tłum za obrazem okrążył z płonącymi świecami w rękach, przy biciu w dzwony na glorię, wśród muzyki trąb i piszczałek. Na noszach, nad tysiącami głów, posuwała się wolno ku ołtarzowej intronizacji Boska Historia; w dole, w rynkowej muszli, kłębiła się i huczała ludzka. Duccio, oparty gdzieś z boku o mur, uśmiechał się szczęśliwie. Zostało mu siedem lub osiem lat życia.

Neapol, 28 lutego

W drodze powrotnej zahaczyliśmy o Orvieto, ale było za późno na postój. Może pod koniec kwietnia uda mi się mała podróż umbryjska.

W pociągu do Paryża, 1 marca

W przedziale duszno, współpasażerowie nie pozwalają uchylić nawet szparki w oknie, ubijamy targ: zapalone światło w zamian za zamknięte okno. Jeśli mam nie zmrużyć oka do Paryża, to chcę przynajmniej na górnej kuszetce przewertować plik zaległych gazet.

Wywiad ze Straussem po jego wojażu do Chin i audiencji

u Mao. Chińczycy (powiada Strauss) z maniakałnym uporem kręcą się koło jednego tematu: najpewniejszą gwarancją przeciw rosyjskiej zaborczości byłyby niezależne Stany Zjednoczone Europy. Nie obchodzi ich „struktura społeczna” takiej unii, wystarczy by zjednoczenie Europy nie było równoznaczne z jej skomunizowaniem („zachodnia Europa skomunizowana będzie zbyt ścisłym sojusznikiem ZSSR”). *Martellare* znaczy po włosku „wbijać młotkiem”, i w Pekinie powtarzano Straussowi *in maniera martellante*: „Zależy wam na pokoju i na niezawisłości? Pilnujcie waszej jedynej mocnej karty w grze, unifikacji politycznej i wojskowej. Nie, wyłącznie polityczna to za mało, razem z wojskową”. *Wot, diełowej parień* — mieliby prawo warknąć o Mao (z wściekłością i podziwem) jego byli mentorzy „ideologiczni” na Kremlu.

Sposób w jaki prasa włoska zareagowała na likwidację miesięcznika zagrzebskiego *Praxis* dowodzi raz jeszcze, że „wschód Europy” to dla Włochów przede wszystkim Jugosławia. Cokolwiek dzieje się w kraju rządzonym przez Tito, rozlega się natychmiast głośnie echem nad Tybrem: nie do pomyslenia by likwidację dość ekskluzywnej trybuny w Warszawie, w Budapeszcie czy w Pradze (wyłączam oczywiście Moskwę) dzienniki włoskie pokwitowały taką masą felietonów i komentarzy. Jaka jest ogólna zasada tego zainteresowania? Przed laty powiedział mi Nicola Chiaromonte: „Gdyby Rosjanom powiodło się kiedykolwiek zawrócić do karnych szeregów Jugosławii, w następnych włoskich wyborach komuniści zdobyliby większość absolutną. Dlaczego? No bo skoro są tak blisko z całą swoją siłą, nie warto wierzyć na ościenu”. Uwaga była zapewne słuszna przed laty, dziś rzecz wygląda nieco inaczej. Dziś zdarza mi się u komunistów włoskich wykrywać objawy niepokoju wobec perspektywy post-titoizmu. Nabrali ochoty do rządzenia autentycznego, samodzielnego (choćby w koalicyjnych ramach „kompromisu historycznego”), bez oglądania się co krok na mocodawców sowieckich.

Artykuły o *Praxis* są płyciutkie i zdawkowe, istotę sprawy uchwycił tylko Frane Barbieri, dziennikarz belgradzki któremu — o dziwo — wolno pisywać regularnie do *Giornale*: „Wieloletnia polemika wokół *Praxis* oparta była na paradoksie: można stosować kontestację globalną, domagającą się w kapitalizmie samorządu robotniczego, do społeczeństwa socjalistycznego budowanego na samorządzie? Filozofowie odpowiadali, że tak. Partia, że nie”. Co w końcu sprowadza się do szerszego i nieśmiertelnego dylematu demokracja „formalna” (burżuazyjna) *contra* demokracja „rzeczywista” (socjalistyczna), w stylu Karola Radka: „Można globalnie kontestować ustrój powstały z kontestacji globalnej? Można, ale trzeba mieszkać w innym”. Filozofowie

z *Praxis* przeniosą się prawdopodobnie na uniwersytety amerykańskie.

Z kilkumiesięcznym opóźnieniem Włosi przedrukowali z prasy amerykańskiej wzruszające *Refleksje o Mihajlo Mihajlovie* Dżilasa, napisane po jego ponownym aresztowaniu w październiku ubiegłego roku. Kiedy sześć lat temu byłem u Dżilasa, nie znał Mihajlova albo znał go bardzo przelotnie, nie pamiętam już, pamiętam natomiast jak gorąco zachwalałem młodego rusycystę z Zadaru na półzestaniu w Nowym Sadzie. W ciągu tych lat Dżilas nawiązał z nim widocznie serdeczny kontakt, jeśli artykuł kończy się takim akcentem: „Pytam sam siebie, czy spełniłem mój obowiązek wobec Mihajlova w niniejszej krótkiej nocy? Czy jest to wszystko co ja, stary i chory, mogę dla niego zrobić?”. Ten młody człowiek, chyba dlatego że zaplątany jak zeszlowiecny ideowy student w nasze czasy cynizmu bądź doktrynerskiej sieczkarni, podbijał szybko serca osób starszych. Aż do śmierci Stempowski, z rzadką u niego czułością, wspominał swoją wyprawę do Zadaru.

Maisons-Laffitte, 4 marca

Sen lingwistyczny, inaczej nie potrafię go nazwać. Nagłe wchodzenie (ściślej: wbieganie) w krajobraz dzieciństwa i młodości jest w snach motywem częstym, chociaż u emigrantów posiada specjalny posmak. Nowe było to, że wszedłem w mój nie sam, lecz w towarzystwie przyjaciół-cudzoziemców; i że naraz, na grobli w S., wszyscy zaczęli do mnie mówić po polsku. Sen związany, jak sądzę, z moimi przyjazdami do Laffitte; które w moim życiu, mówionym po włosku, są także gwałtownymi przeskokami językowymi.

9 marca

J. G. dał mi do przeczytania powielany tekst rozprawki Zbigniewa Brzezińskiego *Soviet Politics: From the Future to the Past?*, ciekawej i pośrednio doprowadzającej do logicznych konkluzji *Pismo woźdźdźm* Sołżenicyna.

Nie wiem czy Brzeziński, pisząc ją, znał już *The Russian Tradition* Tibora Szamuely. W każdym razie pierwszą część czyta się jak zwięzły konspekt książki historyka węgierskiego. „Polityki sowieckiej nie można odseparować od rosyjskiej historii. Ta historia ukształtowała tradycję polityczną i kulturę polityczną, które wywarły głęboki wpływ na sposób w jaki marksizm został

przyswojony tradycji rosyjskiej, na dostosowanie przez Lenina tej doktryny do politycznych okoliczności chwili, na środki użyte przez Stalina w przekształceniu społeczeństwa w imię pewnych politycznych i ideologicznych celów. Doktryna rewolucyjna i elita rewolucyjna wytworzyły naturalnie nowy styl polityczny, ale z upływem czasu elementy historycznego przełomu w sowieckim życiu politycznym stały się mniej dominujące, a na powierzchnię poczęły się wydobywać bardziej trwałe wzorce rosyjskiej kultury politycznej... Centralną i znaczącą realnością rosyjskiej polityki był jej charakter przemożnie autokratyczny. W przeciwieństwie do swoich zachodnio-europejskich sąsiadów, Rosja nie przeszła przez długą fazę feudalną”. I tak dalej, i tak dalej (nie bez kozery historycy „tradycji rosyjskiej” odkurzyli ostatnio zdanie Puszkina, że w Rosji *feodalizma nie było, i tym chuże*), aż do rezultatu końcowego, sformułowanego niemal słowami Tibora Szamuely: „Ustanowiono supremację państwa nad społeczeństwem, polityki nad sprawami społecznymi, czynownika nad obywatelem czy poddanym, w stopniu który nie miał sobie równych w Europie”. Trafne jest u Brzezińskiego spostrzeżenie o zmianach inicjowanych periodycznie przez państwo w drodze „rewolucji odgórných”, jeszcze trafniejsze twierdzenie że w kategoriach tradycji politycznej Rząd Tymczasowy oparty na Dumie był bardziej rewolucyjny niż przewrót Lenina. Nie budzi nawet szczególnych oporów „radikalne” podsumowanie opisu: „Rewolucja bolszewicka nie tylko nie oznaczała przerwania panującej tradycji politycznej, lecz w perspektywie historycznej była aktem Ożywionej Restauracji”.

Następuje porcja „politologicznej” mgławicowości, gdy wypada ustalić miarę *resilience* systemu. Według Brzezińskiego okazał się on względnie „elastyczny”, lepiej jednak materiał do rozważań w tej dziedzinie czerpać z *Archipelagu GULag*. Po czym przenieść się w bliższą nam epokę, gdzie znowu Brzeziński czuje twardszy grunt pod nogami. Łatwo się z nim zgodzić, że w obecnym stadium system wydaje się dość pokrewny tradycyjnym reżymom autorytatywnym, z ogromną i wciąż cięższą schedą totalitarną. „Współczesny system sowiecki łączy elementy rewolucyjnego totalitaryzmu z cechami kazuśnymi myśleć o bardziej tradycyjnej autokracji”. Ten ruch „od przyszłości ku przeszłości”, który dla Amalrika był dowodem „nieodłączności systemu”, skłania Brzezińskiego do używania terminu „degeneracja”. Zmiany społeczne i gospodarcze wpływają słabo i wolno na strukturę polityczną, tak ujmowany proces transformacji wymagałyby działania kilku pokoleń. „Możemy być świadkami okresu zamętu, albo wręcz kryzysu politycznego, zaostrzonego przez wybuch wewnętrznych napięć narodowych... Wielkorosyjska elita wie, że model

ewolucyjny z pewnymi koncesjami pluralistycznymi musiałby być równoznaczny z przyznaniem szerszej autonomii i wolności nie-Rosjanom... Kwestia narodowościowa zatem stanowi poważną zawadę w stopniowej ewolucji. Więcej, może odegrać rolę zgubnej sprzeczności w sowieckiej ewolucji politycznej". Jeżeli partia nie pokaże dostatecznie silnej ręki, do głosu dojdzie wojsko. Już teraz obserwatorzy pilnie śledzą rosnącą „militaryzację sowieckiego *ethosu* społecznego”.

Napisałem, że rozprawka Brzezińskiego pośrednio doprowadza do logicznych konkluzji *Pismo woźdium* Sołżenicyna. Bez wstrząsu lub co najmniej kryzysu *awtoritarnyj stroj*, postulowany przez Sołżenicyna wraz z ostatecznym wyzbyciem się martwego balastu „ideologii”, implikuje w praktyce (na drodze „od przyszłości ku przeszłości”) zastąpienie politbiura juntą złożoną z marszałków i generałów. Kogo taki scenariusz „regeneracji” ma ciągać?

14 marca

Na obiedzie u R. poznałem starego rzeźbiarza O., Sycylijczyka. Niski, wąty, dzięki szpicbródce i otorbionym, trochę szalonym oczom podobny z twarzy do Pirandella, o dłoniach jak łopaty, nieproporcjonalnie dużych w stosunku do ciała. Cały czas siedział jakby nieobecny i zasłuchany w siebie, nie wtrącając się do rozmowy, z pochyloną nad stołem głową ugniatając w przerwach między daniami miękisz chleba. Raz czy dwa gospodarz usiłował go sprowokować do odezwania się, ale usłyszeliśmy tylko nieartykułowane burknięcie.

Dopiero przy kawie przerwał milczenie, gdy jego sąsiadka uznała za stosowne zrobić mu komplement że mimo osiemdziesiątki z okładem rzeźbi i wystawia. *Signora* — powiedział cichym i odrobinę piskliwym głosem, — *nella vecchiaia resta all'uomo una corda sola; non dico che è una corda pazza, ma è certamente sola*. „Na starość zostaje człowiekowi jedna struna; nie twierdę że szalona, lecz z pewnością jedyna”. Była to oczywiście aluzja do tomu esejów sycylijskich Leonardo Sciascia *La corda pazza*. Zdawało się, że poprzestanie na tych dwóch zdaniach i wróci do lepienia chleba. Wykonał jednak w powietrzu palcami ruch trącania napiętej struny i ciągnął dalej. Sens był taki. Wszystko w człowieku na starość usycha i odpada, bełkot wspomnień nie różni się niczym od bełkotu słyszanego dokoła, *l'animale sociale*, zwierzę społeczne, przekonuje się że jest w gruncie rzeczy samotne, *l'animale religioso* odkrywa naprawdę że jest

śmiertelne. Niech pani nie wierzy w religijność ludzi starych, chcą zagłuszyć dźwięk swojej jedynej ocalałej struny. Jedni klepiąc pacierze, inni rzeźbiąc, jeszcze inni gadając dniem i nocą do sparszywiąłego psa. Pani czytała, ma się rozumieć, powieść Camusa. To straszny dźwięk, takiego monotonu nie słyszy się przed wejściem w starość. Bierze czasem pokusa szarpnąć strunę, niech wreszcie pęknie...

„*Maestro carissimo*, uśmiechnęła się sąsiadka, ludzie starzy nie odbierają sobie życia”. Przeszył ją spojrzeniem tak gniewnym, że zbladła. „Myli się pani, nie widziała pani nigdy statystyk. Albo widziała pani statystyki, w których zaciera się jako szalona samą myśl o samobójstwie u kresu wędrówki, *al termine del viaggio*”.

London, 21 marca

W ferworze dyskusji ktoś wcisnął mi do ręki korespondencję z Warszawy w *Financial Times* sprzed dwóch miesięcy. Nazywa się *Polish Intellectual Life — Perils of self-censorship*, zawiera między innymi mini-wywiad z Kijowskim. „Poszczególni pisarze nie są już obłożeni interdyktem. Wielu z tych którzy nie mogli drukować dawniej robi to obecnie, chociaż w periodykach czy książkach o bardzo ograniczonych nakładach, powiada pan Kijowski. Po raz pierwszy pisarze korzystają z państwowych ubezpieczeń społecznych i finansowo powodzi im się lepiej. Ale poprawa sytuacji materialnej nie koniecznie oznacza złagodzenie polityki kulturalnej. Zdaniem pana Kijowskiego w minionych latach nie ukazało się w Polsce nic ciekawego. Może starając się bronić swoich nowych zdobyczy, autorzy wolą stronić od kontrowersyjnych tematów politycznych”.

Ten mini-wywiad dość dobrze pasuje do sprawozdania z poznańskiego Zjazdu Delegatów ZLP w świeżym *Życiu Literackim*: „Zbigniew Załuski udzielił odpowiedzi Markowi Nowakowskiemu w sprawie wydawania książek. Wydawca nie jest skrzynką pocztową — prowadzi politykę, wydaje lub odrzuca, względnie radzi. Kazimierz Koźniewski, zastanawiając się nad przetrwaniem książek współczesnych pisarzy, kto przetrwa próbę czasu, krytykował tych, którzy szukają poparcia np. w paryskiej *Kulturze*. Tu poparł stanowisko Załuskiego w sprawie niedopuszczalnego posyłania książek do druku u wrogów Polski Ludowej w paryskiej *Kulturze*; ostatnio casus *Cudowna Melina* Orłosia”.

Oba tekściki składają się na obrazek małej, drobnomieszczańsko-sklepikarskiej, stabilizacyjki literackiej. Dlaczego drobnomiesz-

czańsko-sklepikarskiej? Bo jej cechą, wobec „poprawy sytuacji materialnej która nie koniecznie oznacza złagodzenie polityki kulturalnej”, jest gorliwe i zawistne patrzyenie na palce konkurentom z przeciwną; przy równoczesnym cichutkim kombinowaniu pod własną ładą w walce o „przetrawianie próby czasu”. Rok temu surowy sędzia K. K., wiedząc przecież że należę do „wrogów Polski Ludowej z paryskiej *Kultury*”, prosił mnie o pomoc w wydaniu jakiejś jego powieści po włosku. Zgoda, zbrodnia nie tak gardłowa jak przemyt *Cudownej Meliny*, ale jednak „szukanie poparcia”...

23 marca

Od Ł., który mnie dziś po południu zawiózł na spotkanie z Niekrasowem, dostałem fotokopię odpowiedzi Leszka Kołakowskiego na list otwarty Edwarda Thompsona w *The Socialist Register*. Pierwszy raz słyszę o istnieniu Thompsona i *Socjalistycznego Rejestru*, ale to nie ważne. Wystarczy wiedzieć, że Thompson jest przedstawicielem angielskiej *New Left*, że w *Rejestrze* ogłosił stustronicową epistołę zażaleń pod adresem Kołakowskiego, i że Kołakowski odpowiedział mu na dwudziestu stronicach, które są listem do całej zachodniej Nowej Lewicy. Listem wspomniałem: inteligentnym, rozumnym (co nie zawsze idzie w parze), pełnym swady i ciętej ironii. Przeczytałem go dwukrotnie, na lekturę nakładały się ciepłe jeszcze wrażenia z rozmowy z Niekrasowem.

No bo choćby początek. Kołakowski, zatrzymując się nad klasycznie „neolewicowym” odmachnięciem się Thompsona: „Czym jest dla historyka pięćdziesiąt zaledwie lat egzystencji ustroju sowieckiego?”, opowiada że skończył właśnie czytać *Moje świadectwo* robotnika rosyjskiego Marczenki. Jest u Marczenki epizod nieudanej ucieczki trzech Litwinów z konwoju więziennego do lasu. Dwóch, postrzelonych w nogi, natychmiast ujęto; kazano im się podnieść z ziemi, do czego nie byli oczywiście zdolni; skopano ich więc i spuszczone na nich ze smyczy psy policyjne; potem zakłuto ich na śmierć bagnietami przy wtórze okrzyków: „Nuże, wolna Litwo, czołgaj się i wij, zaraz załapiesz swoją niepodległość!”. Trzeciego Litwina postrzelono ciężiej, uznano za zabitego i rzucono na wózek z trupami; kiedy wyszło na jaw że żyje, wtrącono go do celi karceru z ropiejącą raną; ocalał, lecz musiano mu amputować rękę. Przytoczywszy ten epizod z książki Marczenki, Kołakowski pyta: „I rzeczywiście, mój Edwardzie, czym jest pięćdziesiąt zaledwie lat dla historyka? Pięćdziesiąt lat życia nieznanego rosyjskiego robotnika, czy nie-

znanych trzech Litwinów?”. (Nawiasem mówiąc, gdy i ja przypominam sobie z książki Marczenki okrzyki enkawudzistów w trakcie dobijania dwóch ujętych zbiegów litewskich, nie mogę nie podkreślić jak na niższym szczeblu wykonawczym trwałe jest to, co w języku „politologii” odtrzymało miano *pattern*. W roku 1940 do naszej celi w więzieniu witebskim, gdzie większość ubitych jak śledzie w beczce czterystu więźniów stanowili Polacy, przyszedł któregoś dnia na inspekcję pułkownik NKWD. Ogromny wieprz, obsypany pudrem i polany obficie *adekołończykiem*, retrospektywnie kojarzący mi się rzecz jasna z bohaterami *Folwarku Zwierzęcego*, wygłosił do nas po majestatycznej perlustracji celi jedno tylko zdanie: *Kak swinja nikagda nie uwidit swoich uszej, tak wy zakliuczonyje nikagda bolsze nie uwiditie niezawisimoi Polszy*. Niezależnie od merytorycznej wartości tego proroctwa, zastanawiało mnie zawsze i dalej zastanawia, dlaczego zwierzętom czworonożnym trudniej jest zobaczyć własne uszy niż dwunożnym. Ale jest to zapewne, *avant-lettre*, sekret policyjnej retoryki z *Folwarku*).

Warto w ogóle tracić czas i energię na użeranie się z rozmaitymi Thompsonami? Warto a nawet trzeba w imię prawdy, nie robiąc sobie nadmiernych złudzeń. Jest od nich wolny Kołakowski: „Masz rację, Edwardzie, że my ludzie ze Wschodniej Europy odznaczamy się skłonnością do lekceważenia wagi problemów społecznych, przed którymi stoją społeczeństwa demokratyczne; i że można nas za to ganić. Lecz nie można nas ganić za to, że nie bierzemy na serio ludzi którzy, chociaż nie potrafią zapamiętać dokładnie jednego bodaj faktu z naszej historii czy odgadnąć kto z nas jakim barbarzyńskim narzeczem przemawia, czują się w pełni upoważnieni do pouczania nas jak dalece zostaliśmy na Wschodzie wyzwoleni; i którzy dysponują ściśle naukowym lekarstwem na chorobę ludzkości, lekarstwem składającym się z kilku frazesów znanych nam od trzydziestu lat z każdego obchodu pierwszomajowego i z każdej propagandowej broszurki partyjnej. Mówię o postawie postępowych radykałów; postawa konserwatywna wobec problemów Wschodu jest odmienna, skróto-wo taka: w naszym kraju byłoby to okropne, ale dla tych plemion jest w sam raz”.

24 marca

Na nagrobkach angielskich częsta jest inskrypcja *In Loving Memory*. Osobliwości języka: jej odpowiednik polski byłby banalny, włoski — sentymentalny z odcieniem trywialności. W momentach krańcowych językom służy panująca na danym obszarze

lingwistycznym powściągliwość w wyrażaniu uczuć; albo szkodzi jej brak.

Maisons-Laffitte, 26 marca.

Album dziesięciu bardzo pięknych litografii Lebensteina *Folwark Zwierzęcy* — *W hołdzie Orwellowi*: poprzedziły go setki próbnych szkiców rysunkowych, w których Lebenstein oczyszczał się stopniowo z pokus zwykłego towarzyszenia tekstowi. Teraz jest to malarska synteza arcydzieła Orwella. Widać jak Lebenstein dobrze przemyślał trzy kompozycyjnie podobne plansze (drugą, piątą i ósmą), które rytmiczną pauzą przecinają kotłowaną akcją: trzy zastygłe wizerunki śniącego Majora, Chyżego projektującego wiatrak i Boksera wysyłanego na śmierć do końskiej jatki. Żałuję tylko, że zapomniał o mądrym i sceptycznym ośle Beniaminie, uważanym po trosze za *porte-parole* Orwella. Jego zastygły również portret, z „dwuznaczną” maksymą: „Osły mają długie życie; żadne z was nie oglądało nigdy zdechłego osła”, zamykałby doskonałą klamrą hołd złożony autorowi *Folwarku*.

Na marginesie albumu Lebensteina. *Folwark* jest naturalnie powiastką o rewolucji bolszewickiej i o triumfie Stalina, ale nikt zdaje się nie dostrzegł, że biedny i ślepo oddany Bokser w swoim ulubionym przykazaniu „Napoleon ma zawsze rację” kopiuje obowiązujące za czasów faszyzmu włoskiego hasło *Mussolini ha sempre ragione*. Nie było to u Orwella przypadkowe.

Neapol, 4 kwietnia

Książki, książki, pełny plecak przytaszczony rano z księgarni. Nareszcie przyzwoite i tanie wydanie pamiętników Casanovy; gruby *Hitler* Joachima Festa; debiut powieściowy Stefano D'Arrigo *Horcynus Orca*, tysiąc dwieście pięćdziesiąt stron. Wszystko na lato. Trzeba przyznać że we Włoszech, na tle innych krajów zachodnich, literatura zachowała jeszcze pewną żywotność. Po powieści Elsy Morante powieść D'Arrigo, którą sporo recenzentów stawia między *Moby Dickiem* i *Ulissesem*. I nowy Sciascia. I nowy Morselli...

9 kwietnia

Leonardo Sciascia *le Sicilien*, jak go w tytule entuzjastycznej „rozkładówki” nazywa *Le Monde*, jest moim faworytem od wielu

lat: pisałem o jego *Parafiach w Regalpetra* i *Śmierci Inkwizytora* na długo przed dzisiejszymi chórami rzymskich czy paryskich zachwyków. Jest w średnim wieku (czyli moim), stroni od wszelkich koterii literackich, w poglądach po jakobińsku lewy ale na dystans od komunistów, wypracował sobie własną formę krótkiej powieści, z domu eseistycznej, ostatnio wzbogaconej o elementy romansu kryminalnego. Ma styl suchy, precyzyjny, jakby używał cyrkla i piórka kreślarskiego, brzydzący się ornamentacją i w budowie fraz porównywalny chyba z budową minerałów. Jest wybornym znawcą mafii sycylijskiej, ale nie w sposób powierzchowny i sensoryjno-kronikarski: drąży głębiej, odsłania podkórny proces mafijnej „sycylianizacji” współczesnych Włoch. I mitoburcą: rozbija, między innymi, mit o religijności Sycylijczyków. Niekiedy zabiera głos w polemikach bieżących, szokując konformistycznych (niezależnie od przydziału politycznego) rodaków niezależnością i śmiałością sądu. Tak było niedawno, gdy ku powszechnemu zgorszeniu „oboju postępowego” określił obłądną orgię nietolerancyjnej „lewicowości” jako wybuch „faszystowskiego antyfaszyzmu”. Wśród intelektualistów włoskich dałoby się na palcach jednej ręki policzyć ludzi, gotowych coś podobnego głośno powiedzieć.

Jego nową powieść *Todo modo* zrodziła niewątpliwie historia „historycznego kompromisu”, paktu zaproponowanego katolikom przez komunistów, głoszonego *urbi et orbi* przez wszystkie bębny partyjne i jakąś (trudną do oszacowania) część dzwonnów kościelnych. Rzecz dzieje się w pustelni-hotelu, gdzie co roku odbywają się tygodniowe rekolekcje dla wybranych demochrześcijańskich notablów: ministrów, prezesów przedsiębiorstw i banków, senatorów i deputowanych. Kierownikiem rekolekcji jest diaboliczny i piekielnie (właściwe słowo) inteligentny ksiądz, Don Gaetano. Przynajmniej wstępnie, w drodze do pustelni-hotelu sławny malarz. Zainteresowany imprezą, prosi by mu zezwolono pomieszkać parę dni w wolnym pokoju. Mimo że agnostyk i „libertyn”, zostaje w roli „eksterna” dopuszczony do rekolekcyjnej komitywy. Naraz tajemnicze morderstwa, jedno po drugim, jak w „dreszczowcu” Agaty Christie o dziesięciu murzynkach. Sciascia nie posuwa się do ich wyjaśnienia, sugeruje tylko że rekolekcyjne ustronie sprzyja przypuszczalnie załatwianiu wewnętrznych mafijnych porachunków między chadeckimi notablami. Prawdziwą osią powieści jest dialektyczna szermierka Don Gaetano — malarz, konfrontacja światopoglądów klerykalnego i laickiego. I tutaj subtelnie, bez wymieniania „kompromisu historycznego”, Sciascia mówi o jego istocie: o zamazywaniu granic i sianiu konfuzji, o nowej operacji wiecznego włoskiego „transformizmu”, w której dwie śmiertelnie dotąd antagonistyczne mafie próbują

się nawzajem przechytzyć chwilowym zawieszeniem broni. Kapi-talna (i kluczowa) jest scena przy kolacji. Jeden z biskupów wspomina o Guttuso, krzywi się że komunista. „A któż nie jest komunistą? — odparł Don Gaetano. I dorzucił z intonacją parodystyczną: — *Perché non possiamo non dirci comunisti*”. Malarz (narrator) notuje: „Nie było jasne czy mówi poważnie, czy żartuje. Wszyscy więc, nie wyłączając mnie, pokwitowaliśmy to dwuznaczną aprobatą. I zapadło milczenie”. Don Gaetano sparafrazował tytuł szkicu Crocego *Perché non possiamo non dirci cristiani* — *Dlaczego nie możemy nie uważać się za chrześcijan*, napisanego w najciemniejszym okresie wojny z myślą o cywilizacyjnej wspólnotcie ludzi wolnych. Nic bardziej smutnego dzisiaj, i charakterystycznego dla „kompromisu historycznego”, niż ta „parodystyczna intonacja” księdza: przymrużenie oka wytrawnego *majioso*, przyjęte „dwuznaczną aprobatą” współbiedniaków.

10 kwietnia

Wybitny komunista włoski Lajolo naraził się podwójnie partii: w redagowanym przez siebie tygodniku ogłosił świadectwo Smrkovskiego w rok po jego śmierci; liberalnemu tygodnikowi *Il Mondo* dał do druku swoją *Storia segreta del PCI*. Za karę na marcowym kongresie partyjnym wymanewrowano go z KC.

W „historii sekretnej” niezadowolenie wywołały dwa fragmenty o Togliattim. Z pierwszego czytelnik dowiaduje się, że ilekroć była mowa o Gramscim, zwłaszcza o jego latach więziennych w Turi i o tym jak go w więzieniu traktowali towarzysze partyjni, Togliatti (z natury „zimny kalkulator odporny na sentymenty” i mistrz samokontroli) nie umiał opanować lekkiego drżenia rąk. Dość przejrzysta aluzja do faktu znanego od dawna historykom „reakcyjnym”: bojkot Gramsciego w Turi (nie odzywano się do niego podczas spacerów na dziedzińcu więziennym) był inspirowany przez Togliattiego, dyktowały go różnice w ocenie polityki Stalina. Drugi fragment dotyczy KPP. Pod koniec lat pięćdziesiątych ex-komunista Mieli złożył u wydawcy mediolańskiego książkę *Togliatti 1937*. Lajolo, na prośbę Togliattiego, zdobył jej odbitkę szcztokową. Przekartkował książkę w pociągu z Mediolanu do Rzymu, na biurku Togliattiego położył ją otwartą w miejscu opisującym likwidację KPP. „Mieli łże, czy nie? Podpisałeś wyrok śmierci na polskich przywódców komunistycznych?”. „Tak”. „Jak mogłeś to zrobić, jeśli wiedziałeś o ich lojalności politycznej?”. „Gdybym był postąpił inaczej, podzieliłbym ich los”. „Jak postąpiłby na twoim miejscu Gramsci?”.

„Zginąłby”. Togliatti był blady, drżącymi rękami przewracał kartki książki, mamrotał o interesach włoskiej partii i o przyszłym „osądzie historii”. Nawet jeśli Lajolo podkoloryzował swoje wspomnienie, to bardzo nieznacznie. „Historia sekretna”, w ustach komunisty a nie „renegata” lub „reakcjonisty”, podważa dwie pilnie przez partię strzeżone legendy: że Togliatti był duchowym „młodszym bratem” Gramsciego; i że aż do raportu Chruszczowa nie miał pojęcia o zbrodniach stalinizmu.

Wspomnienie Lajalo ozdobiono w *Il Mondo* reprodukcją malowidła Guttuso *Pogrzeb Togliattiego*. Malowidło, spokrewnione w manierze z ludowymi obrazami procesji religijnych na południu Włoch, powstało dziesięć lat temu. W tłoku żywych i umarłych żałobników delegacja sowiecka przedstawia się następująco: trzy razy głowa Lenina, raz duża głowa Stalina, po razie mniejsza głowa Breżniewa i jeszcze mniejsza Susłowa. Brak głowy Chruszczowa, którym Togliatti ze zrozumiałych powodów głęboko pogardzał.

15 kwietnia

W listopadzie pisałem w dzienniku o Morsellim: „Umarł kilka lat temu po sześćdziesiątce zupełnie nieznanymi, wszystkie próby ogłoszenia czegoś za życia spełzły na niczym, dopiero teraz dobrano się do jego rękopisów i jako pierwszą wydano powieść *Roma senza Papa*”. Jedna poprawka: umarł śmiercią samobójczą po n-tej odmowie wydawcy. Równocześnie z trzecim nakładem *Rzymu bez Papieża* ukazuje się jego następna powieść *Contro-passato prossimo*.

W *Rzymie bez Papieża* imaginacyjna przyszłość, Rzym 1999; w *Contro-passato prossimo* odwrócona przeszłość, pierwsza wojna światowa wygrana przez państwa centralne. Dotykalna prawie realność pierwszej powieści, jałowa wirtuozeria drugiej. W *intermezzo* krytycznym, zabawnym ale właściwie zbytecznym dialogu autora z wydawcą, Morselli wyjaśnia wprost o co mu chodzi: precz z Historią z dużej litery, z „świętym potworem” historii „rozumnej” i „suwerennej”, z historycyzmem który jest teoretycznym szkieletem marksizmu; moja „retrospektywna hipoteza” na temat pierwszej wojny światowej wskazuje, że wszystko mogło się być potoczyć inaczej, co więcej — że rozumniejszy byłby wymyślony przeze mnie bieg rzeczy nie dokonanych, niż był rzeczywisty i rzekomo logiczny bieg rzeczy dokonanych. Powiedzmy. Ale co z tego? Tyle wysiłku wyobraźni retrospektywnej, aby dowieść że historia nie jest ani rozumna ani logiczna? I że z dużej

litery upierają się pisać ją ci, którym zastępuje Boga czy Przeznaczenie? Jesteśmy nią obrońcami. W jakiejś mierze zależy od nas. Zapewne, w nie za wielkiej mierze, lecz na szczęście dostatecznej by między „przypadkiem” i „koniecznością” człowiek nie czuł się ślepym narzędziem „dalekowzrocznych i racjonalnych planów dziejowych”. Biedny Morselli! Gdyby pierwsza wojna światowa miała przebieg wymyślony przez niego, inny Morselli wymyśliłby w pół wieku później schemat retrospektywny zgodny po części przynajmniej z jej przebiegiem rzeczywistym. Może jednak wypadałoby na *Contro-passato prossimo* spojrzeć jak na zamaskowaną historycznie powieść egzystencjalną o nieuleczalnej udręce człowieka, który zawsze chce być czymś innym niż jest.

18 kwietnia

Wczoraj przyszedł tom Władysława Bartoszewskiego *1859 dni Warszawy*, skończyłem go przed chwilą. Książka która zostanie, będzie z każdym rokiem rosła (nawet jeśli rozmaite względy, przede wszystkim zapis Powstania Warszawskiego, skłonią cenzurę do utracenia projektowanych wznowień). Nazajutrz po wojnie zastanawiałem się jaka forma mogłaby oddać lata okupacji. Byłem przekonany że tylko kronika, czysta albo połączona z dziennikiem. Próby powieściowe i nowelistyczne, nadchodzące z Warszawy, utwierdzały mnie w tym przekonaniu: niekiedy świetne, lecz zbyt kruche i ułamkowe. W roku 1950 John Hersey, autor *Hiroszimy*, wydał *Mur*. Posłużył się chwytem literackim — oparzył przypisami „odkopane” w gruzach getta warszawskiego „archiwum Lewinsona”. Mniejsza o ocenę książki pisarza z odległej planety amerykańskiej, ważna była jego trafna intuicja: kronika przepłataną dziennikiem. Zresztą kto wie czy intuicja, może po prostu lekcja *Journal of the Plague Year* (Defoe miał w czasie wielkiej dżumy londyńskiej z roku 1665 pięć lat, jego *Journal* uważano długo za autentyczny dziennik, zakopany w piwnicy i ocalały cudem z pożaru w roku 1666). Lekcja polegała na tym, że pewne rozdziały „czarnej historii” ludzkości — kataklizmy, zarazy, eksterminacje, barbarzyńskie podboje, ludobójstwa — są odtwarzalne wyłącznie piórem bezosobistego do maksimum kronikarza. Później używanie chwytów literackich stało się zbędne, pojawiły się *Zapiski Ringelbluma* i trzy tomy *Kroniki lat wojny i okupacji* Ludwika Landaua, jednej z najwybitniejszych książek powojennego trzydziestolecia.

We wstępie do tomu Bartoszewskiego (zatytułowanym *O kronice konkretnie*) profesor Gieysztor powiada, że „wystąpił on jakby w roli kontynuatora tragicznie przerwanej przedsięwzięcia Lan-

daua”. To prawda, chociaż nie wolno zapominać o różnicy między kroniką prowadzoną z dnia na dzień *podczas* i kroniką zestawianą *ex post*. Do pierwszej, mimo nałożonej sobie świadomości przez kronikarza dyscypliny głosu beznamietnego, musi się tu i ówdzie zakradać nutka bardziej osobista; drugiej grozi jednostajność cyfr i nagich faktów, „konkretnie” absolutnego. Rozumiał to Bartoszewski, przetykając kronikarską materię *1859 dni Warszawy* żywszymi nieco akcentami. Czasem wierszem, piosenką, czy artykułem z prasy podziemnej. Kiedy indziej wypisem z dziennika Landaua. „12 stycznia 1943. O wziętych dwustu osobach dalej wiadomo niewiele. Rozeszła się tylko wiadomość, że była wśród nich Gojawiczyńska... Mróz coraz silniejszy. Dziś temperatura spadła w godzinach rannych do minus dwudziestu stopni. Zostaje nam tylko jedno pocieszenie: że na froncie jest jeszcze zimniej”. „15 stycznia 1944. Ludzie starają się wymijać patrole, ostrzegają się wzajemnie przed nimi, ale silniejszego wrażenia to już nie robi — jak na przykład odgłosy eksplozji z getta, odbijające się echem po całym mieście, ale zwracające uwagę już tylko zrywającego się w popłochu plectwa”. Z dziennika Wacława Borowego, notatka zrobiona 22 listopada 1944 roku przy pracy w Bibliotece Uniwersyteckiej: „Przez północno-wschodnie okna widzę Wisłę i mosty z zerwanymi przesłami. Raz po raz od strony Pragi odzywają się strzały bolszewickich karabinów maszynowych. Uprzytamniam sobie, jaką ta biblioteka jest całościową moją miłością, i płaczę. Płaczę dosłownie, jak nie płakałem patrząc na okropne ruiny Warszawy. A napatrzyłem się tych ruin już dosyć i różnych”. To ostatnie stronicie książki Bartoszewskiego, gdy kronika dopuszcza płacz. Następuje jerozolimski wiersz Broniewskiego z października 1944. Powinien mu towarzyszyć krakowski wiersz Miłosza *W Warszawie* z roku 1945: o „płaczu Antygony, co szuka swojego brata”; o „dwóch ocalonych wyrazach: prawda i sprawiedliwość”.

Rzym, 19 kwietnia

Gwałt rodzi się z pustki słów. Widziałem to dzisiaj na *Campo dei Fiori*, gdzie gromadka wyrostków otoczyła pomnik Giordano Bruno zachlapaną czerwonymi i czarnymi bazgrołami. Skandowali puste, nic nie znaczące słowa, upijali się tą pustką, potem ruszyli w kierunku Tybru wymachując pałkami, usuwano im się z drogi i szybko zatrzaskiwano drzwi kramików i warsztatów, widok codzienny teraz we Włoszech, kolor rozpoznaje się po głównym okrzyku, albo *rivoluzione proletaria* albo *rivoluzione nazionale*...

Mała podróż umbryjska, 20-25 kwietnia

Orvieto, Todi, Asyż, Gubbio, Perugia.

Na szosie do Todi miejsce, w którym dobrze jest przystanąć i pożegnać z daleka Orvieto. Na wzgórzu, po tamtej stronie doliny, kontur miasta obrysowany w porannej mgle. Drgnięcia różowego powietrza zaostwiają go na przemian i wcierają w niebo. Dnem doliny posuwa się dzwoniące stado owiec, w bok od ścieżki pasą się na zielonym płacie łąki konie. Sznur drzew wykreśla bieg strumienia, nad rozsypanymi domami chwieją się i wenią słupki dymów. Jest w tym wszystkim coś nierealnego, sennego, zwolnionego, i tak odcisnie się w mojej pamięci cała Umbria. Rejon wygradzony, kraj w którym czas wlece się, zatrzymuje i znowu leniwie idzie naprzód. Miasta, z wyjątkiem Perugii i turystyczno-patniczego Asyżu, są uspięne. Todi — cudowny plac ze schodami do katedry, wyżej San Fortunato z grobem Jacopone, na zboczu uliczki jak chodniki wyrąbane w kamieniu. Średniowieczne Gubbio, średniowieczne Spello, też kamienne korytarze uliczek. Bettona w obręczy muru pierwotnie etruskiego potem średniowiecznego, wszędzie roztrzepotane i nie łatwe do przepłoszenia gołębie w dziurach między wielkimi głazami. Nawet w Orvieto, w powszedni dzień wczesnym ranem i o zmierzchu, starzy ludzie na ławkach zdają się nasłuchiwać głosów minionego wpatrzeni bez ruchu w organową fasadę *Duomo*.

Prócz wrażeń potwierdzonych lub odświeżonych tylko w jeszcze jednym widzeniu, zawdzięczam tej małej podróży umbryjskiej kilka nowości i korektur. Bywa że istotny jest proces oglądania, ba — jego porządek. Tym razem w orvietońskiej kaplicy San Brizio zacząłem od słynnego „podpisu autoportretowego” w rogu jednego z fresków: Luca Signorelli i Beato Angelico. Dawniej ocierałem się ledwie wzrokiem o ten malarski monogram, teraz nie mogłem od niego długo oderwać oczu. Trochę tak, jak gdyby Luca chciał uprzedzić: przyjrzyjcie się uważnie autorowi, ocenicie lepiej jego dzieło. Autoportret daje poczucie ciężkości, ziemskości, zwłaszcza wysunięta noga, przyrośnięta do ziemi z ogromną siłą. Kiedy się od niego przechodzi natychmiast do *Zdjęcia z krzyża* (co właśnie zrobiłem), muskularne ciało Chrystusa z głową śmiertelnie utrudzonego chłopca, pozbawioną nawet tego wyrazu tępego cierpienia jaki namalował Antonello, wywołuje oczywiste skojarzenie: *Madonna del Parto* Piera w kapliczce na wiejskim cmentarzu w Monterchi, postawna i brzuchata chłopka o surowej twarzy.

Również w Asyżu kolejność trasy odegrała swoją rolę. Za po-

przednich pobytów rozpoczynałem zawsze obchód Bazyliki od Giotta w górnym kościele, ciemnia dolnego i zachowane pod powiekami światło Giotta osłabiały wrażliwość. Ale kto posiedzi najpierw w dolnym kościele przed Świętym Franciszkiem namalowanym przez Cimabue, odkryje później w górnym — zdumiony, z niedowierzaniem — ikonograficzną teatralność fresków Giotta. Herezja? Pewnie tak, trudno jednak po Cimabuem wyobrazić sobie inaczej Świętego z Asyżu. Wstrząsające połączenie zabiedzonej znikomości ze spokojną mocą.

Jest w Perugii małe oratorium kamedułów San Severo, które zamieszkały obok stróż otwiera tylko na żądanie. Otwiera i wręcza tabliczkę objaśniającą, po czym bardzo z siebie zadowolony recytuje słowo w słowo to co na niej napisał jakiś kustosz z nadzoru muzealnego. Że rząd sześciu Świętych w górnej części ściany jest dziełem dwudziestodwuletniego Rafaela, ucznia Perugina, po powrocie w roku 1505 z Florencji, gdzie cudowny młodzieniec z Urbino mógł się napatrzeć malarstwu Michała Anioła i Leonarda; że fresku nie skończył; że dopiero w roku 1521, czyli w rok po śmierci Rafaela, blisko osiemdziesięcioletni Perugino wypełnił za niego dolną część ściany sześciorgiem innych Świętych; i że uprasza się zwiedzających o zwrócenie uwagi na smutny kontrast między porą wlotu i rozbłysku młodego Ucznia i porą dogasania starego, zmęczonego Mistrza. W dużo piękniejszym fresku Perugina kustosz nie dosłyszał dźwięku „jedyniej struny”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

ZYGMUNT HAUPT

10 maja umarł, w wieku 68 lat, Zygmunt Haupt. „Miał zawał serca we śnie” — pisze nam wdowa po nim, pani Edith Haupt.

Śmierć Haupta jest dla Kultury bolesną stratą. Był związany z Kulturą niemal od początku jej istnienia, na naszych łamach narodził się późno i dojrzał jego nieprzeciętny talent pisarski. Pisanie było dla niego formą wypraw w przeszłość, ćwiczeń wiernej pamięci. Pamięci wiernej krajobrazowi, ludziom, językowi (czy raczej językom) Galicji Wschodniej. Znał „upór martwych rzeczy”, jak mało kto umiał z czułą miłością „zastuchać się w imiona rzek, dolin, lasów, szczytów górskich, wsi, miasteczek i miast”, przywoływać „całe panoramy światów zagrzebanych na cmentarzyskach pamięci”. Stworzył własny gatunek, w którym opowiadanie w stylu gawędy i dywagacja historyczna czy językowa połączyły się w piękny i jednorodny stop. Był człowiekiem cichym i skromnym, zakochanym w koniach i w „starych rupiecach”, uważał się bardziej za outsidera literackiego i malarza niż za pisarza, ale jego jedynej książki Pierścień z papieru nie pominię żaden poważny historyk współczesnej literatury polskiej.

Szpica jest jednym z pierwszych utworów Haupta, drukowanych w Kulturze. Nie została przez autora włączona do Pierścienia z papieru.

S z p i c a

Każdy z zawodów, solidnych, zasiedziały, ukształtowanych ma swoją biblię, brewiarz, zbiór kanonów, przykazań i reguł. Solidną podstawę na której opierać się będzie wszystko co się poczyna. Medyk będzie miał Anatomię Gray'a, prawnik Pandekta, architekt da Vignolę, a żołnierz oczywiście regulamin służby w polu.

Regulamin służby w polu bardzo wyraźnie i jasno powiada jak ma być zorganizowany porządek wojsk, w chwili kiedy nie ma styczności z nieprzyjacielem. To znaczy, kiedy się jest w marszu spotkaniowym, albo w pościgu. Nieprzyjaciel nie istnieje wtedy i należy go, musi się go, wyczarować z tej nicości, wywieźć się gdzie to on jest, w jakim porządku czy chaosie, jakie są jego siły. Jest próżnią której sztuka wojenna nie znosi. Szuka się nieprzyjaciela, wychodzi naprzeciw niego, albo się za nim podąża w pewnym oznaczonym porządku. Siły główne wydzielają straż przednią, której skomplikowany skład jest wyznaczony także paragrafami regulaminu. W dalszym ciągu straż przednia wyrzuca oddział wysunięty, mniej skomplikowany i oczywiście jest on, jako frakcja straży przedniej znacznie słabszy, a ten oddział wysunięty rozdrabnia się w tym samym geometrycznie malejącym wzorze, wysłała przed siebie tak zwaną szpicę. Słowo szpica przyjęło się w polskim regulaminie z niemieckiego *Die Spitze, Kavaleriespitze*. Szpica jest to garstka jezdnych, przy czym idą oni wachlarzem, szperaczami, zwłaszcza w pokrytym terenie. Ale jeden jest zawsze ostrzem.

.....

Droga jest jak dom. Mijane słupy telegraficzne, czarne od impregnującego je teru, mają zadziory i są od nich włochate i z drogą, z perspektywą, maleją i zacierają się w jedną palisadę. Kiedy przejeżdżać koło każdego z nich to drży i brzęczy, raz wyżej raz niżej ale zawsze C, jakby były troskliwie nastrojone. Droga od lat jest zaniedbana i wyboista i porozlewała się, rozmieszona obręczami kół, rozlała się do rowów, a rowy zarastają łopuchy i trawa jak skamieliny szare od kurzu drogowego. Ścieżeczka wydeptana przez pieszych biegnie po jej bankiecie i w kurzu tej ścieżeczki widać dokładnie odcisnięte ślady bosych stóp ludzkich, ślady. Droga raz podnosi się, raz opada łagodnie ku zlewowi, którym leniwie cieknie sobie jakaś woda, i tam także zawsze będzie most, przepust z rur betonowych dla tej wody, i odgradzą od niej w tym miejscu niskie bariery z grubych belek, które także są czarne i wyjedzone przez czas. Droga jest jak dom.

Bo choć jedziemy nią i przemija się z nami, to ciągle jednokowa i taka sama, takie samo brzęczenie słupów, jakby się było roztarasowanym w jednym miejscu, takie same wierzby ustawicznie się powtarzają, wierzby zawsze tam gdzie spada ku tej wodzie, wierzby jak głównie powtykane po bokach drogi, palące się swym płomieniem oliwkowo-zielonym liści i prętów.

Po obu stronach są pola, i pomimo tego że dobrze wytrzeszczam oczy w prawo i w lewo, patrzę po tych polach i niedalekim horyzoncie, bo od tego może moje życie zależeć, to jestem

jak w domu, mam wspaniałe poczucie pewności że jestem w domu. Bo to już od lat, miesiący i tygodni to właściwie mym domem jest droga. Zwęża się przede mną, ucieka poza mną, droga, jakże mi znajomy jest du-du-du kopyt konia po drodze, doły wyjedzone przez koła, stary szuter zarosły trawą w miejscach gdzie kiedyś były przyzmy.

Mijam czasami kalwarię z pobielonego wapnem kamienia albo dom na pustkowiu, albo drzewo przybiegłe tu miedzą, i są one czymś bardziej w ruchu, są jak gest, jak sygnał, jak przestroga, są dziwne i obcokrajowe w porównaniu ze statecznością, spokojem, jednakowością drogi. Patrząc po horyzoncie i coś zaczepia moją uwagę, jakiś daleko, daleko pokrzywiony daszek, kapliczka albo kępa drzew, przysiółek, albo spadek gdzieś tam i poisko, i stoi w nim kilka mizernych krów, i te szczegóły są najbardziej ożywione, zmieniają swoje miejsce, przesuwają się leniwie, albo, kiedy nieobserwowane, nagle przyskoczą na krótki dystans. A droga? Zawsze taka sama, zawsze jednakowa, od zakrętu do zakrętu prosta, ciągle na wschód i na wschód. Gubi się czasem pod kopytami mojego konia, kiedy rozpada się na kawałki u wjazdu do miasteczka. Przeciął ją tor kolejowy, to prawda, na torze stoi na poły spalony wagon pasażerski, z wyrwanych bocznych drzwi sypią się podarte pokrycia ławek i pordzewiałe sprężyny siedzeń. Spalona chałupa, tam gdzie był szlaban rogatki miejskiej, potem domy rozbiegają się w prawo i w lewo w uliczki miściny, ogródki mieszczańskich domów, w całą gmatwaninę miejsca, które także nie jest statyczne bo rusza się w oczach i ćmi jak rozsypane szkło, jak kryształ w roztworze, przyrasta go lub ubywa mu, chce coś znaczyć, oddać się czemuś, choćby to miał być cmentarz albo kirkut żydowski, zaśmieca się drobiazgami nieważnymi i aż mi tęskno do drogi na nowo, i oto już jestem po drugiej stronie i droga powraca ku mnie jak żywy dom, wstępuje na nią kopytami swego konia jakbym wstępował w progę domu na którego progu koń pozostawi swą podkowę na szczęście.

Czasem przejeżdżamy most, most prymitywny, postawiony na słupach podpór dawnego mostu, spalonego przez najeźdźcę, i czarne i zwęglone, usmolone są jego izbice, pochyło patrzące w stronę nadbiegającej wody, i głucho potyka się koń na świeżych jeszcze poprzecznych dylach mostu, głucho stukają hacele po drzewie i widać wodę pomiędzy szczelinami podłogi mostu jak łuszczy się od wiatru i oto drugi koniec mostu.

I znowu droga — droga-dom, znowu popielaty, różowy kurz w słońcu, suche łajno krowie i milowy kamień mówiący o dystansie, jakże nieważnym teraz i nieistotnym, jak gdyby kilometry jakie dzielą mnie od tego co było i co będzie miało się liczyć, jak gdyby miało mi zależeć na tym jak daleko dom mój jest od

miejsc które przestały być domem, do których jako do domu już nie tęsknię.

Kiedy jechać było po nocy, to pozostawała ta droga tak zwyczajną jak była nią w ciągu dnia. Jechać drogą to tak jak poruszać się po znajomym domu. Nawet noc była bardziej sprzyjająca, i wjeżdżać w nią, zaciągnąć się jej zapachem było tak jakby porosnąć nową, wierzchnią skórą. Przez noc stawałem się bogatszy o czarny kozuch, włochaty płaszcz czerni jakim się okryłem.

I wtedy to po nocy, wpośród własnego domu-drogi natknąłem się na obcą rzecz, i pierwsze wrażenie było bolesne jak potknięcie się w ciemnościach we własnym pokoju i bolesne ucięcie się w goleń.

Zanim jeszcze do tego dojechałem to zastraszył się koń, prychnął i zrobił wstydlivy krok bokiem, ale zaraz się otrząsnął, jakby w jednym mgnieniu oka zrozumiał i pojął i przebaczył temu i nie miał pretensji, i jakby wśliznął się w swym spokojnym ściepie na powrót w naturalny porządek rzeczy. Minęliśmy po drodze czarną zwalzną leżącą połową w rowie, trupa końskiego.

I zaraz po tym zaczęło się znowu przed nami w kurzu drogi i leżały dwa inne. I po tym już ciągle mijać było i mijać zlepkę czerni, skoncentrowaną ćmę nocną. Z wdzięcznością pomyślałem o swym koniu, uczyć mi się od ciebie, zrozumieć, pojąć, tak jak ty to pojmujesz i przebaczasz.

W jednym miejscu leżała para wielkich, ciężkich koni artyleryjskich, perszeronów czy normandów, i leżały nienaturalnie, po psiemu, na brzuchach. Jeden z nich miał wygięty łukowato kark i głowę położył na karku towarzysza od pary, pieszczotliwie, jak to widzieć można że czasem robią konie na pastwisku, kiedy kładą sobie nawzajem łby na karkach. I łby, szyje ich były wykręcone i ciężkie, i leżąc tak na brzuchach wyglądały, wydawało się, jakby pławiły się w fali Oceanu, jakby wprzgnięte w monstualną konchę nocy, ich grzywy mieszejące się i mieniące z pianą fal, z grzywami bałwanów, i ta olbrzymia para dyszlowa, w swym kołysie wpośród płaskiej drogi, jakby zastygła w kamień i granit pomnikowy rwała wprzód, ciągnąc swój rydwan czarnego, wygasłego słońca.

Trudno było przejechać koło tej grupy, komponującej się po nocy w pomnik, wyrzut, protest. Gdybyż nie było to tak zajadle obstające w swej słuszności, w swej bezwładnej rezygnacji. Gdybyż nie wciosało się to w ten sposób, czarne, wygięte karki, wspięte przednie kopyta, zaschłe od kurzu i potu grzbiety jak z brązu, jak gdyby ktoś ukomponował je w tragiczną grupę, przy-

gniótł je do ziemi, ściągnął munsztuki w pyskach aż wpośród zdartych patetycznie warg końskich widać ich wyszczerzone zęby jak w metopach Partenonu, i raz-dwa-trzy! postrzelał im w łby, by zastygły kwadrygą słońca, wypalonego, czarnego, zetłalego w popiół słońca, wobec którego czarna noc wydała się dniem białym.

Gdybyż nie wyprowadzono ich ze stajni, nie wprzagnięto w wóz o rozkraczonych kołach, nie wparto w suche fale Oceanu niebieskiego, gdybyż nie kazano spalającemu się słońcu, w strąkach promieni, mickiewiczowskich papilotów zwęglonych i strożących się komiczną koroną wokół jego głowy, i nie postrzelano im szybko, raz-dwa-trzy!, w łby, ażeby te tragiczną kompozycję utrwalić w błazeńskim skurczu *rigor mortis*.

Bo w dzień było całkiem inaczej. W biały dzień jechało się drogą i wpoprzek leżało padło końskie, rozdęty brzuch i sztywne nogi, i gazy wysadziły kiszkę odbytnicy, muchy zbierały się u jego warg i powiek. W dzień nie było to „kompozycyjne”, w dzień ścierwo końskie walało się ohydnie w pośrodku drogi, cyniczne wyzwanie, bezczelne mruganie kaprawego oka losu ku mnie, cyniczne wyzwanie, słodki smród ścierwa, aluzja nekrofiliska, Baudelairowskie naśmiewanie się z mego wzdragania:

„*Rappelez-vous l'objet que nous vîmes, mon âme,
Ce beau matin d'été si doux:
Les jambes en l'air, comme une femme lubrique...*”

Zawsze myślimy o sobie jako o sobie, a zaraz potem jak wyglądamy w oczach innych. Jeżeli mamy trochę oleju w głowie to żeby nie wiem jak krygować się to i tak dojdzie nas w końcu słuszne domniemanie że to nie będzie tak w oczach innych jakbyśmy sobie wymarzyli.

Dzisiaj rano, kiedy jechałem drogą, powoli, na połogim stoku po prawej stronie widziałem chłopską chałupę. Niebo od wschodu było jedną czerwoną zagwią, i od tej czerwoności wszystko było różowe, miało różowe obwódki, jakby farba puściła po generalnym praniu wszystkiego. Z chaty wyszedł chłop, w koszuli tylko i portkach, boso, i stał pośród nędznego podwórza, włosy miał zmierzwione od snu, to było jeszcze bardzo wczesnie rano, i stojąc w ten sposób tyłem do chaty i do wschodzącego słońca i czochrając się jedną ręką pod pachą brudnej koszuli patrzył w moją stronę. Patrzył w moją stronę i jakby poprzeczennie, jakbym ja miał być tylko pryzmatem przez który widział rzeczy-

wistość rozszczepioną moim spektroskopicznym pojawieniem się. Wydawało się że moje pojawienie się pośród tego rana, niespodziewane, miało posłużyć mu, miało raz wreszcie rozwiązać jego problem rozumienia rzeczy. Myślałem sobie, to jest człowiek osobny, a ja jestem tylko środkiem dla rozumienia rzeczy. Ja, w swoim ruchu z zachodu na wschód wykreślam jakąś linię do której będzie mógł sobie wszystko odmierzać i wreszcie raz, nareszcie, w końcu, pojąć.

Tak więc jestem jakby w zamkniętym wrzecionie, zwięza się ono poza mną aerodynamicznie, opływowo, potem rozpucza się w puchliżną obecnej chwili naokoło mnie, jestem otorbiony w tej wrzecionowatej puchliżnie jak węgry w mięsie, i przede mną zwięza się to wprzód, ostro, w oczekiwane i nieoczekiwane, jak w szpic. Zacząłem wtedy tę historię tak jak wówczas wydała mi się, jakby z nicości, jakbym narodził się z nicości bez początku, samorodnie, potem rozděło się to w przypadkową, fantastyczną, genialną soczewkę, galaktykę, przez którą skupiłem w sobie wszystkie nadbiegłe promienie, zapulsowało w niej galaterowatą materią wspomnień, tego co jest, co było i co ma być, i potem zwięza się i cieni w ostry stożek, szpic wślizgujący się w przyszłość.

Jestem bardzo niefortunnym wyborem kiedy powierzono mi jazdę na szpicy. A może bardzo fortunnym. Bo kiedy jadę na przedzie, na samym ostrzu wysuniętego oddziału straży przedniej, to tak wzywam się w swoją rolę że jestem i sobą i domem, przepraszam drogą, i krajobrazem i szczegółami terenu. Mam taki zapas wyobraźni że mogę, że potrafię siebie samego widzieć z daleka, jak figurkę z kineskopu albo kurka na dachu. Kiedy patrzę w oczy spotykanych ludzi to widzę swoje własne odbicie w ich oczach, jak w wypukłych zwierciadłach. Skarykaturowane odbicie, nieprawdziwe, i jeżeli im niosę coś to widzę to w ich oczach jak jest to zniekształcone. I dzieje się to z ich milczącym przyzwoleniem, z ich oczami, źrenicami, tęczęwkami, które podobne i barwne, jednakowe, rodzinne, rzęsy, brwi i białka oczu, i zostawione we mnie, pływające po wierzchu mej duszy jak oka na rosole w talerzu.

Więc jest to bardzo fortunne, bo potrafię wżyć się w otaczający przestwór, odgadnąć myśli, wrażenia tych których mam napotkać. Wybór mnie jest jednocześnie niefortunny, bo rozprasza mnie i tępi moją uwagę, która powinna być aż bezosobowa, zupełnie płaska, bo wtedy na jej powierzchni każdy szczegół każ-

dy znak ma odbić się i krzyżeć w szalonym spazmie alarmu, że stój! że wróg! że co innego...

Według regulaminu służby w polu zadaniem szpicy jest wywabić, nabrać, wykiwać palcem wroga. To jest najważniejsze, nie dać mu się powstrzymać. Choćbym miał tysiąc oczu to i tak to nie pomoże, bo on, bo wróg, roztopił się w terenie i moim tyśiącem oczu go nie wypatrzę, nie wyszukam w polu. Ja mam ściągnąć na siebie ogień. Oto dłaczego tu jestem. Mam na to szeroką pierś, szeroką jak horyzont i tę pierś mam nastawić do niego, na cały widnokrąg, „po winkelridowsku”. To ja mam na siebie wziąć wszystko, odkryć całą prawdę.

A że zawsze się tego spodziewam, to w krótkie noce wypoczynku, kiedy leżałem pod przygodnym dachem, albo pod niebem, w cieniu nocy, w pogłosie futrowanych koni, kiedy śmierdzi skóra siodła podłożonego pod głowę, to sobie umyśliłem i wyperwadowałem wszystko, przechodziłem ten moment wiele razy w wyobraźni, nauczyłem się tego na pamięć, mówiłem sobie że kiedy przyjdzie moment to będzie krótki, że nie będzie wtedy czasu ani żałować, ani cieszyć się z wypełnionej chwili, ani zatchnąć się samą chwilą, kiedy jedyna i nieunikniona i nigdy więcej nie powtórzona przyjdzie, że to się stanie tylko raz, tylko raz i bezpowrotnie, że nawet gdybym nie wiem jak myślał to sama chwila będzie inna i niespodziewana.

I przyjdzie w letnie rano, kiedy cienie jeszcze będą długie, kiedy będzie bardzo spokojnie, i w polu poderwie się skowronek w górę i pójdzie wysoko, jeszcze wyżej i jeszcze wyżej i rozćwierka się tam w górze, na szczycie piramidy swego głosu, której za fundament na dole żdźbła trawy, zielone i błękitne od rana. Będzie spokojnie i swojo i cicho, zaskrzypi tylko skóra siodła, cieniutki kurz uniesie się spod kopyt konia i nagle — to już! to już!

Zygmunt HAUPT

Kultura Nr. 45/46, lipiec-sierpień 1951.

ZYGMUNT HAUPT

PIERŚCIEN Z PAPIERU

W naszych czasach sztuki abstrakcyjnej i konstruacji słownych autor *Pierścienia z papieru* rozporządza rzadkim talentem utrwalania rzeczy widzianych, ukazując kolejno, w luźnej formie opowiadań, dawną Galicję Wschodnią, Francję z okresu wojennego i Stany Zjednoczone.

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1962.

Str. 245.

F. 13,50 (dol. 4,00).

Vivat Regina *

W ostatnich gorączkowych tygodniach, gdy przygotowania koronacyjne nabierają rozpędu, oczy Wolnych Narodów coraz uważniej spoglądają na Wyspę, tę oazę ogólnej pomyślności. Bo poza jej wybrzeżami wszystko idzie jak zwykle na opak: rozejm w Korei ohydnie się ślimaczy i co będzie ze spotkaniem Wielkiej Trójki czy Czwórki? Kreml jest jeszcze bardziej niż zwykle tajemniczy, toteż zachodni obserwatorzy gubią się w domysłach: Mołotow? Malenkow? Beria? I tę konfuzję jeszcze wzmacnia 10 jednakowej wielkości portretów dygnitarzy, co na 1 Maja ozdobiły kremłowskie mury — cóż, u Boga Ojca, można z tego odgadnąć? Zwłaszcza że Malenkow wisi na lewo od Lenina, a Beria na prawo od zgasłego niedawno Koryfeusza Wszechnauk? Szkoda że Crowleyu nikt nie pyta o zdanie, bo by mu wyjaśniono: *naplewat!* A cyniczny profesor Boziewicz idzie jeszcze dalej i głosi, że decyzje wielkiej polityki zapadną nie w Waszyngtonie, Paryżu ani Londynie, tylko jak zwykle w Moskwie. Nic więc dziwnego, że pan Dekier zaczyna rozgłaszać, na razie tylko *pianissimo*, że ten Boziewicz jest na żoździe czyli bierutowska wtyczka. I trzeba dodać ze smutkiem, że to zatrute ziarno pada na żyzną glebę, bo Crowley jest oburzony: przecież Prezydent Eisenhower zapewnia świat, że Polacy nie ugną się przed tyranią, a sekretarz stanu Dulles przysięga, że USA nie zgodzi się na niewolę milionów. Nic więc dziwnego, że po raz któryś jesteśmy pełni nadziei i tym krzywiej spoglądamy na bystre oczka, zjadliwy uśmiech i tustą pożyczkę profesora.

Co do rodzimych ludów tej Wyspy, to wypada wspomnieć

* Część większej całości o życiu polsko-angielskiego obozu na granicy Walii.

o sprawach, które w tym gorączkowym okresie cieszą je lub smuca. Te smutne zresztą odeszły w cień, przytłoczone ogólną pomyślnością, bo ostatnio łaski szczerze się sypią. I to nie deklamacje bez pokrycia tak ulubione przez Słowian, lecz czyny przyziemne i nieefektywne, cenniejsze jednak od setki wzniosłych akademii. Kanclerz Skarbu Butler ogłasza nowy budżet, który drastycznie obniża podatki, nic więc dziwnego, że naród czuje nadzieję lepszych czasów. Zwłaszcza że wkrótce kończy się racjonowanie cukru — oczywista zapowiedź końca powojennej biedy. Z tym większym entuzjazmem wieś i miasta, i nawet poszczególne ulice, biorą się do szykowania koronacyjnych bankietów i herbattek, dla sukcesu których nieodzowne są wielkie ilości cukru. Crowley też radośnie zaciera ręce na myśl o nieograniczonym wyrobie domowych soków i win w nadchodzącym okresie jeżynowym, gdy z żywopłotów, ruin starych baraków, chaszczy i pałacowego ogrodu nosi się kubłami pijaną słońcem jagodę.

Jednocześnie nie brak tak przez ludy tubylcze ukochanej sensacji — tej najlepszej, z posmakiem zbrodni i rozpusty. Cała Wyspa śledzi z napięciem nie tylko próby koronacyjnych orszaków w Westminsterze, ale też obskurny domek w paskudnej dzielnicy Londynu, gdzie policja niedawno odkryła prywatny cmentarz sześciu kobiet przemysłnie ukrytych w ścianach, śmietniku i pod powierzchnią niechlujnego ogródka. Twórca tej osobliwej kolekcji szybko wpadł w ręce Sprawiedliwości, więc brukowce zachłystują się z rozkoszy i co dzień dorzucają smakowite szczegóły o „Himmlerze z Rillington Place”. Władze opukują ściany i trzęsą każdą skibkę ziemi w złowrogiej posesji, a spragnione sensacji tłumy wypełniają uliczkę i godzinami gapią się na domek, choć nic przecież nie zobaczą. Starczy im sam fakt oddychania powietrzem tego miejsca, które uderza do głowy jak whisky — a co dopiero jak po koronacji zacznie się proces w Old Bailey — długi, zawły i tak co najmniej podniecający jak futbolowe eliminacje. O tak, z wielu względów będzie to pamiętny rok w annałach Wyspy!

Pamiętny też ze względu na znaną górę Everest, która przyciąga teraz oczy świata, a zwłaszcza wyspiarzy. Ostatnimi czasy Imperium wydało jej walkę na śmierć i życie, wysyłając ekspedycję pułkownika Hunta. Że za wroga ma lodowce, lawiny i rzadkie powietrze, jego wyczyn tak prawie podnieca jak wyścigi piesków, choć w nich wyniki widać w parę minut. Prędzej można porównać tę imprezę z wielotygodniowym turniejem krikietu, gdy wszystko jest w zawieszeniu. Dojdzie? Nie dojdzie? Trzeba czekać i nic nie wymyślisz. Ale w powietrzu jest wielka przygoda, więc też prasa i radio prorokują nadejście nowej Ery Elżbietań-

skiej i odrodzenie polityczne, gospodarcze i kulturalne. A reklamy firmy napojów Schweppes oddają się rozważaniom nad idącymi czasami i już na zapas proklamują tę Ery jako fakt dokonany: że mianowicie od koronacji rozpoczął się renesans Imperium, za sprawą *British leadership* uzdrowiły stosunki międzynarodowe, zakończyła zimna wojna i na całym świecie zapanowała ogólna pomyślność. I mało kto się przejmie, że na progu tej idylli legła cieniem zła wróżba, bo w samym tygodniu koronacyjnym, na Derby koń królowej Aureole został zepchnięty na drugie miejsce przez Pinzę, konia Victora Sassona, który to despekt ogładała cała królewska rodzina i jej zagraniczni goście, co chmarami ściągają na nadchodzące uroczystości.

Do Crowleyu, rzecz jasna, dobiegają tylko dalekie echa tych wypadków, a przynosi je nasza londyńska gazeta wspierana przez ilustracje w tubylczych brukowcach, w których Słowianie śledzą losy swych futbolowych hazardów. Stąd niezgorzej wiedzą co dzieje się w stolicy, tak dla Słowian nieosiągalnej jakby leżała na księżycu. Dowiadują się więc o wspaniałych dekoracjach na szlaku między Buckinghamskim Pałacem a Westminsterem i o niewiele gorszych w całym śródmieściu, a także o fantastycznych iluminacjach, co noc zamienia w rajski dzień. Rozważają piękno błękitnożłotego przybrania opactwa i co dzień czytają o odbywających się w nim próbach chórów, orszaków, członków panującej rodziny, dygnitarzy świeckich i kościelnych, sztandarów, insygniów i Bóg wie czego. Imponują im spisy napływających gości, począwszy od głów koronowanych, skończywszy zaś na amerykańskiej generałowej Bradley, której suknię ubezpieczono na 3 tys. dolarów, przy czym crowlejskie elegantki czytają z najwyższym zainteresowaniem, że szata ta jest uczyniona z białej koronki na niebieskim spodzie, spódnice ma niewiarygodnie szeroką, a stanik przybrany kiściami fałszywego bzu. Aż ogarnia niepokój, że zaćmi główną bohaterkę koronacji — suknią królowej trymana jest bowiem w tajemnicy i do prasy przedostały się tylko niejasne pogłoski o jej dziewczęcej skromności. Bo co do strojów zwykłych śmiertelniczek, to jak zwykle dyktuje je Paryż, tak obecnie zafascynowany *La Famille Royale* jakby była jego własnością. Nic więc dziwnego, że kosmetyki, perfumy i inne *vanities* noszą nazwę *Royal*, a letnią modę przepają duch monarchizmu. Wybuca renesans materiałów wzorzystych i przepojonych słońcem, w których dominuje biała róża Yorku i czerwona Lancasteru. Stąd róża w ogóle rozpanosza się na sukniach, kapeluszkach i nawet rękawiczkach, a letnia kolekcja Diora przypomina rabaty tych królewskich kwiatów. W ogromnych spódnicach, wielkich dekoltach i zaledwie sugestii rękawka panie będą wyglądać jak wielkie kwiaty, w każdym razie te szczupłe i zgrabne, które ta

moda o tyle upiększy, o ile oszpeci ich tłuste i toporne siostry. Nakazy Paryża obowiązują naturalnie w całym kulturalnym świecie, tak że crowlejskie panie zaopatrują się w te różane cuda z masowej produkcji dla ubogich, a tylko parę wybrednych elegantek, tych zwłaszcza co z powodu tuszy i złych proporcji mają trudności z gotowymi toaletami, szyje je u pani Gąsowskiej młodziej. Bierze ona półtora funta od łebka i mówi, że już patrzeć niemożebnie na te róże, które tak się jej roją w oczach, że je widzi nawet w rondlu z zupą.

Tymczasem w ostatnich dniach maja, gdy napięcie osiąga szczyt, na pogodnym niebie Wyspy zjawia się wróg gotów sprofanować koronację, tysiące festynów i miliony sukien w róże. Zaczyna się od drobnych chmur, które lekko przemykają po słońcu, zbijają się w wielkie masy i zniżają, nudne a zawzięte, o złowróbnie rozdętych brzuszyskach. Jednocześnie temperatura gwałtownie spada i od wschodu naciąga lodowaty wiatr raz jeszcze udowadniając crowlejskie porzekadło, że podła pogoda idzie od Stalina. Nic przeto dziwnego, że towarzystwa ubezpieczeniowe ledwo nadążają z przyjmowaniem ubezpieczeń od klientów obawiających się deszczu w wielki dzień, oraz od organizatorów koronacyjnych meczów kriketowych, bazarów, uczt i festynów. Radio i prasa ciągle przynoszą nowe prognozy i ze szczytów nadziei lecą na dno depresji. Wyspa z napięciem śledzi antycyklon, który ugrzązł nad Atlantykiem i licho wie co zamierza. Jeśli ruszy, koronacja będzie się cieszyć piękną pogodą i suknie w róże wspaniale rozkwitną na słońcu. A tymczasem w stolicy, na złość deszczowi i sybirskiej wichurze, ogromne tłumy rozbijają koczo-wiska na trasie królewskiej procesji. Opatulone w palta i pledy, zaopatrzone w wiktuały, termosy i lornety, obsługiwane przez handlarzy lodów oraz koronacyjnych suvenirów o niespotykanej brzydocie, przez dwie doby będą obozować na brzegach chodników by w wielki dzień wszystko widzieć jak najlepiej, nawet jeśli ten niepowtarzalny widok przysłonią im firany lodowatej wody.

Crowley jednak najbardziej obchodzą przygotowania w jego stołecznym Longfordzie, gdzie do udziału w uroczystościach Słowianie szykują się od Bożego Narodzenia. Miasto ustroiło się tak wspaniale, że spod ogromnych portretów władczyni, transparentów, monarszych emblematów, setek łopoczących sztandarów, tysięcy błyskotek, wstęg, szarf i draperii, milionów baloników i barwnych żarówek trudno poznać znajome ulice. Chodzisz po nich jak po wielkim salonie i nawet zakup nieracjonowanych odpadków ukochanej przez Słowian wędzonki na stoiskach „dla tego psa” staje się odświętnym przeżyciem. Podczas gdy coraz

gęstsze tłumy jedzą i śpią na stołecznych brukach w oczekiwaniu wtorkowego święta, Longford już w niedzielę rozpoczyna obchody oddając co Boskiego Bogu i wcale się nie zraża ulewą i tnącą do kości wichurą, która zrywa uliczne dekoracje. Po tym deszczu na oczach tłumów przez śródmieście defilują do katedry oddziały harcerskie, sióstr szpitalnych, strażaków, policji, lotników i kadetów z podmiejskich obozów. Starą świątynię wypełnia woń świec, kwiatów i kadzidła, w stallach zasiedli kanonicy w ceremonialnych szatach, od frontu ojcowie miasta w togach, łańcuchach i biretach, a za nimi wierni w najlepszej przyrodziewie sflaczałej od deszczu. Głęboki głos organów toczy się pod gotyckim sklepieniem, wywołuje echa wśród potężnych filarów nawy, budzi biskupów i rycerzy śpiących na nagrobkach, i wreszcie z kadzidlany dymem rozprasza się wśród błękitnych świateł w kaplicy Naszej Pani. Chłopackowie z katedralnej szkoły śpiewają jak anieli niebiescy, aż zdaje się, że już się popadło do rajy lub — o zgrozo! — wróciły papieżnickie czasy. Celebryje sam biskup przybrany tak wspaniale, że ledwo się może poruszać, a już wspięcie się na ambonę jest nie lada wyczynem. Wygłasza stąd kazanie na temat zaczerpnięty z koronacyjnego hymnu „Pomóż jej, o Panie, kroczyć ścieżkami Twymi, by się jej stopy nie poślignęły”. I choć jest to okazja niezmiernie uroczysta, a mówca aż biskupem, to w kwadrans kazanie jest skończony, z czego widać jak heretycy niedbale wykonują swe obowiązki. Crowleyjski Książd Mgr przez ten czas ledwo by się uporał ze wstępem.

Co zresztą odrabia sumiennie następnego dnia, w myśl wskazówek hierarchii katolickiej Anglii i Walii nakazującej duchowieństwu odprawienie mszy w przeddzień koronacji za pomyślność Elżbiety II. W poniedziałkowy wieczór wierni tłumnie wypełniają crowlejską kaplicę, a czynią to tym życzliwiej, że z łaski teź monarchini dzień jutrzejszy jest wolny od pracy. Płoną wszystkie światła, Beno Kwiczol wyciska ostatni dech z fisharmonii i przy nim Trzy Panny Na Wydaniu przechodzą same siebie jako zapiewają, a na ołtarzu Ostrobramska uśmiecha się pogodnie wśród kwiatów. Senna dziatwa niezbyt nachalnie upomina się o swe prawa fizjologiczne, co nam pozwala z należytych skupieniem wysłuchać podniosłej egzorty. Dowiadujemy się, że niniejsza msza św. odprawia się w intencji nawrócenia Anglii na prawdziwą wiarę, która tak pięknie kwitła tu przez wieki świętymi, teologami, klasztorami i katedrami jak ta na przykład w Longfordzie. Teraz więc po młodej władczyni mamy prawo oczekiwać, że nie tylko sama ujrzy światło wiary swych przodków, ale też odrobi przekłete grzechy reformacji i przyprowadzi swój zbłąkany naród do stóp Piotrowego Tronu. Bardzo nam się ten pomysł podoba, toteż nie przejmujemy się szyderym par-

skaniem profesora — starczy że Żywe Róże mają go na oku by za wiele sobie nie pozwalał. Na zakończenie chórem odmawiamy Zdrowaśki o powrót tej Wyspy na drogę Prawdy za sprawą Elżbiety II. Z czego widać, że Książd Mgr niczego nie robi połowicznie i jak komu dobrze życzy, to już na całego. Tak to modły longfordzkiego (żonatego!) biskupa (by się jej stopy nie pośliznęły) i crowleyskiego duszpasterza (by to właśnie uczyniły) zwalczają się nawzajem przed tronem Przedwiecznego i strach pomyśleć co by było, gdyby je w Swej łaskawości zechciał razem wysłuchać.

Tak nadchodzi wtorek 2 czerwca 1953, który ma przejść do historii Wyspy i Imperium. W miastach, wsiach i przysiółkach lud późno gramoli się z betów, zniechęcony martwym światłem okropnej pogody. Porywista, lodowata wichura łomocze o szybki ostrym deszczem i drze chmury jak gałgany, co jest zresztą błogosławieństwem, bo szybko przegania ulewy i migają skrawki splekowanego błękitu. Miliony radioodbiorników nastawiono na Londyn, bo rozrzućni pod pałacem, opactwem i na ulicach komentatorzy nadają bieżące sprawozdania. I stąd bucha nagle na cały kraj, że oto ludzka noga stanęła na szczycie Everestu. Jest to najwspanialszy dar koronacyjny, jaki w wielki dzień wita Elżbietę II. I speaker zaraz grzmi radośnie, że zaprawdę jest to znak, że Wielka Brytania wkracza w drugą Epokę Elżbietańską, znaczoną nazwiskami odkrywców i zdobywców świata na miarę Frobischera, Drake'a i Raleigha. Nic przeto dziwnego, że po tej nowinie podła pogoda cofa się na drugi plan wobec dreszczu sportowego entuzjambu, co przelatuje cały kraj jakby co najmniej został futbolowym mistrzem Europy. Tym raźniej lud się zabiera do wykańczania koronacyjnych festynów, rozstawienia na ulicach bankietowych stołów, loteryjnych bud i Bóg wie czego.

W Crowleyu też naturalnie radia wałą na cały regulator, choć prócz szkolnej młodzieży mało kto rozumie co tam plotą, ale zawsze przyjemnie w jakiś sposób brać udział w wielkich wypadkach. Ta więc młodzież w lot ocenia znaczenie wyczynu pułkownika Hunta i podnosi wrzask radości, a starsi zgodnie przyświadczają, że daj im Boże, choć niewielu wie co to za góra i po co na nią łązić, ale jeśli już musowo, to grunt że nie wlaź Niemiec ani bolszewik. A tym czasem babka Macioszkowa przynaglana przez sąsiadki próbuje przewidzieć przyszłość Elżbiety II. Rozkłada zatłuszczone karty licząc po siedem, to znów po trzy lewą ręką od siebie: co ją czeka, co być musi i co serce zaspokozi. Ale karty są dziś uparte i małomówne, choć wyraźnie wskazują na młodą szatynkę i przy niej blondyna z miłością, ale jedyną definitywną przepowiednią jest dla niej list z drogi i większe

pieniądze. Nic dziwnego, że zniechęcone niewiasty odchodzą, zostawiając babkę w głębokiej rozterce.

Wkrótce dziwne zjawisko zachodzi w atmosferze. Dalekie głębokie echa wpadają do crowleyskiej doliny jak do studni i powracają od lasu, pałacu i łysej góry, budząc wśród Słowian przykre wspomnienia niedawnych lat. Ale są to eksplozje radości, bo właśnie miasto Longford otwiera dzisiejsze uroczystości wielką kanonadą z armat ustawionych na wałach zamku normandzkich panów Marchii. Rozentuzjasmowani kadeci artylerii wałą Panu Bogu w okno aż huk leci po rzece ku krańcom Marchii i zahacza o Crowley, a czyni to tym chętniej, że według obliczeń kanonada odbywa się dokładnie wtedy, gdy w dalekim Londynie władczyni w koronacyjnym stroju wsiada do karety, która na oczach przemokniętych tłumów zawiezie ją do Opactwa. Z czego widać jak bardzo nie na czasie są przykre wspominki Słowian, którym z każdej okazji musi odbić się Sprawa Polską.

Tak więc stolica Marchii inauguruje wielki dzień. Dymy i armatnie grzmoty rozpraszają się za rzeką, a z katedralnej wieży wybucha triumfalny chór dzwonów. Przy ich dźwiękach srebrnych i spiżowych tłumy ruszają na wspaniałe udekorowany stadion, gdzie odbędzie się uroczystości część pierwsza — gimnastyczna, a także akrobatyczne popisy wojska, kadetów, lotników, strażaków, harcerzy, koni i motocyklów. Rozstawione w różnych punktach osiem orkiestr próbuje grać unisono mimo wichury porywającej nuty i dźwięki, a tym czasem publika zajmuje miejsca i zaraz wyrasta nad nią ruchomy dach parasoli. Przy dźwiękach fanfary na paradną trybunę wkracza burmistrzowa w urzędowym łańcuchu i wiosennym kapeluszu z pączków róż, za nią suną radni oraz kościelni, wojskowi i cywilni dygnitarze Marchii. Burmistrz właśnie reprezentuje w Westminsterze swoje miasto i podległy mu Crowley, więc tu zastępuje go jego pani, która daje hasło rozpoczęcia igrzysk, a jest to tak obliczone, by nastąpiło akurat wtedy, gdy Elżbieta II z małżonkiem (o którym pani Lebiegowa ze Śląska mówi „chłop królowej”) wysiądą z karety przed Opactwem. W przedśionku powita ich wspaniały orszak i poprowadzi do głównego ołtarza: dygnitarze świeccy, biskupi, lordowie, heraldowie, krzyże arcybiskupie i co-tam-tylko, gwardziści sprezentują broń, a pod sklepieniem starożytnej świątyni chóry buchną radosnym hymnem i rozpocznie się wyczerpująca nerwy i siły parogodzinna ceremonia. Wielkie witraże, boczne nawy i las filarów stłumią łomot wichru i ulewy, a tyśiące świec da łagodne światło, tak że mało kto będzie pamiętał o tych milionach, co właśnie mokną i dygocą pod wściekłym niebem, także i na longfordzkim stadionie. Publiczność ciasno

otula się w palta, boi się grypy i marzy o *a nice cup of tea*, patrząc ze współczuciem na rozdzielanych, ociekających wodą sportowców, którzy poświęcili się by wszystkich zarazić radością życia. I tak to trwa a trwa, brawa chlastają mokro, broń Boże przed bisami, aż o godzinie 12.30 orkiestry raptem milkną, sportowcy i konie zastygają na baczność, i zaraz z porozwieszanych głośników bucha na Longford wielka fanfara i okrzyk jak grom: Boże chroń królową Elżbietę II! Dźwięki te płyną prosto z Westminsteru i wszyscy słyszą drżący z emocji głos heretyckiego prymasa, gdy zwracając się w cztery strony świata wzywa naród do złożenia hołdu niewątpliwie legalnej władzy. Pod Opactwem, Parlamentem, na Whitehallu, Trafalgar Square i tak aż po Buckinghamski Pałac miliony skostniałych poddanych i turystów podejmuje okrzyk „Boże chroń królową!”, dzwony w stołecznych kościołach zaczynają szaleć aż to wszystko słysząc nawet w Crowleyu wraz z grzmiotem dział w Tower. W tymże momencie nad longfordzkim stadionem chmury się rozdierają, chlusta ostre słońce, a zebrany lud wybucha wielkim wiwatem i zaraz opisy ruszają dalej.

W międzyczasie osiem par crowlejskich tancerzy ma pełne ręce roboty: pucują stroje, prasują i przyszywają, a Mychał Sikora lata od baraku do baraku by się upewnić, że wszystko w porządku i jednocześnie stara się nie spuścić z oka swego lewego ojczyrna, Ambroża Pocałujko. Zawołany z tego Pocałujki harmonista, w jego ręku ten pospolity instrument zmienia się w natchnioną harfę — to grzmi jak trąba bojowa, to znów pieści jak świergot sennego ptaka, albo sam potrafi zastąpić całą orkiestrę. W tym jednak sęk, że Ambroż lubi zaglądać do kieliszka, a szczególnie przed występem musi sobie golnąć i trzeba przyznać, że potem rzeczywiście gra jak anioł, ale tylko jeżeli z tym pićciem nie przeholuje, bo wtedy jak go poniesie fantazja, to uchwaja Boże: gotów zrujnować pierwszy występ crowlejskich tancerzy przed obliczem Longfordu i Marchii, i ośmieszyć ich na całe życie. Więc też Mychał przykazuje matce pilnować starego gdy sam musi wyjść, bo i nie wie za co wpięć chwycić. Żeby mu tylko, Jezusie-Maryjo, tancerze nie nawalili, a zwłaszcza pan Kozicki z młodą panią Czyrkową, bo ten z nadmiaru energii lubi sobie improwizować i myli wszystkie pary. I Pamela Lichutkowej nie można być pewnym, bo to przecież Angielka, upodobała sobie nasze tańce, ale wyczucia do nich nie posiada. Łaska Boska, że choć niebo coraz częściej się przeciera, może więc część popołudniowa — artystyczna — longfordzkiego festynu wypadnie na sucho.

I rzeczywiście bladobłękitne oko rozwiera się nad Crowleyem, gdy na plac zajeżdża zgrzytliwy autobus. Tancerze sado-

wią się milcząco pełni radości i tremy, cuda polskiego folkloru ukryli pod paltami. Mychał prowadzi Ambroża, który na szlei przez ramię dźwiga swój cudowny instrument i w nogach jest na szczęście dość jeszcze mocny — do czasu, bo na biodrze kapota sterczy mu podejrzenie. Otóż tak, golnie sobie to whisky zaraz po występie, gdy Mychał raz się odczepi do jasnej cholery! Tak więc się schodzą, a z nimi kibice, co to chcą oglądać na własne oczy jak wreszcie MY pokażemy IM, niech sobie widzą co Polski Naród. Sadowią się gwarnie i autobus już ma ruszyć, aż tu raptem tupta babka Gąsowska i jakby nigdy nie ładuje na pierwsze miejsce. I to jaka! Wyprostowana godnie, kijaszek zostawiła w domu, a wystrychnięta aż oko bieleje. Niech się schowają nasze tancerki w swych przypadkowo skleconych strojach z tandetnych perkali i gotowych kawałków co pozbierały po ludziach, że to nie wiadomo: krakowianki czy tyrolki. Bo trza o babce wiedzieć, że od bardzo wielu lat jej naczelną troską jest jej własny pochówek, który musi być gospodarski, ona zaś sama musi spocząć w grobie ubrana jak przystoi na gospodynię z dziadka pradziada, żeby w niebie wiadano, że nie pcha się żadna dziadówka. Stąd od niepamiętnych czasów ma naszykowany strój do trumny, jeszcze przed wojną był na to przeznaczony, starożytny a piękny, odziedziczony po matce. Jak ją przyszli wlec na Sybir, to potrzebne rzeczy zostawiła, a to wrzuciła do tłumoka i potem, gdy ludzie tracili zdrowie i życie, to ona strzegła go jak skarbu, przewiozła przez Sowiety, Persję i Afrykę, no i teraz ma go w Crowleyu. Wszyscy go znają, nieraz się wietrzy na sznurku, a profesor mówi, że to piękny okaz muzealny. Ale nigdy go dotąd nie nakładała, aż raptem jej teraz strzeliło, że musi na takie wielkie święto, no i ładuje się między ludzi w całej krasie jakby uciekła z własnej trumny, a swym wspaniałym wyglądem przyćmiewa i zawstydza młode tancerki. Spódnic ma nie wiedzieć ile, by dołem było jak najszerzej, ta z wierzchu zielona jak trawa i czerwonym obszyta, a przodem kryje ją fartuch biało haftowany. Na to fest wywatowana katanka z aksamitu ciemnego, zdobna lamówką i gęsto zapiętą na drobne guziczki, tak że widać spod niej tylko wyłożoną białą kryzę w ząbki. Na piersiach zalegają sznury koralu, z których zwisa srebrny krzyżyk, jak przystało na pobożną niewiastę. Na głowie starodawny rańtuch: płat lnu wykrochmalony na blachę, sztywno zaprasowany i przypięty do czepka spada na plecy, a przodem spływa prawie do kolan. W ręku, jak zwykle, brzęczy ogromny różaniec. Tak to gospodynie z dawien dawna noszą się od święta w babki stronach od Łańcuta i ona też, choć jej teraz wypadło żyć w Crowleyu, nie inaczej zapuka do wrót niebieskich. A póki co rozsiada się godnie w tym autobusie niby na wozie, na słomianym worku kilim-

kiem nakrytym, i jakby nigdy nic puszcza się do Longfordu między Angliki i Walię, a co tam zamieruje, to Bóg jeden wie i Słowianie woła nie pytać by nie budzić złego, ale ich trapi niedobre przeczucie, bo to babka ma różne fanaberie. Tak więc sobie jadą pełni niepokoju mimo wioski Badonhill z Grodem Artura, mimo starodawnego krzyża biskupa Tomasza, aż zajądą do miasta i wysypią się tłumnie pod kościołem św. Piotra w Okowach. Mają nadzieję, że zagapiona babka pojedzie aż na stację, ale skąd — gramoli się za nimi i zaraz znika z oczu w wielkim tłumie, co zbitą masą zalał skwerki i chodniki wokół placu przed magistratem, wywiesza się z okien i balkonów i nawet obsiadł brzegi dachów. Jest to serce miasta, gdzie schodzą się trzy główne ulice. Teraz zatrzymano tu ruch, domy wokół wystrojone okazale, a sam magistrat ginie pod ozdobami jak choinka, zaś potret królowej sięga od tarasu aż po drugie piętro. Na tym wyniosłym tarasie stoją krzesła dla najważniejszych osób: władz miasta, katedry i Marchii. Pośrodku placu ustawiono rozległą platformę, a pod nią ławy dla orkiestry — na tej scenie odbędzie się uroczystości część druga, artystyczna, w której weźmie również udział Crowley.

Nasi tancerze zaraz znikają w kościelnym hallu naprzeciw, przewidzianym dla artystów, i stąd nie wiedzą jak babka sobie zamieruje. A jej wcale nie dziwne te wielkie tłumy, ma swój honor gospodarski i nic jej nie imponuje. Widać zresztą, że odczuwają należny szacunek, rozstępują się przed nią jak przed jaką panią i coś tam szwargocą, a ona godnie kroczy na upatrzone miejsce — na ten magistracki taras, nad którym furkocą sznury chorągiewek i pęki barwnych baloników. Siedzą tam różne persony, jedni w togach i łańcuchach, inni w mundurach albo po duchownemu, i panie takie eleganckie, ale co jej tam! U dołu schodów stoi policjant, który uśmiecha się z szacunkiem bierze ją za łokieć i pomaga wejść — widać jakiś oficjalny z niej gość. Wchodzi więc, zasiada na pustym miejscu z frontu, obok jakiś ważniak w pierogu z piórami coś do niej mówi, ona zgodnie kiwa głową choć nie pojmuje ani w ząb, i w tym momencie orkiestra wybucha różnym marszem. Burmistrz z małżonką zajmują miejsca, dzwonią przy tym łańcuchami jak jakie biskupy, a lud zaczyna wykrzykiwać, rad że ojciec miasta przyszedł tu prosto z londyńskiego pociągu i zaraz da hasło rozpoczęcia występów. No i aura jest wreszcie łaskawsza, wiatr przysiadł, ciężkie chmury przewalają się nad widnokrąg, a niebo za nimi różowe ku wieczorowi. I wtedy u św. Piotra dzwony zaczynają pięknie grać, a na sam przód tarasu wychodzi jakiś duchowny gość, by dyrygować wspólną modlitwą za Ukoronowaną. Wtórą je mu głośny pomruk i przelewa się po placu, po odchodzących

z niego ulicach, balkonach, rozwartych oknach i brzegach dachów. Babka w lot pojmuje o co chodzi, dzwoni różańcem i żegna się zamaszycie, aż siedzące przy niej osobistości dostają zeza na widok takich papieżnickich praktyk tej zagadkowej, choć widać że ważnej niewiasty. I zaraz orkiestra Armii Zbawienia wybucha różnym marszem, od strony rynku wtórują jej lotnicy, a strażacy od św. Piotra. Na podium wstępuje Brytania, szaty na niej po rzymsku białe a luźne, w rękach trójząb i tarcza wymalowana jak angielska flaga, na głowie hełm złoty a grzebieniasty. Siada na tronie i wszyscy widzą, że jest takutka jak na pensowej monecie. Otaczają ją dziewczątka w podskubanych baletowych strojach i nimfy w powłóczystych tunikach, u stóp tronu biała ubrana dziewczica deklamuje odę prosto do głośnika i składa kwiaty, a dziewczątka wokół odstawiają misterne łańcuchy — tak pięknie prezentuje się miejska szkoła tańca Miss Clark. Wreszcie zbiegają odprowadzane brawami, dając miejsce niewiastom w walijskich strojach, z kapelusami jak Baby Jagi. Pięknie śpiewają na głosy, całkiem jakby się nauczyły od Słowian, bo angielska nacja tego nie praktykuje, a Walia słynie z ludowych śpiewaków i, jak twierdzi Wielebny Powell, jest to jeszcze jeden dowód pokrewieństwa Celtów ze Słowianami.

Wreszcie nadchodzi kolej na Crowley. Osiem par wbiega tanecznie na podium i staje twarzą do dygnitarzy na tarasie, za nimi ładuje się Ambroż z wydętym biodrem, staje przy głośniku i dyskretnie próbuje instrument. Mychał już ma dać mu znak, aż tu raptem dostrzegają babkę koło burmistrza i w nogach robi im się słabo. O Chryste Panie, i cóż to będzie?! Nie wiedzieć: śmiać się jak durny czy zdychać ze strachu. Żeby choć ten diabeł znów do niej nie przystąpił, bo jak z nim zacznie wjować, to wszystkie te persony porzpedza na cztery wiatry. Łaska Boska że choć kij zostawiła w domu! Ale ona siedzi godnie, nieporuszona, okiem hardo toczy, całkiem jakby ich nie poznawała. Mychał przemaga się i daje znak Ambrożowi co był zastygł z otwartą gębą. Bucha skoczny krakowiak i Mychał puszcza się w pierwszą parę z Krystyną Pomykało, urodziwą aż oczy rwie, a za nimi reszta sady z kopyta. Gumowe buty mlaszczą im i burczą w przytupach, furkoczą wstęgi i sztuczne warkocz z nylonowych pończoch, co z daleka wyglądają jak prawdziwe, i tak hasają jak młoda stadnina po błoniu — na Wawel z Crowleyu, krakowiaku żwawy! Przechodzi gładko, publiczność daje brawo, a jakieś typy z faszami uwijają się i fotografują. Więc odzyskują pewność siebie, trojak i oberek idą doskonale, Ambroż przechodzi sam siebie i oklaski stają się coraz gorętsze, i jeszcze potężnieją na figurowego kujawiaka Mychała z Krystyną. A jak na koniec Mychał występuje solo w swym popisowym, brawu-

rowym zbójnickim, to angielsko-walijski lud nie chce go puścić i musi jeszcze raz. I wreszcie Słowianie barwnymi parami schodzą ze sceny, a Ambroź ostatni, i przy tym schodzeniu gra na pożegnanie „Czerwone maki”, bo przypomniały mu się dobre czasy. Nic ta melodia tubylcom nie mówi, ale łapie za ucho, więc dają jeszcze jedno brawo, tym razem tylko dla niego, a jakiś facet obskakuje go z kamerą, aż zniknie z pola widzenia za węglem kościelnego hallu. Tam już nikt nie zobaczy jak to on się szamoce z tą flaszką co mu się zaparła w kieszeni, wreszcie ją ujarzmia i ukręca łebek — szkoda, że herbaciarze nie widzą, jak nasi ludzie potrafią pić.

Tak to miasto Longford i cała Marchia ujrzała wreszcie Crowley nowymi oczami, na serio i z aprobatą, uznawszy go za część swego krajobrazu, egzotyczną co prawda, ale bynajmniej przez to nie przykrą. I zapamiętała go sobie, by w przyszłości zapraszać naszych tancerzy na różne festyny i kościelne bazyry.

Tymczasem na podium znów wracają Walijski i tylko pan Wolniak wie, że to Wielebny ustanowił tę kolejność korzystając ze swego członkostwa Komitetu Ochodów Koronacyjnych — zamarzyło mu się bowiem samemu oglądać i pokazać tłumom zapomniany urok folkloru i melodyjne zbieżności między rozdzielonymi przez geografę ludami, zasugerować widzom niejako tu-tejszość Słowian pod bokiem starożytniej Walii. Tak te Walijski kończą uroczystości część pierwszą, etnograficzną, i po koncercie Armii Zbawienia rusza druga, historyczna, ilustrująca dzieje Marchii i Longfordu. Przesuwają się żywe obrazy z mówionym komentarzem: biskup Dubricius koronuje młodziutkiego króla Artura; onże Artur i jego pies Kabal, z którym tu polował na żelaznego dzika Troyanta, i tak stopniowo aż po wiek XX. Oglądamy więc kładzenie kamienia węgielnego pod katedrę w VIII wieku, Normanów wznoszących zamek nad rzeką, biskupa Tomasza jak łapie diabła przebranego za kanonika, Flamandczyków zakładających pierwsze ze słynnych tutejszych plantacji chmielu, słynną longfordzką kurtyzanę ze swym królewskim wielbicielem i koszem pomarańcz, i tak aż po wizytę Wiktorii z księciem-mażonkiem i powrót wąsato-brodzatyh wojaków z wojen burskich. Czas płynie, reporterzy fotografują, a słońko siada czerwono na wiatr i wokół zapalają się tysiące kolorowych żarówek. Wreszcie w ich blasku staje Elżbieta I we wspaniałej sukni i ryżej peruce, by proklamować początek drugiej Ery Elżbietańskiej. Na to wybuchą potężnie *God save the Queen*, z tysięcy gardeł rozbrzmiewa na placu i w przyległych uliczkach, spływa z okien, balkonów i dachów, a także z magistrackiego tarasu, gdzie zaspana babka Gąsowska niechętnie podnosi się z krzesła wraz z bur-

mistrzem i burmistrzową, biskupem i biskupicą, i mnóstwem innych osobistości. Po paru dniach ujrzymy ją raz jeszcze w całej jej łańcuckiej krasie na łamach pamiątkowego numeru *Longfordzkiego Biuletynu i Obywatela*, a także w redakcyjnych witrynach: pefno tu fotografii ze stadionu, katedry i spod magistratu, a wśród nich należne miejsce zajmują Słowianie: Mychał na tle nieba w zbójnickim susie, wdzięcznie w kujawiaku przegięta Krystyna Pomykało, Ambroź z wydętym biodrem i harmonią rozciągniętą na dwa metry, no i babka — przede wszystkim ona rozparta dumnie na tle wielkiego portretu Elżbiety II. A to nie koniec jej ważności, bo wkrótce zgłosi się do niej rotmistrz Wolniak z tym swoim podejrzanym przyjacielem, heretyckim pastorem. Będzie się ten Wolniak wdzięczył przed nią i kokietował, żeby pokazała Wielebnemu swój piękny gospodarski strój, którym zachwycało się całe miasto. Ona niby będzie się zżymać, ale w końcu wyciągnie z kufra komplet spódnic, katankę, haftowaną koszulę, fartuch, czepek i rańtuch, i oczywiście korale z krzyżem. Na ten widok Wielebny Powell wpadnie w ekstazę, będzie to układać tak i siak, rozwieszać i fotografować, a przy tym będą ją pytać i pytać: jak to się kroi? Skąd materia? A wzory do wyszycia? A czy pamięta jak się nosiła jej babka i dziadek? Będą z szacunkiem słuchać jej zrzedliwego gadania, aż od tej ważności babce do reszty przewróci się w głowie i od codnia stanie się dla crowleyan całkiem niemożliwa.

Ale to było później. Póki co nasi tancerze wrócili wieczorem do Crowleyu, który szykował własne obchody w sali naczynnej za sklepem pana Wiewióra. Pięknie ją udekorowano balonikami i wstęgami bibułki od lamp po ściany, a u szczytu zawisł naturalnie mały Orzeł Biały i większa Elżbieta II. Tak to prezes Sitak z panem Wiewiorem zamyśliłi uczcić tę koronację wielką potańcówką, która da dochód Gminie Polskiej Crowley ze wstępu, oraz sklepikowi z wyszynku. A lud dopisał i sygnął się gęsto, nie tylko Słowianie, ale też ich nowi anglosasko-irlandzko-cygańscy sąsiedzi, a tych było więcej niż Słowian: ich panie bez pończoch i często żeby zostawiły w domu, a za to w kwiecistych sukniach i obliczach grubo farbowanych, panowie zaś rozchlestanti beztrosko i wszyscy gotowi używać życia. Na podium zasiadła zwykła orkiestra: Beno Kwiczół przy rozstrojonym pianinie, co zostało po wojsku, pan Dekier ze swą mandoliną, bracia Macioszkowie ze wspaniałymi srebrnymi organkami, Heniutek Sitaków przy bębnie, no i *last but not least* — jak z upodobaniem powtarzają Słowianie — Ambroź Pocałujko ze swą zaczarowaną harmonią i biodrem znowuż rozdętym, a przy tym niebezpiecznie chwiejny w nogach i gotów cały świat przytulić do łona. Z boku, jak zwykle, skromnie przycupnął adapter chętny złuzo-

wać naszych muzyków, którym też się coś przecież od życia należy. Co zresztą potem uczynił, bo wpiersz nasi tancerze powtórzyli swój longfordzki występ, choć wiele osób sarkano w dwu językach, że przez wygłupy nie dają potaćnować. Wszystko jednak przeszło gładko i bal coraz się raźniej rozkręcał, państwo Wiewiór ledwo nadążali z napełnieniem kufli, a gdy tych nie stało, lano sobie do gardła wprost z butelek. Przestrzegano przy tym różnic narodowych i z jednej strony sali Słowianie szli kupą, z drugiej zaś tubylcy hałasowali niemożebnie, ich panie siadały panom na kolana i wybuchały ostrym śmiechem, aż Żywe Róże nie wiedziały gdzie podziać oczy i czy aby nie trzeba się będzie z patrzenia na takie rzeczy spowiadać. No i od niechcienia jedni pokazywali drugim jak to misternie umieją tańcować i z jakimi figurami, ale nic — niby na naszych nie zwracali uwagi, a nasi na nich — dość przecież narosło sąsiedzkiej niechęci. A bal miał trwać do trzeciej nad ranem, bo to była specjalna okazja i pubom pozwolono działać po godzinach — wiadomo, koronacje nie zdarzają się co tydzień.

Tak nadeszła północ, koguty odśpiewały swoje i babka poszła spać, rezygnując z siedzenia na swoim ganeczku by nadzorować wychodzących w pole za potrzebą, a na sali atmosfera była gęsta od piwa. I teraz właśnie się zaczęło, a później świadkowie nie mogli się zgodzić co do detali, bo wszyscy już mieli w czubie i wzrok nieco przyćmiony. Jedno zdawało się pewne: że draka wisiała w powietrzu, ale wybuchnąć nie musiała, gdyby nie zbyt rozweselony Anglosas nazwiskiem Brooke. Jak już się rzekło, u szczytu sali wisiała okazała Elżbieta II, z powodu której Crowley tak się właśnie weselił. Portret ten górował nad podium dla orkiestry i był pięknie ozdobiony, więc przyciągał wszystkie oczy. No i właśnie dochodziła północ jak w przerwie między tańcami pomieniony Brooke chwycił się na nogach wlaź na podium i wyciągnął ku królowej flachę piwa jał ją zachęcać by sobie pociągnęła na zdrowie i okraszać takimi słowami na cztery litery, że za ich publiczne użycie bywają przykrości z policją. Orkiestra właśnie miała przerwę i raczyła się trunkami, może więc przez nie, a może w imię przyzwoitości krew w nich zagrała i Ambroź Pocałujko, któremu znów schudło biodro, zdzielił Brooka flaszką po czerepie aż szkło trzasło i dowcipniś padł bez przytomności brocząc obficie z pokrajanego ciemienia. Na ten widok porwali się Anglosasi i Słowianie, każdy bronić swoich, obelgi poleciały gęsto, oblewano się nawzajem piwem i jabłecznikiem i wynikała ogólna szarpanina, a co i jak było w tym chaosie, to potem każdy świadczył po swojemu. Jedno jest pewne: że słowiańskie i tubylcze niewiasty uwały się zgodnie wokół walczących szarpiąc ich za kapoty i wielkim głosem przywołując do porządku. Pewno

by się im udało, gdyby w tym momencie nie wszedł wioskowy policjant, a był na cywila i z małżonką brał udział w zabawie i gdy burza wybuchła, to był właśnie wyszedł pod gwiazdy za potrzebą. Ogarnąwszy wzrokiem pole bitwy, z Brookiem obficie farbującym na podium, policjant jak anioł pokoju rzucił się między wojowników i właśnie tkał im pod oczy swą służbową legitymację nakazując spokój, gdy rozjuszony Felo Pawlak zasunął mu byka w żołądek i powalił na ziemię, a masa walczących natychmiast ich pokryła i przeszła dobra chwila nim wrzeszcząca policjantowa rozepchnęła tołpę i pomogła mu powstać. Oparty o żonę opuścił salę i dowlócił się do budki telefonicznej by wezwać pogotowie i posiłki z miejskiego komisariatu, i dopiero wtedy zamroczyło go na dobre. Tak oto zakończył się niechlubnie bal kronacyjny w polskim od początku, a od paru miesięcy polsko-tubylczym osiedlu Crowley, który mógł być wstępem do zbratania osiadłych w tym obozie narodów, a który przerodził się w ogólne zgorszenie i złowróbnym cieniem legł na wspólnej przyszłości.

Po miesiącu epilog rozegrał się w longfordzkim sądzie niższej instancji przed obliczem sędziego pokoju, dwu asesorów, bieglego w prawie klerka oraz tłumem świadków i gapiów tubylczych i słowiańskich, a ci ostatni zeznawali, jak zwykle w kontaktach z władzą, za pośrednictwem rotmistrza Wolniaka. Sala była pełna, bo narody Crowleyu i jego sąsiedztwa przybyły licznie na tę zasadniczą rozgrywkę między jego pierwotnymi mieszkańcami z jednej strony, którzy uważali swe prawa do tego obozu, w którym podczas wojny stało nasze wojsko, za o wiele lepsze, niż tych angielsko-irlandzko-cygańskich przybłądów, z drugiej zaś rzeczono przybłądy twierdziły całkiem słusznie, że są przecież we własnym kraju i co mają od cudzoziemców brać po łbie? Każdy rozumiał, że wynik tej sprawy będzie niesłychanej wagi dla dalszego współżycia sprzymierzonych do niedawna narodów, nic więc dziwnego, że emocje były rozhuśtane. Redakcja *Longfordzkiego Biuletynu i Obywatela* również doceniła znaczenie sprawy, toteż na sali był obecny reporter i fotograf z zadaniem dostarczenia wszelkich szczegółów. A trzeba wyjaśnić, że rozpatrywano dwa osobne przestępstwa: rozplatanie głowy Brooke'a, któremu krytycznej nocy nałożono siedem szwów, i tu głównym bohaterem był Ambroź Pocałujko, oraz pobicie przedstawiciela władzy, z Felem Pawlakiem jako główną osobą. W ich cieniu mieściło się sporo innych oskarżonych o rękoczynny oraz „wzywające zachowanie”, którzy w tej haniębnej sprawie odegrali ważniejsze role, ale rozmiar ich winy okazał się nieuchwytny wobec faktu, że świadkowie obojga narodów nawzajem sobie przeczyli. Jedno tylko dało się ustalić: po pierwsze że Ambroź

działał w obronie Elżbiety II, bo Polak nie może spokojnie patrzeć jak obrażają kobietę, przy czym jego Zuza zeznała, że postąpił sprawiedliwie i wcale nie ma za złe, że chodziło o inną niewiastę. I po drugie: że Felo Pawlak wcale nie chciał obrazić policjanta, do którego nie ma żadnej pretensji, tylko mu się pomyliło co do osoby, bo go na cywila nie poznał i wziął za tego Anglika, który przed chwilą w ordynarny sposób lżył Naród Polski. Tu Pawlakowa dała mu poparcie zeznając, że mąż pije tylko od wielkiego święta i że tak być powinno, bo co to za chłop, co nigdy nie pije? Zarzucano też Słowianom, że choć po angielsku się z nimi nie dogadasz, to podczas bijatyki wykrzykiwali najobrzydliwsze tubylcze słowa, na co obruszył się pan Wolniak, że rzeczywiście Polacy tylko tyle zdołali się nauczyć po fabrykach od swych angielskich kolegów, więc kto właściwie powinien się wstydzić?

Sąd uwzględnił zeznanie poszkodowanego policjanta, który stwierdził, że mimo wszystko nie żywi pretensji do Słowian, nigdy nie miał z nimi żadnego kłopotu, naród spokojny i swe dzieci należycie trzyma w garści. Póki w Crowleyu mieszkali sami, to nic tam nie miał do roboty, a teraz nie może dać sobie rady i musiał zażądać pomocnika. Przyświadczył temu Mr Collins, główny farmer z Holme de Braose, u którego Nasze Panie co roku załatwiają sezonowe roboty: że od paru lat ma Słowian za sąsiadów i nic złego o nich nie powie, a odkąd magistrat zaczął osadzać w Crowleyu tych nowych, to nie może sobie dać rady z pilnowaniem kurników na łące, skąd giną nie tylko jaja, ale i drób.

W ten sposób solidni, osiedli Celtowie i Sasi jakby wzięli Słowian w obronę i zdradzili niechęć do tej napływowej, choć przecie pobratymczej, hołoty — szumowin z całej Marchii. A wyrok był taki, że po paru godzinach przesłuchań i narad zapadły wyroki: sąd uwzględnił słuszne oburzenie Ambroza, niemniej jednak rękoczynny nie są w tym kraju dozwolone i rozłupany czerep Brooka będzie go kosztował £ 5 oraz 12 miesięcy z zawieszeniem. Uwzględniono również skrucę Fela i pomyłkę co do osoby, wobec czego za byka w żołądek wystarczy £2.10s i 6 miesięcy z zawieszeniem. Reszta skarg z braku dostatecznych dowodów została oddalona, wszyscy jednak musieli wysłuchać kazania o obrzydliwości uciekania się do rękoczynów, które byłoby właściwsze wśród ludów niecywilizowanych. Co słowo w słowo powtórzył *Longfordzki Biuletyn i Obywatel*, z którego cała Marchia dowiedziała się o aferze zainicjowanej przez tego Polaka, co tak pięknie grał pod magistratem na harmonii.

Tak ostatecznie zakończył się udział Crowleyu w koronacyjnych uroczystościach, a wniosek na przyszłość był z tego dwojaki:

— że tych nowych sąsiadów, to nie tylko my mamy za hołotę, ale i ci ludzie w Holme de Braose, których zdanie się liczy,

— i że ta wioska, tak dotąd na nasze istnienie obojętna, teraz raptem zrozumiała, że woli mieć pod bokiem nas niż tych przybyszów, mimo że mówią po angielsku i, jak słusznie twierdzą, są we własnym kraju.

Z czego widać, że bal koronacyjny prezesa Sitaka i pana Wieióra, który ujawnił poglądy trzech zainteresowanych stron: Słowian, najeźdźców i osiadłych tubylców, oraz ich stosunek do siebie nawzajem i do Elżbiety II, był wydarzeniem epokowym w długim a trudnym zapuszczaniu przez Słowian korzeni w tę piękną i starożytną ziemię Pogranicza.

Janina KOWALSKA

Nowości wydawnicze

TOM 251 — MICHAŁ HELLER

ŚWIAT

OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH A LITERATURA SOWIECKA

Książka, która ułatwia zrozumienie „Archipelagu GUŁag”
Aleksandra Sołżenicyna.

Str. 324.

Cena F. 30 (dol. 8,00)

TOM 252 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY PIERWSZY

zawiera m.n. prace: Bogusława Miedzińskiego: *Polityka wschodnia Piłsudskiego*; V. Sliogeris: *Tajne rokowania polsko-litewskie*; E. Żagiel: *Kronika litewska*; płk. Zygmunta Borkowskiego: *Wspomnienia 1939-1943* (c.d.); Stanisława Wachowiaka: *Wspomnienia*; Romana Buczka: *PRL w 1946 roku*; Z. S. Siemaszko: *O Polakach w ZSSR*; Stefana Benedykta: *Kijowskie „poprawki historyczne”*; W. T. Drymmera: *Wspomnienia* (dokończenie) oraz RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25,00 (dol. 6,75)

Co Robić?

Czy w Polsce jest możliwa opozycja?

Od kilku miesięcy noszę się z zamiarem polemiki na temat „Politycznej opozycji w Polsce” (niepodpisany artykuł w *Kulturze* — listopad 1974). Ale teraz, kiedy polemikę taką podjął autor podpisujący się Aleksander Litwin, mam ochotę zacząć od niego.

Na podstawie obydwu tekstów wyobraziłem sobie w jakiś sposób obu adwersarzy. Ten pierwszy — to ktoś mieszkający w kraju i mający długie doświadczenie walki z reżymem — może były Akowiec, może człowiek związany z późniejszymi formacjami czynnych przeciwników panującego stanu rzeczy, w każdym razie ktoś, kto lata całe walczył i zastanawiał się nad sposobami walki, prawdopodobnie podlegał represjom, może siedział w więzieniu. Teraz ten ktoś (dla wygody nazwijmy go, wobec braku podpisu, Opozycjonistą) dostrzega obok siebie i swoich przyjaciół nowe pokolenie rwące się do walki — studentów czy nawet licealistów. Ci żarliwi młodzi ludzie chcą zakładać tajne organizacje, działać rewolucyjnie, gwałtownie. Opozycjonista wie, że działalność taka nie obali rządów komunistycznych w Polsce — ową świetną młodzież natomiast bardzo rychło rzuci do więzień, zniszczy jej całe życie, skaże na niedouczenie, nędzę, choroby, przedwczesną zagładę. Ale Opozycjonista nie wyciąga z tego wniosku, że należy młodym zapaleńcom odradzać wszelki sprzeciw wobec tego, co jest, doradzać zaś ugięcie się, oportunistyczny pogodzenie z Molochem. Nie — on chce im tylko poradzić, w oparciu o własne doświadczenie, jak mają żyć w opozycji, w codziennej walce, w miarę możliwości nie narażając się przy tym niepotrzebnie i nierozsądnie, zabezpieczając się przed zbyt łatwymi triumfami policji i prokuratury, przed zbyt wczesną i wcale nie służącą sprawie utratą wolności i życia. Wątek ten jest bardzo

widoczny w rozważaniach Opozycjonisty — i kto wie, czy to nie w nim właśnie kryje się pierwszy impuls całego artykułu. Dla mnie, nawiasem mówiąc, jest to wątek najwartościowszy.

Teraz jednak zjawia się na widowni drugi autor — Aleksander Litwin. Zjawia się — jak twierdzi — z sześciotygodniowym opóźnieniem, spowodowanym przez strajk poczy francuskiej. Ale wygląda na to, że zjawia się z opóźnieniem znacznie większym, bo przecież — jak z jego diatryby łatwo wyczytać — to wieloletni „działacz”, partyjny scholastyk, który, niedawno chyba pojawiwszy się na emigracji, zabrał ze sobą komplet dzieł ukochanego Lenina i nawet tutaj, nawet w tej dyskusji (natura ciągnie wilka do lasu) usiłuje przygwoździć cytatami z „klasyka” swojego nie dość rewolucyjnego przeciwnika! To fraszka, że sam nigdy nie wojował z reżymem — raczej był jego wierną podporą — teraz łaknie krwi i z emigracyjnego daleka dialektycznie gromi „kapitulantski program” (skąd my znamy te etykiety?) człowieka z kraju, który nie chce „ustalać prowadzących dyskusję” i rzucać nieopierzonej młodzieży w paszczę więzień i ubeckich katowni. Chwilami zaczyna mi się wydawać, że „Aleksander Litwin” nie może naprawdę istnieć, że tak doskonały konterfekt przemalowanego, ale nie odmienionego dyskutanta z zebrania Podstawowej Organizacji Partyjnej (przedmówca — okazuje się — „nie rozumie, że gospodarka i życie społeczne krajów socjalistycznych rozwijają się poprzez sprzeczności” etc.) mógł powstać jedynie jako parodystyczna konstrukcja jakiegoś figlarza.



A teraz, pożegnawszy się z Aleksandrem Litwinem, wróć do tego, co razi mnie lub nie odpowiada z jakichś powodów w artykule Opozycjonisty.

Nie odpowiada mi sam sygnał wywoławczy: o p o z y c j a .

Opozycja — to alternatywny program wobec tego, co realizuje partia rządząca — to siła polityczna stojąca za tym programem — to jego jawna i jasna artykulacja — to instytucja o wyraźnych konturach.

Opozycja zmierza do zdobycia władzy, by hasła ze swoich sztandarów przenieść w sferę praktyki — i musi wierzyć, że to jest możliwe.

W systemach demokratycznych opozycja jest najrzeczywistszą rzeczywistością polityczną, legalnym i niezbędnym składnikiem życia obywatelskiego.

W krajach chwilowo zdławionej demokracji (np. w Grecji za dyktatury wojskowej) opozycja zostaje zepchnięta w podziemie

i wypchnięta na emigrację, ale ciągle jest jeszcze rzeczywistością i potencjalnie kandyduje do pokierowania odwróconą któregoś dnia sytuacją.

W ustabilizowanym systemie totalitarnym opozycja jest mrzonką.

Może istnieć w momentach jego niecałkowitej jeszcze stabilizacji — jak u nas po wojnie opozycja PSL-owska, z „Gazetą Ludową”, z tekami w rządzie tymczasowym, z nadzieją wyborczego zwycięstwa, albo w momentach stabilizacji zachwianej — jak w okolicach roku 1956 opozycja rewizjonistyczna, z radami robotniczymi i klubami inteligencji, z „Po prostu” i innymi czasopismami w warunkach rozluźnionej i zdeorientowanej cenzury, z sympatykami nawet w KC, z wiarą w dobrą wolę, rozum i możliwości Gomułki, którego ta właśnie opozycja wyniosła do władzy.

Czasem aktywność opozycji pozostawia ślady na trochę dłużej: jak przykład po „październiku” pozostała reforma więziennictwa, dzięki której jeszcze ofiary „marca” siedziały w stosunkowo ludzkich warunkach. Ale w tym właśnie okresie, w okolicznościach stabilizacji reżymu, niezbyt podważonej przez wydarzenia 1968 i 1970 roku, opracowano antyreformę — z powrotem ku przodującym wzorom Łubianki — wskutek której więźniowie z procesów „Ruchu” siedzieli już w warunkach niewiele odbiegających od norm sowieckich.

W totalizmie ustabilizowanym opozycja jest mrzonką, ponieważ nie może się zinstytucjonalizować nawet w formach szczytowych, nie ma środków jawnej artykulacji, nie może zaproponować narodowi alternatywnego programu w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej, nie może sięgnąć po władzę.

Może istnieć — musi istnieć — istnieje, także w totalitaryzmie ustabilizowanym, ruch oporu.

To nie spór o słowa: ruch oporu ma inne cechy niż opozycja.

Opozycja musi być optymistyczna — nie może funkcjonować, traci sens bez wiary w szansę zwycięstwa.

Ruch oporu może być pełen zwątpienia i pesymizmu — i trwać niezależnie od tego, nie licząc na rychłą i gruntowną odmianę, wyobrażając sobie, że niebo zasnuło się na lata, na dziesięciolecia, na pokolenia, ale że mimo to, lub tym bardziej nawet, trzeba się opierać, bronić wartości, bronić człowieka, bronić wszystkiego, co da się obronić przed destrukcją, jaką niesie system, jego totalna ideologia (lub ściślej: jego zmieniające się, ale zawsze totalne, ideologie), jego nieludzkie instytucje i upolicyniona pseudokultura.

Opozycja jest sprawą takich czy innych elit, ruch oporu — sprawą całego narodu, „sprawą polską”, kiedy o Polsce mowa.

Sprawa polska na dzisiaj i obawiam się, że jeszcze na bardzo długo — to żmudny, na ogół nieefektywny, rozmaity w treści, rozmaity w formie, nie mający jednak prawa ustać ruch oporu przeciw sowietyzacji, to znaczy przeciw kompletnemu podporządkowaniu całego społeczeństwa i każdej jednostki centralnemu komunistycznemu ośrodkowi sterującemu, przeciw wpojeniu sobie sowieckiej mentalności, odczuwającym odruchów człowieka sowieckiego, sowieckiego strachu i rezygnacji, posłuszeństwa i braku solidarności ludzkiej, sowieckiej nowomowy i nowomoralności, apatii i znieczulicy, przeciw sowieckiemu zerwaniu naturalnych więzi, stłumieniu porывów i inicjatyw, zdeptaniu uczuć, spętaniu wolnej myśli, zamknięciu wszystkich razem i każdego z osobna w skrzynce, przegródce, kartotece, przeciw pokorze i wdzięczności za wystany w kolejce ochłap.

Ruch oporu chłopów polskich w okresie stalinowskim odwlokł i uniemożliwił utworzenie kołchozów.

Ruch oporu Kościoła w Polsce, mimo paxowskiej dywersji i różnych wielce dramatycznych momentów, uniemożliwił ateizację społeczeństwa na większą skalę, przeciwdziałał demoralizacji, pozwolił społeczeństwu zachować w pamięci kilka podstawowych wskazań moralnych.

Ruch oporu intelektualistów i twórców ocalił kulturę przed stuprocentowym upaństwowieniem i wyjałowieniem, powołał do życia istotną ilość sformułowanych i utrwalonych myśli spoza katalogu zatwierdzonego w centrali, istotną ilość dzieł pięknych, budujących i ważnych dla narodowej egzystencji.

Ruch oporu młodzieży, nawet tej „lekkomyślnej”, walczącej w różnych okresach o prawo do kolorowych skarpetek, wąskich lub szerokich spodni, określonej fryzury i sposobu tańczenia — ocalił Polskę przed sowiecką szarością i drylem.

W tych latach liczyło się jakoś — i dalej się liczy — wszystko, co było i jest oporem — zarówno ze względu na swoją konkretną treść, jak na sam fakt oporu, sprzeciwu, niezgody.

Kiedy partia zabraniała abstrakcyjnego malarstwa — oporem było uprawianie abstrakcyjnego malarstwa, kiedy krzywiła się na jazz — oporem były nocne sesje jazzowe, kiedy kazała pisać do rymu i rozumiało o trójkach murarskich — do rangi oporu urastał wolny wiersz i tok niekontrolowanych skojarzeń.

Ruchem oporu był „list 34” w obronie niszczzonej perfidnie kultury polskiej — i odmowa złożenia podpisu pod „antylistem”, na którą wbrew naciskom zdobyło się przecież kilkuset literatów, w tym kilkudziesięciu ówczesnych członków organizacji partyjnej.

Ruchem oporu jest mądra praca wychowawcy w szkole, który

nie wbija uczniom w głowę dogmatów tzw. „wychowania obywatelskiego”, lecz uczy ich samodzielnie myśleć, być wrażliwym moralnie i społecznie — wychowawcy, który naprawdę wychowuje.

Ruchem oporu jest strajk robotniczy, nawet pod ściśle ekonomicznymi hasłami — i studencka odmowa wstępowania do zgłajchszaltowanej organizacji (choć te poprzednie, które teraz „zjednoczono”, też nie reprezentowały szczytów demokracji) — i odmowa udziału w potępieniu kolejno kułaków, Marii Dąbrowskiej, biskupów polskich, Gombrowicza, syjonistów, Czechów, długowłosych młodzieńców, Chińczyków, tzw. kolesiów i chochołów, Wolnej Europy, Sołżenicyna.

Mnóstwo jest form i możliwości ruchu oporu, pisał o tym parokrotnie Leszek Kołakowski, którego sformułowania z niewiadomych przyczyn Opozycjonista określa jako „nieśmiałe”, piszą uczestnicy najnowszej dyskusji w *Kulturze*, np. Jan Zwada określając co rozumie przez „pracę organiczną” (i terminem powyższym obejmując elementy tego co ja rozumiem przez ruch oporu), pisał i sam Opozycjonista, nie wnosząc w gruncie rzeczy wiele nowego do programu Kołakowskiego, twierdząc tylko, że powszechny opór „opozycją polityczną staje się wszędzie tam, gdzie ludzie uświadamiają sobie polityczny charakter swego działania”, i postulując, żeby tak właśnie było. Osobiście nie jestem pewien, czy to takie ważne i w ogóle konieczne, żeby ksiądz na ambonie, pisarz nad białą kartką przepędzający z duszy „wewnętrzny cenzor”, dobry wychowawca w gronie młodzieży, uczestnik zebrania mówiący prawdę itd., itp. „uświadamiał sobie polityczny charakter swego działania”. I jaki niby jest ów polityczny charakter — jak to działanie wpływa na konkretne układy polityczne — na konfigurację partyjno-rządowe, prerogatywy ambasady sowieckiej w Polsce, miejsce polskiego baraku w obozie i poza nim? Przecież to fikcja.

O opozycji politycznej w Polsce bardzo chętnie mówi UB i partia, strasząc się nią i mobilizując do czynu (tzn. do przykrećcania śruby), a zarazem jakby uspokajając: to tylko opozycja, grupa ambitnych facetów, pragnących nam odebrać władzę, co oczywiście jest nierealne, nie zaś narodowy ruch oporu, który po władzę nie sięga, ale pod pewnymi względami czyni ją nieskuteczną i pustą na całym społecznym obszarze.

Mówienie przez partię i UB o opozycji, nie zaś o ruchu oporu, to i propagandowe wyolbrzymienie, i psychologiczne pomniejszenie przeciwnika.

Opozycjonista — patrząc, naturalnie z zupełnie innej pers-

pektywy — także zdaje się sądzić, że opozycja polityczna to jak gdyby coś potężniejszego, groźniejszego, ważniejszego niż spontaniczny, powszechny ruch oporu. Opozycja daje poczucie inicjatywy politycznej, upodmiotawia uczestnictwo w historii, wydobywa uczestników z anonimatu: „fakt występowania w naszym życiu społecznym ruchu politycznej opozycji, jej formy działania, a nawet w pewnym stopniu skład, są doskonale znane władzom PRL” — twierdzi Autor. Niewiele brak, a wyciągnie wizytówkę — oddycham z ulgą, kiedy tego nie czyni.

Twierdzi jednak dalej: „po to, aby obronić Kowalczyków przed karą śmierci, wpłynęło do Rady Państwa kilka tysięcy listów, kilkuset ludzi musiało odbyć kilkanaście tysięcy rozmów”. Oświadczam: nikt ze mną nie rozmawiał, napisałem swój list przez nikogo nie nagabywany. I mój kolega z pracy też, a potem przypadkowo żeśmy się o tym zgodali.

Opozycjonista zawiadamia, że ostatnią petycją w sprawie uwolnienia „ruchowców” podpisało jedenaście osób (i podaje ich nazwiska), ale że można było zebrać tysiąc podpisów, „władze wiedziały, że możemy to zrobić i nie chciały żebyśmy zrobili”, postanowiono więc — w imię wolności dla pięciu ludzi — załatwić sprawę dyskretnie. Jest w tych twierdzeniach — z pewnością wbrew intencji Opozycjonisty — sugestia, że jakiś zakonspirowany ośrodek decydował, ile ma być podpisów i czyje, następnie zaś Wybitne Nazwiska zgodziły się firmować niewłasną inicjatywę. Nie wiem, czy dla wymienionych profesorów i literatów mile brzmi informacja, że mogą być manipulowani przez jakieś demoniczne dowództwo, ale sęk w tym, że jest to informacja, moim zdaniem, po prostu nieprawdziwa. Przy wszelkich zbiorowych protestach ktoś musi być zawsze inicjatorem, a ktoś, zawiadomiony o tym, zgłasza akces albo nie zgłasza. Obserwując jednak różne wydarzenia tego rodzaju na przestrzeni ostatnich parunastu lat, nie wierzę w jednolity opozycyjny ośrodek, który by podejmował decyzje, i jestem przekonany o spontaniczności inicjatyw wychodzących od różnych ludzi i z różnych środowisk. Sądzę, że pragnąc udowodnić trafność i skuteczność działań podejmowanych przez rzekomo istniejącą zjednoczoną opozycję polityczną w Polsce, autor zagalopował się i w opisie tego epizodu, i w paru innych.

A może byśmy byli trochę mniej ze siebie zadowoleni, trochę mniej przywiązani do, jakby powiedział uczony w piśmie Aleksander Litwin, „roli jednostki w historii”, i zgodzili się na rolę skromnych mrówek powszechnego ruchu oporu?

Na zakończenie jedna szczegółowa sprawa: opozycji czy oporu we współczesnej literaturze polskiej. Autor wymienia sześciu pisarzy, których twórczość stanowi może „najdonioślejszą formę działania opozycji”. Nazwiska z pewnością godne szacunku, sądząc wszakże, iż można by wymienić sześćdziesiąt, albo i sześćset — nie zawsze równej świetności, ale często sygnujące nie mniejszą wolę sprzeciwu, zapał mówienia prawdy o świecie, żarliwość moralną i zaangażowanie społeczne. Pisarz jest skazany na opór, na walkę piórem z totalitarnym systemem, w którym żyje, na demaskowanie go wprost i pośrednio, a także na walkę o druk, bunt przeciw krępującej cenzurze, próby jej ominięcia. Skazany jest na to wszystko, jeżeli nie jest zerem i beztalenciem w rodzaju Gaworskiego, policjantem odkomenderowanym do literatury w rodzaju Grzymkowskiego, szmatą która roztrwonila swój niegdysiejszy talent w rodzaju Czeszki i Żukrowskiego. Immanentne prawo twórczości stanowi, że opór literatury nie może zostać złamany. Im srozsza cenzura, tym więcej prób jej ominięcia lub odwrotnie — pójścia na całego. Wzmoczone publikowanie przez autorów krajowych — pod własnymi nazwiskami — w Instytucie Literackim mówi samo za siebie.

Ale i to zjawisko, o którym mowa, jest raczej spontaniczne, niż świadomie traktowane przez autorów jako „ważna forma opozycyjnego działania”. Paweł Jasienica — żeby podjąć przykład z artykułu Opozycjonisty — nie pisał „Dziejów Agonii” jako paraboli pseudohistorycznej, lecz jako autentyczny fragment historii, do której opowiedzenia czuł się powołany, nie mając zresztą podówczas wielkiej nadziei, że ją rychło zobaczy w druku. Książka ukazała się po śmierci Jasienicy, kiedy niebezpieczniejsza dla partii stała się rosnąca legenda umęczonego pisarza, niż dające się ewentualnie zaktualizować wątki książki o utracie przez Polskę niepodległości.

Nie przeceniałbym w ogóle „oszukiwania cenzury”: w pewnych okresach i pod pewnymi względami cenzura chce się dać oszukać, w innych „na wszelki wypadek” kieruje swój niszczyielski ogień zarówno na dzieła, w których można dopatrzeć się jakiejś aluzji, jak na takie, w których jest to bardzo trudnym zadaniem.

Sądzę, że i w tej dziedzinie właściwsze od tropienia sprytnych zamysłów opozycyjnych byłoby zaufanie do właściwego literaturze, jak wszystkiemu co ludzkie, życiodajnego instynktu oporu.

JESZCZE JEDEN KRAJOWIEC

O politycznej roli inteligencji

„Nawet ludzie bardzo wykształceni, a przy tym obdarzeni żywym usposobieniem i gorącym sercem, niezwykle szybko odstępują w życiu praktycznym od własnych idei i planów, niezwykle szybko godzą się z otaczającą rzeczywistością, nie przestając jednakże mówić o niej jako o marnej i wstrętnej” (Dobrolubow).

Wśród wielu poglądów na temat perspektyw zmian politycznych w krajach komunistycznych do bardziej popularnych należy teza o szczególnej roli inteligencji jako tej warstwy, która z istoty rzeczy niejako powołana jest do walki przeciwko partyjnej i państwowej biurokracji. Inteligentów uważa się za szermierzy racjonalizmu, liberalizmu, tolerancji i demokracji, stąd też nadzieja, że wraz z pomnażaniem się ich liczby przybliżamy się do panowania królestwa rozumu i wolności.

W wyobrażeniach tych odnaleźć można tradycje myślenia dziewiętnastowiecznego, kiedy wśród społeczeństw wschodnioeuropejskich dominowała wiara w posłannictwo ludzi oświeconych, przysposobionych przez edukację i intelektualne skłonności do walki o postępek społeczny. Do koncepcji tej nawiązują także ci marksiści, którzy w poszukiwaniu nowej klasy zdolnej w warunkach komunizmu przeciwstawić się czerwonej burżuazji składają się do poglądu, że klasą tą jest nowa inteligencja.

„Czasami otwarty, ale częściej ukryty konflikt pomiędzy funkcjonariuszami politycznymi a przedstawicielami grup zawodowych o wykształceniu technicznym (np. inżynierami), humanistycznym (np. pisarzami), czy ludźmi o wiedzy teoretycznej (np. naukowcami) jest jedną z najbardziej dynamicznych sił społeczeństw socjalistycznych Europy Wschodniej” — pisze David Lane¹.

Jeszcze bardziej krańcowe stanowisko zajmuje w tym względzie Frank Parkin. Stwierdza on iż:

„gdyby Marks żył nieco później i starał się znaleźć w społeczeństwie socjalistycznym wschodzącą klasę, która byłaby wyraźnym nośnikiem nadchodzących przemian i która byłaby zdolna przemianę tę przeprowadzić, uważałby on niewątpliwie właśnie inteligencję za odpowiedniego kandydata do wykonania tego zadania²”.

1. David Lane, „Niezadowolone i aprobaty w krajach państwowego socjalizmu”, *Aneks* nr 4, str. 73/74.

2. Frank Parkin, „Sprzeczność systemowa i przemiany polityczne, *Aneks*, tamże, str. 88/89.

„Główną sprzecznością występującą na poziomie społecznym w społeczeństwie socjalistycznym jest sprzeczność między partią i biurokracją państwową z jednej, a inteligencją z drugiej strony” — czytamy dalej. „Z tego punktu widzenia równowaga mogłaby zostać przywrócona poprzez zdobycie władzy politycznej przez inteligencję i poprzez odsunięcie od niej aparatezyków³”.

Otóż to. Rządy inteligencji. Tylko do czego odnosi się właściwie ów termin. W Rosji w XIX wieku pojęcie inteligencji obejmowało warstwy oświecone, do których należeli ludzie profesji, jak lekarze czy adwokaci, wykształcone kręgi szlachty i mieszczaństwa, wysoko kwalifikowani urzędnicy jak również ci, którzy wywodząc się z chłopstwa czy miejskiej biedoty przeszli przez uniwersytety czy choćby gimnazja. „Raznoczyncy”, ludzie nie przynależący do żadnego odrębnego stanu, a wywodzący się z bardzo różnych środowisk posiadali jako inteligencja wiele cech wspólnych wynikających z ujednocniającego wpływu edukacji jakiej byli poddani, z wrażliwości na nowe idee i prądy przekazywane za pośrednictwem gazet i książek, z właściwego ludzom wykształconym sprzeciwu wobec zacofania i ciemnoty utrwalanej przez carskie rządy. Pamiętajmy przy tym, że jeszcze w 1870 roku liczba studentów w Rosji nie przekraczała 5.000 przy populacji około 70 milionów. Wykształcenie było zasadniczym czynnikiem kształtującym pozycję społeczną wschodnio-europejskiego inteligenta. Zmniejszało ono dystans dzielący ambitnych potomków wyzwolonych chłopów czy robotników od ludzi wychowanych przez guwernerów w szlacheckich i arystokratycznych domach, otwierało perspektywy zawodowego awansu i stwarzało nowe typy więzi między ludźmi oparte na dominacji wartości kulturowych i duchowych.

Podobnie przedstawiała się sytuacja na ziemiach polskich, gdzie charakter inteligencji określany był jednak w większym stopniu niż w Rosji przez szlachecki rodowód tej warstwy. Pielęgnowanie wbrew polityce państw zaborczych historycznych tradycji, utrwalanie narodowej odrębności i rozwijanie niepodległościowych dążeń było cechą szczególną ethosu inteligencji polskiej i wiązało się z poczuciem misji społecznej, wyrażanej w literaturze romantyzmu, pozytywizmu i częściowo przynajmniej Młodej Polski.

Jeżeli zastanowimy się z kolei nad sytuacją inteligencji w Rosji po 1917 roku czy w Polsce po 1945 roku, to zgodzić się wypadnie z poglądem, że przedstawiciele warstw wykształconych znaleźli się wobec nowej władzy w sytuacji szczególnej, traktowani jeśli nie z wrogością — jak to miało miejsce w Związku

3. *Aneks*, tamże, str. 86 i 89.

Sowieckim — to co najmniej z rezerwą — ta bowiem postawa dominowała w krajach Europy Wschodniej w okresie utrwalenia się stalinowskiej dyktatury.

Budowany w przyspieszonym tempie aparat partyjny i państwowy składał się w latach porewolucyjnych — zwłaszcza jeśli idzie o pozycje kierownicze — z ludzi bądź to przynależnych do starej kadry „zawodowych rewolucjonistów” bądź też z ludzi nowych, nie obciążonych społecznymi i kulturowymi powiązaniem z „wrogiem klasowym”. Ludzie ci byli w większości mniej wykształceni niż tak zwana stara inteligencja, wywodzili się z innych środowisk i wyznawali odmienne idee i wartości często wręcz sprzeczne z inteligentką tradycją.

Przeciwstawienie biurokracji i inteligencji miało więc w ówczesnych warunkach realny sens. Czy jednak podziały, o których była mowa utrzymują się obecnie?

Wykształcenie. W latach dwudziestych potrzebni nowej władzy specjaliści kwalifikowani byli w Rosji jako burżuazyjni czy mienszewiccy specje i poddawani nadzorowi ze strony czerwonych dyrektorów oraz partyjnych organizacji. Czyski jakie nastąpiły wśród tej kategorii po 1928 roku związane były z awansem dziesiątków tysięcy nowych fachowców wykształconych przez uczelnie sowieckie. O ile w 1926 roku na około 20 tysięcy menażyerów przemysłowych liczba czerwonych dyrektorów wynosiła 5 tysięcy, to już w 1928 roku 93 % wszystkich dyrektorów było członkami partii. W roku 1929 po czystce związanej z procesami „sabotażystów” jedynie 2,6 % dyrektorów w ZSSR miało wyższe wykształcenie, mimo że nabór do przemysłu absolwentów szkół technicznych wzrósł z 16.500 w 1928 roku do 114.500 w 1932 roku⁴.

Sytuacja obecna przedstawia się zupełnie inaczej. Wedle danych z 1966 roku 87,5 % członków komitetów partyjnych w ZSSR legitymowało się co najmniej nieukończonym wykształceniem wyższym lub specjalistycznym, a wśród ogółu członków partii procent osób z wykształceniem średnim i wyższym sięgał 49,1 %. Zmiany te są odbiciem szybkiego wzrostu liczebności nowej inteligencji, której liczbę szacuje się obecnie w ZSSR na około 6 milionów osób, przy czym rozkład zawodowy tej grupy przedstawia się następująco⁵:

4. H. G. Skilling i F. Griffiths, wyd. *Interest Groups in Soviet Politics*, Princeton 1971, str. 177-8 i 181.

5. L. G. Churchward, *The Soviet Intelligentsia*, Routledge and Kegan Paul, 1973, str. 19.

inżynierowie	1.620.500
nauczyciele	1.043.500
pracownicy naukow i akademicy	770.000
lekarze	556.500
specjaliści agronomowie	124.500
inni	1.450.000
o g ó ł e m : 5.565.000	

Analogiczne zmiany obserwujemy w Polsce, gdzie w stosunku do roku 1937/8 liczba studentów w roku 1965/66 wzrosła z 50 tysięcy do blisko ćwierci miliona⁶ i gdzie liczba pracowników z wyższym wykształceniem wynosiła w 1973 roku 616 tysięcy.

W tych warunkach zmienia się oczywiście baza rekrutacji do aparatu państwowego i partyjnego. Coraz częściej pracę na średnich a nawet wyższych szczeblach obejmują młodzi ludzie bezpośrednio po studiach, rekomendowani przez organizacje młodzieżowe i polityczne. Klasyczne są w tym względzie kariery tych, którzy poczynając od lat pięćdziesiątych przechodzili przez kanały awansu w PZPR, ZSP czy ZMS wyższych uczelni. Ludzi tych spotykamy dzisiaj na stanowiskach instruktorów komitetów partyjnych, wśród członków Komitetu Centralnego, wśród kierowników wydziałów i sekretarzy KC. O ile przy tym w najwyższych instancjach partyjnych wbrew naporowi młodych dyplomowanych kadr utrzymuje się jeszcze pewna liczba przedstawicieli starej gwardii, zasadnicze zmiany nastąpiły wśród funkcjonariuszy, administratorów i managerów średnich i niższych szczebli, gdzie dominują wykształceni po wojnie absolwenci uniwersytetów i politechnik.

Różnice społeczno-kulturowe. Awans poprzez partię i wedle partyjnego klucza był w ZSSR i w krajach Europy Wschodniej po 1945 roku kanałem dopływu do biurokracji partyjnej i państwowej ludzi ze środowisk robotniczych i chłopskich, z ośrodków prowincjonalnych, z narodowych mniejszości. Ci, którzy należeli do dawnej inteligencji utrzymywali się w zawodach od polityki odległych, gdzie mniej zważano na pochodzenie, bardziej zaś na formalne kwalifikacje. Powodowało to swoiste różnice kulturowe i środowiskowe: w pewnych profesjach zauważyć można było zagęszczenie ludzi należących do starej inteligencji, że wymienimy tu profesurę, tłumaczy czy lekarzy, w innych dominowały od początku pokolenia nowej inteligencji jak to miało miejsce w prokuraturze, wśród dyrektorów i w kadrze oficerskiej.

I w tym względzie jednak zachodzą w społeczeństwach komunistycznych zasadnicze przemiany. Synowie i córki partyjnych dostojników, cenionych profesorów, znanych adwokatów, dyrektorów departamentów i popularnych aktorów uczęszczają do tych samych szkół, przebywają w tych samych miejscowościach czasowych, korzystają z tych samych wielkomiejskich rozrywek. Jeśli utrzymują się czy nawet pogłębiają przedziały kulturowe, to dotyczą one różnic między elitarną młodzieżą wielkomiejską a zaludniającymi akademiki przybyszami z prowincji, skłonny do obejmowania mniej atrakcyjnych posad i zawodów, przed którymi wystrzegają się ich uprzywilejowani koledzy. Możliwość otrzymania mieszkania i meldunku w stolicy czy mieście wojewódzkim skłania więc tych pierwszych do przyjmowania pracy w aparacie państwowym, milicji i służbie bezpieczeństwa, podczas gdy ci drudzy preferują raczej zajęcia zapewniające większą niezależność, a cieszące się dużym prestiżem społecznym.

Zauważyć można jednocześnie, że przy naborze do aparatu partyjnego i państwowego kryteria pochodzenia odgrywają coraz mniejszą rolę. Młody dyrektorowicz jest nie gorszym kandydatem na instruktora KC niż syn poznańskiego robotnika, o ile wykazuje rzecz jasna dostateczne zainteresowanie sprawami partyjnymi, co w drugim czy trzecim pokoleniu komunistycznej inteligencji nie jest bynajmniej regułą.

Wszystko to o czym mowa oznacza stopniowe zanikanie dawnych przedziałów kulturowych między aparatczykami a inteligencją. Prawdą jest, że ludzie zajmujący wysokie stanowiska partyjne i państwowe korzystają z rozlicznych udogodnień i są na ogół znacznie lepiej wynagradzani, niż ogół obywateli, ale to samo dotyczy również wierzchołków inteligencji twórczej, do której zalicza się artystów, znanych pisarzy, głośnych aktorów i muzyków, poetów i uczonych. Jakkolwiek przeto przenikanie i ujednolicanie kulturowe elit politycznych, intelektualnych i artystycznych, technicznych i profesjonalnych nie jest procesem zakończonym i zupełnym, a w krajach takich jak Polska wciąż jeszcze oddziałuje ciśnienie tradycji i pluralizm instytucjonalny (rola Kościoła, kontakty z Zachodem, sektor prywatny) tendencje ogólne są wszędzie zbliżone.

Ethos zawodowy. Pojęcie inteligencji można wiązać z pewnym typem postaw zawodowych i orientacji społeczno-politycznych, które przeciwstawiły w swoim czasie tę warstwę partyjnej i państwowej biurokracji. Aparatczycy nawet jeśli legitymują się dyplomami wyższych uczelni są wszak nastawieni przede wszystkim na kariery organizacyjne. Ich filozofia polityczna kształtowana jest poprzez partyjną prasę i partyjne szkolenie, ich stosu-

6. *Wielka Encyklopedia Powszechna*, t. IX, str. 147.

nek do wiedzy nacechowany jest pragmatyzmem, ich system wartości akceptuje posłuszeństwo, dyscyplinę i władzę administracyjnych hierarchii.

Zauważmy jednak, że wymienione cechy występują coraz częściej wśród ludzi różnych zawodów. Wpływa na to stale postępująca specjalizacja, która sprawia, że absolwenci wyższych uczelni nastawiają się przede wszystkim na doskonalenie zawodowe i rozszerzanie umiejętności praktycznych. Dołącza się do tego ciśnienie codziennych obowiązków, które powoduje iż zainteresowania ludzi wykształconych stopniowo zawężają się do spraw związanych bezpośrednio z wykonywanymi czynnościami i uszczerbkiem dla kultury ogólnej. Wpływa na to także utechniczanie i zawężanie funkcji wykonywanych przez pracowników umysłowych, nawet jeśli posiadają oni bardzo wysokie kwalifikacje. Wiele podstawowych czynności podlega standaryzacji i rutynizacji. Postępujący podział pracy sprawia, że profesjonalny inteligent coraz mniej zastanawia się nad sensem zadań jakie wypełnia. Ambicją jego będzie przede wszystkim to, by się z owych zadań możliwie sprawnie i kompetentnie wywiązać. Inżynier może więc projektować części zamienne do aparatów podsłuchowych z takim samym zapałem jak części zamienne do samochodów, bakteriolog może rozwiązywać zagadnienia naukowe lub doskonalić środek masowego zniszczenia, językoznawca może pracować przy tłumaczeniu czy rozszyfrowywaniu cudzych listów lub redagować nikomu niepotrzebne propagandowe materiały. Lekarze i oficerowie, profesorowie i pracownicy central ogrodniczych, działacze sportowi i prawnicy poddani są na co dzień niekończącym się zadaniom papierkowej roboty i grzęzną w rutynie jałowych, ale pochłaniających czas i energię konferencji, zebrań, kursów i narad produkcyjnych. Świat instytucji jest dziś światem komitetów, uzgadniań, spotkań i referatów w związku z czym różnice między biurokratami a przedstawicielami innych grup zawodowych uwikłanych w te same układy są coraz mniej znaczące.

Dodajmy do tego, że przeciętny inteligent w krajach komunistycznych ma za sobą lata szkolenia w przedmiotach ideologicznych: programy uniwersytetów i szkół partyjnych nie różnią się od siebie jeśli idzie o socjologię, ekonomię czy filozofię. Ograniczenia w dopływie informacji oznaczają z kolei, że zarówno ludzie w aparacie jak i poza nim poddani są oddziaływaniu tych samych odgórnie manipulowanych naświetleń, statystyk i sprawozdań. Zasada tajemnicy służbowej, ideologiczna cenzura, kontrola jakiej podlega agregacja danych źródłowych, wszystko to sprawia, że inteligentny instruktor KW czy referent ministerialny może więcej wiedzieć o tych stronach życia społecznego, za które odpowiada, niż zamknięci w swych funkcjonalnych klatkach i poz-

bawieni swobodnego dostępu do źródłowych danych akademickiej specjaliści od nauk społecznych.

Zmiana orientacji zawodowych i społecznych warstw wykształconych wiąże się także z mnogością stanowisk administracyjnych i kierowniczych jakie przed nimi stoją otworem oraz z procesem urzędniczenia wielu sfer działalności kulturowo-twórczej.

Jeśli idzie o pierwszy z wymienionych czynników, to należy podkreślić, że aparat partyjny jest tylko częścią, i to nieznaczną, olbrzymiej maszyny organizacyjnej w której istnieje niezliczona ilość funkcji naczelników, dyrektorów, prezesów, kierowników i przewodniczących wszystkich rang i odcieni. Już w 1937 roku warstwa, którą można było określić jako „naczalstwo” obejmowała w ZSSR 1 milion 751 tysięcy osób, w tym zaś⁷:

kierowników administracyjnych, służby zdrowia i instytucji kulturalnych	450.000
dyrektorów i innych kierowników przedsiębiorstw przemysłowych, wydziałów i oddziałów	350.000
przewodniczących i wiceprzewodniczących kołchozów i kierowników ich mleczarskich i hodowlanych organizacji	582.000
kierowników stacji traktorowych, sowchozów itp. ..	19.000
kierowników kooperatyw produkcyjnych	40.000
kierowników sklepów itp.	250.000
kierowników restauracji i placówek żywienia zbiorowego	60.000

Kariery zawodowe ludzi wykształconych kształtowane są poprzez i w obrębie hierarchii biurokratycznych. Przynależność do partii traktowana jest często jako zwykła formalność, która gwarantuje dobry start ludziom zdolnym i najzdolniejszym. Młody inżynier jest potencjalnym kandydatem na kierownika wielkiej budowy, asystent widzi przed sobą perspektywę katedry, początkujący architekt planuje swe życie pod kątem udziału w ambitnym zespole projektującym nowe miasta a nonkonformistyczny poeta może oczekiwać, że w sprzyjających okolicznościach obejmie kierownictwo działu literackiego w poczytnym piśmie.

Czynnikiem o niemniejszym znaczeniu jeśli idzie o zurzędniczenie inteligencji jest umasowienie i standaryzacja podstawowych form działalności kulturowo-twórczej. Wynika to nie tylko z zapotrzebowania na słowo pisane i mówione w działalności propagandowej ale jest także następstwem rozszerzenia zasięgu

7. L. Labedz, *The Structure of the Soviet Intelligentsia*, w R. Pipes *The Russian Intelligentsia*, Columbia University Press, 1961, str. 71.

działalności i zmiany charakteru środków komunikacji masowej. Gazeta, radio, film, telewizja są obecnie dostępne na co dzień dla milionów ludzi oczekujących wciąż nowych informacji, przeżyć i rozrywek. Wspomnieć należy dalej o rozwoju sieci masowego czytelnictwa, o ekspansji szkolnictwa wszystkich szczebli, o mnożeniu się instytucji oświatowych i badawczych.

1600 tytułów czasopism naukowych w ZSSR, około 20 tysięcy tytułów książek naukowych i popularno naukowych ukazujących się rocznie, 85.224 gazety (dane za 1967 r.), 7 milionów egzemplarzy nakładów *Prawdy* i 8 milionów egzemplarzy publikowanych w ciągu roku — to są liczby, które wskazują na zasięg produkcji i dystrybucji w sferze kultury. Wszystko to oznacza rosnące zapotrzebowanie na produkowane pod nadzorem państwa i rozprowadzane przez agendy państwowe wartości kulturowe dostarczane przez dziesiątki tysięcy autorów, redaktorów, literatów, dziennikarzy, rymotwórców, reżyserów i pracowników nauki. Nienasycone potrzeby maszyny do rozprowadzania przekazów kultury sprawiają, że niezależnie od ujednocniającego oddziaływania kontroli politycznej i administracyjnej jakość musi ze względów praktycznych ustępować ilości, terminowość jest ważniejsza niż proces doskonalenia produktu, a intelektualne buble zawsze w końcu znajdują odbiorców.

Jeżeli zapytamy zapracowanych producentów masowej kultury, czy odczuwają brak wolności słowa, pytanie takie może wprawić ich w zakłopotanie, bo cóż po wolności z której wielu nie ma czasu ani potrzeby korzystać. Co więcej brak tej wolności daje niejednemu pracownikowi frontu kulturalno-naukowego miłe poczucie bezpieczeństwa, ułatwiając utrzymanie pozycji zawodowej nawet wówczas, gdy ustępuje talentem czy wiedzą rywalizującym z nim kolegom. Starzejący się pisarz, który ciągle nosi się z myślą napisania swej „prawdziwej” książki, w międzyczasie zaś produkuje grafomańskie utwory zapewniające mu przyzwoite utrzymanie, biegający z wykładu na wykład i recenzujący cudze prace profesor, który w nawale dydaktyki, rad naukowych i fachowych posiedzeń zapomniał już, na czym polega praca badawcza i zadawała się przepisywaniem i porządkowaniem tego, co wymyślili inni, dziennikarz, który nie ma czasu na spokojne czytanie gazet i młody asystent, który żyjąc pod presją wykończenia w ciągu trzech lat pracy doktorskiej odkłada na później ambitne naukowe plany, wszystko to są postacie typowe dla warunków zrutyinizowanej i umasowionej produkcji wartości kulturowych.

Oczywiście można powiedzieć, że od szeregowych wyrobnioków kultury nikt w końcu nie oczekuje ani samodzielności ani wielkiego talentu, ważne jest by wykonywali swe zadania możli-

wie porządnie i sprawnie. Procesy standaryzacji i zurzędniczenia nie dotyczyłyby jednak elit intelektualnych i artystycznych, składających się z samej definicji z ludzi o niezależnych umysłach, odpornych na odgórne naciski. I tu jednak sprawa okazuje się nie prosta.

W opublikowanych niedawno pamiętnikach Chruszczowa spotykamy cały rozdział poświęcony wybitnym uczonym: Kurczatowowi, Kapicy i Sacharowowi. Naświetlając swą rolę w powstaniu instytutu Kapicy Chruszczow pisze:

„I tak oto instytut został zbudowany. W późniejszych latach kiedykolwiek byłem w Moskwie zawsze zwykle chodzić na spacer na wzgórze Lenina i spoglądać na budynek. Mówiłem sobie w myślach z zadowoleniem: Ciekawe jakie to tajemnicze rzeczy rozwijają owi cudowni pracownicy pod kierownictwem Kapicy. Ciekawe nad jakimiz to cudownymi osiągnięciami pracują dla dobra naszej ojczyzny?”.

Uwagi te są przykładem kultu nauki, przenikającego nawet mury Kremla. W okresie wielkich sukcesów technicznych i w warunkach kiedy rozwój ekonomiczny w większym stopniu zależny bywa od nakładów na badania niż od inwestycji pomnażających liczbę fabryk i kopalń, pozycja uczonego, który wykazał się konkretnymi osiągnięciami, zapewnia prestiż i uznanie ze strony władz. Mniej serio traktowani są w krajach komunistycznych przedstawiciele nauk humanistycznych i społecznych, zwłaszcza iż jest tendencja do uznawania tych ostatnich za ogniwa aparatu oficjalnej propagandy, tym niemniej objawy życzliwości i szacunku w stosunku do świata nauki i kultury stały się częścią oficjalnego rytuału.

Znani uczeni mogą zawsze liczyć na przyjęcie u ministra, wybitni fizycy i filozofowie zapraszani są na oficjalne rauty, rektorzy uniwersytetów reprezentują własne państwa na zjazdach i kongresach, członkowie akademii uświetniają swymi nazwiskami państwowe uroczystości, a sławni aktorzy i reżyserzy wybierani są do władz stołecznych. Nie są to oczywiście zaszczyty, jakie zdobywa się automatycznie, nie może na nie bowiem liczyć najwybitniejszy choćby ale niepokorny pisarz czy uczyony. Tyle, że niewielu ludzi jest w stanie oprzeć się pokusom i urokom jakie wiążą się z pozycją kreowanych przez państwo dostojników. Pochlebstwo, szafowanie insygniami władzy i ważności, publiczne objawy respektu, to środki które kruszą nawet ludzi opornych skądinąd na groźby i represje. Powstają w ten sposób warstwy notabli z tytułami profesorów, doktorów i laureatów. Ludzie ci pozostając w kontakcie z biurokracją partyjną i państwową wy-

korzystują często swe wpływy w interesie osób trzecich, szukających u nich pomocy i obrony. Jeśli interwencje takie są skuteczne, dostojnicy mają coś na kształt własnych dworów, złożonych z ludzi otaczających ich życzliwością i uznaniem.

Dodajmy do tego, że każdy kto należy do intelektualnej elity a zajmuje jakąkolwiek pozycję kierowniczą obcuje na co dzień z władzą w pozycji zabiegającego o jej względy klienta⁹.

Wszystkie omawiane wyżej zjawiska i tendencje uzasadniać miały tezę, że inteligencja nie może być dzisiaj przeciwstawna biurokracji jako odrębna warstwa społeczno-kulturowa. Istniejące w obrębie warstw wykształconych różnice wynikają obecnie przede wszystkim z oddziaływania tzw. czynników środowiskowych, te ostatnie zaś związane są z zasadą korporacjonizmu jaka przenika całe życie społeczeństw komunistycznych. Korporacjonizm ów, oparty na podziałach zawodowych i więziach instytucjonalnych, polega na ograniczeniu kontaktów między ludźmi należącymi do różnych zawodów i pracującymi w różnych sektorach gospodarki narodowej przy jednoczesnej intensyfikacji powiązań środowiskowych. Obracają się więc w swych wyizolowanych kręgach koleżeńskich i towarzyskich oficerowie, lekarze, architekci, literaci, aktorzy i pracownicy komitetów partyjnych. Kawiarnia związkowa, stołówka pracownicza, sala konferencyjna, kuluary zjazdów, kasyna i domy wypoczynkowe należące do poszczególnych resortów są z tego punktu widzenia ważnymi instytucjami społecznymi. Utrwalają one znajomości, ułatwiają wymianę plotek i informacji, umożliwiają formowanie się pół oficjalnych i nieoficjalnych poglądów. Intensywność życia organizacyjnego sprzyja przy tym wzmocnieniu prywatnych kontaktów, albowiem drogi ludzi pracujących w tych samych zawodach czy w tych samych instytucjach krzyżują się we wciąż nowych konfiguracjach. W ten sposób powstają właśnie środowiska, w których kształtują się oceny poszczególnych ludzi, utrwalają niepisane normy i standarty, wyłaniają nieformalne hierarchie. Wszyscy znają wszystkich, niewiele można ukryć, dobre informacje są obiegową wartością dzięki której zdobywa się uznanie i życzliwość.

Prawdą jest, że pewne środowiska zawodowe stają się podłożem, na którym w określonych okolicznościach ujawniają się nastroje opozycyjne. Jednostki pozbawione prawa publicznego za-

bierania głosu mają wówczas możliwość wpływania na opinie znajomych i kolegów, jak to miało miejsce w stołecznych środowiskach artystycznych w Polsce lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Tutaj też rodzą się autorytety moralne, że wspomnimy rosnącą popularność dysydentów w środowiskach intelektualnych Moskwy i Leningradu, tutaj też kształtują się obiegowe opinie o wartości prac naukowych i dzieł artystycznych, niezależnie od tego, co na ten temat mówi się i pisze oficjalnie.

Słabością środowisk jest jednak ich ograniczony zasięg (wystarczy wskazać na różnice między ośrodkami stołecznymi a ośrodkami prowincjonalnymi), słabością ich jest dalej hermetyczność, uniemożliwiająca oddziaływanie na zewnątrz, rozluźnianie się kontaktów i zanikanie ich w sytuacjach, kiedy mogłyby być skądinąd dla źle widzianych przez władze jednostek przydatne. O ile też w pewnych okresach środowiska stanowić mogą jakąś przeciwwagę dla wszechmocy władzy to są i takie sytuacje w których rozbicie i rozproszenie grup najbardziej politycznie i intelektualnie niezależnych czyni ze środowisk przewodnik korupcji i demoralizacji. Środowiska są przy tym z reguły zespołami ludzi zajmujących różne szczeble i pozycje w tych samych pionach zawodowych i instytucjonalnych, w związku z czym sprzyjają niwelacji czy rozładowywaniu politycznych konfliktów w imię korporacyjnych przyjaźni i grupowych solidarności.

Jeżeli jednak, jak powiedzieliśmy wyżej, ani inteligencji, ani też właściwych jej środowisk nie można przeciwstawiać biurokracji, to nie wynika z tego bynajmniej by wszystkie grupy wśród warstw wykształconych z równą ochotą akceptowały istniejące porządki społeczne, tyle że z różnic tych niewiele praktycznie wynika.

Prawdą jest, że sytuacja zawodowa inteligentów i urabiane przez nią cechy osobowości nie sprzyjają wchodzeniu w konflikty z władzą. W odróżnieniu od robotników, którzy ze względu na barierę wykształcenia pozbawieni są możliwości wpływania na warunki własnej egzystencji inaczej jak poprzez działania zbiorowe, pracownicy umysłowi zorientowani są przede wszystkim na karierę indywidualną, tu zaś oceny zwierzchników i polityczne opinie mają znaczenie decydujące. Jeden ryzykowny krok może zaprzepaścić szanse życiowe na długie lata, stąd też nawet w sytuacjach, kiedy rozum wskazuje na potrzebę solidarnego oporu, instynkt samozachowawczy podpowiada by ratować własną skórę nie zważając na społeczne następstwa takiego kroku.

Wciągnięci w tryby maszyny organizacyjnej ludzie wykształceni poddani są przy tym nieustannemu i indywidualizowanemu nadzorowi ze strony zwierzchności. Nabierają w związku z tym nawyków przystosowywania się do oczekiwań i wymogów władzy,

9. Bardziej szczegółowe omówienie tego zagadnienia w M. Hirszowicz, *Komunistyczny Lewiatan*, Instytut Literacki, 1973, str. 118-119.

oceniają własne działania pod kątem możliwych kar i nagród jakimi manipulują ludzie, od których są zależni. Przyzwyczajają się przy tym do myśli, że są łatwo zastępowalni. Wystarczy wskazać, że w Czechosłowacji wystarczyło zaledwie kilku miesięcy po upadku rządów Dubczeka, by wyeliminować z życia zawodowego i kulturalnego wiele tysięcy wysoko kwalifikowanych, często wybitnych jednostek i że w ZSSR po każdej fali podań o zezwolenie na emigrację, zwalnia się dziesiątki i setki ludzi z urzędów i placówek naukowych, by uświadomić sobie, jak silne jest uzależnienie pracowników z dyplomami od administracyjnych decyzji.

W tych warunkach rozwijają się takie cechy jak dworskość, układowość, zdolność do kompromisów i politykowania, hipokryzja i uległość. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest też postawa „realizmu życiowego”, zgodnie z którym ludzie próbujący wyrwać się z nakreślonego przez władzę polityczną kręgu nakazów i zakazów uważani są za prostaczków lub szaleńców.

Wszystko to powoduje daleko idące odpolitycznienie inteligencji w krajach komunistycznych, zamykanie się w kręgu własnych spraw zawodowych, przesuwanie punktu ciężkości zainteresowań na sprawy rodzinne, towarzyskie i środowiskowe. Bardzo ciekawe są z tego punktu widzenia nie tylko wyniki ankiety na temat postaw młodych maturzystów, ale i wypowiedź na łamach *Sztandaru Młodych*, komentująca artykuł A. Szczypiorskiego, poświęcony omówieniu tych wyników.

„Wolimy gdy młodzi mniej krzyczą 'niech żyje socjalizm', a więcej uwagi poświęcają stosunkom międzyludzkim, uczciwej karierze zawodowej i życiowej, bardziej cenią sobie odwagę (to dużo znaczy) niż owe 'działanie', pojęcie jakże niestety zdezawuowane, stanowiące często dla działaczy synonim referatowego wodolejstwa. I nie martwmy się, że stosunkowo mało mamy młodych ludzi, którzy chcą wojować o modyfikację i zmianę pryncypiów ustroju, poświęcając swoją uwagę występującym mankamentom w gospodarce, organizacji pracy, stosunkach pomiędzy ludźmi¹⁰”.

Odpolitycznienie nie oznacza jednak całkowitego zaniku nastrojów opozycyjnych. Na odwrót, dość daleko posunięta stratyfikacja pracowników umysłowych związana z różnicami w hierarchii władzy, dochodów, wpływów i przywilejów jest źródłem dość znaczącego zróżnicowania orientacji społecznych czego najlepszym przykładem są dyskusje jakie toczą się wśród inteligencji polskiej.

Mamy więc takich, co bezkrytycznie i bez zastrzeżeń identyfikują się z każdorazową linią partii, nawet jeśli, jak to miało

10. Cyt. za A. Krzemiński, „Dojrzałe Dzieci”, *Polityka*, 9. XI. 1974.

miejsce w powojennej historii Polski, linia ta zmienia się mniej więcej co pięć lat. Mamy dalej takich, którzy uzasadniają konieczność pełnego podporządkowywania się odgórnym dyrektywom poczuciem obywatelskiej odpowiedzialności za sprawy publiczne. Szczególną popularnością cieszą się jednak hasła pracy organicznej, zgodnie z którymi sprzeciw wobec negatywnych cech systemu nie powinien wykluczać poważnej i uczciwej pracy nad pomnżaniem zasobności i rozwojem kultury społecznej. Że jednak hasła te idą często w parze z karierowiczowstwem i pokorą wobec władzy, prowadzącymi do zaprzeczenia celów, którym organicznicy na wysokich stanowiskach pragną służyć, szeregowy inteligent przyjmuje podobne deklaracje z pewną dozą krytycyzmu i wątpliwości.

Ów szeregowy inteligent, a takich jest w społeczeństwach komunistycznych olbrzymia większość, doświadcza na równi z robotnikami i chłopami wielu przeciwności losu, za które, w jego przekonaniu, odpowiadają ci co są u władzy. Ów szeregowy inteligent nie zarabia zbyt dobrze, nikt się z nim szczególnie nie liczy, a jego codzienne potrzeby odsuwane są na dalekie miejsca w liście priorytetów, ustalanych przez inwestorów i planistów. Doświadcza on w związku z tym wszystkich codziennych kłopotów, od których wyzwalają tylko przywileje związane z pozycją władzy. Tłoczy się więc w autobusach i tramwajach, poluje — często bezskutecznie — na skierowania na atrakcyjne wczasy, czeka latami na przydział mieszkania i wędruje po sklepach w poszukiwaniu codziennych artykułów, których brak jest akurat na rynku, a dyskryminowany jako konsument, jako petent, jako klient i jako obywatel przymierza swe możliwości do sytuacji tych, którym się wiedzie lepiej i w poczuciu własnego upośledzenia, za które, jego zdaniem, ponoszą winę przede wszystkim administratorzy, chętnie narzeka, osądza i gani.

Nie jest on w związku z tym skłonny do całkowitej akceptacji oficjalnej doktryny politycznej, na odwrót, jeśli zaczyna się już interesować sprawami publicznymi, z pewną sympatią śledzi poczynania ludzi niepokornych, skłonnych do krytykowania władzy i wysuwających propozycje odmiennych rozwiązań.

Ów szeregowy inteligent z pewną nieufnością traktuje profesorów, dziennikarzy i pisarzy, w których dziełach i poglądach nie znajduje odbicia własnych kłopotów i problemów. Oczekiwani tych świadome są intelektualne elity, a w krajach takich jak Polska wrażliwość na reakcje opinii publicznej jest często warunkiem utrzymania przez te elity ich autorytetu. Postawy organicznikowskie współistnieją w związku z tym z technikami mini-protestów i tolerowanymi do pewnego stopnia przejawami

krnąbrności. Toczą się więc zawoalowane dyskusje na łamach prasy, rozwijają techniki „przemycania” krytyki, powstaje nawet język dla tajemniczonych, po którym rozpoznają się nieomylnie zbtowowani i niezadowoleni różnych orientacji i odcieni. Jest w tym oczywiście wiele deklaracji i pozy, ale są też uczciwe i niestrudzenie ponawiane wysiłki jednostek czy nawet zespołów, że przypomnimy tu zmagania wielu redakcji czasopism kulturalnych w krajach Europy Wschodniej, by wbrew wszelkim przeciwnościom manifestować dążenie do intelektualnej niezależności.

Ogólnie rzecz biorąc dominuje jednak tendencja, by przenosić niezadowolenie w sferę prywatności, co pozwala na godzenie postaw krytycznych z uległością wobec władzy.

Krzewiące się wśród części warstw wykształconych postawy niezadowolenia bardzo zbliżone są do tego, co Dobrolubow określił mianem obłomowszczyzny, a co najlepiej charakteryzuje następujący cytat z jego szkicu:

„Teraz kiedy widzę dziedzica rozprawiającego o prawach ludzkich i o konieczności rozwoju jednostki — wiem już od pierwszych słów, że mam do czynienia z Obłomowem.

Kiedy spotykam urzędnika żałącego się na zawikłany i uciążliwy proceder załatwiania spraw — jestem pewien że to Obłomow.

Kiedy słyszę skargi oficera na męczące parady wojskowe, jego śmiałe sądy na temat bezużyteczności tzw. cichego kroku itp. — nie wątpię, że mam do czynienia z Obłomowem.

Kiedy czytam w prasie wystąpienia liberałów przeciwko nadużyciom władzy i wyrazy radości, że zrobiono coś, czegośmy od dawna oczekiwali — myślę, że zostało to napisane przez kogoś pochodzącego z Obłomówki.

Kiedy znajduję się w gronie ludzi wykształconych, gorąco współczujących niedoli ludzkiej i przez szereg lat opowiadających z nieślabnącym zapałem wciąż te same (a czasem nawet nowe) historyjki o łapownikach, o ucisku, o bezprawiach wszelkiego rodzaju — czuję mimo woli, że znalazłem się w starej Obłomówce.

Przerwijcie szumne perory tych ludzi i powiedzcie im: „Mówicie, że to i owo jest złe: co należy zrobić? Nie wiedzą... Porozmawiajcie z nimi jeszcze trochę i spytajcie w końcu: Cóż zamierzacie począć? Usłyszycie te same słowa, których Rudin użył mówiąc do Natalii: 'Poddać się losowi. Cóż robić? Wiem aż nadto dobrze, jak gorzko, ciężko i nie do zniesienia, ale niech pani osądzi sama...'”¹¹.

Powie ktoś, że temu, co stwierdzono wyżej na temat postaw inteligencji przeczą fakty. Wymienić można wszak nazwiska Sołżenicyna i Sacharowa, wskazać na rosyjski Samizdat i skupione wokół niego grupy dysydentów, przypomnieć o Kołakowskim,

11. Mikołaj Dobrolubov, *Pisma Filozoficzne*, t. 1, PWN, 1958, str. 349/350.

Kuroniu i Modzelewskim — w Polsce, Hegedüsu na Węgrzech, Džiliasie i Mihajlovie w Jugosławii i wielu, wielu innych. Czym innym jest jednak twierdzenie, że ludzie inteligentni i oświeceni odgrywali i odgrywają szczególną rolę w kształtowaniu różnych (czasami wręcz przeciwstawnych) prądów ideowych i w artykułowaniu interesów grupowych, czym innym zaś dowodzić, że inteligencja jako odrębna warstwa czy klasa społeczna stanowi się gotową przeciwstawić się autokratycznym porządkom.

Najbardziej charakterystyczną cechą sytuacji, w jakiej działają ludzie podejmujący w krajach komunistycznych działalność opozycyjną z pozycji demokratycznych, jest ich społeczna i polityczna izolacja. Nie jest przypadkiem, że nastroje dysydenckie ujawniają się w środowiskach „ludzi luźnych” — wśród studentów, pozostających na uboczu życia publicznego pisarzy, wielkomiejskiej bohemy, zemerytowanych działaczy i ludzi skazanych ze względów politycznych na przymusową bezczynność. Stanowią oni swoiste getto, od którego normalni śmiertelnicy starają się być z daleka. Jeśli utrzymują się jakieś więzi ze światem zewnętrznym, to kształtują się one w kręgu działań przez władzę w jakiś sposób przyzwolonych czy przynajmniej tolerowanych. Pamiętniki Nadieždy Mandelsztam pełne są relacji na temat wysoko postawionych dostojników i dobrze widzianych intelektualistów, starających się interweniować na rzecz jej męża, a było to, pamiętajmy, w okresie nasilania się stalinowskiego terroru. Robili to jednak indywidualnie, dyskretnie, z pokorą przyjmując ostateczne decyzje, od których nie było odwołania.

Mamy tu do czynienia z zachowaniami i gestami, które nie wychodzą poza sferę prywatności i są całkowicie niemal odpolitycznione w swej społecznej wymowie. Świadczą one przede wszystkim o dobrych rysach natury ludzkiej, nie akceptującej bez reszty wyroków zorganizowanej przemocy, ale są jednocześnie świadectwem zaniku politycznego instynktu, nakazującego obronę wobec tejże przemocy poprzez utrwalanie zbiorowych solidarności. Wbrew potocznym opiniom, elity władzy w krajach komunistycznych są bowiem bardzo wyczulone na nastroje, jakie dominują wśród warstw wykształconych i rzadko podejmują ryzyko bezpośrednich konfrontacji. Metodą normalną jest zacieśnianie kontroli w sposób ostrożny i stopniowy, osaczanie opornych i izolowanie ich od ogółu dostatecznie wcześniej, by przeciwdziałać rozszerzaniu się ich wpływu, wykorzystywanie bojaźliwości i potulności środowisk, w obrębie których przeprowadza się oczyszczające teren akcje i umacnianie własnych pozycji przy aktywnej pomocy tych samych ludzi, których sprzeciw mógłby władzy zagrażać.

Reakcją ogromnej części ludzi wykształconych na „zastrzanie kursu” wydaje się być nie polityczny opór, lecz apolityczny pragmatyzm, afirmacja indywidualnej zaradności, obojętność na sprawy publiczne, akceptacja hasła „bogaćcie się”, aprobata dla nierówności społecznych, dążenie do zwielokrotnienia przywilejów, z jakich można korzystać w poszczególnych zawodach, gotowość do intelektualnych samoograniczeń za cenę świętego spokoju i podatność na nacjonalistyczne slogany, kompensujące poczucie obywatelskiej niemocy.

Czego natomiast trudno się doszukać wśród inteligencji, to bardziej zbliżonych do potrzeb współczesności sympatii dla tradycjonalizmu i socjalistycznego reformizmu, które stanowią by mogły alternatywę dla obłomowszczyzny i programu „buntu na kolanach”. Współczesny inteligent bardziej skłonny jest uciekać się w marzeniach do idei opozycji totalnej niż zastanawiać nad praktycznymi możliwościami ograniczania władzy administratorów i szukać dróg do rozszerzania autonomii organizacji i stowarzyszeń, wzmocnienia roli związków zawodowych, walki o obieralność tych, co go reprezentują, rozszerzania granic wolności dyskusji o sprawach publicznych i intensyfikacji obiegu nie manipulowanych odgórnie informacji. Zasada nie drażnienia władzy, wypraszenie ustępstw zamiast domagania się ich, unikanie zbiorowych inicjatyw i niechęć do manifestowania grupowych solidarności, wszystko to jest wyrazem akceptacji przez inteligencję biurokratycznych wzorców, redukujących rolę jednostki do całkowicie podporządkowanej siłom zewnętrznym cząsteczki.

Ale też im bardziej postępuje ów proces, tym łatwiej dostrzec jego społeczne konsekwencje i mechanizmy, jakim podlega, coraz częściej też pojawiać się musi w związku z tym pytanie: co dalej?

Maria HIRSZOWICZ

Kolega to robi...

Otwarta przez Redakcję, w majowym numerze *Kultury*, dyskusja na temat „Co robić?” przyniosła w tym jednym już numerze dużo ciekawego materiału i to pod wieloma względami. Jedną z cech zaczętej dyskusji jest fakt, że autorzy krajowi piszą

o zadaniach emigracji bez dokładniejszej, wydaje się, znajomości stosunków emigracyjnych. Podobnie też przypuszczalnie będzie, tylko *à rebours*, z zabierającymi głos emigrantami politycznymi, których wypowiedzi i zawarte w nich postulaty nie będą prawdopodobnie odpowiadać rzeczywistości w Polsce. Brak wystarczającego rozeznania sytuacji przez obydwie strony doprowadzić może do sformułowania zbyt dużej ilości „pobożnych życzeń” które, spełniając dekoracyjną jedynie rolę programu, przesądziłyby z góry o jego niewykonalności. Nie jest to jednak równoznaczne, w moim pojęciu, z odrzucaniem *a priori* tzw. celów utopijnych gdyż, jak przypomina J. Mieroszewski, „wszelki postęp w fazie embrionalnej jest utopią”. Podobnie też potrzebne są w pewnym stopniu „księżycowe” kategorie myślenia, o których z kolei pisze Redakcja *Kultury*, chcąc być może przygotować czytelnika na część „księżycowych” aspektów, jakie zapewne towarzyszyć będą końcowej fazie zaczętej dyskusji i wynikającym z niej wnioskowi. Trudno jednak chyba będzie doszukać się analogii między „księżycowością” Piłsudskiego z lat 1905-1920, o której pisze Redakcja, a najlepiej nawet wypracowanym obecnie, teoretycznym, schematem działania jeżeli działanie to nie będzie poparte czynem, co właśnie charakteryzowało Piłsudskiego i zadecydowało o jego wielkości. W okresie, jaki dzieli nas od romantycznego zrywu Piłsudskiego, słowa straciły dawny sens a co najgorsze — przestały reprezentować ukształtowane w ciągu wieków wartości, utrudniając tym bardziej przygotowanie programu, który nie byłby jedynie przedmiotem sceptycznych uśmiechów.

Polemika między J. Mieroszewskim a A. Bromke, będąca punktem wyjścia dyskusji, dotyczy tak obszernej tematyki, że jedyne co można zrobić w krótkim artykule, to wybrać kilka zaledwie problemów, ujmując je nadto w telegraficznym skrócie.

Po przeczytaniu artykułu p. Bromke niezbyt się mogłem zorientować co właściwie autor ma nowego do zaproponowania emigracji i Krajowi? Polityczne ambicje p. Bromke wydają mi się szkodliwe nie dlatego nawet że są sprzeczne z podstawowymi zadaniami, jakie winna spełniać emigracja polityczna, ale z uwagi na fakt, że w wytworzonej na emigracji sytuacji polityka p. Bromke mogłaby się stać *jedyną* polityką Polaków za granicą i wówczas przyniosłaby ogromną szkodę sprawie polskiej. Wszyscy, którzy nie zatracili poczucia rzeczywistości (łącznie z trzeźwo myślącymi komunistami — tacy też się trafiają) są zgodni, że rola emigracji winna polegać na zastępowaniu kraju w tym, czego w Polsce robić nie można. Realizacja polityki p. Bromke spotka się oczywiście z poparciem Warszawy, gdzie nie będzie on jednak uważany za partnera lecz za wykonawcę

tego, co odpowiada ustrojowi komunistycznemu i w ten sposób zatraciłaby się celowość istnienia emigracji.

Na marginesie wyszczególnionych przez Mariana Kowalskiego zadań, jakie winna spełniać emigracja polityczna, nie sposób pominąć całkowitym milczeniem bardzo złożonej problematyki i kryzysu — nazwijmy go ogólnie pokoleniowym — jakim dotknięte są wszystkie ośrodki emigracyjne. Wiadomą jest rzeczą, że trzon emigracji stanowią Polacy, którzy znaleźli się za granicą w latach 1939-45. Jest to emigracja, którą można nazwać tradycyjną, skupiającą w swoich rękach instytucje. Ona też nadaje do dziś ton emigracyjnemu życiu. Uchodźcy z Polski, którzy przybyli na Zachód po 1945 roku mieli stosunkowo bardzo małe możliwości wpływania na życie emigracyjne. Tak jest właściwie do dnia dzisiejszego i to też jest powodem, że najświeższe fale emigrantów politycznych mają duże trudności w znalezieniu wspólnej platformy działania. Jednym z błędów emigracji tradycyjnej było to, że nie uwierzyła we własne siły. Większość ważniejszych poczynań była robiona w imię kraju, nigdy prawie dla kraju w imię emigracji, stąd tak częsta sztuczność tych poczynań, to odwoływanie się do „historycznych” stronnictw z jednoczesnym przyzymkaniem oczu na rzeczywistość. Obecnie, biologiczny proces kładzie kres wszystkiemu. Emigracja tradycyjna to przeszłość i przyszłość, w postaci historii, ale to nie terażniejszość której — jeśli chodzi o polityczne działanie — emigracja ta mieć już nie może. Potwierdza to również i ten pęd do historii, jaki wszędzie dziś widzi się wśród tego pokolenia, co w wyniku daje jeszcze dużo ciekawych publikacji, ale co już niewiele się przyczynia do rozwiązania naglących problemów chwili bieżącej. Zdanie sobie sprawy z pewnych błędów popełnionych na emigracji jest konieczne. W przeciwnym wypadku działalność pokolenia, które da ciągłość emigracyjnemu życiu charakteryzować się będzie podobnymi wadami. Do wad tych należy również przeogromna ilość różnych deklaracji i papierkowo-patriotycznych poczynań, co w konsekwencji doprowadziło do dwóch skrajności: z jednej strony teoretycznych postulatów, charakterystycznych dla tradycyjnych ośrodków emigracyjnych, a z drugiej „praktycznych” rozwiązań, do jakich zmierza polityka p. Bromke.

Rola emigracji, żeby była skuteczna, nie może być w Polsce błędnie oceniana. Kowalski, pisząc „O potrzebie programu”, który winien być, według niego, wypracowany przez emigrację (na błędność tego rozumowania zwróciła już uwagę Redakcja *Kultury*), jest zdziwiony, że Mieroszewski czy też ktoś inny, mówiąc o wolnej Polsce, sejmie, wyborach itp., nie wyjaśnia „... kto i jak tę Polskę wyzwoli, kto przeprowadzi wolne wybory...” itp. Wydaje mi się, że to wszystko wchodzi już w zakres kompeten-

cji osób, które we Francji określane są mianem „Madame Soleil”. Nie dziwię się, że Kowalski chciałby się tego dowiedzieć, ale z tym można chyba iść do wróżki w Polsce, bo za granicą żadna wróżka więcej nie będzie umiała powiedzieć, tyle że robi to bez obawy „działania na szkodę państwa”. Trudno mi też zrozumieć do czego mogłaby służyć próba zdefiniowania przez emigrantów pojęcia socjalizmu? Na temat socjalizmu intelektualści na Zachodzie wyprodukowali dziesiątki tysięcy ton drukowanego słowa. Wszystko tam już zdaje się powiedziano, ale prawie nic nie zostało z tego zrobione. Socjalizm jest tutaj w dalszym ciągu maglowany, w sposób na ogół bardzo „uczony”, co nazywam raczej nie nauką lecz onanizmem, naukowym. Jeśli chodzi o intelektualistów emigracyjnych, to też już wyprodukowano wiele różnych rozpraw i obecnie dużo bardziej aktualne jest realizowanie wreszcie tego socjalizmu niż ponowne o nim pisanie. Zagubienie wokół pojęcia socjalizmu i praktycznego zastosowania jego doktryny, jakie można zaobserwować — mimo diametralnie odmiennej struktury politycznej — na Wschodzie i na Zachodzie, jest właściwie wynikiem ogólnego kryzysu państwa i ustroju, o czym warto w kilku słowach przypomnieć.

Pojęcie państwa nowoczesnego powstało w epoce humanizmu i Odrodzenia. Państwo to, w wyniku kilkunastowiecznej ewolucji, osiągnęło punkt kulminacyjny swojego rozwoju po pierwszej wojnie światowej. Wtedy to bowiem ustrój parlamentarny, będący ostatnią fazą tego rozwoju, wykażał kryzys, jakim dotknięte zostało współczesne państwo. Od zakończenia ostatniej wojny światowej kryzys ten coraz bardziej się pogłębia. W okresie międzyepokowym — w jakim obecnie żyjemy — nie wypracowano jeszcze nowego ustroju, który odpowiadałby technicznemu postępowi ludzkości. Partie polityczne na Zachodzie, nie reprezentujące częstokroć nic więcej poza demagogią, zdystansowane zostały przez mafie syndykatów, które kierowane są przeważnie przez tzw. lewicę. Problemy ustrojowe w krajach rządzonych przez partie komunistyczne — poza specyficznymi trudnościami, jakie wpływają z braku wolności w tych krajach — zbliżone są częściowo (czy też raczej dopiero będą) do problemów, z jakimi borykają się obecnie państwa zachodnie.

Jedną z lansowanych na Zachodzie idei ekonomiczno-politycznych, mającą być głównym ogniwem nowego systemu zarządzania, jest jak wiadomo idea partycypacji. Niewiele już jednak z tej idei zostało dlatego właśnie, że zagrażała partiom politycznym i opanowanym przez nie syndykatom. Bardziej bezpośredni udział obywateli nigdzie nie jest dobrze widziany. Jeżeli jednak na Zachodzie problem partycypacji nie stanowi warunku *sine qua non* postępu ekonomicznego, to w krajach rządzonych przez par-

tie komunistyczne bez autentycznego współdziałania obywateli w zarządzaniu gospodarką nie może istnieć autentyczna demokracja. Jak dosadnie wyraził się A. Litwin w majowym numerze *Kultury* (str. 67) — „Socjalizm nie można wyzwolić z totalitaryzmu jest mu bowiem „immanentny”. Totalitaryzm jest skutkiem monopolu własności środków produkcji i wymiany, jest prostym wnioskiem z faktu istnienia jedyne centralnego ośrodka dyspozycyjnego”. Dopóki nie zostanie przekształcony system zarządzania, twierdzenia tego nie można obalić. Problematyka ta musi być punktem wyjścia wszelkich rozważań o ustroju. Żadne ustawodawstwo zagadnienia tego nie rozwiąże, gdyż trzeba przede wszystkim przygotować ludzi. W okresie października 1956 roku pracownicy przedsiębiorstw nabyli wprawdy w wywożeniu na taczkach dyrektorów i delegatów partyjnych, co jednak nie jest wystarczającym doświadczeniem do kierowania zakładem. Później pozbawieni byli nawet i tej przyjemności, a innej umiejętności nie zdobyli, bo zlikwidowano autonomię rad robotniczych. Do dziś przeto nie wiadomo czy w ogóle jest możliwe — a zwłaszcza w ustroju socjalistycznym — zastosowanie szeroko pojętej partycypacji.

Z mieszanym uczuciem czytałem artykuł „Polityczna opozycja w Polsce” (*Kultura* nr 11/1974). Moda na mini-spódniczki i różne inne „mini” już mija. Aktualne są jeszcze mini-programy, do jakich zalicza się wyżej cytowany artykuł, w którym autor krajowy, udzielając rad kandydatowi opozycji w Polsce dosłownie pisze: „A przede wszystkim kup sobie kodeks karny i nigdy go nie przekraczaj”. Tego rodzaju propozycji w dziejach Polski jeszcze nie było, żeby kodeks karny był częścią składową programu politycznego. W artykule tym autor pisze również, że „totalitarna dyktatura w naszym kraju od dawna postawiła na nacjonalizm jako siłę scalającą naród pod swoim panowaniem”, z czego wysnuwane są wnioski o szkodliwości nacjonalizmu, który ciągle jest mieszany z szowinizmem. Wiadomą jest rzeczą, że uczucia narodowe stanowią dla partii komunistycznej jeden z psychologicznych elementów władzy. Temu celowi służyć ma m.in. fabrykowana przez komunistów historia ruchu podziemnego z czasu ostatniej wojny i wszelkie fałszywe o A.K., jakie tej historii towarzyszą. Podobną rolę miał spełniać film o „Hubalu”. Wszystko to jednak winno nas tym bardziej pobudzać do demaskowania kłamstw a nie do atakowania nacjonalizmu, zwłaszcza jeśli bliżej nie wyjaśnia się, co należy rozumieć przez szkodliwy nacjonalizm a co przez ogólnonarodowe wartości. W tej sytuacji grozi nam przysłowiowe wylanie dziecka z kąpielą. Jeżeli potępimy wszystko to czym manipulują komuniści, to cóż damy w zamian naszym rodakom: lekturę kodeksu karnego?!

Wypracowanie programu „Co robić?”, a zwłaszcza jego realizacja, zależeć będą przede wszystkim od postawy inteligencji twórczej czy też tzw. intelektualistów. Pod tym względem bierność inteligencji w Kraju nie napawa zbytnią otuchą. Dużą rolę odegrać tutaj mogą intelektualiści polscy na Zachodzie, szczególnie humaniści, o czym pisze Mieroszewski (*Kultura* nr 11/1974). Jest to jednak również problem bardziej skomplikowany niżby się to na pozór wydawało. Intelektualiści są na ogół przesadnie ostrożni w wypowiedaniu swojej opinii na temat Kraju, a to z uwagi na chęć utrzymania dobrych stosunków z tamtejszymi instytucjami, co, wydaje mi się, byłoby i tak możliwe bez tego panicznego lęku, że nie otrzymają wizy, zaproszenia na zjazd itp. Skuteczność działania intelektualistów zależeć też będzie od umiejętnego zorganizowania się a z tym, jak wiadomo, u Polaków najlepiej nie jest. W wykonywaniu swojego zawodu, technik pochłonięty jest przeważnie problemami maszyn, humanista natomiast problemami człowieka. Polscy humaniści-naukowcy żyją, pracują i piszą głównie w obcych środowiskach i językach i jeżeli nie mają bliższych kontaktów z emigracyjnymi ośrodkami, to obojętnieją na sprawy polskie, do których podchodzą na zimno, z wyrachowaniem a więc z nadzieją, że będą mile widziani w Polsce. Nie usprawiedliwia to oczywiście ich postępowania, za które odpowiedzialność ponosi również cała emigracja. Bardzo słaby jest kontakt naukowców z prasą emigracyjną, gdzie np. recenzje ich książek, ukazujące się w obcych językach, należą naprawdę do wyjątków. Stopień zaangażowania się intelektualistów, szczególnie humanistów, w problematykę krajową wiąże się — zwłaszcza jeśli chodzi o emigrantów z ostatnich lat — z atmosferą, jaka będzie panować na emigracji. I tutaj trudno dopatrzeć się różowych perspektyw.

Działalność Polaków na Zachodzie może być tylko wówczas skuteczna jeżeli będą im przyświecać te same kryteria reakcji w stosunku do Kraju i do środowisk emigracyjnych, w których żyją, czy też z którymi się stykają. Chodzi po prostu o potrzebę samej reakcji na ujemne zjawiska, których przecież nigdzie nie brak. Krytykowanie zła w Polsce z jednoczesnym przemilczaniem np. tego, co należy zmienić lub usunąć z życia emigracji będzie próbą stosowania podwójnej moralności, która prócz chwilowego efektu nie przyniesie żadnych trwałych korzyści.

Na Zachodzie, podobnie jak i w prasie emigracyjnej, wiele się pisze o Sołżenicynie. Zbyt jednak mało robi się, żeby stosować w życiu głoszone przez niego zasady. Najdłuższe, nawet artykuły nie zastąpią kilku niżej przytoczonych zdań Sołżenicyna, których treść winna też być punktem wyjścia przy opracowywaniu każdego programu i podejmowaniu każdej działalności tak

w Kraju jak i na emigracji. Słowa Sołżenicyna skierowane do Rosjan są jednocześnie aktualne w stosunku do nas wszystkich, bo przecież w dzisiejszym układzie świata wspólne są ludzkie problemy i wspólne będzie kiedyś ich rozwiązanie. W niewygodnym przemówieniu z okazji przyznania nagrody Nobla za rok 1970, Sołżenicyn pisał: „*Męstwo i sukces stają się naszym udziałem tylko wtedy, gdy decydujemy się na ofiary... Nie zastaniać się bezbronnością, nie składać dani życiowej bezstrosce, ale podjąć walkę!*” (Kultura nr 10/1972). W apelu, który Sołżenicyn napisał przed swoim wygnaniem z Rosji, autor stwierdza z goryczą: „*Tak bez reszty utraciliśmy poczucie człowieczeństwa, że za nędzną dzisiejszą strawę oddamy wszystkie zasady, duszę, wszystkie wysiłki naszych przodków, wszystkie nadzieje naszych spadkobierców — byle tylko nie zostało zburzone nasze żalosne bytowanie. Nie ma już w nas ani hartu, ani dumy, ani serca. Nawet śmierci atomowej się nie boimy... boimy się tylko gestu odwagi cywilnej! Byle by się od stada nie oderwać... Jeśli stchórzymy to przestańmy się skarżyć, że oddychać nam nie dają — sami sobie nie dajemy!*” (Aneks nr 4/1974).

W odpowiedzi na pytanie „Co robić?” nie byłoby chyba obecnie wskazane ustalać wykonania wielkich czynów, do których zresztą dochodzi się zwykle żmudną, wytrwałą pracą i przykładem dnia codziennego. Rzetelna informacja, piętnowanie kłamstw i wszelkiego w ogóle zła, prasowe dyskusje ułatwiające ścieranie się różnych poglądów, oraz reakcja na wszystko, co doprowadza do „skostnienia stosunków międzyludzkich i znieczulicy moralnej” — wymaga nie tyle programu ile dobrej woli i odwagi działania. Co należy do Kraju a co do emigracji — też z góry nie da się schematycznie ustalić. Jako przykład jednej z symptomatycznych dziś postaw warto przytoczyć zjawisko podobno dość często spotkane w uspołecznionych restauracjach w Polsce: gość zdenerwowany długim czekaniem zwraca się do stojącego z założonymi rękami kelnera i prosi go o obsłużenie. Kelner, nie ruszając się z miejsca, odpowiada spokojnie wskazując na drugiego kelnera: „kolega to zrobi!”. W dyskusji Kraj - emigracja, grozi nam zdaje się podobne *dictum*, że „kolega to zrobi”, może i zrobi ale kiedy i jak — oto pytanie?!

Tadeusz WYRWA

Paryż, w maju 1975 r.

Inauguracyjna dyskusja w londyńskim klubie «Kultury»

Co robić? było tematem inauguracyjnego zebrania klubu dyskusyjnego *Kultury* w Londynie w dn. 30 maja br. W zebraniu wzięło udział 35 osób. Poniżej zamieszczamy w skrócie niektóre wypowiedzi.

Brodziński: — Żądanie programu przychodzi z kraju. Powtarza się ono z taką regularnością, że to aż dziwi. Wygląda na to, że społeczeństwo w kraju żywi wiarę w magiczną moc SŁOWA. Możliwe, że u podstaw tej wiary leży przekonanie, że osiągnięcie niepodległości w 1918 roku było wynikiem szczególnej skuteczności pewnych programów. W postawie takiej do pewnego stopnia utwierdzać może propaganda władz PRL, która nieodmiennie wini politykę Polski przedwojennej za klęskę wrześniową. Więc jeśli polityka Polaków mogła spowodować utratę niepodległości, to przez analogię mogła też w innym momencie historycznym spowodować jej odzyskanie. Otóż, oczyszczając przedpole dyskusji, celowe będzie chyba wymienienie następujących prostych faktów.

1. „Programy” polskie nie odegrały żadnej praktycznej roli w odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Najpopularniejszy z istniejących wówczas sformułowanych programów, tj. program endecji, nie był programem niepodległościowym, a programem akomodacji z zaborcą rosyjskim.

2. Równie bez znaczenia dla sprawy niepodległości był program, czyli polityka rządu polskiego, w 1939 roku. Polityka ta mogła jedynie wybrać formę utraty niepodległości, nie mogła natomiast zapobiec samemu faktowi.

3. W roku 1945 — ditto.

We wszystkich wymienionych wyżej sytuacjach sprawa polska była w istocie swego rodzaju gestem poza gestami czynników polskich i określały ją siły zewnętrzne. Ponieważ w układzie sił nie nastąpiły do dziś żadne zmiany na korzyść czynnika polskiego, więc:

4. Żadne, najgenialniejsze nawet programy polskie nie potrafią wpłynąć na fakt najbardziej zasadniczy, jakim jest brak niepodległości. Czy wobec tego celowe jest mówienie o programach zależeć będzie od znaczenia, jakie temu słowu będziemy przypisywać.

Program jest wyliczeniem celów, określających działalność danej grupy w bezpośredniej przyszłości. Im dalej zakreślimy granice przyszłości, tym mniej specyficzny, a bardziej ogólny stanie się nasz program. Gdy granica czasu zostanie zupełnie

zniesiona, program przestaje być programem, a staje się ideą, wiarą, doktryną.

Programu nie należy mylić z prognozą. Sianie zamieszania w tej dziedzinie jest jedną z ulubionych broni polityków. Przypomnijmy następującą wymianę tzw. argumentów w czasie ostatnich wyborów w Anglii. Konserwatyści mówili, że o ile nie będzie kontroli nad żądaniami związków zawodowych, to będzie bezrobocie. Była to typowa prognoza przyszłości. Jednak Partia Pracy, nie troszcząc się zbytnio o poprawność logiczną czy faktyczną, potraktowała ją jako program i wołała z triumfem „Konserwatyści chcą bezrobocia”. Ta zreżymowana konfuzja pojęciowa przypuszczalnie dała Partii Pracy zwycięstwo w wyborach.

Najbardziej powszechne stosowanie tego właśnie nieporozumienia zaobserwować można w bloku sowieckim, w uzasadnianiu dzisiejszego programu socjalizacji prognozą nieuniknioności socjalizmu. Naukowo znacznie pewniejsza jest np. nieuchronność wyczerpania się energii słonecznej i w związku z tym kompletnego zamarcia ziemi. Tym niemniej nikt dzisiaj nie żąda na tej podstawie, aby natychmiast zacząć likwidować życie na ziemi robić wysiłki dla jej szybszego wyzębienia. Wprost przeciwnie, z dużym prawdopodobieństwem zaryzykować można hipotezę, że gdy ostateczne rozwiązanie stanie się bardziej widoczne, ludzkość dołoży starań, by je odsunąć jak najdalej. Tak więc, jeśli chodzi o socjalizm, sam fakt jego przewidywanego nadejścia nie jest warunkiem wystarczającym do umieszczania jego realizacji we współczesnych programach. Bo postulaty programowe mają swe uzasadnienie nie w tym że są nieuchronne, a że są pożądane.

Połączeniem programu z prognozą jest scenariusz w sensie takim, jaki to słowo ma w tzw. grach strategicznych. Metoda scenariuszowa polega na kolejnym braniu szeregu prawdopodobnych prognoz i dorabianiu do każdej z nich optymalnego programu działania.

W świetle tych rozważań widać, że programu dla Polski być nie może. W propozycji szukania programu zawarta jest *contradictio in definitione*. Znow, tak jak za dawnych lat zaborów, Polska skazana jest na ideologię. I znow, tak jak wtedy, jest to ideologia prosta, niewymagająca wielkiego wysiłku umysłowego do jej przyswojenia, zamykająca się w jednym słowie: Niepodległość. Jedyne co można zrobić, to zaopatrzyć ją w kodeks postępowania, dla ideologii tej najodpowiedniejszego.

Pragnąłbym tu zająć się dwoma paragrafami tego kodeksu. Pierwszy to sołżeniczowe „nie kłamać i nie pomagać w kłamstwie”. Istnieją podstawy do obawy, że zalecenie to zawiera w sobie element angielskiego *bootstrap fallacy* — problemu człowieka usiłującego unieść się przez ciągnięcie do góry butów, w których sam stoi. Jak może izolowane i pozbawione informacji i innych narzędzi rozeznania społeczeństwo wiedzieć, co jest kłamstwem, a co nie, a więc czemu przeskadzać i w czym pomagać? Kraj, świadomy tego dylematu, stosuje własną metodę, mianowicie nie wierzy w nic. Jednak na długą metę metoda ta

prowadzi do ignorancji i zaniku funkcji intelektualnej. Dlatego bardziej stosowne byłoby wyrażenie tego przykazania w formie aktywnej: Szukaj prawdy i głoś ją. To sformułowanie implikuje nie tylko odrzucenie kłamstwa, ale kwestionowanie dogmatów, sloganów i drętwej mowy, implikuje ćwiczenie sceptycyzmu, krytycyzmu, samodzielnego myślenia, słowem zajęcia postawy tradycyjnie niezbyt popularnej wśród Polaków nie tylko w niewoli ale i na wolności.

Drugi paragraf brzmi „Nie bądź ksenofobem, bądź tolerancyjny”. Przykazanie to wydaje się szczególnie ważne i aktualne teraz, gdy mamy jeszcze w pamięci wątpliwą postawę społeczeństwa w sprawie inwazji Czechosłowacji i wcześniej w okresie wypadków marcowych, gdy tłumaczenie, że akcja prowadzona była przeciwko studentom-Żydom okazało się wystarczające do rozbrojenia dużej części społeczeństwa. I znów: łatwo powiedzieć, trudno wykonać. Tolerancja jest cnotą, nabytą w ciągłym stykaniu i ścieraniu się z innością i nie można oczekiwać cudów po grupie ludzi żyjącej w odosobnieniu w warunkach totalistycznego *Gleichschaltung*.

W związku z tym zarysowuje się rola emigracji. Emigracja pomaga, ułatwia niekiedy nawet wprost umożliwia krajowi obserwowanie obu powyższych przykazań. Co do pierwszego — emigracja dostarcza krajowi informacji, obala kłamstwa propagandy krajowej, przekłująca balony komunistycznych dogmatów, daje materiał do rozeznania się między prawdą a kłamstwem. Co do drugiego — emigracja jest chyba jedynym na większą skalę pomostem między polskim barakiem obozu socjalistycznego, a światem zewnętrznym. Obraz współczesnego Rosjanina bardzo przypomina prototyp tradycyjnego dzikusa z dżungli, choć dziś dzikusów prawie że nie ma, a i z dżungli niewiele zostało. To, że polski krajowiec tak bardzo różni się od tego stereotypu, jest w dużym stopniu zasługą emigracji.

Ale kraj duży, a emigracja mała, a jeszcze mniejsze środki, jakie na ten cel może ona poświęcić. Tym gorzej więc, że te środki, jakie są, nie są najlepiej wykorzystane. Swe najważniejsze zadanie spełnia emigracja mimochodem, jako produkt uboczny prywatnych powiązań poszczególnych jednostek. Natomiast w swym aspekcie zbiorowym, jako organizacja, jako „emigracja polityczna”, emigracja nasza wyraźnie nie dorasta do zadania. Jej efektywność znacznie pomniejszona jest przez te same grzechy, które chce zwalczać w kraju. I my mamy tu swoją drętwą mowę, swoich bohaterów pozytywnych, swoje dogmaty i slogany. Oto kilka ilustracji:

1. Przez wiele lat działalność emigracji zasilana była pieniędzmi amerykańskimi. Tak się złożyło, że zasiłki te kanalizowano przez wywiad, czyli wojsko, a że sprawa polska miała i ma bardzo niski priorytet, więc do zawiadywania nią delegowano wojskowych niskiego szczebla. Obrazowo powiedzieć można, że w sprawach polskich decydowali sierżanci amerykańscy. Stąd chyba przyjęło się u nas szereg „kowbojskich” dogmatów. Klasyczny

spośród nich to rozróżnianie między członkami partii (łącznie z organizacjami podległymi jak ZMS) a innymi ludźmi. Podział ten stosowany przy udzielaniu turystom wiz do USA, i może tam ma on jakiś sens. U nas natomiast — nie. Ocenianie działalności pisarza, dziennikarza, czy nawet piosenkarza nie według tego, co powiedział, a według tego, czy jest w partii, jest odbiciem komunistycznej oceny ludzi według ich pochodzenia.

W dziedzinie międzynarodowej potępianie i wrzucanie do jednego kotła wszystkich komunistów, czy to będą Chińczycy, czy Jugosłowianie, czy dubczekowcy, najdobitniej świadczy o spustoszeniu umysłowym, spowodowanym kaprałskim podejściem.

Do tej samej kategorii zaliczyć należy także dogmat o niejeździe do kraju, dawno już milcząco zdezawuowany, ale nigdy oficjalnie nie odwołany.

2. Bohaterów pozytywnych mamy na emigracji kilka rodzajów. Ograniczę się do przypomnienia tylko jednego z nich — bohatera, który osiąga wielkie sukcesy w wycofywaniu publicznych funduszy z użytkowania społecznego i przenoszenia ich na rachunki prywatne.

3. I sprawa najważniejsza — emigracyjna drętwa mowa. Pięć lat od 30 lat o dobrodziejstwach zachodniej demokracji i socjalizmu i nawet nam się nie śni spojrzeć na to, co tak zachwalamy. Trzeba było dopiero młodzieńca z kraju (Krajowiec, *Kultura* Nr 332), żeby powiedział „król jest nagi”. Jeśli nie chcemy stracić *credibility* musimy wreszcie zacząć mówić prawdę. Że demokracja to m.in. amerykańskie Watergate i angielska anarchia. Że na Zachodzie socjalizm to tylko partyjna nalepka, nie lepsza i nie większą treść posiadająca co „radykalizm” czy „republikanizm”. Że wolne związki zawodowe mogą być opanowane przez komunistów — jak w Anglii, albo przez kryminalistów — jak w Ameryce, a wszędzie i zawsze są one wrogiem socjalistycznej równości. Że od socjalizmu do totalizmu to czasami tylko jeden krok...

Powinniśmy też zacząć mówić prawdę o nas samych. Że jesteśmy opanowani przez wątpliwą jakość przerosów, którzy terroryzują nas, narzucając konformizm i nietolerancję, którzy ogłupiają nas prymitywnymi dogmatami i marnują naszą energię na spory i walki między sobą. Poznanie tej prawdy jest ważne przede wszystkim dla nas samych. Bez tego nie uzdrowi się emigracji, nie da jej się pełnej sprawności w oddziaływaniu na kraj.

W tej chwili emigracja spełnia swą pozytywną funkcję immanentnie, przez sam fakt swego istnienia. Istniejąc sprowadza ona krewnych i znajomych z kraju, jeździ do kraju, wysyła paczki. Dzięki temu informuje ona kraj i utrzymuje go w łączności ze światem. Proces ten następuje jednak wbrew *establishment*’owi emigracyjnemu, którego polityka utrudnia przepływ ludzi i wymianę myśli między krajem a emigracją.

F. Śmieja (wypowiedź nadesłana): — W Kanadzie, jak w Londynie, nie można uzyskać rozliczeń z funduszy społecznych i

wywalczyć demokratycznych praw bez uciekania się do sądu (w naszym wypadku — kanadyjskiego). Różni prezesi bezkarnie zupełnie sobie poczynają. Ci, kurczowo trzymający się swoich stanowisk, działacze są równie wielkim niebezpieczeństwem, co agenci UB, bo jak korniki drażą żywą tkankę naszego społeczeństwa i zmuszają ludzi do oddalania się — najpierw od polskości zorganizowanej, potem od polskości w ogóle. Jeżeli nie zdobędziemy się na większą tolerancję, nie pozwolimy na większy luz i nie damy sobie więcej zaufania, to przypadniemy z kretesem po inkwizycyjnych procesach i patrzaniu sobie na ręce i w zęby. Łobodowski mówi o potrzebie więzi moralnej. Aczkolwiek tę ostatnią trudno adekwatnie zdefiniować, to chyba chodzi właśnie o to, by to coś, co nas łączy, było najważniejsze i pozwoliło nam chodzić razem bez musu konformistycznych postaw i deklaracji, na które coraz mniej ludzi pójdzie. Myślę, że Kongres w Kanadzie położył się w praktyce właśnie na tym, że zamiast reprezentować najlepsze dążenia wszystkich, został opanowany przez SPK, które, uchwyciwszy 50% + głosów, chce dyktować całą politykę kanadyjskiej własną politykę. Dlatego wycofał się Związek Polaków i nie biorą udziału inni.

Stworzenie prawdziwej więzi solidarności to w tej chwili rzecz najbardziej warta zachodu.

S. Wąsik: — Zainicjowanie dyskusji w *Kulturze* było bardzo niefortunne, bo po ogłoszeniu dwóch głosów redakcja oświadczyła, że jednemu z nich wolno dalej mówić, a drugiemu nie. Jest to niewłaściwe bez względu na merytoryczne racje jednej czy drugiej strony. Przechodząc do samego programu, chciałbym powiedzieć, że nie może być programu emigracji, bo program jest to *credo* polityczne ludzi o tych samych poglądach. Tymczasem na emigracji ciągle jeszcze istnieje wielokierunkowość polityczna. Jeżeli program ma wyjść poza najbardziej oklepane ogólniki, musi zawierać elementy rozwiązań normalnych problemów każdego państwa. Rozwiązania te będą tak zróżnicowane, jak kierunki polityczne. Jeśli chodzi o środowisko socjalistyczne, to istnieje Unia Socjalistyczna Europy Środkowo-Wschodniej, reprezentująca 10 krajów, która opracowała wspólny program pod nazwą „Alternatywa Socjalistyczna dla Środkowo-Wschodniej Europy”. Zaletą tego opracowania jest to, że odnosi się ono do względnie dużego terenu, co ma znaczenie w polityce zagranicznej. Minusem jest zaś to, że z natury rzeczy jest ono bardzo ogólnikowe, w związku z czym poszczególne partie członkowskie uzupełniały je na swój użytek. PPS zrobiła to we wczesnych latach 60-tych.

Należy rozróżnić między programem maksymalnym a minimalnym. Pierwszy z nich określa cele tak odległe, że zbliża się do abstrakcji, drugi — zawiera to, co może być realizowane w obecnych warunkach. Tego rodzaju potraktowanie tematu bardzo oczyściłoby dyskusję. Bo gdy dziś ktoś na emigracji powie coś o charakterze programu minimalnego, to od razu okrzyknięty

jest za zdrajcę; wytyka mu się, że nie chce niepodległości, tylko np. swobody dla związków zawodowych. Z kolei programy maksymalne — niepodległość, demokracja, socjalizm — uznane będą przez wielu za zupełnie nierealne. Wpadamy wtedy w sytuację beznadziejności, o której mówi L. Kołakowski w artykule „O nadziei i beznadziejności”. Potrzebny jest i program maksymalny, żeby ludzie nie mieli poczucia, że tutaj też kłamią — co innego mówią, a co innego myślą; i program minimalny, wokół którego można by zorganizować opór społeczeństwa. Bo opór ten musi mieć za przedmiot jakieś codzienne, realne zagadnienia. Nawet taki najdrobniejszy program połączy i zaktywizuje ludzi w kraju tak, że gdyby sytuacja światowa zmieniła się i naród mógł o czymś sam decydować, będzie miał do tego pewne przygotowanie. Według mnie jednym z takich drobnych ale istotnych celów, o które trzeba walczyć, jest stworzenie warunków, aby nie było w Polsce „liszeńców”, który to termin oznacza w Sowietach dysydenta, człowieka nieistniejącego (*un-person*). Rosja carska nie znała tego pojęcia, opozycjonista mógł pracować, zarabiać i żyć. W Sowietach taki człowiek skazany jest na niebyt; jeśli żyje to tylko na utrzymaniu najbliższych, dla których jest ciężarem.

Powinien nastąpić podział zadań. Każdy program opiera się w jakiś sposób na analizie sytuacji światowej. Ta analityczna część może być bardziej skutecznie wykonywana na emigracji, gdzie są ludzie, którzy mają instytucjonalne kontakty z politykami zagranicznymi i którzy mogą właściwiej ocenić sytuację. Nasza analiza nie powinna ograniczać się do *Ostpolitik-Westpolitik* Bromkego i Mieroszewskiego, tylko powinna zająć się *Welt-politik*. Natomiast program roboczy powinien być w rękach czynnika krajowego.

T. Prokopowicz: — Nieporozumieniem jest żądanie, aby cała emigracja występowała z jednym programem, ma ona bowiem wiele partii politycznych i ideologii. Jednak w niektórych sprawach emigracja powinna mówić jednym głosem. Istniejące ruchy polityczne powinny opracować projekt ogólnego programu, który powinien zostać przekazany do kraju i wtedy na podstawie odzewu kraju będziemy mogli postępować dalej. Każdy program po kilku latach przestaje być aktualny. W latach 60-tych pracowaliśmy w PPS bardzo długo nad programem „Cel i Droga”, który poszedł do kraju i omawiał dość szeroko wiele zagadnień. Natomiast w 1970 roku doszliśmy do wniosku, że nie jest on aktualny i podeszliśmy do formułowania programu inaczej. Wydrukowaliśmy mianowicie ankietę, zawierającą przeszło 90 pytań, która bardzo szeroko rozeszła się po kraju. Z tego tworzymy zręby nowego programu. Ale inne stronnictwa też powinny układać swoje programy, gdyż dopiero wtedy damy obywatelowi demokratyczny wybór.

Gość z Kraju: — Wysyłanie formularzy do Polski przez różne partie na Zachodzie wydaje mi się nierealne i groźące złymi kon-

sekwencjami. Wygląda, że miałyby tam odbyć się jakieś tajne wybory, które wyłoniłyby reprezentację, urzędującą na emigracji. Jest to skazane na niepowodzenie. Te formularze, które docho-dziłyby do Polski nie miałyby żadnego oddźwięku. Prawie nikt w Polsce nie wie jakie są polskie partie polityczne na Zachodzie. Nie widzi się np. różnicy między endecją a PPS — dla młodego czy średniego pokolenia to po prostu zwykła sanacja, czyli coś mającego związek z okresem przedwojennym. Dyskusja i wymiana poglądów będzie znacznie skuteczniejsza, gdy będzie odbywała się przez prasę, a nie przez próbę odtwarzania tych struktur politycznych, które nie odnoszą się do społeczeństwa w kraju. Nie widzę powodu, dlaczego ankietę w kraju miałyby robić różne partie, co wymagałoby wysyłania wielu formularzy. Wystarczyłby jeden ogólny formularz nie przeznaczony dla określonej partii. W ogóle nie widzę potrzeby łączenia takiej ankiety, potrzebnej do określenia programu, z partią czy partiami politycznymi.

R. Piłsudski: — Można mówić o dwóch typach programu: roboczym, zajmującym się tym, co można robić aktualnie, i wizyjnym, odnoszącym się do problemów długofalowych.

Nie jest zgodne ze stanem faktycznym to, co często znaleźć można w wypowiedziach krajowych, np. na łamach *Kultury*, że na emigracji nie było i nie ma programu roboczego. Pierwszy program z tej kategorii został opracowany czy zdefiniowany już w 1945 roku. W Polsce istniał wtedy ruch oporu i na emigracji obawiano się, że dojść może do beznadziejnego z punktu widzenia Polski konfliktu z Sowietami. Zdawano sobie sprawę, że cała organizacja ruchu podziemnego, która nastawiona była na działanie przeciwko Niemcom, absolutnie nie nadaje się do przeciwstawiania się aparatowi sowieckiemu. Dlatego program ówczesny ujęto w ten sposób: zadaniem kraju jest przetrwać, zadaniem emigracji — działać, a nawet, jak to sobie wyobrażali niektórzy entuzjaści, walczyć. Żeby zrozumieć ten program, trzeba zdać sobie sprawę z sytuacji, w jakiej wówczas znajdował się świat. Był to okres, gdy Ameryka miała jeszcze monopol na bombę atomową i w związku z tym koncepcja wyzwolenia Polski z zewnątrz przez tzw. ultimatum atomowe — niekoniecznie wojnę — była koncepcją o pewnych podstawach prawdopodobieństwa. Związane z tym było założenie, że emigracja będzie trwała krótko i że nie warto tworzyć żadnych specjalnie emigracyjnych form organizacyjnych, a należy zachować te formy w których działano podczas wojny. W ten sposób zrodziła się koncepcja „państwa na emigracji” z namiastką prezydentów, premierów, wodzów naczelnych itd.

W tym podziale zadań między krajem a emigracją emigracja grała rolę główną, aktywną — ona miała, u boku swych sojuszników, wyzwalać kraj, który miał tylko biernie czekać na wyzwolenie.

Ten stan rzeczy trwał do roku 1956 tzn. do polskiego Paź-

dziennika. Wtedy istniejący program zdezaktualizował się. Grało tu rolę wiele czynników. Po pierwsze Ameryka straciła już monopol atomowy. Po drugie — koncepcja mandatów krajowych, na których opierali swoje tytuły przedstawiciele partii politycznych i cały legalizm, coraz bardziej ulegała przedawnieniu. Z drugiej strony okazało się, że w wierchuszce partyjnej w Polsce istnieją rewizjoniści i że istnieje też nacisk społeczeństwa, które w pewnych warunkach potrafi wydusić na reżymie pewne ustępstwa.

Na tym tle zrodził się program etapowy. Uważano, że to, co nastąpiło w Październiku, może nastąpić za 5, 6 czy 7 lat jeśli sytuacja będzie ku temu odpowiednia, a więc że Polska może odzyskać swą niepodległość stopniowo. Jednak między tymi etapami coś musi się dziać. Otóż spodziewano się, że między tymi etapami postępować będzie ewolucja. Zakładano, że ewolucja jest możliwa w systemie komunistycznym. Od razu jednak powstanie węgierskie wykazało, że zarówno etapy jak i ewolucja ograniczone są barierami, poza które wyjść nie można, bo dochodzi wtedy do interwencji sowieckiej. Na przykładzie węgierskim okazało się, że barierami tymi są: przynależność do Paktu Warszawskiego i nienaruszalność monopolu władzy komunistycznej.

Od tego momentu nastąpiło przeszuflowanie pozycji kraju i emigracji. Uznano, że tylko kraj jest tym czynnikiem, który może wpływać na odzyskiwanie niepodległości, emigracja natomiast zeszła do roli pomocniczej. Od tego czasu — z wyjątkiem ludzi, którzy zatrzymali się w myśleniu na r. 45 — stawało się coraz bardziej oczywiste, że ponieważ doktryna o nadrzędnej roli emigracji jest nieaktualna, przestaje też być aktualna cała konstrukcja oparta na tej doktrynie, a więc legalizm, stronnictwa historyczne itd., natomiast emigracja powinna zacząć opierać się na własnych żywych siłach, tzn. na młodych pokoleniach. Jednocześnie powstało pytanie, jak zdefiniować pomocniczą rolę emigracji. Tu przyjęto zasadę, że emigracja ma tylko wtedy rację bytu, jeśli robi rzeczy, których nie można robić w kraju. Bo jeśli można je robić w kraju, to emigracja jest niepotrzebna. W związku z tym określono dwa zadania: 1) Rozwój niezależnej myśli politycznej. Polacy w wolnym świecie są zgodni w tym, że nie chcą komunizmu i że panujący w Polsce system powinien być zmieniony. Ale wyobraźmy sobie, że istniejący system zawala się w pewnym momencie. W kraju żadnej koncepcji alternatywnej nie można wypracować. Nie dlatego, żeby tam nie było odpowiednich ludzi, ale dlatego, że nie ma warunków praktycznych — takich jak szeroka dyskusja, prasa, zebrania itp. A więc to zadanie, jeśli ma być zrobione, może być zrobione tylko na emigracji. Nie dlatego, że emigracja jest do tego powołana, ale wprost ze względu na warunki, w jakich się znajduje. 2) Informowanie i oddziaływanie na opinię tzw. wolnego świata po linii interesów polskich. O ile w 45-tym roku tego rodzaju oddziaływanie było możliwe na szczeblach odgórnych, bo były kontakty między polskimi a zagranicznymi czynnikami wojskowymi i politycznymi,

to jednak pod wpływem czasu o ile nic nie zmieniło się na odcinku polskim — bo wszyscy pozostali na tych samych stanowiskach a nawet awansowali — to w świecie rzeczywistym, tzn. na Zachodzie sytuacja ulegała zmianie, jedni ludzie odchodzili, szli na emerytury, na ich miejsce przychodzili ludzie zupełnie nowi. Doszło do tego, że różni polscy ambasadorzy, którzy ongiś mieli bardzo dobre kontakty na wysokim szczeblu, w miarę upływu lat odsyłani są do coraz niższych referentów i stykają się dziś z ludźmi 20-30-letnimi, dla których są już tylko zabytkiem przeszłości. Dlatego oddziaływanie na opinię publiczną odbywać się musi zupełnie inaczej, mianowicie oddolnie, przez tzw. *pressure groups*, przez dziesiątki i setki polskich naukowców rozsiadanych po najrozmaitszych uniwersytetach, przez młodzież tu urodzoną i wychowaną, przez wyborców polskiego pochodzenia, którzy mają dużo do powiedzenia nie tylko w Stanach Zjednoczonych, Francji ale i w Anglii. Mieliśmy już wypadki, gdzie odpowiednio zmobilizowane polskie głosy doprowadzały do wyboru odpowiedniego przedstawiciela.

W miarę tego, jak w Polsce następował odwrót od Października, zaczęto w pełni zdawać sobie sprawę, że koncepcja ewolucji może działać tylko wtedy, gdy jest poparta naciskiem całego społeczeństwa. Jeśli Gomułka mógł tak łatwo wycofać się z całego szeregu obietnic danych społeczeństwu w Październiku, to było to w dużej mierze wynikiem tego, że — zgodnie zresztą z polskim charakterem, słomianym ogniem itd. — społeczeństwo siedło na laurach i nie stosowało nacisków i protestów, gdy te były potrzebne. Istnieje konieczność nacisku, nacisku pełnego, bo tylko wtedy daje to rezultaty. Rok 68 jest typowym przykładem, jak nacisk niepełny, ograniczony tylko do studentów, nie daje wyniku. Podobnie rok 1970, gdzie wystąpili robotnicy, ale nie studenci i inteligencja. Osiągnięto wtedy wprowadzić pewne korzyści gospodarcze, ale nie polityczne. Dlatego jeśli nacisk w kierunku ewolucji ma mieć praktyczne znaczenie, istnieje absolutna konieczność współdziałania tych dwóch elementów — inteligentkiego i robotniczego. Jak wiemy zagadnienie to nie zostało jeszcze w kraju w odpowiedni sposób rozwiązane.

Od roku 1970 pogłębia się przekonanie, że o jakichś poważniejszych zmianach w Polsce można mówić i myśleć tylko wtedy, gdy nastąpią jakieś zmiany w Rosji. To nie znaczy, że jest niemożliwe wykorzystywanie takich czy innych luzów, ale osiągnięcia poważniejsze, dopóki system w Rosji nie ulegnie zmianie, są nierealne. Z tego względu zagadnienie dysydentów rosyjskich z jednej strony, a odśrodkowych ruchów nacjonalistycznych z drugiej — nabiera kluczowego znaczenia dla wyzwolenia Polski. Gdy cała sprawa zaciąga się i nie można powiedzieć kiedy Polska będzie wolna, a raczej zastanawiamy się, czy Zachód potrafi utrzymać wolność, to nie sądzę, aby postulat wysuwany w kraju — wypracowania jakiegoś programu roboczego na emigracji był postulatem realnym. Nie jesteśmy w stanie wyjść poza koncepcję ewolucji pod naciskiem, ewolucji ograniczonej, prowadzącej

się do pewnej praktycznej poprawy i do naszego współdziałania z tymi czynnikami w Związku Sowieckim, które dążą do zmiany.

Na zakończenie kilka słów o programie wizyjnym. My, Polacy zawsze wiemy kto jest naszym odwiecznym wrogiem, a kto przyjacielem. Ale gdy zapytać, jakie są polskie trwałe interesy narodowe, to otrzymamy tyle odpowiedzi, ilu mamy rozmówców. Mówiąc w podobnym kontekście lord Salisbury powiedział, że Wielka Brytania nie ma wiecznych wrogów ani wiecznych przyjaciół, ma jedynie wieczne interesy.

O ile trudno jest sprecyzować, co można by dziś praktycznie zrobić, o tyle możemy podjąć pracę nad zdefiniowaniem naszych trwałych narodowych interesów.

Zebranie zagaili B. Brodziński i R. Piłsudski; odczytano fragmenty artykułów L. Kołakowskiego i „Krajowca”, zamieszczonych w Kulturze po czym nastąpiła ogólna dyskusja, w której brali udział m.in. S. Grot, Jagodziński, B. Stypiński, J. Poniatowski, Al. Stypułkowska, K. Rowiński, K. i W. Draczyński, C. Z. Srogowie, J. Kulczycki, Andrzej Stypułkowski, J. Stenzel.

ZAPRENUMERUJ **“AN
POLITYCZNY
KWARTALNIK EKS”** do ocenzurowanej prasy
w Polsce

A N E K S

Ukazał się podwójny, 7/8 numer ANEKSU — 320 stron. W numerze m.in.: M. Hirszowicz: O granicach racjonalności społeczeństwa planującego, B. Lewickij: Lewicowa opozycja w ZSRR; ARCHIPÉLAG WOLNEJ MYŚLI — opozycja w ZSRR;

A. Sołżenicyn: List do przywódców ZSRR

A. Sacharow: O liście A. Sołżenicyna, a także

A. Amalrik, A. Bielinkow, W. Grossman, E. Kuzniecowa, N. Mandelstam, Ż. i R. Miedwiediew, W. Osipow, G. Pomeranc.

Cena nr. 7/8 — Skr. 20; \$ 5,50.

Rocznie 4 numery, ok. 640 stron — Skr. 36; \$ 10.

Zamówienia z załączoną wpłatą prosimy kierować na adres:

„ANEKS” — Box 23057,

S-750 23 UPPSALA 23, SWEDEN — SUÈDE

Nakładem „ANEKSU”

WŁODZIMIERZ BRUS

„USPOŁECZNINIENIE A USTRÓJ POLITYCZNY — NA TLE DOŚWIADCZEŃ SOCJALIZMU WSCHODNIOEUROPEJSKIEGO”

Tematem książki wybitnego ekonomisty jest analiza ekonomicznych warunków ewolucji systemu politycznego we Wschodniej Europie.

Cena Skr. 30; \$ 7,50

Zamówienia z załączoną wpłatą prosimy przysyłać na adres:

„ANEKS”, Box 23057, S-750 23 Uppsala 23, Sweden — Suède.

Archiwum polityczne

U.S.A. - dzisiaj

Okazuje się jeszcze raz, że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej. Gdyby Stany Zjednoczone nie zareagowały militarnie na uprowadzenie statku „Mayaguez” przez Kambodżę, ale utopiły całą sprawę w próbach dyplomatycznych interwencji, byłoby to równoznaczne z ostatecznym i bezapelacyjnym przekreśleniem Ameryki nie tylko jako czyjegokolwiek alianta ale jako mocarstwa, z którym należy się w ogóle liczyć. Nie podobna bowiem byłoby żywić wówczas nadziei, że państwo niezdolne do ryzyka ochrony swoich statków i swoich załóg, zagarniętych niefrasobliwie przez Kmer Rouge, wystąpi jako sojusznik w sytuacjach o wiele bardziej niebezpiecznych.

Z drugiej strony wykonanie samej operacji ratowania „Mayaguez” nie pociągało za sobą najmniejszego ryzyka jakiegokolwiek międzynarodowej konfrontacji. Za nieidentyfikującymi się ideologicznie rewolucjonistami Khmer Rouge, nie stał właściwie nikt, gotów do udzielenia im militarnej pomocy. Mogli liczyć tylko na polityczno-moralne poparcie wszelkich tzw. wyzwoleńczych czyli antyamerykańskich ruchów, ChRL oraz niektórych organów prasy europejskiej — w tym głównie francuskiej. Jediną konfrontacją, która groziła Prezydentowi Fordowi — była ewentualność konfrontacji wewnętrznej — z Kongresem i amerykańskimi *mass media*. Te w wypadku fiaska operacji przekreśliłyby ostatecznie jego szanse w najbliższych wyborach, które zresztą i tak nie przedstawiają się dla Republikanów różowo. Wydaje się w ogóle, że Gerald Ford bardziej lęka się konfrontacji z Kongresem i amerykańską prasą niż ze Związkiem Sowieckim.

Mimo tego, że imprezy „Mayaguez” nie podobna oceniać inaczej niż w mikrowymiarach, dla wielu Amerykanów, wierzących wciąż w to, że kraj ich jest rzeczywiście śpiącym gigantem, którego coś wreszcie kiedyś obudzi — uratowanie statku i jego załogi interwencją militarną, stanowiło zastrzyk optymizmu i

skłania do przypuszczenia, że zaufanie do Ameryki w krajach zagrożonych ekspansją komunizmu znacznie wzrosło. Wiara ta, moim zdaniem, nie oparta jest na żadnych racjonalnych przesłankach.

Od jakiegoś czasu amerykańskie pisma opozycyjne — a więc nie te, które są przeciw rządowi, ale te, które wyłamują się z monopolu politycznego *mass media*, stawiają pytanie: „Czy bezpiecznie jest być sprzymierzeńcem Ameryki?”. Ich odpowiedzi brzmią na ogół negatywnie: że bardzo niebezpiecznie i że lepiej nie być. A jeżeli już być, to lepiej na Amerykę nie liczyć. Według mnie należy postawić bardziej bezpośrednie pytanie: „Czy bezpiecznie jest być Ameryką?”. O to się nikt nie pyta, ponieważ aksjomat amerykańskiej potęgi ekonomicznej i wojskowej nie jest kwestionowany. I tu Amerykanie, lubiący wszystko mierzyć w tonach i miliardach, ulegają bardzo niebezpiecznej iluzji. Albowiem kraj nawet z 90 miliardowym budżetem wojskowym i najbardziej zaawansowaną techniką wojenną, ale pozabawiony woli walki, jest tylko złudzeniem potęgi. Jest jeszcze bardziej bezbronny od biednego i skołowanego królestwa Syjamu, które musiało się obrazić na Amerykę za użycie jego baz do operacji „Mayaguez”, żeby nie narazić się Laosowi i tajemniczym rewolucjonistom Khmer Rouge, którym przecież pewnego dnia może przyjść ochota, by wysiedlić całą ludność Bankoku, jak to uczynili z 3 milionami mieszkańców Phnam Penh.

Pomimo więc chwilowego ożywienia i fali optymizmu, wywołanego operacją „Mayaguez”, proces dezintegracji społeczeństwa amerykańskiego trwa nadal.

12 maja w Centralnym Parku w Nowym Jorku celebrowano uroczystość katastrofalnej klęski, jaką poniosły Stany Zjednoczone w Wietnamie. Około 50 tysięcy młodych ludzi zebrało się, by uczcić pierwszą wojenną klęskę Ameryki, którą nazwali „Zwycięstwem Pokoju”. Ponieważ nie po każdej przegranej wojnie następuje pokój i na ogół, jak uczy historia (jeśli w ogóle czegoś uczy), klęski są preludium do dalszych jeszcze krwawszych wojen, można mieć wątpliwości co do trafności owej nazwy. Ale jedną z cech lewicowych manifestantów Ameryki jest to, że wątpliwości do nich w ogóle nie docierają. W każdym razie nie w tym stopniu, żeby skłonić ich do zastanowienia się nad tragiczną i złowróżbną wymową całej imprezy. Zresztą niektórzy z nich czcili zupełnie otwarcie nie tyle „Zwycięstwo Pokoju” ile zwycięstwo Północnego Wietnamu, na co wskazywały chorągiewki z emblematami Hanoi i Wiet-Kongu, którymi tu i ówdzie powiewano. W tym wypadku manifestacja miała jednoznaczny charakter, ponieważ wiadomo było przynajmniej o co chodzi.

Na kilka dni przed uroczystością w nowojorskim parku i operacją „Mayaguez”, prezydent Ford miał przemówienie do kadetów w Kolegium wojskowym w Tulane. Oświadczył on, że

„wojnę w Wietnamie Stany Zjednoczone mają za sobą”. Pomylił się, bo nie mają, ale pomyłki Geralda Forda są nieważne. Ważna była reakcja kadetów — adeptów sztuki wojennej. Skomentowała ją w *New York Times*'ie p. Clare Booth-Luce, polityk starej generacji, b. ambasador USA we Włoszech: „Oświadczenie prezydenta Forda przyjęte zostało przez studentów w Tulane z entuzjazmem, który można jedynie przyrównać do euforii z jaką spotkało się ze strony Anglików słynne oświadczenie Neville Chamberlaine'a, gdy w roku 1937 wracał z Monachium, głosząc, że przynosi pokój dla żyjącego pokolenia”.

Entuzjazm kadetów w Tulane jest jednak bardziej zastanawiający od ogólnego nastroju amerykańskiej publiczności, która wypowiedziała się już niewielką większością głosów, że gotowa jest walczyć ale tylko w wypadku zagrożenia Kanady. I to chyba tylko dlatego, że w zagrożenie Kanady w ogóle nie wierzy. Wydaje się też, że kadeci, do których przemawiał Prezydent, radowali się nie tylko dlatego, że nie posła ich już na pewno do Wietnamu, ale w ogóle nigdzie tam, gdzie grozi wojna. Kadeci w Tulane są zawodowcami wojny. Zresztą obecnie armia amerykańska od chwili skasowania poboru składa się z ochotników, którzy wybrali karierę wojskową jako profesję. Jeśli reakcja kadetów — przyszłych oficerów odzwierciedla nastrój całej amerykańskiej armii, oznaczałoby to, że jest ona wojskiem pacyfistów*. Do pacyfistów, zwłaszcza gdy za pacyfizm gotowi są nadstawić karku, można mimo różnicy poglądów żywić szacunek. Ale zawodowego żołnierza-pacyfistę można jedynie przyrównać do strażaka, który wstąpił do straży ogniowej, przyjmując wysoką pensję i świadczenia związane z tym niebezpiecznym zawodem, pod warunkiem, że nigdy nie będzie wezwany do gaszenia pożaru. Czytelnik ma prawo wątpić czy odpowiednio tolerancyjne wobec takiej postawy jest stanowisko Pentagonu — czyli inżynierów wojny, a nie jej wyrobników. Prasa amerykańska od lat przedstawia Pentagon mniej więcej w taki sam sposób jak to czyni moskiewska *Prawda*, co nie wymaga chyba dodatkowych komentarzy. Dlatego wypada nam wrócić do przypominającej nieco sprawę „Mayaguez” niesławnej historii wywiadowczego statku „Pueblo”, będącego jednostką floty amerykańskiej, która zatrzymana została 8 lat temu przez patrolowce północno-koreańskie. Załoga „Puebla” poddała się bez wystrzału, nie zniszczywszy nawet wszystkich tajnych dokumentów. Po niewesołym 1-norocznym pobycie w północno-koreańskich obozach została wypuszczona, ale statku nie zwrócono nigdy. Około rok temu amerykańska TV nadała udramatyzowaną wersję zagarnięcia „Puebla”, przy czym ideą przewodnią widowiska była teza, że pierwszym i najważniejszym obowiązkiem komendanta jednostki nie jest jak by się to wydawało — wykonanie zadania, ale ochrona za-

* Przy niektórych garnizonach wojskowych w Ameryce za zgodą dowódców istniały w okresie gdy armia składała się z poborowych — kluby antymilitarne.

łogi. Gdyby tezę tę przyjąć, najbardziej praktycznym sposobem chronienia sił zbrojnych przed niebezpieczeństwem byłoby rozwiązanie armii i puszczenie jej do cywila, bo wówczas na pewno nic by nikomu nie groziło. Oczywiście TV w USA ukazywać może publiczności to co jej się żywnie podoba i nie jest sprawą Pentagonu polemizowanie z Telewizją. Niemniej kilka miesięcy temu, jeszcze przed upadkiem Wietnamu zdarzyła się rzecz osobliwa. Wszyscy członkowie załogi „Puebla” prócz jej komendanta, który — zwolniony przez sąd wojskowy — przeszedł na emeryturę — otrzymali odznaczenia. Przypominało to po trosze odznaczenia dawane tym żołnierzom francuskim w roku 1940, którym udało się uciec przed upadkiem, nie porzucając broni. Wyglądało to nawet gorzej, bo przecież załoga „Puebla” wcale nie uciekała, bo uciec nie mogła. Mogła tylko walczyć lub się poddać. Pentagon uznał, że należą się jej odznaki.

Postawa przynajmniej niektórych zawodowych wojskowych, ponieważ bezzasadne byłoby przypisywać ów pacyfizm wszystkim, nie koliduje zresztą w niczym z nastrojami tutejszej publiczności. Wprawdzie przytłaczająca większość nie świętuje „Zwycięstwa Pokoju” i nie wymachuje chorągiewkami Wietkongu. Ale zamknięta w zaściankowym kręgu swych spraw byznesowo-rodziny popada w stan zubożenia. Po doświadczeniach wietnamskich, Ameryka, odwracając się z przerażeniem od wszystkiego co grozić jej może zaangażowaniem w jakikolwiek międzynarodowy konflikt, jest właściwie od dawna wysterlizowana z woli walki. Tym można było jedynie tłumaczyć popularność *Détente*, które w innych warunkach zostałyby od lat ujawnione jako oszukańcza karta szulera. Postawie bezbronności wobec rodzimych rzezimieszków, którzy pod szczytnymi hasłami, albo i bez haseł, uprawiają niemal bezkarnie bandytyzm na ulicach wielkich miast, odpowiada ta sama postawa indolencji wobec zagrożenia międzynarodowego. Więcej — obojętność pasażera nowojorskiej kolei podziemnej, na oczach którego podrywną gardło innemu — siedzącemu w drugim końcu wagonu — dowodzi czegoś znacznie niebezpieczniejszego. Obojętność wobec tego co się dzieje u najbliższego zagrożonego niebezpieczeństwem sąsiada tak długo, póki samemu nie jest się zagrożonym, oznacza rozpad elementarnych więzi społecznych i dezintegrację społeczeństwa u samych jego podstaw.

Obecny Kongres amerykański, zwany przez entuzjastycznych „liberałów” Kongresem „Młodo-Turków”, a przez innych — znacznie trafniej — „Kongresem grabarzy”, oddaje niestety w pełni nastroje amerykańskie opinii. Ulega jej coraz bardziej dr Kissinger. Po przegranej *Détente* nie została na jego skórze żadna widoczna blizna. Przeciwnie, wraca z uporem maniaka do swej ulubionej fikcji, w czym ma niemal stuprocentowe poparcie Kongresu. Nie oznacza to bynajmniej, by Kongres nie odszyfrował kapitulacyjnej treści *Détente*. Któż jednak powiedział, że Ameryka nie powinna kapitulować? Następnego dnia po zakończeniu operacji „Mayaguez” Kissinger oświadczył, że „istnieją

granice, poza które Ameryka nie pozwoli się zepchnąć”. Gdzie są te granice? Ponieważ Kissinger złożył to zapewnienie w kontekście interwencji przeciw Khmer Rouge w obronie amerykańskiego statku, należy obawiać się, że granice te nie leżą ani na linii demarkacyjnej w Korei, ani nad Łabą, ani nad Renem. Prawdopodobnie nigdy nie będzie w stanie określić ich żaden sekretarz stanu ani prezydent. Leżą one w gestii Kongresu, którego ideą przewodnią jest nie odpięcie ciosów, ale uchylanie się od nich, w trybie wycofywania się na coraz dalsze, strategicznie dogodniejsze pozycje. Tyle tylko, że są one dogodniejsze nie dla Ameryki i jej aliantów, ale dla zwycięskich armii komunistycznych.

Z pewnym zdumieniem kilku amerykańskich dziennikarzy stwierdziło, że po upadku Wietnamu tzw. „zdyskredytowana od dawna teoria domina” okazała się wcale nie teorią, ale najzwyczajszą praktyką. To jednak, że w kilka dni po zajęciu Sajgonu przyszła kolej na Laos, a obecnie na Syjam i Malaję a w niedługiej przyszłości może przyjść na Burmę, Indonezję, Singapur i Filipiny, bynajmniej nie spędza snu z oczu Amerykanom. Martwiący się o ceny benzyny i wysokie koszty leczenia, żyjący w domku zbudowanym ze złudzeń, mieszkańcy tutejszych miast i miasteczek, pragnący żyć z dala od konfliktów Europy i Azji — tak jak tego zawsze pragnęli do czasów Roosevelta włącznie — zapomnieli, że kula ziemską skurczyła się niepomierne i że ich „potencjalny adwersarz” jak taktownie nazwał Sowiety Gerald Ford, w wymiarach strategicznych leży od nich obecnie znacznie bliżej niż leżał kiedyś Paryż od Berlina.

Kryzys, który draży Amerykę i cały świat zachodni, nie jest u podstaw swych ani kryzysem *sensu stricto* politycznym, ekonomicznym czy socjalnym. Mieroszewski wysunął w jednym ze swych artykułów słuszną ideę o potrzebie sojuszu między socjalistami i konserwatystami. Nie zrobił jednak rzeczy najważniejszej, która wyjaśniłaby dlaczego jest sens mówić w chwili obecnej o czymś, co kilkadziesiąt lat temu było z założenia paradoksem. Żeby wytłumaczyć praktyczną potrzebę i możliwość takiego zbliżenia, należałoby określić to co obecnie nazywa się w Ameryce „konserwatyzmem”. Albowiem „konserwatyzm” XIX-go czy nawet pierwszych lat XX stulecia był zgoła inny od obecnego, który manifestuje się postawą dostosowaną do celów politycznych współczesności. Wydaje mi się, że „konserwatyzm”, który w ostatecznej formie wyraża się w Ameryce postulatami politycznymi, a może trafniej — opozycją wobec kierunków politycznych, dominujących na świecie, jest w istocie rozpaczliwą próbą zachowania pewnych tradycyjnych postaw etyczno-moralnych, które w teorii nie były i nie są, nawet obecnie, powszechnie kwestionowane. Nawet przez tych, którzy w praktyce wzięli z nimi rozbrat. Do tych postaw zaliczyłbym kult dzielności i stanowisko,

które potępia uleganie przemocy zarówno w formie fizycznego gwałtu jak i szantażu. Dalej — kult honoru narodowego i osobistego, który oczywiście nabiera cech wysoce abstrakcyjnych przy wszelkich próbach definicji. Potępienie hipokryzji, która w polityce bez względu na systemy ustrojowe najjaskrawiej manifestuje się schlebianiem masom. Jak wiemy, zarówno rządy komunistyczne jak i demokratyczne, włączając w to burżuazyjno-biurokratyczne struktury III Świata schlebają tzw. prostym ludziom w sposób, który nabiera po prostu cech dogmatu. Zarzucenie czegokolwiek publicznie „masom”, bez względu na to jak się z nimi postępuje, uznano by chyba pod każdą szerokością geograficzną za najgorszy rodzaj bluźnierstwa. Odrzucenie mitów i przywrócenie rangi starym niekwestionowanym imponderabilium implikuje polityczną postawę konserwatyzmu w krajach rozwiniętych*. Kult honoru lub mówiąc skromniej godności narodowej — nie czyni z życia ludzkiego najwyższej wartości, której trzeba za wszelką cenę bronić, choćby groziło to późniejszą eskalacją strat ludzkich — czyli tego co chcieliśmy bronić kosztem honoru. Ale kult honoru — jest właśnie tym co odrzucają lewicowi liberałowie. Ściśle biorąc nikt nie potrafi bez obawy ośmieszenia wysunąć obecnie „honoru” jako wartości, która nie utraciła swego znaczenia. Desperat, który by ośmielił się w jakimkolwiek kraju zachodnim, bronić tego odwiecznego, ale nigdy nie przestarzałego imponderabilium — utonąłby w powodzi oskarżeń o hipokryzję, kłamstwo i zaprzecanie interesów mas z III-im Światem na czele. Napiętnowano by go w opinii publicznej jako bezwstydnego cynika, który próbuje ze starego lamusa przestarzałych imperialistycznych wartości wydobyć zużyty instrument służący od wieków do oszukiwania i eksploatacji ludów.

Wydawać by się mogło, że świat współczesny potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek przywódcy typu Winstona Churchilla. Brak wybitnych indywidualności politycznych jest w Ameryce i w Europie uderzający. Niestety, należy pamiętać, że Churchill nigdy nie zdołał przekonać Anglików o grożącym im niebezpieczeństwie, choć w owych latach nie było ono kamuflowanym podbojem świata z użyciem wszelkich możliwych środków dla uspienia czujności. Odwrotnie — było bezustannym wezwaniem rzucałym Europie. Mimo to oprzytomnienie nastąpiło już w momencie katastrofy.

Wydaje się, że trwałą cechą natury ludzkiej jest odkładanie momentu konfrontacji do ostatniej chwili gdy zawsze jest o wiele za późno, gdy lekceważenie głosów przestrogi okupić już trzeba wysoką ceną poniesionych ciosów i kłesk.

Zbigniew BYRSKI

Pisane 18 maja 1975 r.

* Oczywiście inne ma oblicze i na innych przesłankach oparty jest konserwatyzm struktur feudalnych, który nie różni się wiele od konserwatyzmu ubiegłych epok.

Rewolucja etniczna

Nowojorska rewolucja etniczna

W miastach amerykańskich dokonuje się prawdziwa rewolucja: etniczna i rasowa. Nie znajdują lepszej nazwy dla określenia tej przemiany, jedynej w swym rodzaju, nieznananej w naszych dziejach. Stany Zjednoczone były zawsze państwem wielu ras i narodów. Po drugiej wojnie światowej różnorodność etniczna i rasowa wzrosła: napłynęły grupy etniczne nowe, inne, o odmiennym układzie społecznym. Przywędrowali do Nowego Jorku emigranci z Wysp Karaibskich, z Porto-Rico, z Barbados, z Granady, z Trynidadu, z Tabago, z Haiti i z wielu innych miejsc, znanych nam kiedyś tylko ze znaczków pocztowych. Przywędrowali Arabowie, nie tylko z Damaszku czy Iraku, ale i z półdzikiego Yemenu, osiedlając się zwartą grupą w jednej tylko prowincji. Zjawili się w Nowym Jorku Hindusi z jednej kasty o wysokim stopniu wykształcenia. Osiedlili się w Queens. Wielu z nich pracuje w lecznictwie, w szpitalach nowojorskich. Dochód przeciętny tej grupy — według szacunku mojego kolegi pochodzenia hinduskiego z *City University* — wynosi na głowę ponad 20.000 dolarów rocznie. Jest to więc grupa emigrantów innej klasy społecznej, niż chłopci czy rzemieślnicy z małych miasteczek w Porto-Rico i Haiti. Portorykańczycy osiedlili się w północno-wschodniej części miasta, w tzw. Barrio. W sąsiedztwie, a także w zachodniej części miasta, osiedlili się przybysze z Haiti. Wśród haitańczyków wielu jest ludzi zdolnych i subtelnych, wielu też emigrantów politycznych. Niektórzy znają historię polskiego legionu na San Domingo, opowiadają o sąsiadach o polskich nazwiskach. Osiedlili się tam także czarownicy-znachorzy z Wysp Karaibskich, *nangas*, którzy w tajemnicy przed władzami praktykują swoją „medycynę”; pojawiły się sklepy z ziołami, *botanikas*. Z San Domingo uciekli liczni emigranci polityczni, ale istnieje również „dominikańska” emigracja zarobkowa. Równocześnie zaroili się od emigrantów nielegalnych, ich ilość oblicza się na 5 milionów. Napłynęli masowo Chińczycy z Hong-Kongu, osiedlając się w „dolnym mieście” (*Lower East Side*), w sąsiedztwie „małej Italii”. Witają Nowy Rok w innej porze i innym zwyczajem. Z tej wielkiej, różnorodnej masy, często nieprzywykłej do życia w wielkim mieście, trzeba tworzyć jeden naród. Zapewne, i dawniej emigrowano do Ameryki z owych stron — przecież Hamilton, jeden z wodzów Rewolucji Amerykańskiej, przywędrował z Morza Karaibskiego. Tym razem jednak emigracja ma inny charak-

ter i jest bez porównania liczniejsza; i ilość, by użyć formuły Hegla, stanowi tu o przemianie jakościowej.

Ta nowa emigracja napłynęła w okresie rewolucji „czarnych”, jak się dziś nazywa Murzynów, w okresie przyspieszonej ewolucji społecznej, w której i czarni i biali domagali się pełnego równouprawnienia dla Murzynów, dopuszczenia ich do wszystkich zawodów, przyznania im pełnej reprezentacji politycznej, otwarcia przed nimi bram uniwersytetów. Nie chodziło o równouprawnienie wobec prawa, lecz o równouprawnienie społeczne. Zmiany w tej dziedzinie są zasadnicze, wpłynęły na oblicze społeczne i polityczne Stanów Zjednoczonych (do tego tematu wrócimy). Przyspieszona ewolucja społeczna stała się także głęboką przemianą kulturalną.

W latach 60-tych zagadnienie etniczne i rasowe w Stanach Zjednoczonych nabrało dodatkowego jeszcze charakteru. Na rewolucyjnej niemal fali wypłynęły radykalne ruchy mniejszości rasowych i etnicznych: murzyńskie „mikropartie” (Czarne Pantery), portorykańskie partyjki o szumnych nazwach (w Nowym Jorku), grupki Indian meksykańskich, tzw. *Chicanos* (w Kalifornii, Nowym Meksyku, a nawet w Texasie). Wszystko to razem domagało się nowych rozwiązań.

Po drugiej stronie Atlantyku

Po drugiej stronie Atlantyku, w Europie, dokonuje się również swego rodzaju rewolucja etniczna, i w podobnie wielkich rozmiarach, chociaż w innych warunkach gospodarczych i politycznych. Przywędrowały do bogatszych krajów Europy Zachodniej nie tysiące nawet, a setki tysięcy i miliony robotników sezonowych: z Jugosławii, z Hiszpanii, z Włoch, z Grecji, z dalekiej Turcji; do NRF, do Belgii, do Francji, do Szwajcarii. W miastach francuskich osiedlili się ławą, w uboższych i zaniedbanych dzielnicach, emigranci z Algieru. Do Wielkiej Brytanii napłynęli robotnicy i inteligenci z Pakistanu i z Indii, kolarzom przybyłszy z Indii Zachodnich, z Jamajki, z niektórych wysp Morza Karaibskiego. Działo się to w czasie, gdy komuniści zbudowali mur w Berlinie, stawiali zasieki i wkopywali miny na granicy, by powstrzymać własnych obywateli od masowej ucieczki.

Zarówno w Stanach Zjednoczonych jak w Europie powstały zupełnie nowe zagadnienia, odmienne od przedwojennych „spraw narodowościowych”. Różnica nie ogranicza się do nazwy, jest nie tylko semantyczna ale ilościowa i jakościowa.

W NRF przebywa dziś 2 i pół miliona robotników sezonowych, tzw. *Gastarbeiter*; wraz z rodzinami liczba ta urasta do 4-ch milionów. W Szwajcarii robotnicy zagraniczni stanowią 30 %, a więc niemal 1/3 całej siły roboczej. Anglia miała od wieków swoje religijne i wyspiarskie mniejszości (przede wszystkim Irlandczyków od czasów rewolucji przemysłowej), współczesna emigracja robotnicza w Anglii jednak posiada dziś inny

charakter — zamorski, kolonialny (obok dawnej emigracji kontynentalnej czy irlandzkiej). Według danych Brytyjskiego Instytutu Zagadnień Rasowych w roku 1966 mieszkało w Anglii 180 tysięcy Hindusów, blisko 120 tysięcy Pakistańczyków, ponad pół miliona emigrantów z Indii Zachodnich, wielu emigrantów z Ceylonu: w sumie 924 tysiące emigrantów „kolorowych”, nie licząc 700 tysięcy Irlandczyków oraz wielu tysięcy osiadłych od wojny Polaków i Włochów. Szerszego omówienia wymagałaby Francja, w której pracują setki tysięcy Polaków, Włochów, Jugosłowian i Arabów.

Europa od wieków była wielkim tygłem narodów. Archeologowie doszukają się mogą wielkich migracji w drugim, a może i trzecim tysiącleciu przed Chrystusem (np. migracje przedhel-leńskie, czy później doryckie, poprzedzające cywilizację w Mykenach czy na Krecie). Były to co prawda migracje wojenne, lecz Europa znała też emigrację wewnętrzną, kontynentalną, robotniczą (robotników przemysłowych czy rolnych), zwłaszcza w okresie rewolucji przemysłowej. Znanie są dobrze w Polsce „roboty” i migracje sezonowe, rolne.

Współczesne wędrowki robotniczo-etniczne z krajów niekiedy bardzo odległych, odmiennych w klimacie, tradycji i kulturze, są zjawiskiem nowym. Niektórzy z tych robotników robią wrażenie jak gdyby współczesnych nomadów. Inni osiedlają się w swych grupach i utrzymują żywą łączność ze „starym” krajem. Nie było też przedtem napływu robotników z Azji, proletariatu z Afryki czy mórz amerykańskiego tropiku.

Spółczeństwa pluralistyczne

Tworzą się więc w Ameryce i w Europie Zachodniej społeczeństwa nowe, „pluralistyczne”. W bliskim sąsiedztwie mieszkają ludzie różnych kultur, różnego języka, o odmiennym kolorze skóry i wyznający odmienne religie. Oczywiście nie po raz pierwszy spotykają się w Stanach czy nawet w Europie przybysze z wielu stron świata, ale spotkanie współczesne odbywa się w okresie wielkich przemian technicznych i gospodarczych, w epoce rewolucji naukowo-technicznej. Zagadnieniem centralnym obecnego przewrotu etnicznego jest stworzenie warunków współżycia, społecznego systemu wzajemnej tolerancji i poszanowania różnic. Ta ogromna przemiana społeczna, którą nazywam rewolucją etniczną, ma miejsce nie w Sowietach czy Chinach, krajach ideologicznie dogmatycznych i bardzo konserwatywnych, lecz w Nowym Jorku, bądź w osadach i miastach fabrycznych Zachodniej Europy. Dla przykładu wspomnę, że w wielu miastach amerykańskich ludność murzyńska wynosi ponad połowę mieszkańców. Garść danych statystycznych zobrazuje może ogrom tego zagadnienia. Według Urzędu Statystycznego USA w roku 1970 odsetek ludności murzyńskiej w Nowym Jorku wynosił 21,2 %, w Chicago — 32,7 %, w Detroit — 43,7 %, w Filadelfii

33,6%, w Waszyngtonie — 71,1%, w Los Angeles — 17,9%. Czy są problemy? Oczywiście są i to poważne, niekiedy wręcz groźne. Czy eksperyment się uda? Wierzę że tak, ale pewności nie ma. Trzeba wysiłku, jeszcze raz wysiłku, dobrej woli i pragmatycznej, zrównoważonej polityki społecznej. Nikt jednak nie proponował i nie proponuje „humanitarnego wyrzucenia” jakiegokolwiek grupy etnicznej czy rasowej, w stylu Gomułki.

Jak scalić to społeczeństwo? Jak stworzyć naród z różnorodnej masy etnicznej? Różne są drogi i różne alternatywy. Jedna, której większość ludności Stanów Zjednoczonych wybrać nie chce i nie może, o której nikt nawet nie wspomina bo wydaje się nonsensem, prowadzi do państwa „narodowościowo jednolitego”, złożonego z jednej jedynej grupy rasowej czy rasowo-wyznaniowej (WASP, czyli „rdzennych”, białych Anglo-Amerykanów wyznania protestanckiego). Jest to ideał reakcyjny, sprzeczny z zasadami demokracji.

Drugą, tradycyjną alternatywą jest dobrowolna asymilacja, przyjęcie wzoru anglo-amerykańskiego (tzw. *melting pot*, tygiel do przetapiania). Czy ta koncepcja należy rzeczywiście do przeszłości, jak twierdzi wielu „polityków etnicznych” i socjologów, dodając przy tym że asymilacja nie była nigdy skuteczna?

Irlandczyk Kennedy, Polak Muskie, Niemiec żydowskiego pochodzenia Kissinger i tysiacy innych są żywym dowodem, że teoria i praktyka *melting pot* jest i była procesem społecznym może i spontanicznym, lecz w pewnych granicach niezwykle skutecznym i nadal żywym. Dostrzec to dzisiaj można bez trudu w życiu codziennym. Młodzież ostatnich fal emigracyjnych z Węgier i Polski asymiluje się niezmiernie szybko, zachowując oczywiście znajomość ojczystego języka i zainteresowanie sprawami swojego „starego” narodu. Równie szybko, niestety, wymiera prasa obcojęzyczna. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza pozniły liczne stare i zasłużone tygodniki czy dzienniki polskie, jak również czeskie, węgierskie i niemieckie. Pisma, które przetrwały, ukazują się w zmniejszonym formacie, ze specjalnym działem po angielsku. Z przyczyn bardzo szczególnych utrzymują się względnie dobrze pisma w języku hiszpańskim i włoskim.

Polityka *melting pot*, choć w propagandzie „etników” niepopularna, jest w dalszym ciągu skuteczna wbrew uroczystym deklaracjom: *melting pot is dead*. Zrodził się równocześnie ciasny, wąski nacjonalizm „etników”, reprezentowany przez nowe grupy elitarne o dużym apetycie władzy i wpływu. Ale inna jest też dzisiaj koncepcja asymilacji: opiera się na połączeniu kultur etnicznych, rodzimych, z kulturą anglo-amerykańską. Nie wszystkie elementy kulturalne scalają się łatwo, nie wszystko też w kulturze da się połączyć. Nie do połączenia jest upodobanie do polityki gwałtownej ze zmuszonym i może nudnym procesem demokratycznym.

Nowy kierunek, który wyłonił się jeszcze w latach 30-tych, ma charakter niezbyt określony, ale cieszy się sporą popularnością

i wydaje się przekonywujący. Mam na myśli „demokrację etniczną” i „pluralizm”. Jest to koncepcja wielu dróg, a nie jednej. W ustroju wolnym, demokratycznym, emigrant może wybrać drogę asymilacji, może też zachować dawną kulturę narodową, zwyczaj i język, akceptując obowiązki i lojalności polityczne (w szerokich ramach konstytucji); może wreszcie uważać się wyłącznie za emigranta politycznego, a swój pobyt w Ameryce traktować jako czasowy. Niemcewicz i Kościuszko byli obywatelami amerykańskimi (o przyjęciu obywatelstwa pisze Niemcewicz nie bez wzruszenia), i bardzo sobie nową ojczyznę cenili. Co więcej, demokracja etniczna jest nie tylko kierunkiem kulturalnym, czysto „etnicznym”, narodowym, ale jest również kierunkiem równouprawnienia i „wyrównania” społeczno-politycznego. Chodzi o równość w dostępie do władzy politycznej i ekonomicznej. Oczywiście i tu istnieje znaczna rozpiętość — jak zwykle w ludzkich sprawach — między ideałem i rzeczywistością. Tym niemniej postęp jest znaczny. Nowy Jork składa się z pięciu „grodów”, *boroughs*. Manhattan jest centrum Nowego Jorku, stolicą kulturalną i gospodarczą Stanów. Otóż burmistrzem Manhattanu jest Percy Sutton, Amerykanin pochodzenia murzyńskiego. Burmistrzem Bronxu jest Portorykańczyk. Szeroka akcja polityczna oraz naciski rządów federalnego, stanowego i miejskiego narzucają szkolnictwu i przedsiębiorstwom obowiązek zatrudniania mniejszości etnicznych i rasowych na wszelkich szczeblach. Odpowiednie odsetki mniejszości muszą więc być także uwzględniane na stanowiskach kierowniczych. Polityka ta, znana pod nazwą *affirmative action*, nie zawsze da się pogodzić na uniwersytetach czy w przemyśle, z wymaganiami kompetencji i kwalifikacji. Stąd konflikty i trudności. Ale wysiłek w kierunku „wyrównania” jest bezustanny i widoczny.

Przejdźmy teraz do „pluralizmu”. Koncepcja pluralizmu jest następstwem szerszej idei demokracji etnicznej. Jest też owocem samej idei demokracji amerykańskiej, wyrażonej w hasłach: *Ex pluribus unum, unity in diversity*. Demokracja opiera się na poszanowaniu różnic i na prostej prawdzie, że w społeczeństwie cywilizowanym poszczególne grupy ludności i poszczególne jednostki mają odmienne poglądy. Akcja polityczna wymaga uzgodnienia, niekiedy jedności, ale jedność ta mieścić się winna w ramach różnic. Zasada ta pozornie tylko jest sprzeczna. W praktyce wymaga spontanicznego uznania i poszanowania pewnej ilości norm, może i pewnego wąskiego systemu wartości: przede wszystkim uznania praw jednostki o innej kulturze i poglądach, a także uznania systemu politycznego demokracji reprezentatywnej w oparciu o prawa wolności obywatelskiej. Zasadę tę symbolizuje DEKLARACJA NIEPODLEGŁOŚCI, która jest wstępem do konstytucji; ikonograficznie zaś flaga amerykańska, którą i komuniści amerykańscy stawiają obok stołu na swoich zebraniach. Uznanie tych norm jest warunkiem pluralizmu — poszanowania różnic. Otóż pluralizm kulturalno-etniczny jest programem wolności kulturalnej mniejszości, grup etnicznych.

Z punktu widzenia koncepcji pluralistycznej w Stanach Zjednoczonych trwa proces tworzenia się społeczeństwa, państwa, czy narodu z wielu kulturalnie odmiennych grup etnicznych, które pielęgnują swoją tradycję i historię, swój obyczaj i język, przy pełnym poparciu władz; jedność państwa wyraża się w strukturze politycznej i gospodarczej, z tym że mniejszościom państwo (rządy stanowe i federalny) zapewnić winno równy dostęp do władzy politycznej i gospodarczej (*access to economic and political power*). Stąd hasła „Black power”, „Italian power” itp.

W tym miejscu czytelnik słusznie zapyta: To są normy idealne, zasady, ale jaka jest praktyka?

Oczywiście istnieje zawsze różnica między ideałem a rzeczywistością. Mimo to akcja polityczna rządu federalnego, rządu stanowego w Nowym Jorku i władz miejskich jest zdecydowana i wyraźna. W szkołach powszechnych i średnich potrzeby kulturalne i językowe „mniejszości” uwzględniane są w całej pełni. Uniwersytety otworzyły szereg ośrodków tzw. studiów etnicznych. Należą do nich bardzo rozległe studia portorykańskie, tzw. *Black Studies* poświęcone ludności murzyńskiej, studia orientalne o ludności chińskiej i azjatyckiej w Stanach. Przedmiotem tych studiów są przede wszystkim dola, tradycja, historia, kultura, oraz problemy społeczne i gospodarcze danej „mniejszości” w Stanach Zjednoczonych. Studium kultury „starego kraju” jest raczej uboczne. Nie są to przedmioty czy wydziały akademicko mocne. Ale cieszą się hojnym poparciem moralnym i finansowym: budżety oblicza się nie w tysiącach, a w setkach tysięcy. Poza tym „mniejszości” posiadają pełną swobodę działania politycznego czy kulturalnego. Polityka narodowościowa daje o sobie znać nawet w szczegółach. W nowojorskiej Bibliotece Publicznej obowiązują dwujęzyczne napisy, w kolejce podziemnej wskazówki dotyczące zapomóg ogłaszane są również po hiszpańsku. W dzielnicy chińskiej nazwy ulic wypisane są po angielsku i po chińsku, nikogo to ani nie dziwi ani nie irytuje. Mam w moich zbiorach książkę telefoniczną Nowego Jorku (nie całego miasta zapewne) w języku chińskim.

Wizja owej demokracji etnicznej nie jest bynajmniej programem ściśle wytyczonym, wypracowanym w szczegółach. Jest to raczej wizja ogólna, filozofia społeczna. Nowe drogi i rozwiązania przecierają się i wykuwają w problemach życia codziennego, których z góry przewidzieć się nie da. Pragmatyzm polityki amerykańskiej szuka koncepcji elastycznych.

Polityka „wyrównania” społecznego — dwa tory

Polityka równouprawnienia czy „wyrównania” społecznego posuwa się dwoma torami: zawodowym i terytorialnym.

Przede wszystkim rząd federalny naciska, by tzw. mniejszości

narodowe zatrudniane były we wszystkich zawodach i na wszystkich stopniach, a nie tylko w zawodach nisko opłacanych. We wszystkich umowach czy pożyczkach federalnych znajdziemy więc zasadniczą klauzulę *fair employment* (klauzula „przywzwoitego zatrudnienia”). Obowiązuje ona wobec pracowników bez różnicy płci, rasy, wyznania, czy narodowości (a często także i wieku), z sankcją unieważnienia umowy czy anulowania pożyczki. W praktyce przedsiębiorstwo czy uniwersytet musi się wykazać pewnym, i to znacznym, odsetkiem „mniejszości”. Na uniwersytetach nastęrcza to niekiedy trudne do przeczywieżenia przeszkody. Nie ma np. Murzynów z doktoratem geologii. Jakże więc zatrudnić na wydziałach geologicznych profesorów Murzynów? Łatwiej dziś na ogół otrzymać pracę na uniwersytecie wykładowcy pochodzenia murzyńskiego czy portorykańskiego, niż wykładowcy który należy do grupy białych anglo-amerykańskich protestantów. Studenci pochodzenia murzyńskiego są często przyjmowani do najlepszych szkół ze stopniami znacznie słabszymi, niż studenci biali. Stwarza to naturalnie problemy, o których należałoby napisać osobny artykuł. Tutaj wspomnę tylko, że znalazły się już na wokandzie sądów skargi białych studentów, nieprzyjętych z powodu koloru skóry.

Druga zasada, „solidarności terytorialnej”, jest bardzo istotna w praktyce demokracji amerykańskiej. Mieszkańcy tej samej gminy, czy nawet ulicy, własnym wysiłkiem prowadzą wspólne sprawy, starając się wyłączyć ingerencję centralną w sprawy lokalne. Przywiązanie do samorządu terytorialnego, na najdrobniejszych nawet odcinkach, jest bardzo silne. W Nowym Jorku tworzą się samorzutnie stowarzyszenia blokowe. Zarząd miejski stara się „integrować” ulice i dzielnice, a więc łączyć terytorialnie różne grupy rasowe i narodowościowe. Nie jest to ani łatwe, ani też zawsze celowe. Miasto jest nadal w dużej mierze „segregowane”, chociaż istnieją dzielnice mocno „zintegrowane”. Ale sam wysiłek jest dowodem polityki etnicznej.

Feliks GROSS

Czy Finlandia jest satelitą sowieckim?

Ktoś z nowej emigracji zapytał mnie, czy prawdą jest, że Finowie, podobnie jak Polacy, mają trudności z otrzymaniem paszportów i że z tego powodu natrafiają na przeszkody w wyjazdach za granicę. To tylko jeden z przykładów opinii Polaków

o Finlandii, kraju jakoby równie uzależnionym od Moskwy, co Polska.

Na pytanie, będące głównym przedmiotem zainteresowania przybysza z kraju, można odpowiedzieć, że w odróżnieniu od obywateli bloku sowieckiego Finowie mogą poruszać się swobodnie w obrębie całej Skandynawii bez paszportów czy dowodów osobistych. Nie potrzebują zezwolenia na przekroczenie swej granicy w kierunku zachodnim. Natomiast, chcąc wyjechać poza granice Skandynawii, muszą wystarać się o paszport, który bez jakichkolwiek trudności mogą uzyskać w ciągu kilku dni na okres pięcioletni.

Odpowiedź na pytanie zawarte w tytule jest bardziej złożona.

Finlandia, podobnie jak Polska, wywalczyła sobie niepodległość z bronią w ręku w czasie pierwszej wojny światowej, potem zaś przeszła przez krwawy okres wojny domowej, co pozostawiło głębokie ślady w psychice narodu, które zagoiły się właściwie dopiero w czasie drugiej wojny światowej, kiedy to młodzież robotnicza walczyła w obronie kraju ramię przy ramieniu z młodzieżą klas posiadających.

Finowie uważali Rosję za swego głównego wroga. Stąd silne prądy proniemieckie w okresie międzywojennym. O ile pierwsza wojna fińsko-sowiecka (1939-1940) została wywołana przez Sowietów, o tyle odpowiedzialność za wywołanie drugiej wojny (1941-1944) spada na fińskie koła proniemieckie, silne nie tylko w sztabie, ale i w ówczesnym rządzie. Zawieszenie broni po przegranej wojnie zawarte zostało w chwili, gdy wojsk sowieckich nie było jeszcze na terytorium Finlandii. Temu zawdzięczają Finowie zachowanie niepodległości. Do tego Finlandia miała lepsze niż Polska poparcie dyplomatyczne w czasie powojennych rokowań.

Polityka Finlandii, także i wewnętrzna, uzależniona jest od sytuacji międzynarodowej. Chociaż Finlandię nie rządzi sowiecki namestnik i nie ma na jej terytorium baz sowieckich ani KGB, a nawet partia komunistyczna nie wchodzi obecnie w skład rządu, to Finlandia w dobrze pojętym interesie własnym musi prowadzić na każdym kroku politykę ostrożności. Jednym okiem patrzy ona na sytuację międzynarodową, a drugim zerka na Moskwę. Każde międzynarodowe odprężenie przyjmowane jest w Finlandii z ulgą, a każde napięcie z trwogą. Bo wówczas, jak miecz Damoklesa, zawisnąć może nad Finlandią... pakt o wzajemnej konsultacji.

Klauzule wojskowe paktu stosują się wyłącznie do terytorium Finlandii, a zatem nie istnieją warunki automatycznego współdziałania Finlandii na wypadek, gdyby Związek Sowiecki zagrożony był wojną. Niebezpieczeństwem dla Finlandii jest artykuł paktu, który przewiduje konsultacje między obu krajami w razie zaistnienia niebezpieczeństwa agresji wobec Finlandii ze strony Niemiec. W związku z udziałem NRF w NATO rząd sowiecki może w każdej jemu dogodnej chwili postawić na porządku dziennym konsultacje w sprawie współpracy wojskowej.

Czasy, kiedy wśród młodzieży akademickiej szerzyły się awanturnicze i nacjonalistyczne idee wielkofińskie, należą już do historii. Dawna buńczuczność młodzieży zmieniła się w wielu wypadkach w oportunizm. Szerzy się on nawet w kołach burżuazji, co w pewnych okolicznościach może stać się piętą achillesową Finlandii. Obserwujemy proces powtarzania się historii. Tak jak dawniej niektórzy czołowi politycy, nawet umiarkowanej lewicy, skłonni byli do uległości wobec Rzeszy i do wejścia do wojny u boku Niemiec, tak obecnie szerzy się w sposób nadmierny, także wśród burżuazji, zbyt wielka uległość wobec Moskwy.

W maju ogłoszono niezwykle ciekawy wynik Gallupa. Pozytywny stosunek społeczeństwa wobec paktu z Sowietami wzrósł w ciągu ostatnich 10 lat o jedną trzecią. Czterech Finów na pięciu uważa obecnie, że układ o współpracy i konsultacji wojskowej wpłynął pozytywnie na międzynarodową pozycję Finlandii. Cztery piąte są zdania, że kraj ma wszelkie możliwości zachowania niepodległości, że Finlandia może nadal odgrywać rolę mediatora polityce międzynarodowej i zadowoleni są z dotychczasowej polityki zagranicznej. Jedynie 7% ankietowanych uważa układów nawet za szkodliwy. Im bardziej jednak ankietowani grawitowali ku prawicy tym bardziej malała zarówno wiara w wartość układu z Sowietami, jak i wiara w możliwość zachowania niepodległości. Wątpliwości te występowały zwłaszcza silnie u osób powyżej lat pięćdziesięciu.

Prezydent Urho Kekkonen, dotychczas niezrównany taktyk o nieprzeciętnym politycznym sprycie, szermierz sowieckiej idei zbiorowego bezpieczeństwa, któremu zarzucano nieraz zbyt wielką uległość wobec Sowietów, obecnie utracił zaufanie Moskwy za obronę specyficznie fińskiej linii w polityce zagranicznej. Można ją streścić w zdaniu: uprawianie dobrosąsiedzkich stosunków ze Związkiem Sowieckim przy jednoczesnym zachowaniu jak najbliższych związków ze Skandynawią oraz dążenie do zachowania neutralności.

A przecież nie minęło jeszcze wiele lat od udzielenia przez tegoż Kekkonena nagany swojemu premierowi za wywiad dla *Svenska Dagbladet* (*nota-bene* przeprowadzony w moim mieszkaniu), w którym wypowiedziane były właśnie powyższe poglądy. Sytuacja wówczas jeszcze nie dojrzała do takiej szczerości. Kekkonen jest realistą. Dzisiaj, kiedy Sowiety mają kłopoty z Chinami i pragną odprężenia z Zachodem, gdy komuniści są poza rządem, a fiński „folksfront” trzeszczy w swych więzaniach — sytuacja jest inna.

Gdyby Polska miała prawdziwie wolne wybory, to partia komunistyczna prawdopodobnie nie otrzymałaby więcej niż 5% głosów, a więc tyle co w Szwecji. W Finlandii natomiast w wolnych demokratycznych wyborach komuniści uzyskali na dwieście miejsc w parlamencie aż 37. W wolnej Europie komuniści stanowią trzecią co do liczebności partię komunistyczną, która jednak od czasu zatargu Sowietów z Chinami i zbrojnej inter-

wencji w Czechosłowacji przeżywa, podobnie zresztą jak wszędzie, głęboki kryzys.

Gdy wiosną 1944 roku komunizm został w Finlandii zalegalizowany, blok skrajnej lewicy zasiadł pod wspólnym parasolem nazwanym Związkiem Demokratycznym. Zbyt świeże jeszcze wówczas były rany zadane narodowi w czasie wojny z Sowiecami, by można było żeglować pod komunistyczną banderą. Mimo to w tym „folksfroncie” partia komunistyczna była i jest czynnikiem decydującym. Tym niemniej w partii tej toczy się od paru lat zażarta walka o władzę między dwoma ugrupowaniami: umiarkowanym, reprezentowanym przez prezesa stronnictwa, Aarne Saarinen a ugrupowaniem rewolucyjnym, na czele którego stoi wiceprezes, Taisto Sinisalo.

Pierwszego z nich prasa często nazywa „rewizjonistą”. Jest to pogląd błędny. Saarinen nie jest rewizjonistą typu Dubczeka. Jest on komunistą moskiewskim i nie ma zamiaru przeprowadzenia rewizji programu sowieckiego komunizmu. Jest natomiast inteligentniejszy od Sinisalo i zdaje sobie sprawę, że sytuacja dzisiejsza jest zupełnie inna niż w roku 1918, gdy komuniści i socjaldemokraci walczyli razem na barykadach o poprawę bytu klasy robotniczej. Saarinen różni się więc tylko taktyką od swego antagonisty i zmierza powoli do tego samego celu, czyli do skomunizowania Finlandii. Nie chce jednak rewolucji, podczas gdy Sinisalo jest zwolennikiem walki czynnej.

W roku ubiegłym, w czasie wizyty obu wodzów w Moskwie, sowieccy kierownicy dali wyraz zaniepokojeniu z powodu pogłębiającego się rozłamu wewnątrz partii oraz z powodu utraty wpływów w organizacjach młodzieżowych i kobiecych na rzecz Ludowych Demokratów — owego parasola lewicy pod przewodnictwem „poputczika”, Ele Aleniusa. Temu ostatniemu komuniści przyznali tylko cztery miejsca na trzydzieści siedem w bloku, mimo że Ludowa Demokracja jest bardzo silna w terenie. Moskwa jest wyraźnie zaniepokojona wzrostem wpływów tej grupy oraz nieudolnością zwaśnionych rywali. Dało temu wyraz *Nowoje Wremia* atakując ostro Aleniusa kilka dni przed Kongresem Finlandzkiej Partii Komunistycznej. Nazwano go „prawicowym socjalistą” oraz zarzucono mu dążenie do „państwowego kapitalistycznego monopolu o typie zachodnio-europejskim”. Nieprzebacalne herezje w oczach Moskwy.

Zakończony w maju siedemnasty Kongres Partii nie doprowadził do pożądanej przez Moskwę jedności komunistów. Chwalony dokument o konieczności „wzmocnienia jedności partii” — to tylko mydlenie oczu. Dyskusje między „rewizjonistyczną” większością a „stalinowską”, „rewolucyjną” mniejszością tak przybrały na gwałtowności, że Moskwa na czas dłuższy musi pogrzebać wszelkie nadzieje stworzenia drogą ewolucyjną „folksfrontu” w Finlandii. A co najgorsze, przewodniczący stronnictwa, Aarne Saarinen poparł publicznie Ele Aleniusa, niepartyjnego przewodniczącego Związku Demokratycznego. Realista Saarinen zdaje so-

bie sprawę, jakie nieocenione usługi przy wyborach daje komunistom możliwość pływania pod tym „bezpartyjnym parasolem”. Saarinen w dalszym ciągu wypowiedział się za polityką kompromisową w stosunku do Socjaldemokratów i Centrum, oraz za udziałem komunistów w przyszłych rządach. „Stalinista” Sinisalo okazał się natomiast przeciwnikiem koalicji na zasadach demokratycznych. Byłby gotów na wejście do rządu jedynie pod warunkiem możliwości przeprowadzenia „rewolucji odgórnej” przy poparciu mas z dołu. A zatem nie tylko Saarinem lecz również i Sinisalo postawił „w tupik” swych panów w Moskwie. Wiadomo bowiem, jak bardzo Rosjanom zależy na stworzeniu w bieżącym roku w Europie Zachodniej „folksfrontów”, dla których koegzystencja w Finlandii miała być pięknym wzorem. Tymczasem okazuje się, że komuniści fińscy nie mogą nawet współpracować ze sobą we własnym Komitecie Centralnym. Dwudziestu „umiarkowanych”, popierających przewodniczącego Saarinen a, pozostało nadal w najostrejszej niezgodzie z piętnastoma „rewolucjonistami” wiceprzewodniczącego Sinisalo. Tak silnie rozbite stronnictwo nie może dokonać zwrotu i rozpocząć rozmów o udziale w rządach centrolewu. Jest, mówiąc po prostu, stronnictwem „nieatrakcyjnym”.

Prezes partii komunistycznej, Saarinen popełnił w roku 1968 błąd nie do darowania, krytykując inwazję na Czechosłowację. Z tego też powodu stracił poparcie Moskwy, chociaż miał za sobą większość w stronnictwie.

Poprzedni poseł sowiecki w Finlandii nie wyczuł subtelnej różnicy, jaka istnieje między pojęciami: „satelizacja” a „finlandyzacja”. Finlandia mimo wszystko jest krajem niepodległym, tymczasem pan poseł, chcąc „zakłajstrować” sytuację na froncie skrajnej lewicy, a jednocześnie wzmocnić utratę wpływów sowieckich, zaczął wtrącać się w nieswoje sprawy. Prezydent Kekkonen wymusił wówczas na Moskwie odwołanie tego posła. Obecny poseł, Stepanow, Karelczyk, mówiący równie dobrze po fińsku, co pan Piłotowicz po polsku, prowadzi inną taktykę i zachowuje się poprawnie.

Przy ocenie sytuacji Finlandii należy pamiętać, że na jej przykładzie Moskwa chce pokazać zachodniemu światu, a szczególnie Skandynawii, że potrafi uprawiać pokojową koegzystencję z sąsiadem o innym ustroju społecznym. Finlandia jest więc pokazowym okienkiem reklamowym Sowieców.

Urho Kekkonen dzięki trzeźwemu umysłowi i dyplomatycznej zręczności uzyskał zaufanie Rosjan. Jest to o tyle dziwne, że w roku 1944 Kekkonen należał do tych, którzy głosowali w ówczesnym rządzie przeciw zawieszeniu broni i pokojowi na haniebnych warunkach. O ile ma on zasługi w dziedzinie kontynuowania rozpoczętego przez konserwatystę Paasikivi'ego żmudnego wysiłku rozproszenia nieufności Rosji do Finlandii, o tyle w polityce wewnętrznej nie był on bezstronny. Wykorzystał swe prerogatywy jak również opinię męża opatrnościowego w stosunkach z Rosją do wzmocnienia wpływów swego stronnictwa agrarnego,

dzisiaj przezwano Centrowym, i do wyeliminowania z rządów najpierw stronnictwa zachowawczego, oskarżonego w Moskwie o reakcyjność potem zaś socjaldemokratów.

Tu pomogła mu dawna rywalizacja między komunistami a socjaldemokratami, występująca szczególnie silnie na odcinku związków zawodowych. Przejście w roku 1940 ówczesnego przywódcy socjaldemokracji, Tannera, *grand oldman'a* fińskich socjalistów, do obozu godzącego się na sojusz z Niemcami, było w oczach Moskwy niezmywalną plamą na tarczy fińskich socjalistów. Toteż przez wiele lat byli oni wraz z konserwatystami na czarnej liście. Do chwili gdy największy komunożerca, sekretarz partii socjaldemokratycznej Leskinen, został nagle przyjęty w Moskwie i dokonał podobnej wolty co nasz Piasecki. Socjaldemokracja uznana została za faktycznie istniejącą, weszła do rządów, a Leskinen (*nota-bene* notoryczny alkoholik) został ministrem spraw zagranicznych.

Był to początek kruszenia się oporu moralnego w Finlandii wobec komunizmu.

Rosjanie utrzymują obecnie jak najlepsze stosunki z czołowymi fińskimi kapitalistami, mimo że przemysłowcy ci popierają konserwatystów, których udział w rządach Finlandii Sowiety uznałyby za gest nieprzyjazny.

W latach 60-tych burżuazyjna większość uległa rozbiciu i socjaldemokraci fińscy wysunęli się na pierwsze miejsce. Obecny rząd koalicyjny, składający się z czterech stronnictw: Socjaldemokratów, Centrum, Stronnictwa Narodowego Szwedzkiego oraz Liberałów — pobił rekord powojenny, przetrwawszy już 2 i pół roku u steru państwa. Przeciętny żywot gabinetów Finlandii w całym okresie jej niepodległości nie przekraczał roku. Co prawda, obecny gabinet już od dłuższego czasu trzeszczy w swoich posadach. Interesy socjaldemokratów i agrariuszy, którzy razem tworzą większość koalicji, są zbyt sprzeczne w obliczu dzisiejszego kryzysu gospodarczego. Jednak wzgląd na politykę zagraniczną i sytuacja międzynarodowa zmusza te stronnictwa do kontynuowania nieudanego małżeństwa. Z kolei prezydent Kekkonen, stabilizator polityki Finlandii, nie może się zgodzić na przesilenie rządowe i ponowne wybory, na kryzys wewnętrzny, w tej chwili gdy Finlandia ma znowu być gospodarzem międzynarodowej konferencji bezpieczeństwa. Rozwiązanie nabrzmiałych problemów wewnętrznych odłożyć trzeba na okres pokonferencyjny.

Ponowne uzależnienie polityki wewnętrznej od wymogów polityki zagranicznej jest dla wielu irytujące. Tym niemniej właśnie wyżej wspomniana konferencja wpływa stabilizacyjnie na obecną sytuację w Finlandii.

Wygasło w tym roku dwuletnie porozumienie zawarte między pracodawcami a pracownikami i kraj stoi przed ciężkimi przetargami na rynku pracy.

Ciekawe, że Finowie bardziej spokojnie niż gdzie indziej patrzą na ewentualność konfliktu światowego, mniej wagi przy-

wiążują do sytuacji zapalnej na Bliskim Wschodzie, uważając zatarg izraelsko-arabski i naftę za mniej ważny. Głównym sprawdzianem niebezpieczeństwa konfliktu w skali światowej jest dla Finów wzajemny stosunek Sowietów i Chin. Dlatego też z niepokojem śledzą oni wzrost wpływów wojska w rządach reżymu moskiewskiego, obawiając się bonapartyzmu w Rosji.

Pamiętać przy tym trzeba, że w przyszłym konflikcie światowym skrajny czubek Skandynawii stanie się jednym z najbardziej strategicznie ważnych punktów świata. Półwysep Kola to sowiecka baza wypadowa na Atlantyk. Wojskowa koncentracja Sowietów na tym półwyspie nie ma sobie równej. W razie wybuchu trzeciej wojny światowej Norwegia a może i Szwecja zostaną wciągnięte w konflikt wojenny.

Z tego powodu spór między Kekkonem a Breżniewem o to, czy Finlandia „zmierza do neutralności” czy tylko „do wolnej od sojuszów wojskowych polityki” — przybiera w świetle powyższych rozważań całkiem inne znaczenie.

Pragnąc utrzymać neutralność i balansując na wąskiej ścieżce między Wschodem a Zachodem, powojenne rządy Finlandii unikały w miarę możliwości zajmowania stanowiska w problemach kontrowersyjnych, zwłaszcza jeśli chodzi o stosunki między mocarstwami. Pod tym względem Finlandia była i jest znacznie strożniejsza od Szwecji. Jej społeczeństwo wykazuje zadziwiająco dyscyplinę. Dlatego neutralność Finlandii była dotychczas szanowana przez mocarstwa, zwłaszcza zachodnie, a w polityce zagranicznej kraj ten okazał się bardziej niezależny niż się tego spodziewano trzydzieści lat temu. Po początkowo bardzo ostrożnej i raczej biernej polityce prezydenta Paasikivi nastąpiła bardziej aktywna polityka prezydenta Kekkonena, który przez inicjatywy międzynarodowe stara się przyczynić do odprężenia w Europie. Polityka jego służy jednak także w dużej mierze interesom Sowietów, co wywołuje nieraz krytykę ze strony kół burżuazyjnych.

Dla Finlandii najbardziej niebezpieczne jest obecnie jej postępujące uzależnienie gospodarcze od Sowietów. Po powrocie prezydenta Kekkonena z ostatniej wizyty w Moskwie (marzec) ogłoszono program dalszego pogłębiania współpracy gospodarczej. Już obecnie Sowiety są największym partnerem gospodarczym Finlandii, a w imporcie paliwa jest ona prawie całkowicie uzależniona od bloku wschodniego.

Norbert ŻABA

P.S. Sprzeczność interesów rolników i robotników (socjal-demokratów i centrum) zmusiła wreszcie w czerwcu prezydenta do rozwiązania parlamentu i przyjęcia dymisji rządu. Bez względu na termin końcowej konferencji SALT odbędą się we wrześniu wybory, po czym wszystko wróci do dawnego stanu: do rządów socjalistów i agrariuszy bez udziału komunistów.

N. Ż.

Sztokholm, w maju 1975

Widziane z Brukseli

I Marks i Szekspir

„Prawo chroni obywatela przed bezprawnym umieszczeniem w zakładzie dla umysłowo chorych... Żaden obywatel nie może być wydalony z kraju ani pozbawiony obywatelstwa... Życie prywatne obywatela jest pod ochroną. Nikt nie ma prawa naruszać jego tajemnicy, m.in. przez zastosowania elektronowych urządzeń zdalnej kontroli... Obywatel ma wolny dostęp do swych akt personalnych, ma prawo zaznajomienia się z użytymi, jaki z nich uczyniono, i do wyrażenia zastrzeżeń co do ich treści. Żadna uwaga dotycząca poglądów politycznych, związkowych, filozoficznych lub religijnych obywatela nie może figurować w jego aktach personalnych... Obywatel korzysta z wolności sumienia i religii. Miejsca kultu religijnego są niedotykane, władze nie mają tam wstępu, jak tylko za zgodą właściwego duchownego... Prześladowania rasowe i antysemityzm są ścigane przez prawo... Nie może być żadnego powiązania między organami państwa i partii. Członkowie partii nie mogą korzystać z żadnych przywilejów... Obywatel ma pełną swobodę słowa, druku, kolportażu, zbierania się i organizowania, przedstawiania swych poglądów... Statut dziennikarzy zapewnia im pełną wolność słowa i sumienia... Poszanowanie wyniku wyborów powszechnych jest obowiązkiem rządu... Przeciwnicy, ze względów moralnych, służby wojskowej, są od niej zwolnieni... Wszystkie narodowości mają prawo wyboru swego statutu... Kara śmierci jest zniesiona, tortura jest zbrodnią. System więzienny stosuje w ramach możliwości, zasadę środowiska otwartego. Areszt domowy, wydalenia i odosobnienia administracyjne są zabronione... Specjalny Sąd Najwyższy czuwa nad przestrzeganiem zasad konstytucyjnych oraz wolności indywidualnych i zbiorowych...”.

Broszurka, z której skromne tylko fragmenty Państwu właściwie przedstawiłem ukazała się w Paryżu i stanowi już *best-seller*... w krajach Europy Wschodniej. Nic dziwnego...

- Co to jest?
- Jest to najbardziej morderczy dokument anty-sowiecki jaki się w ogóle po wojnie ukazał...
- Kto tak twierdzi?
- Dyplomaci wschodnio-europejscy akredytowani na Zachodzie..
- Chodzi zapewne o „Archipelag GUŁag”?
- Nie, chodzi o „Deklarację wolności”...

— Napisaną przez jakiegoś prymitywnego prowokatora, anty-komunistę i podżegacza?

— Nie, zredagowaną i wydaną przez Francuską Partię Komunistyczną!

„Nasze słowo honoru...”

Oczywiście, zapowiadając wydanie swej *magna charta*, p. Marchais, szef kompartii, zastrzegł się, iż nie zawiera ona „żadnej nowej idei”; oczywiście p. Marchais uprzedził, iż „nie należy widzieć w deklaracji wolności żadnej próby krytyki takiego czy innego stanowiska takiej czy innej partii komunistycznej”. Mimo tych środków ostrożności nie ulega jednak kwestii, iż ogromna większość z 89 punktów manifestu malującego wizję „komunizmu o barwach Francji”, stanowi bezkompromisową polemikę z całą absolutnie praktyką rządów komunistycznych ze Związkiem Sowieckim na czele — co ważniejsze, stanowi najdalej idącą próbę ze strony partii zachodniej odcięcia się od pokrewieństwa z praktyką towarzyszy u władzy.

Najbardziej nawet subtelne zastrzeżenie Marchais nie zmienia istotnego sensu manifestu: zło — według niego — nie jest w komunizmie immanentne, nasz komunizm będzie dobry, ciepły i ludzki; pod rządami francuskich komunistów, Sołżenicyn — jak to już Marchais kiedyś obiecał — nie tylko będzie wydany (w druku), ale nie będzie mógł być deportowany ani do GUŁagu ani do willi w Zurichu i na to nasza partia daje wam święte słowo honoru.

Nie wiem jak manifest podziela na Francuzów, u nich wszystko możliwe. (Czy to nie w Paryżu właśnie zakwestionowano ostatecznie ideę wspólnej obrony Europy, albowiem mogłoby to wywrzeć złe wrażenie w Moskwie?). Nami manifest nie wstrząsnął. My przecież wiemy jaki los spotkał pierwszy manifest komunistyczny; my przecież wiemy, że konstytucja stalinowska z 1935 roku jest jedną z najbardziej demokratycznych na świecie, tak bardzo postępową, że do dziś — mimo powołania kilku kolejnych komisji przez kilku kolejnych następców jej autora — nie została zmieniona, ale, że mimo tego nie potrafiła ona przeszkodzić w pewnym, odosobnionym naturalnie, jej naruszeniu (ok. 40 milionów ofiar według niepełnych danych).

Manifest nie wywołał szoku także u ludzi sowieckich. Po pierwsze dla tego, że oni najlepiej wiedzą, iż litera to nie życie. Po drugie dlatego, że Kreml im zaoszczędził zbędnych emocji, nie dopuszczając, w ramach swobodnego krążenia informacji i idei (patrz Genewa, koszyk nr 3), ulotki p. Marchais na rynek sowiecki. Wprost przeciwnie. W Kremłowskim pałacu „deklaracja zamiarów” p. Marchais została powitana chłodno, żeby nie powiedzieć — wrogo.

A przecież Kreml powziął dość istotne środki zapobiegawcze. Żeby przyhamować przesadne „podskakiwanie” swych batalio-

nów, Moskwa wysłała nawet dość nagle, w lutym 1975, na stanowisko radcy ambasady w Paryżu, p. Jurija Pankowa, wysokiego urzędnika KC KPZS, bliskiego współpracownika samego Ponomarewa, u którego był Pankow szefem wydziału partii socjalistycznych i komunistycznych krajów strefy językowej romańskiej (z Belgii włącznie...).

Nie pomogło. Już było za późno. Gaworzenie o wolności p. Marchais doszłusowało więc do długiej listy przeszkód, o jakie potyka się aparat moskiewsko-satelitarny na drodze do skrzyknięcia szczytu europejskich partii komunistycznych.

Czyżby „cały pogrzeb na nic...?”

Moskwa, to jasne, nie czekała na cios w plecy p. Marchais, aby uznać że na Zachodzie są zmiany i że zamiast lekkiego spaceru pod górę, droga na szczyt przekształca się w gólgotę.

Pomysł nie jest nowy. Już w dwa lata po ostatnim „światowym” szczyście (w cudzysłowie, bo zabrakło — drobiazg — Chińczyków), w 1969 roku w Moskwie, Breżniew na XXIV Zjeździe nieśmiało wspominał o „celowości wielostronnych konsultacji”. Ziarno dojrzywało powoli, aż w sierpniu 1975 prasa jugosłowiańska, zawsze czuła na szczytowe tendencje, doniosła, iż doroczny piknik, skupiający na krymskiej trawce wokół Breżniewa szefów KDL-i, poparł ideę „kolektywnej analizy problemów współczesności...”. Jeszcze kilka tygodni i płód zaczyna kopać. Niejaki Herbert Mies, szerzej nieznanym sekretarz generalny faktycznie nieistniejącej zachodnio-niemieckiej DKP, wypuszcza 2 listopada 1973 próbny balon. Jest to stary chwyt Moskwy, która w takich sytuacjach skromnie wypiera się pierwszeństwa i na pierwszy ogień wysyła słabych i nieważnych.

Ale już nazajutrz (z czystego obowiązku kronikarskiego, naturalnie) pomysł Mies'a zostaje przejęty przez *Neues Deutschland*, organ SED u władzy w NRD. Kamień zaczyna się toczyć. P. Marchais przebywa na rekolekcjach w Moskwie w listopadzie 1973. Razem z Breżniewem dochodzą do wniosku, iż „należy wzmocnić jedność działania partii komunistycznych i poprzeć kroki zmierzające do tego celu...”. Kilka dni później panowie Kadar i Žiwkowi spotykają się w Budapeszcie. Jasne, że dochodzą oni do wniosku, iż „nowa konferencja komunistyczna powinna dokonać przebytej już drogi i wyznaczyć cele na przyszłość...”.

Chór KDL-i (z wyjątkiem Rumunów), już zanosi pienia. Idzie szczyt, lawina się toczy. Ale oto pierwszy zakręt. Partie rumuńska i jugosłowiańska, a także niektóre partie zachodnie, mają swoje interesy, czasem taktycznie różne od interesu Moskwy. Kurierzy kursują, dochodzi do kompromisowej formuły. Moskwa rezygnuje z idei światowego szczytu, nieuniknienie antychińskiego, ale żąda szczytu europejskiego. Druga strona godzi się na szczyt europejski, ale poprzedzony pewnymi gwarancjami i pod-

szczytem zachodnio-europejskim. Zgoda. Wszyscy wydają się zadowoleni, każdy ma swój szczyt lub szczycik. Szafa gra.

W styczniu 1974 roku zbiera się w Brukseli szczyt partii zachodnich i zauważa, że warto by się skonsultować w skali całego kontynentu, od Atlantyku do Uralu. W czerwcu 1974, w piątą rocznicę światowej konferencji w Moskwie, *Prawda* przy pomocy 4.000 słów zapowiada nadejście bachanalii europejskich. Wreszcie sam Breżniew w Katowicach, gdzie bawił z okazji 30-lecia PRL, wyraża skromnie zdanie, że „nowa konferencja partii komunistycznych w Europie pozwoliłaby wzmocnić wspólne działanie na rzecz odprężenia na kontynencie i przyczyniłaby się do sukcesu w walce komunistów o prawa klasy robotniczej...”.

No, jeżeli Breżniew tak myśli, to na pewno ma rację. Nikt nie był zaskoczony, kiedy partie polska i włoska (obie żeby nikt nie pomyślał, że Wschód coś narzuca), wystosowały do bratnich partii zaproszenia do przysłania wysokich delegacji do Warszawy w październiku 1974 na pierwszą konferencję konsultatywną w sprawie zwołania szczytu.

Wolność u Radziwiłła

Obrazy trwały trzy dni. Komunikat 28 partii zapowiadał zwołanie szczytu „najpóźniej w połowie 1975 roku” w celu przedyskutowania „problemów walki o pokój, bezpieczeństwo, współpracę i postęp społeczny w Europie”. Konferencja miałaby się zebrać w Berlinie wschodnim, wyjątkowo symbolicznym i wygodnym (w cieniu muru!) w poruszanych kwestiach.

Sukces rosyjski jest więc niewątpliwy. Operacja mająca na celu zaprowadzenie porządku w europejskim ruchu komunistycznym jest na dobrej drodze. Czyż bowiem komunikat warszawski nie został uchwalony jednomyślnie? Czyż nie zjawili się w Warszawie Rumuni, którzy wszak opuścili z trzaskiem podobny sabak w Budapeszcie w lutym 1968? Czyż wreszcie, albo przede wszystkim, nie zjechali do Warszawy Jugosłowianie, ci najbardziej podejrzliwi i wrażliwi, weterani kominformu, którzy przez 25 lat bojkotowali wszelkie międzynarodowe konwenytkle wyjątkowo komunistyczne, z jednym żalosnym wyjątkiem narady w Moskwie kiedy trzeba było w 1967 roku zerwać z Izraelem?

To wszystko prawda, ale prawda pozorna. W istocie, zwycięstwo Rosjan jest klasycznie pyrrusowe. Aby sprowadzić całe to towarzystwo do Warszawy i wydrzeć mu jednomyślny komunikat, Rosjanie musieli zapłacić bardzo wysoką cenę.

Najpierw, w przeddzień otwarcia konferencji w Warszawie, musieli pogodzić się z partią hiszpańską, którą niedawno jeszcze — słusznie ze swego punktu widzenia — wyzywali od najgorszych rewizjonistów i nacjonalistów. Musieli następnie porzucić wszelką nadzieję na ekskomunikę czy choćby krytykę maoistów, musieli w ogóle zrezygnować z użycia świętej dotąd formuły „pro-

letariackiego internacjonalizmu", bo za bardzo przypomina tamte czasy.

Ale przede wszystkim Rosjanie musieli uszanować zasadę jedynomyślności i pełnej wolności słowa, i to nie w teorii a w praktyce, tak aby nie powtórzyła się sytuacja z Moskwy z 1969 roku. Wszyscy bowiem pamiętają, iż niektóre partie zachodnie zgłosiły tam ok. 450 poprawek do rezolucji, które jednak „większością głosów” zostały po prostu odrzucone i znikły bez śladu. W Warszawie zaś po raz pierwszy w historii ruchu robotniczego, na europejskiej konferencji komunistycznej, w pałacu Radziwiłła w Warszawie, w sercu gułagu cenzury, można było usłyszeć potępienie nie tylko imperializmu, ale i „hegemonizmu”, jak to ładnie określają Jugosłowianie pewne niezdrowe tendencje Moskwy. Nie warto nawet dodawać, że deklaracji o niezależności każdej kompartii, o nieistnieniu jednego centrum było bez liku. Odwaga stała się...

Prasa polska, nie mówiąc już o sowieckiej, traktowała takie oświadczenia raczej dyskretnie, nie wybijając ich na plan pierwszy. Ale każda przewidująca delegacja — to także bez precedensu — zarezerwowała sobie prawo prawdziwej, a nie tylko teoretycznej — poprzez TASS'a — wolności informowania o przebiegu obrad. Stąd dziennikarze zachodni w Warszawie, a także prasa rumuńska czy jugosłowiańska, nie mówiąc już o włoskiej *Unità*, swobodnie przekazywały treść wystąpień swoich i nie swoich delegatów. Jugosłowiańska agencja Tanjug miała oczywiście pierwszeństwo w upowszechnianiu treści wystąpień delegata titowskiego p. Grlickowa, którego brutalna szczerzość zaskoczyła nawet komentatorów z... Belgradu. Według Włocha Paietty „nowy typ internacjonalizmu narodził się w Warszawie”; według Grlickowa „zasada jedności w różnorodności została ostatecznie zalegalizowana”; według greckiego dziennika komunistycznego *Avgli* „zostało raz na zawsze potwierdzone prawo do własnego innego zdania”, według Rumuna Andrei „mowy nie ma o jakiegokolwiek próbie ograniczenia swobody akcji poszczególnej partii”; według Hiszpana Carillo, próba taka „niesie groźbę przekształcenia partii nie będących u władzy w zwyczajne narzędzie polityki państw socjalistycznych...”.

Od takich zwycięstw bieleje włos. Nic dziwnego, że Rosjanie, oficjalnie absolutnie szczęśliwi, nie oblewali warszawskiego sukcesu. Lawina szła, i miała potwierdzić najgorsze przypuszczenia.

W desperackiej próbie zachowania kontroli, Moskwa zwołuje od razu, podejrzanie szybko, kolejną plenarną konferencję na tym samym wysokim szczeblu. 28 partii spotyka się w Budapeszcie, w grudniu 1974, pod cesarsko-królewskim sklepieniem hotelu Gellerta. Jest komplet, ale aby mieć Jugosłowian, p. Katuszew, sekretarz KC z Moskwy musiał się osobiście pofatygować do Belgradu z zaproszeniem. Niepotrzebnie. Mimo, iż jak się dziwnie w tych okolicznościach wyraził delegat włoski „komunistyczny gentlemen's agreement” pozwolił uniknąć dyskutowania tematów wybuchowych, jedyną decyzją Budapesztu jest komu-

nikat o powołaniu specjalnej grupy roboczej, która w ramach komisji redakcyjnej, zajęć się ma przygotowaniem dokumentów przyszłego szczytu. Widmo rozłamu już krąży nad Dunajem, spór idzie o sens i cel szczytu, reszta to zawracanie głowy. Grupa robocza ma poszukać elementów kompromisu.

W cieniu samotnego muru

Organizacja jest zlecona SED, komunistom zza muru. Oni są niezawodni, to mimo wszystko Niemcy. Grupa robocza zbiera się więc po raz pierwszy w Berlinie wschodnim między 17 a 19 lutego 1975 roku. Bez fanfar, bez szumu. 16 partii, 8 ze Wschodu — czyli wszystkie u władzy, i 8 z Zachodu. Pracują trzy dni. I nic. Błada, wstydliva depesza ADN, agencji nrd-owskiej, ujawnia tylko, że doszło „do twórczej wymiany poglądów” co jak wiadomo, w bizantyjskim protokole komunistycznym oznacza, iż nie dogadano się do niczego. Jedyny sukces: „zgoda co do następnego etapu”.

Nie jest to dużo jak na 16 poważnych partii. Następny etap materializuje się znowu w Berlinie wschodnim między 8 a 10 kwietnia. Tym razem jest nie 16 a 20 partii. Ale mimo, że delegatów jest więcej, to informacji jest mniej. Komunikat znanej nam już ADN mówi tym razem nie o „twórczej”, a o „szerokim wymianieniu poglądów”. Jedyny sukces: „zgoda co do następnego etapu...”.

Ale już nawet kulomioty na wysokim murze berlińskim nie potrafią stłumić jęku i ukryć prawdy. Przygotowania do szczytu utknęły gdzieś po drodze. W Berlinie już dwa razy doszło do ostrych starć między zwolennikami a przeciwnikami linii ujętej w przedstawionym przez gospodarzy projekcie końcowego dokumentu szczytu.

O co właściwie chodzi? Rosjanie i ich sojusznicy, których poglądy wyrażał sed-owski projekt, chcą zakończyć szczyt uchwaleniem dwóch dokumentów, z których pierwszy, ten ważny, stanowiłby program wspólnej akcji, nosiłby charakter ideologiczny i miałby moc wiążącą dla wszystkich sygnatariuszy, stanowiłby więc coś w rodzaju nowego wydania katechizmu proletariackiego internacjonalizmu, formuły która ciągle jeszcze budzi zimny dreszcz w szeregach rewolucji.

Druga strona szła do boju pod wodzą Jugosłowian, którzy bili się jak za najlepszych czasów kominformu i Stalina. Mowy być nie może, wołali, o żadnym wiążącym manifestie ideologicznym. Dokument końcowy szczytu, jeden a nie dwa, ma być czymś w rodzaju „rezerwuaru idei, sądów i propozycji”, ma inspirować, a nie wiązać, ma wyzwalać a nie ograniczać swobodę działania. Według Carrillo powinna to być jak najszersza platforma „możliwa do przyjęcia nie tylko dla partii komunistycznych, ale także dla całej postępowej lewicy...”.

Skoczył Francuz na pomoc z kompromisem. Czyż — wołał p. Kanapa z Paryża — projekt wschodnio-niemiecki nie był czymś w rodzaju kompendium propozycji wszystkich partii? Nie, odpowiedział Belgrad, „ten dokument nie nadaje się nawet do poprawki, jest do wyrzucenia precz”. A jeżeli będziecie się przy nim upierać to, dodał Grlickow, Jugosłowianie sobie pójdą, cześć i adieu, z komunistycznym pozdrowieniem...

Marchais pod Waterloo

Rosjanie wszystko podliczyli, bilans nie był wesoły. Jugosłowianie grzmią przeciw „hegemonizmowi”, szerząc zarazę i podbudowując głębię swych wywodów teoretycznych serią procesów przeciw „kominformistom”. Ceausescu odważa się zbojkotować mini-szczyt, który zgrupował wokół Breżniewa w Budapeszcie wszystkich pozostałych kom-szefów u władzy. Do Pragi, na podstawową odprawę w sprawie stawienia czoła ideologicznej zarazie idącej z Zachodu wraz z subwersyjnymi pomysłami z dziedziny swobodnego krążenia ludzi, idej i informacji, Rumuni podśleli jakiegoś podrzędnego urzędnika. Wywołuje to sprawiedliwy gniew towarzyszy z Pragi, którzy w delikatnej aluzji przypomnieli Rumunom o istnieniu „doktryny Breżniewa” i obowiązku bratnich partii ratowania socjalizmu w każdym z oddzielnych części kraju. Włosi mówią bez żenady o „konieczności złagodzenia pewnych konfliktów ujawnionych w toku przygotowań szczytu”. Carrillo stwierdza (i to w Bukareszcie), że „przygotowania do szczytu muszą odzwierciedlać wielką różnorodność ruchu komunistycznego, który już dawno nie jest monolityczny” i dodaje (w tygodniku włoskim), że „reżymy wschodnie cierpią na pozostałości stalinizmu, a ich praktyka poważnie hamuje rozwój myśli marksistowskiej na Zachodzie”.

Wielki *show* ekumeniczny, jaki zorganizowali Jugosłowianie w kwietniu w Belgradzie też nie wywołał radosnego grania kremlofskich kurantów. Na seminarium, poświęcone stosunkom gospodarczym między Europą a trzecim światem, Belgrad zaprosił 31, a więc wszystkie (z albańską włącznie) partie komunistyczne Europy oraz 26 partii nie komunistycznych. Mniejsza o temat, prochu nie wymyślili, i nie to zdenerwowało Moskwę. Oto bowiem ku ogólnemu zaskoczeniu zjawiali się w Belgradzie jak gdyby nigdy nic, delegaci partii holenderskiej i islandzkiej. Rzecz nie w ich światowym zasięgu, ale w tym, że obie te partie, które od dawna już kategorycznie bojkotują wszystkie komunistyczne zgromadzenia, przerwały milczenie i przybyły do Belgradu nie po to, rzecz jasna, aby wnieść swój wkład w teorię stosunków z trzecim światem, ale aby wyrazić poparcie dla „antyhegemonistycznego” stanowiska Jugosławii w sprawie europejskiego szczytu.

Niemniej zresztą niż pewne obecności, a może nawet bardziej wymowne, były pewne nieobecności. Nie zjawili się więc w Belgradzie partie grecka, tzw. „zewnątrzna”, i partia portugalska,

znane jako najbardziej prosowieckie w ruchu europejskim. I żeby już było wszystko jasne to dodajmy, że partia grecka nie przybyła do Belgradu, albowiem została również zaproszona druga, konkurencyjna „wewnętrzna” partia grecka i że w nieobecności komunistów, portugalski ruch robotniczy reprezentowany był w Belgradzie przez... socjalistów tow. Soares'a, którzy — choć wygrali wybory (drobiazg — 38%) — zostali ostro wyklęci przez komunistów za „działalność rozłamową”. Nas ten fakt nie dziwi. Pamiętamy bowiem, że w styczniu 1975 p. Soares, ówczesny minister spraw zagranicznych został w Moskwie faktycznie zbojkotowany, ale za to triumfalnie przyjęty w Bukareszcie i w Belgradzie i że komunistyczne partie jugosłowiańska i rumuńska wysłały swych delegatów na zjazd socjalistycznej partii Soaresa w grudniu 1974, natomiast nie były zaproszone na zjazd komunistycznej partii Cunhała w październiku 1974.

Ten proces gnilny — inaczej nazwać go już nie można — dochodzi do szczytu, kiedy to wściekły na *dolce far niente* reakcyjnych władców obecnej Francji i postępowych władców obecnej Rosji, p. Marchais, niezawodny i nieposzlakowany leninowiec puszcza w eter, w chwili spotkania Chiraca z Breżniewem, swoje słynne *je m'en fous*, co w wolnym tłumaczeniu może oznaczać od „gwizdę na to” aż do „mam ich w d...”.

Okrzyk Marchais jest naturalnie oceniany przez *Humanité*, ale poszedł w świat i uwiecznił Marchais w historii, tak jak to się stało ze słynnym *merde* gen. Cambronne pod Waterloo...

Jeszcze jeden etap...

Ta „kropla” przelała kielich. To nie jest moment do awantur. Moskwa wchodzi na finisz konferencji genewskiej, już widzi świt kolejnych białych nocy w Helsinkach, nie można w takiej chwili psuć atmosfery. Zakładamy białe rękawiczki, trzeba się cofnąć.

P. Axen, członek politbiura SED, rzekomy autor projektu uchwały końcowej szczytu, wyraża więc zdziwienie w wywiadzie dla swego organu. O co gwałt? To wszystko są „spekulacje i próby dywersji prasy kapitalistycznej”... SED rzeczywiście przedstawiła projekt dokumentu, ale „nie może być mowy nawet, aby szczyt mógł się zajmować zadaniami, jakie każda partia sama sobie autonomicznie wyznacza...”.

Ale już było za późno. Kiedy Axen zwołuje na 12 maja do Berlina trzecią sesję grupy roboczej, nic się nie klei. Zaproszonych jest tylko już osiem partii. Cztery uważane za „centralistyczno-ortodoksyjne”: sowiecka, wschodnio-niemiecka, francuska i duńska; cztery uważane za „autonomiczno-postępowe”: jugosłowiańska, rumuńska, włoska i hiszpańska. Cóż, kiedy na *rendez-vous* stawiło się nie osiem, a siedem partii. Zabrakło Jugosłowian. Zamiast zameldować się w Berlinie, Belgrad dokonuje podwójnego manewru. Po pierwsze, zamiast delegata, Tito wysłała

11-stronicowy krótki kurs swych poglądów. Po drugie — Grlickow zamiast do Berlina jedzie, wprost, do Moskwy.

Przy całkowitej dyskrecji prasy sowieckiej, która normalnie odnotowuje wydarzenia mniej pasjonujące, np. wizytę zastępcy kierownika wydziału KC partii mongolskiej, wizyta Grlickowa, członka najwyższych instancji z Belgradu, u Ponomarewa i Katuszewa, odpowiedzialnych na samym Kremlu za przygotowanie szczytu i kontakty zagraniczne KPZS, pozostaje w Moskwie tajemnicą! Mimo, iż przywiózł on osobiste orędzie Tity i że został — jak powiedzieli w Belgradzie — „życzliwie wysłuchany przez towarzyszy sowieckich”, Grlickow wrócił bez większych sukcesów. Trzecia sesja zakończyła się porozumieniem co do następnego etapu. Rosjanie uzyskali manowicie zgodę Jugosłowian na kompromis: do połowy czerwca całkowicie nowy projekt, z końcem czerwca — nowe zebranie grupy roboczej.

„To be or not to be”

I tak doszliśmy do „połowy roku 1975”, kiedy to najpóźniej miał się szczyt rozpocząć, ale kiedy wszystko co dostępne wskazuje, że jest jeszcze do niego daleko. Oczywiście, w tym ruchu, — mimo wszystkich „deklaracji wolności” — pozbawionym wszelkich cechy demokratycznych, w ruchu, który jeżeli doszedł do władzy, to tylko gwałcąc nie „deklarację” a demokrację i który tę władzę sprawuje tylko poprzez mniej lub bardziej gwałtowe dyktatury, w takim ruchu wszystko jest możliwe. Między chwilą kiedy postawiłem kropkę pod tym felietonem, a jego ukazaniem się, wszystko się może zdarzyć, albowiem tam gdzie nie ma kontroli, gdzie nikt, albo prawie nikt, nie mówi co myśli, tam każdy najbardziej zawrotny zakręt może być przedstawiony jako prosty, logiczny krok, prawidłowy strategicznie i uczciwy ideologicznie.

Z tym zastrzeżeniem, można dziś, 2 czerwca 1975, powiedzieć, iż Moskwa znalazła się w obliczu iście szekspirowskiego wyboru.

Albo bowiem — mówiąc w największym skrócie — uprze się przy swojej wersji szczytu. Koszta wtedy będą kolosalne: jeszcze jedna ekskomunika i rozwód z partią jugosłowiańską, podejrzenie a nawet pewność zamiarów odrestaurowania kominformu, ogromne ryzyko nowych rozłamów i nowych schizm w ruchu komunistycznym, już przecież tak zdemoralizowanym przez reformację maoistowską.

Albo Moskwa cofnie się i pozwoli zamienić szczyt europejski w coś w rodzaju demokratycznego parlamentu, gdzie, nawet wbrew woli delegatów, siłą dynamiki wolnościowej lub w imię interesów taktycznych, wyborczych i innych, musi dojść do spięć i konfrontacji. W ten sposób, Kreml zamiast mieć szczyt o charakterze porządkującym, unifikującym i koordynującym, przyczyni się do nadania mu charakteru wolnej trybuny, bez precedensu w oficjalnym ruchu robotniczym.

Jakiegokolwiek jednak byłyby następne kroki Moskwy, Rosjanie muszą się liczyć z dwoma podstawowymi — jak się to mówi — opcjami.

Po pierwsze, nie będzie szczytu 28, a tylko taki się liczy, jeżeli miałyby się on zakończyć uchwaleniem dokumentu z daleka choćby przypominającego powszechnie obowiązujący program działania. Po drugie — oficjalnie przynajmniej — zniką z praktyki rewolucyjnej aksjomat pierwszeństwa interesów państwa sowieckiego. Wstydliwie przemilczana ostatnio formułka Cunhala portugalskiego o tym, że „dla każdego komunisty ZSSR jest drugą ojczyzną”, zniką z propagandy, na Zachodzie przynajmniej. W 1967 roku Stonimski zgodził się z Gomułą, że każdy Polak może mieć tylko jedną ojczyznę, nie rozumiał jedynie dlaczego tą ojczyzną musi być Egipt. Szczyt, gdyby miało do niego dojść, musiałyby proklamować, *implicite* lub *explicite*, że można być komunistą i mieć tylko jedną ojczyznę i że tą ojczyzną nie musi być ZSSR.

Nie jest to rezultat o jakim marzyli Rosjanie kiedy lansowali ideę europejskiego szczytu. Parafrazując wiersz Eluarda, poety też komunistycznego, można powiedzieć, że gdyby mieli oni powtórzyć tę samą drogę, wybraliby raczej zupełnie inną...

BRUKSEL CZYK

Pisane 1 czerwca 1975

Korespondencja z Rzymu

KOMUNISTYCZNA „DROGA NARODOWA” I ZAULEK PORTUGALSKI

Kiedy XIV zjazd włoskiej partii komunistycznej (PCI) — inaugurował w Rzymie w połowie marca swe obrady, „bratnia partia” portugalska zrzuciła ostatecznie maskę rzekomego obrońcy legalizmu i pluralizmu. Jej delegat z trybuny rzymskiego zjazdu bronił „rewolucyjnej rady” wojskowych, atakował chrześcijańskich-demokratów, socjal-demokratów i innych „wrogów demokracji”, oskarżając wszystkich przeciwników komunizmu o... fałszyzm. Nie pomogło blade oświadczenie kierownictwa PCI, kwestionujące „niektóre decyzje” powzięte przez „ludowe siły demokratyczne” w Portugalii, ale równocześnie deklarujące solidarność z „bratnią partią” i jej przywódcą Cunhal'em. Kiedy doszła z Lizbony wiadomość o delegalizacji PDC (partii chrześcijańsko-demokratycznej) i dwóch ugrupowań skrajnie-lewicowych o orientacji prochińskiej, włoska *Democrazia Cristiana* wycofała demon-

stracyjnie swą delegację z honorowej trybuny gości. Cała prasa, radio i telewizja podniosły alarm: w strefie śródziemnomorskiej światowy komunizm szykuje groźny przyczółek podważający dotychczasową równowagę strategiczną w Europie. Przywódcę komunistów portugalskich Cunhala (nazywanego „ostatnim stalinistą w Europie”) porównano do czeskiego Gottwalda i przypomniano analogiczną technikę i metody monopolizowania władzy przez komunistów w krajach Europy Wschodniej w latach 1945-1948. PCI znalazła się w izolacji i na nic nie zdały się próby perswadowania, że „odmienne sytuacje historyczne i lokalne” wykluczają przenoszenie portugalskich doświadczeń na grunt włoski. Odpowiadano jej: miara jest jednakowa jeśli chodzi o stosunek do totalitarnych praktyk. Portugalska bomba zegarowa rozłożyła kompletnie rzymski zjazd komunistów, który miał być triumfalnym widowiskiem prężności i ponownego wylansowania propozycji „kompromisu historycznego”. Raport złożony przez sekr. gen. Berlinguera, poparty ale bez entuzjazmu (były jednak również wystąpienia krytyczne) ugrzązł na mieliźnie portugalskiej. Nikt nie chce wierzyć w deklaracje o „pluralizmie” i w zakłęcia o włoskiej „drodze do socjalizmu — *credibility gap*. W swej replice przywódca włoskiej partii nie potrafił ukryć zaambarasowania i choć zazwyczaj bardzo zrównoważony, zaatakował z furją sekretarza gen. Demokracji Chrześcijańskiej, senatora Fanfaniego (głównego „winowajcę” bo popsuł mu szyki, eksploatując beżliście kartę portugalską).

Droga do władzy okazała się więc dla włoskich komunistów bardziej daleka i uciążliwa, niż to niektórzy obserwatorzy przewidywali. Towarzysz Cunhal w Lizbonie, jako główna podpora junty wojskowej, przestraszył nie tyle siły konserwatywne i centrowe, ile przede wszystkim lewicę socjalistyczną i republikańską. Karty w grze uległy przetasowaniu. Prof. Zbigniew Brzeziński, znakomity ekspert międzynarodowy, wydaje się przesadnie optymistyczny co do efektywnych zmian we włoskiej partii komunistycznej i w związku z tym jej szans wyjścia z izolacji. Był tu w listopadzie jako dyrektor Trójstronnej Komisji (*Trilateral Commission*) USA-Japonia-Europa i rozmawiał z tow. S. Serge, inteligentnym i obrotnym szefem sekcji zagranicznej PCI. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi *Espresso* Brzeziński daje wyraz zaniepokojeniu z powodu „zachwiania się stabilizacji w strefie śródziemnomorskiej i chaotycznej sytuacji politycznej i gospodarczej we Włoszech”. Stwierdza również, że reformistyczna tendencja górująca w partiach komunistycznych Italii i Francji powoduje że „zwiększa się prawdopodobieństwo iż prędzej czy później partie komunistyczne przystąpią do koalicji rządowych”. Na pytanie: dlaczego w niektórych środowiskach amerykańskich i europejskich możliwość uczestnictwa komunistów w rządach w Italii, Francji i Portugalii wywołuje wciąż obawy? — Brzeziński odpowiada: „Największą przeszkodę dla udziału komunistów w rządach w krajach demokratycznych stanowi niepewność co do bezwarunkowej akceptacji przez nich systemu demokra-

tycznego. Jestem gotów uwierzyć, że włoska partia lub francuska ulegają przeobrażeniom, jednakże powinny nastąpić publiczne dowody tych przemian. W niektórych krajach znajdują się u władzy partie komunistyczne z jakimi włoscy i francuscy przywódcy komunistyczni często się kontaktują. Czy istnieją jednak jakieś dowody oficjalne, że włoska partia komunistyczna wywierała kiedykolwiek nacisk na to, aby bratnie partie w Polsce, Czechosłowacji lub Związku Sowieckim dopuściły obecność wolnej prasy opozycyjnej? Czy istnieją dowody, że nalegała na to by państwa komunistyczne zaakceptowały swobodę zebrań, umożliwiającą by taki człowiek jak Dubczek mógł przedstawić swą kandydaturę w wolnych wyborach przeciw Husakowi? Jestem gotów uwierzyć, że komuniści włoscy są umiarkowani i rewizjonistyczni. W istocie są nimi. Jednakże jeśli chodzi o udział komunistów w rządach, to w grę wchodzi przyszłość demokracji. Gdybym był obywatelem włoskim domagałbym się konkretnego oficjalnego zapewnienia o poszanowaniu systemu demokratycznego i to asekurację potwierdzoną faktami. Przywódcy gotowi jedynie szeptać prywatnie o swym poparciu dla opozycji w Czechosłowacji czy w Polsce, nie dają dostatecznych gwarancji, że respektowaliby reguły gry, jeśli znaleźliby się przy władzy we własnym kraju”.

Otóż to. Jak tylko dochodzą do władzy (nawet bez pomocy czółgów sowieckich, tak jak w Portugalii) okazuje się że nie respektują reguł gry. Obserwując od 12 lat działalność włoskiej partii doszedłem do przekonania, że ma ona „duszę” podzieloną na dwa przedziały — totalitarny i demokratyczny — którymi dowolnie żongluje. Prof. Brzeziński, jak zresztą większość obserwatorów zachodnich, zwłaszcza amerykańskich, przecenia „nośność” polityczną demokratycznej ewolucji tej partii, bagatelizując lub w każdym bądź razie niedoceniając, jej duszy totalitarnej. Reformizm, rewizjonizm, umiarkowanie — wszystko to bardzo ładnie brzmi i wszystko to prawda. Gdzie kończy się jednak taktyka, a zaczyna się niezmienna strategia?

Tymczasem Watykan ruszył w sukurs włoskim chadekom, pojępiąc „kompromis historyczny” i wzywając do niedowierzania komunistom. Uczynił to za pośrednictwem pisma jezuitów *Civiltà Cattolica*, uważanego powszechnie za trybunę nieoficjalną Watykanu i miarodajny organ opiniodawczy.

Dominik MORAWSKI

Korespondencja D. Morawskiego na skutek strajków pocztowych ukazuje się z dużym opóźnieniem. Sukces wyborczy komunistów w ostatnich wyborach zmieniła zupełnie sytuację. Ewolucję sytuacji politycznej we Włoszech przedstawi nasz korespondent w nrze wrześniowym *Kultury*. — REDAKCJA.

Kraj

Po nas choćby trawnik...

KILKA REFLEKSJI NA TEMAT LOSÓW NARODOWYCH ZABYTEKÓW

Ochrona zabytków cieszy się w Polsce zdecydowanym, wręcz entuzjastycznym, poparciem opinii publicznej. Przykładem niech tu będzie rekonstrukcja Zamku Warszawskiego, z rozlicznych powodów odwlekana, przez wiele lat stanowiąca wręcz temat „tabu”, a ostatnio tak wspaniale realizowana wysiłkiem całego społeczeństwa w kraju i za granicą.

Polacy mają szczególny stosunek do swej historii, do swoich dóbr kultury narodowej, wytworzonych w ciągu wieków i grających cały czas olbrzymią rolę w dziejach poszczególnych pokoleń. Znaczenie zabytków nie przemija wraz z upływającym czasem, przeciwnie — im bardziej są one wiekowe, im większą rolę grały w dziejach, tych bardziej są wartościowe, godne i wymagające opieki. Nasza historia, której materialnym wyrazem są zabytki, jest wciąż żywotna jako siła twórcza dziejów narodu, jest, była i będzie inspiracją, wychowawczym, ideowym źródłem politycznego i społecznego myślenia Polaków. To historia, dziedzictwo narodowe, niejednokrotnie już pomogła Polsce powstać z upadku, pozwoliła przetrwać niezliczone kataklizmy, mające ją powalić, była, jest i będzie motorem wspaniałych patriotycznych i wolnościowych zrywów narodu. Tę jej rolę „doskonale rozumieli zarówno ci, którzy byt narodowy budowali, jak i ci, którzy pragnęli go zniszczyć, przekreślić” — jak słusznie zauważa J. J. Terej na łamach 7/157 numeru tygodnika *Literatura*. Jako przykład przypomina on antypolską działalność hitlerowców w czasach okupacji, konkludując: „Eksterminacja narodu wydawała się hitlerowcom możliwa wówczas, gdy ów naród odarty zostanie ze swej przeszłości, ze wszystkiego, co przypominać będzie czasy przeszłe”. Także na poziomie każdego, szeregowego obywatela narodowa przeszłość pomaga odnaleźć się w trudnych czasach,

wyznaczyć sobie należne miejsce w świecie, ukształtować światopogląd, jest wychowawczym źródłem jego postawy w stosunku do problemów współczesności. Zabytek gra tu olbrzymią rolę, na co dzień przypominając o prawdzie, sprawiedliwości i prawie, milcząco, lecz wymownie wskazując właściwą drogę rozwoju, postępowania, istotę postępu.

Wszystko to, co powyżej napisałem jest w sumie oczywiste, i właściwe niepotrzebne byłoby takie przypominanie, gdyby nie co najmniej zatrważający, alarmujący stan zabytków i skarbów kultury narodowej w dzisiejszej Polsce. I nie Międzynarodowy Rok Ochrony Zabytków, ogłoszony przez UNESCO, jest powodem moich uwag, lecz fakty, o których donosi prasa krajowa. Zwłaszcza przedostatni odbił się głośnym echem w środkach masowego przekazu, choć nie wywołały go rozgłośnie detonacje dynamitu, założonego w murach młynów Św. Klary we Wrocławiu. Raczej spowodowało je to, że barbarzyńskie zniszczenie kolejnego zabytku miało miejsce w centrum półmilionowego miasta, na oczach jego mieszkańców.

Wrocławskie młyny Św. Klary, zabytek II klasy, ufundowane zakonowi s.s. klarysek przez Henryka III z rodu śląskich Piastów, polskich książąt Śląska, stanowiły ostatni tego typu zabytek w Polsce. W XVIII wieku zniszczone przez pożar, odbudowane w stylu barokowym. Położone na wyspach Bielarskiej i Słodowej, w sąsiedztwie najstarszej części Wrocławia — Ostrowia Tumskiego — obok młynów z czasów późniejszych, były doskonale wkomponowane w panoramę przestrzenną tej części miasta. Na wyspach już w czasach piastowskich odbywały się żakłady, w młynach siostry zakonne przez 300 lat utrzymywały stołówkę dla ubogich, tutaj w średniowieczu topiono czarownice. Miejsce dla owiane jest licznymi legendami, m.in. o ksieni, przełożonej klarysek, która ukazywać się miała w chwilach szczególnie niebezpiecznych dla grodu. Tym razem nie ukazała się...

Jednakże, to nie sam fakt zniszczenia tego zabytku skłania mnie do stwierdzenia, że opieka nad pomnikami naszej narodowej kultury jest — delikatnie mówiąc — niewystarczająca, ale fakt, że dane charakteryzujące ten aspekt działalności władz państwowych są katastrofalne w swej wymowie. Oto one, tylko dla województwa lubelskiego (cytuje za *Literaturą*):

W tym rdzennie polskim województwie 25 % zabytków architektury i budownictwa znajduje się w stanie zaniedbania, a 35 % — dewastacji lub ruiny. Dane pochodzą z Urzędu Konserwacji Zabytków, od Konserwatora Wojewódzkiego, mgra Kurzątkowskiego, który jednak zastrzega się, że są to dane przybliżone, gdyż jego wiedza o stanie niektórych obiektów opiera się na jednym oficjalnym meldunku od 30 lat, czyli od chwili zakończenia wojny. Dla przykładu: założona w 1956 roku karta ewidencyjna cerkwi w Książewicach (konstrukcja zrębowa, przypominająca rybi ogon, pozorne sklepienie kolebowe), w rubryce „inspekcje” podaje: cerkiew w ruinie i karta nie jest

zweryfikowana, mimo obowiązku urzędowego. Karta cerkwi w Teniatyskach (w nawie i babińcu pozostałość polichromii) nie zweryfikowana od 18 lat; rubryka „inspekcje” podaje — „pół cerkwi nie istnieje” — data nie zaznaczona. Dwór w Rogoźnie: karta z roku 1958, zweryfikowana w 1966, rubryka „inspekcje” — pusta. Zdjęcie, załączone do karty, pokazuje ganek na 4 kolumniach, zakończony trójkątnym szczytem. Dziś naoczny świadek podaje, że ganku i szczytu już nie ma, jakby je wyłamano z bryły budynku, wraz z częścią dachu. Przyczyna braku jakiegokolwiek kontroli chociażby tylko stanu zabytków? Biuro Konserwatora Wojewódzkiego jest dwuosobowe (włącznie z nim samym), na osobę przypada 12.400 km² powierzchni i ani jeden samochód. Pod opieką Urzędu w chwili obecnej znajduje się 30 układów urbanistycznych, 106 zabytków architektury i budownictwa, 136 zabytkowych parków, 50 cmentarzy. Kartoteka zabytków ruchomych dopiero w trakcie opracowania, konserwator nie zna zabytków historycznych na swoim terenie i nie wie, jak się nimi zajmować. Nie nadajeza za problemami układów przestrzennych, a tu trzeba już myśleć kategoriami układów chronionych, nie wiadomo które chronić i jak. (Przypominamy, że na terenie województwa lubelskiego powstaje olbrzymie zagłębie wydobywania węgla kamiennego wraz z towarzyszącymi zakładami przemysłowymi, elektrowniami oraz kilkuset tysięcy miast). Konserwator sam pełni obowiązki inwestora, lecz nie zna się na procesie inwestycyjnym i „lepiej nie mówić, jak się czuje w tej roli” (cytat). Konserwator zwraca też uwagę, że jego zadania wymagają poza tym m.in. znajomości urbanistyki, architektury, budownictwa, archeologii, malarstwa, rzeźby, tkactwa, hafciarstwa, złotnictwa, malarstwa, kultury materialnej wsi itd. Tymczasem stawki, jakie może zaproponować, są najniższe z tych, jakie specjalista w danej dziedzinie może otrzymać, i w związku z tym brak kadr. Mówi również, że jeśli nie nastąpią zasadnicze zmiany, jak np. renowacja tradycyjnych rzemioł, to za parę lat sytuacja będzie krańcowo gorsza.

W innym artykule tego samego numeru *Literatury* Ryszard Brykowski przytacza dane, charakteryzujące powiat Tomaszów Lubelski, opracowane w latach 1971/72 przez Ośrodek Dokumentacji Zabytków przy Ministerstwie Kultury i Sztuki. W powiecie tym było wówczas zaledwie 111 zabytków architektury, w tym wiele określonych przez specjalistów Ośrodka jako „częściowo zburzony”, „częściowo rozebrany”, „ruina”, „uszkodzony”, „dewastowany” lub delikatnie „nie użytkowany”, co w istocie ma podobną wymowę. W niecałe dwa lata po powyższej weryfikacji stanu 6 obiektów przestało istnieć, los około 10-ciu był już prawie przesądzony, a dalszych kilkadziesiąt jest pod znakiem zapytania. Dla zobrazowania w jaki sposób traktuje się zabytki w tym rejonie, przytoczę za autorem losy kilku z nich:

W czerwcu 1974 roku z murewanego dworu w Zwiartowie wyprowadziła się szkoła, a w lipcu nad połową budynku nie było już dachu. Dwór jest bezpański — do wynajęcia. Miejsco-

wa spółdzielnia produkcyjna chciałaby budynek jak najszybciej rozebrać, a na jego miejscu, włączając 4 ha parku, założyć hallowed wiec. Nie opodal dworu była studnia — cembrowina i cały mechanizm z potężnym, podwójnym kołem zamachowym, gontowy daszek — drewniane. Chciano ją przenieść do skansenu w Lublinie, niestety, podobno ze starości, wszystko zaważyło się, połamano, zniszczyło. Odpowiedzialnych za konserwację, jak i dewastację brak.

W Łaszowie — relikty zamku. Stąd pochodził ów Łaszcz, co to wyrokami sądowymi delię podbić sobie kazał. Dawna sala rycerska, w 1770 zmieniona została na synagogę, w roku 1954 miejscowa Gminna Spółdzielnia użytkowała ją jako magazyn zbożowy. Dziś straszy pustymi oczodołami okien, dach i stropy zwalone. Prawdopodobnie zostanie rozebrana w ramach tzw. „porządkowania osady”. Resztki strażacką. Łaszów był niegdyś „adaptując je na — remizę strażacką. Łaszów był niegdyś bogatym i ambitnym miastem. Dziś nie ma już śladu po ratuszu, którego resztki właśnie „uporządkowano”. W XVIII wieku zbudowano tu kolegium jezuickie, do dziś zachowały się relikty kościoła, zamienione na coś, co tylko może przypominać budynek mieszkalny. Zachował się wielki, podpiwniczony klasztor, przekształcony na początku XIX wieku przez rodzinę Szeptyckich na pałac. Dziś budynek nieużytkowany, sklepienia zmurszałe, grożą runięciem. Można byłoby go przekształcić na dom wypoczynkowy, dom pracy twórczej dla artystów, szkołę. Nic takiego. Obok właśnie wybudowano nową szkołę, „ruinę” trzeba i zapewne można będzie rozebrać. Nieopodal zdewastowany park z dużymi stawami.

Woźuczyn — rozległe założenie pałacowe. Miejscowi gospodarze w przemyślny sposób podkopują dwa wspaniałe pylony nie istniejącej już bramy wjazdowej w nadziei, że w końcu runą i będzie cegła na oborę. Tuż przy stoku wzgórza trwają jeszcze resztki klasztoru, ale nieco dalej, w usypującym się stoku powstał otwór, przez który widać dwie kodygnacje pomieszczeń ze sklepieniami wspartymi na ceglany mury.

Na konieczny remont czekają murewane spichlerze dworskie z pierwszej połowy XIX wieku w Zwiartowie i Żulicach oraz zajazd w Tarnawatce, a na ratunek wiele dewastowanych i wycinanych dworskich parków.

Drewniany dwór w Rogoźnie, wzniesiony w 1788 roku i powiększony w następnym stuleciu, dożywa swych ostatnich dni. Położony o 2 km. od powiatowego miasta...

Zamek w Rachawicach — zmieniony nie do poznania w czasie adaptacji. Ruiny pałacowe z XVIII wieku zniknęły.

Zniknęły resztki zamku w Tyszowicach, gdzie to w okresie Potopu zawiązano słynną konfederację ku obronie Rzeczypospolitej.

To samo w Niemiszówku (resztki kamieni i cegieł użyto do budowy drogi).

Nie istnieją już: murewane, klasyczne dworki z początków

XIX wieku w Krynicy i Czartowcu, XIX-wieczne murowane zabudowania dworskie w Dobrużku, Łykoszynie, Żulicach, plebania w Perespnie, drewniane cerkwie w Krzywicy (pierwsza połowa XIX wieku), Nowosiólkach Przednich (1790), Siedliskach (1831), Teniatyskach (1754), Ułhówku (w. XVIII-XIX), drewniane dzwonnice w Czartowcu (w. XIX) i Trzeniatyskach (w. XVIII).

W pozostałych 300 powiatach Polski sytuacja jest podobna. Oczywiście można by tu dalej podawać przykłady, jak np. historię „konserwacji” dwukomorowej śluzy Paniewo na Kanale Augustowskim, skonstruowanej przez gen. Ignacego Prądzińskiego, który wymyślił tak złośliwie oporną zaprawę murarską, że uległa dopiero współczesnemu dynamitowi. Czy wieży zamku w Odrzykoniu, która zawaliła się, nie czekając na odkładaną z roku na rok konserwację...

W roku 1972 *Polityka* podała, że tylko w ciągu ostatniego dziesięciolecia (tj. od 1962 do 1972 r.) przestało istnieć na terenie Polski około 10.000 (słownie: dziesięć tysięcy!) zabytków.

Mam nadzieję, że po przeczytaniu powyższych niepełnych i wycinkowych zaledwie danych i przykładów, zaczerpniętych wyłącznie z oficjalnej prasy krajowej, czytelnik podzieli mój niepokój i zapyta o przyczyny, o odpowiedzialnych za tak przerażająco zły stan rzeczy.

Mgr Kurzątkowski mówi, iż powodem jest brak precyzyjnie określonych zakresów odpowiedzialności opiekunów zabytków, brak jakichkolwiek kar za dewastację oraz — brak argumentów o opłacalności zagospodarowania przez ich obecnych lub potencjalnych gospodarzy (?). Następnie podkreśla przestarzałość i nieefektywność działania zorganizowanej około 1950 roku służby konserwacji zabytków. Brak również odpowiednio sprawnych i kompetentnych jednostek wykonawczych. Na to samo skarży się w *Literaturze* (nr 10/160) Bogdan Rymaszewski, dyrektor Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków. Znowu kłopoty z znalezieniem odpowiednich rzemieślników, materiałów, oraz trudności, które stwarza sztywny system organizacyjno-finansowy. Dodajmy tutaj, że w związku ze znaną polityką aparatu administracji państwowej wobec rzemiosła, trudności w miarę upływu czasu narastają i będą się powiększać.

Mam wrażenie, że do powyżej określonych przyczyn można by dodać coś jeszcze. Czy przypadkiem gdzieś, na odpowiednio wysokim szczeblu, ktoś kiedyś trochę nie zapomniał o tym, że zabytki, zwłaszcza po kolejnej wojnie, wymagają reperacji, opieki. Wystarczy przecież zapomnieć choćby na 5 lat o drewnianej cerkwi czy dworze z wybitymi oknami, aby tym samym skazać je na zagładę, choćby były poza tym w doskonałym stanie. Całą uwagę społeczeństwa zwrócono w czasach odbudowy na rekonstrukcję warszawskiej Starówki i kilku tym podobnych zabytków. Obiektów wspaniałych, najważniejszych — prawda — lecz zapomniano przy tym o ratowaniu tego, co stanowiło dotąd żywą tkankę materialnej spuścizny narodowej przeszłości. Zapomniano o jej infrastrukturze, o pałacach, dworach, wiejskich kościo-

łach i kapliczkach, przydrożnych zajazdach, w większości pozabawionych swych dotychczasowych właścicieli lub opiekunów na skutek wojny i tego, co po niej nastąpiło. Uratowano i przywrócono świetność kościołowi tego dziedzictwa, lecz okazuje się teraz że jest on zawieszony w próżni — brak tego, co dotychczas wypełniało przestrzeń między Wawelem a Zamkiem Królewskim.

Nasuwa się tu pytanie, czy „zapomnienie” to jest wynikiem zwykłego li-tylko niedbalstwa, brakiem wyobraźni i nieporadności biurokratycznej maszyny administracyjnej (co oczywiście niczego i nikogo nie usprawiedliwia), czy też nie jest ono spowodowane przyczynami podobnymi do tych, które np. opóźniły odbudowę Zamku Warszawskiego o 30 lat? Proszę przypomnieć sobie cytowane powyżej opinie J.J.Tereja. To i tych, z którymi „zapomniane” pamiątki architektury są związane, również i ten nowy, komunistyczny reżym, skazał na „zapomnienie” i zagładę. J.J.Terej pisze o działalności faszystów: „Losy skarbów kultury podobne były do losów ludzkich, pamiątki narodowej przeszłości skazane zostały na śmierć. Właśnie dlatego, że stanowiły ów tak niezwykle liczący się fragment historii narodu, jej integralną część, bez której to każda społeczność czuje się wyzuta z więzów zespalających epoki minione ze sobą — z czasem terażniejszym”. Czy więc zabytki kultury materialnej podzieliły los ludzki, których sobą przypominały, idej, które ze sobą poprzez upływające czasy niosły? Stosunek reżymu do przeszłości naszego kraju i narodu jest znany — to co najistotniejsze i najwartościowsze jest w jej wersji oficjalnie uznawanej i przekazywanej nowym pokoleniom fałszowane, zacierane i niszczone. Metody, jakich się ku temu używa, są różne. Czyżby więc traktowanie materialnego zobrazowania historii było jeszcze jedną z tych barbarzyńskich metod?

Szczególną cechą naszej historii jest umiłowanie niepodległości i odrębności narodowej. Jest to też jedna z cech najzacieklej zwalczanych przez obecny reżym. Zwracają uwagę szczególnie tragiczne losy pozostałości po wszelkich obiektach z tą naszą własnością związanych. Warszawską Starówkę odbudowano w pierwszej kolejności, Zamek musiał na to czekać aż 30 lat. Chałupy wiejskie gromadzi się w regionalnych skansenach, lecz szlacheckie dworki rzadko znajdują tam schronienie. Czyżby więc bezczynność szczególnie skierowana była przeciwko tym oryginalnym, sarmackim pozostałościom?

Teodor Dąbczewski pisze w styczniowym numerze paryskiej *Kultury*:

„Grozi więc w Polsce stopniowy zmierzch świadomości wspólnych, ugruntowanych dziejami ideałów, zacieranie się swoistych cech własnej kultury, a pozostaje tylko wolność zatraty tożsamości narodowej, choćby nawet z zachowaniem języka. Niebezpieczeństwo to wzrasta w miarę dorastania nowych pokoleń, zdanych na prowadzoną wprawdzie trywialnymi sposobami, ale nieustanną infiltrację doktryn, której istotnym celem jest wygaszenie odruchu przeciw podporządkowywaniu się obcym interesom”. „Przedstawiciele

pokolenia, które dorastało po wojnie, często nie interesują się naszą historią, nawet ostatniego półwiecza, są jej nieświadomi, albo, co gorsze, zadowalają się jej sfalszowaną wersją". „— przedłużanie się obecnego stanu grozi stopniowym wynarodowieniem...”.

Niebezpieczeństwo utraty tej świadomości narodowej wzrasta w miarę zmniejszenia się liczby narodowych zabytków, gdyż przedstawiciele nowych pokoleń nie mogą poznać żadnych jej widocznych, materialnych śladów. A te wszystkie metody wynaradawiania nie są w sumie aż tak trywialne, jak by to się mogło wydawać! Nie dostrzeganie zagrożenia, lekceważenie go, jest jednym z powodów klęski — nie walczy się z wrogiem, którego się nie dostrzega. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że w sumie jest to jednak skuteczne. Przewrotne kłamstwa i fałszywe powtarzane przez radio, TV, prasę, literaturę, kino, teatr itp. miliony razy, przez dziesiątki lat, stają się wreszcie w świadomości odbiorców prawdą, i już Goebbels zauważył to i stosował (słynne: „kłamstwo powtarzane tysiąc razy staje się prawdą”).

Utrata zabytków kultury materialnej, związanych z naszą historią, jest jednym z elementów wynarodowienia, zatraty tradycyjnego charakteru narodowego. Czy zależy na tym tylko polskim komunistom? Czy Rosji jest obojętne na ile Polacy pozostaną Polakami? Czyż więc jest prawdopodobne, że jest im obojętne niszczenie naszych zabytków?

Młody żołnierz „polskiej” armii, który miast chronić swój kraj i jego dorobek dziejowy zakłada, w „czynnie społecznym”, ładunki dynamitowe w piastowskich murach, chyba jest potwierdzeniem powyższych tez.

Postawa młodego rolnika „odzyskującego”, do budowy kolektywnej owczarni, cegły z murów zamku, w którym niegdyś zawieszono konfederację dla obrony niepodległości, może być ich ilustracją.

Znaczy to, że nastąpiło w tym młodym pokoleniu monstrualne przegrupowanie etycznych systemów wartości i zasad, w stosunku do dotychczasowych, tradycyjnych.

I chyba tu uczniowie prześcignęli mistrza, bo to Lenin niegdyś pisał (*Dzieta*, t. 31, str. 287-288 — „Zadania związków młodzieży”): „kultura proletariacka nie wyskoczyła nie wiadomo skąd, nie jest ona wymysłem ludzi mieniących się specjalistami od kultury proletariackiej. Wszystko to jest zupełną bzdurą. Kultura proletariacka powinna być prawidłowym rozwinięciem tych zasobów wiedzy, które ludzkość wypracowała pod jarzmem społeczeństwa kapitalistycznego, obszarniczego czy czynszowiczego” itd., itd. Mimo wszystko można się w tym jakieś logiki — oczywiście według przyjętych wcześniej założeń — doszukać. Gdyby np. w wymienionych poprzednio budynkach zakładano tzw. wiejskie „klubo-kawiarnie”, szkoły, przedszkola, kina, hotele, gospody, sanatoria itp., byłoby to zrozumiałe. Ale dynamit? Choć właściwie i to jest zrozumiałe — zabytek, choćby i w ruinie jest mimo wszystko symbolem, i to podwójnym, gdyż poza przeszłością

przypomina o stosunku do niej obecnego reżymu, jest jego kompromitującym oskarżeniem. Więc jego szybkie wyburzenie, zatarcie wszelkich śladów, założenie na tym miejscu np. trawnika jest pewnym wyjściem; pamięć ludzka jest krótka, czas zaciera wspomnienia...

I jeszcze jedno: czy tak ma wyglądać ta gierkowska „nowa Polska”? Polska, w której — jak to rozgłasza się oficjalnie — miały „stąpić się najwartościowsze tradycje narodowe (według jakiego klucza selekcjonowane?) i osiągnięcia nowego systemu”? Czy ma być to kraj monotonnych, sztabowych bloków mieszkalnych, szarości i ubóstwa formy, anonimowości — kamienna pustynia? Tak jak jego zmieniona do niepoznania stolica, miaso prefabrykatów i żelbetonu? Polska ludzi tłoczących się rano w tramwajach, autobusach i pociągach, spieszących do zdepersonalizowanej pracy, czekających po południu w kolejkach po kawałek mięsa i spędzających wieczory przed ekranami telewizji „podnoszącej świadomość ideową mas”? Naród bez przeszłości i obojętny na nią? Społeczeństwo w swych najistotniejszych sprawach dyrygowane z Czerwonego Kremla?

A może narodowi temu jest już wszystko jedno?

Artur KORWIN

P.S. Już po napisaniu powyższych uwag przeczytałem w numerze 12/162 *Literatury* o wyburzeniu w Warszawie przy ul. Grzybowskiej 24 secesyjnej kamienicy, będącej jednym z bardzo już nielicznych, cudem wręcz ocalałych przykładów przedwojennej, modernistycznej zabudowy miasta. Przeszkadzała ona podobno projektantom osiedla „mrówkowców”. Na jej miejscu powstanie trawnik...

A. K.

TAJEMNICA PAŃSTWOWA

Podczas dyskusji o nowym kodeksie karnym prasa krajowa jednogłośnie i wielokrotnie podkreślała humanitarny charakter nowych przepisów. Zdaniem piszącego te słowa o humanitaryzmie przepisów prawa karnego w krajach komunistycznych czy faszystowskich będzie można dyskutować dopiero wówczas kiedy zagraniczny dziennikarz czy działacz organizacji *Amnesty International* będzie miał swobodny dostęp do każdego więzienia i więźnia.

Co kryje się w PRL za murami więziennymi? W więzieniu w Starogardzie więźniowie jedną z izolatek nazywają „termosem”. Oficjalnie przeznaczona dla furiatów, cela wyłożona jest szczerbnie miękkim materiałem dźwiękochłonnym, włącznie z sufitem i judaszem tak, że krzyk ludzki ginie zupełnie po zamknięciu drzwi. Tajemnica państwowa nie pozwoliła ustalić kogo, dlaczego i na jak długo zamyka się w tej celi. Zobaczymy też co kryje tajemnica państwowa za murami więzienia w małym miasteczku Sztum w województwie gdańskim.

Więzenie w Sztumie przeznaczone jest w zasadzie dla młodocianych. Naczelnik tego więzienia znany jest jako zwolennik twardej ręki wobec odbywających karę pod jego nadzorem. Nawet za drobne przewinienia więźniowie karani są izolatką. Więzień skazany na izolatkę pozbawiony jest wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym, strażnicy mają zakaz rozmawiania a na spacery wyprowadza się skazanych pojedynczo do „studni” o wymiarach 2 na 3 metry. Niektórzy więźniowie przebywają w izo-latkach przez kilka miesięcy do pół roku.

Nasuwa się tu pytanie czy opisane przypadki mogą być wynikiem samowoli funkcjonariuszy państwowych czy też wynikają one z ducha humanitarne-go ustawodawstwa PRL?

Jak po czterech latach od chwili wprowadzenia w życie nowego kodeksu karnego przedstawia się praktyka? Jako znamię humanitaryzmu nowego kodeksu karnego uważa się skreślenie kary śmierci z katalogu kar i pozostawienie tej kary wyłącznie jako tzw. sankcji wyjątkowej. Tymczasem jednak liczba skazanych na śmierć bynajmniej nie zmalała (1965 — 3; 1970 — 10; 1971 — 9; 1972 — 5...). Innym znamieniem humanitaryzmu socjalistycznego ustawodawcy miały być zmiany form odbywania kary. Dopiero w trzy lata po wejściu w życie nowego kodeksu karnego ukazał się tzw. Tymczasowy Regulamin Więzienny. Ów tymczasowy regulamin obowiązujący do dziś, a ostatnio Ministerstwo Sprawiedliwości wydało komentarze do tego regulaminu. W samym regulaminie nie gwarantuje się więźniom żadnych praw. Spacer, kontakty z rodziną, prasa i książki — wszystko to zaliczane jest do przywilejów, które skazany ewentualnie może uzyskać za dobre sprawowanie. Norma jedzenia określona jest w regulaminie jako „odpowiednia” zaś o celach wychowawczych kary regulamin po prostu nie wspomina. Komentarze do Tymczasowego Regulaminu Więziennego idą dalej. Najbardziej brzemiennie w skutki sformułowanie Komentarza brzmi niewinnie — „praca więźniów objęta jest Narodowym Planem Gospodarczym”. W obliczu braku rąk do pracy powraca się do stalinowskich metod pracy niewolniczej. W myśl postanowień Komentarzy praca więźniów „ma być ciężka” i winna koncentrować się na przemyśle wydobywczym i mineralnym. (Warto w tym miejscu przypomnieć, że praca niewolnicza więźniów w przemyśle wydobywczym i mineralnym zniesiona została w Polsce po 1956 roku).

W Komentarzach Ministerstwa Sprawiedliwości PRL do Tymczasowego Regulaminu Więziennego przewiduje się ponadto, że za odmowę pracy lub złą pracę racja żywności może być obniżona do 50 %, zaś do decyzji naczelników więzień pozostawia się sprawę wyposażenia strażników w pałki i gaz. Równocześnie małą efektywność dotychczasowego systemu penitencjarnego tłumaczy się w Komentarzach łagodnością więziennego reżymu.

Fakt, że skargi na personel więzienny cenzurowane są przez ten personel wydaje się należeć do specyfiki socjalistycznego systemu i nie wywołuje specjalnego zdziwienia. Warto natomiast zwrócić uwagę na nowoczesne formy wychowawcze, zalecane przez psychologów i pedagogów Ministerstwa oraz wprowadzone do omawianego Komentarza. Jedyną taką formą jest nagrywanie rozmów więźniów z odwiedzającymi i odtwarzanie tych rozmów przez głośnik z odpowiednimi uwagami personelu więziennego.

Postanowienia Tymczasowego Regulaminu Więziennego, a w szczególności Komentarza do tego regulaminu, mają wyjątkowo drastyczną formę nawet w porównaniu z ustawodawstwem innych krajów demokracji ludowej. W krajach tych spotyka się często jeszcze gorsze praktyki ale nigdzie nie uzyskiwały one tak otwartej sankcji prawnej. Sprzecznność tych przepisów z podpisanymi przez Polskę normami ONZ jest oczywista, żaden jednak adwokat w PRL nie może skorzystać z tego argumentu.

ORENBURSKI WIATR...

Donosiliśmy już (*Kultura* nr 5/332), że PRL zobowiązała się dostarczyć siły roboczej do budowy odcinka gazociągu koło Orenburga i ropociągu w rejonie Połocka. Umowy przewidują, że polskie ekipy rozpoczną pracę w drugim kwartale br. Jak dowiadujemy się z prasy krajowej polskie ekipy będą również i wyposażone przez PRL. Jak figlarnie podaje prasa krajowa „posag” przygotowujący jest przez ponad 20 fabryk przemysłu lekiego. Każdy zwerbowany pracownik otrzyma komplet ubrań roboczych i ochronnych, obuwie, oraz sprzęt ochrony osobistej. Ocenia się, że całość dostaw obejmie około 140 tysięcy części garderoby i osobistego wyposażenia. „Moda à la Orenburg” obejmuje: „dla kierowców, operatorów ciężkiego sprzętu budowlanego itp. przygotowano ubrania robocze typu szwedzkiego. Zostaną uszyte z tkanin elano-bawełnianych, w kolorach brązowym i zielonkawym. Robocze garnitunki dla warsztatowców będą granatowe, fartuchy dla pracowników administracyjnych chabrowe, stroje dla służby zdrowia i ekipy gastronomicznej — białe, wreszcie ubrania dla nadzoru technicznego — brązowe.

W rejonie Orenburga trzeba się poddać dyktatowi tamtejszego klimatu. Stąd w okresie lata i 40-stopniowych upałów nasi chłopcy z budowy ropociągu zostaną wyposażeni w letnie koszule z krótkimi rękawkami i zgrabne czapeczki z daszkiem. Zimą podczas 40-stopniowych mrozów polskim specjalistom przygotuje się ocieplone kamizelki, także kurtki na ciepłych spodniach, wdzianka kryte ortalionem, czapki-uszatkki z futerkiem, rękawice, ponadto zaś 500 krótkich i 500 długich kożuchów. Wreszcie dla przetrzymania wicher i deszczów przygotowane zostaną nieprzemakalne płaszcze i kaptury podbite flanelą o specjalnej konstrukcji, okalające szczerlnie twarz i zachodzące kryzą-pelerynką na barki i plecy.

Wyposażenie uzupełnia specjalne obuwie oraz odzież ochronna, jak kombinезony przeciwpyłowe, napowietrzne, zabezpieczające podczas prac na szlaku pod gołym niebem. Ważnym elementem wyposażenia będzie również sprzęt ochrony osobistej, przystosowany do warunków pracy specjalistycznej w różnych okolicznościach, przewidzianych w terenie. Na liście tej znajdziemy nagolenniki, ochraniacze na palce, nałkietniki, naramienniki i napulśniki, niezbędne dla spawaczy lub kowali. Przygotowuje się również zapas lin asekuracyjnych, mankietów ochronnych, rękawic azbestowych, pasów przeciw-wstrząsowych, szelek bezpieczeństwa itp.”

„Wyposażenie przewiduje nawet czepek dla pani kuchmistrzynie w stołowej w „polskim” miasteczku pod Uralem”. Ciekawe kto za to wszystko płaci?

NISZCZENIE FILMOWYCH MATERIAŁÓW
ARCHIWALNYCH W PRL

Zadaniem Centralnego Archiwum Filmowego czyli tzw. „Filmoteki Polskiej” (Warszawa, ul. Puławska 61) jest gromadzenie i zabezpieczanie m.in. wszystkich polskich dzieł filmowych sprzed 1939 roku. W zbiorach CAF zachowało się mniej więcej 70 % polskich filmów fabularnych sprzed drugiej wojny światowej; niektóre w postaci kopii niekompletnych i okaleczonych. Do grudnia 1970 roku zbiory „Filmoteki” wykorzystywane były niekiedy

do publicznego udostępniania zabytków polskiej produkcji filmowej z lat trzydziestych, przede wszystkim w kinie „Iluzjon” lub (w okresie letnim) w kinach w Sopocie. Pokazy były ograniczone do niewielkiej liczby widzów (zdobycie biletów nastroczało wiele trudności), prezentowano jednakże w czasie tych seansów kompletne kopie zachowanych filmów.

W roku 1974 cały zasób polskich filmów fabularnych sprzed roku 1939 został starannie przejrany przez przedstawicieli władz politycznych. W wyniku tej kontroli dokonano barbarzyńskiego okaleczenia znacznej części zabezpieczonych dla celów ARCHIWALNYCH kopii filmowych. Z wielu filmów fabularnych sprzed 1939 roku wycięte zostały mianowicie (i zniszczone) te fragmenty taśmy, na których utrwalono momenty akcji zbyt wyraźnie umiejscowione na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej (Lwów, Wilno i inne miejscowości), lub które akcentowały przynależność do Polski tych obszarów.

Ofiarą najboleśniejszych okaleczeń padły m.in. jedyne zachowane w Kraju kopie dwóch filmów fabularnych z udziałem znanej pary komików lwowskich Szczepka i Tońka. Z filmu „Włóczęgi” wycięto i zniszczono kilkadziesiąt metrów taśmy filmowej, przedstawiającej scenę wędrowki bohaterów przez ulice Lwowa, podczas której śpiewają popularną piosenkę „Tylko we Lwowie”. W podobny sposób postąpiono z kilkudziesięcioma metrami taśmy z filmu „Będzie lepiej”, na którym Szczepko i Tońko śpiewali piosenkę „... I zobaczysz miasto Lwów”.

Podkreślamy, że nie chodzi tutaj o kopie przeznaczone do upowszechniania w jakikolwiek bądź sposób, ale o jedyne kopie archiwalne zachowane w magazynach CAF. Operacja ta ma widocznie na celu zatarcie śladów po scenach i sytuacjach z dawnych filmów polskich, przypominających przynależność do Polski województw oderwanych w roku 1945. Od pewnego czasu utrudniono niezwykle udostępnianie kopii filmów przedwojennych nawet dla celów naukowo-badawczych. O publicznym wyświetlaniu (praktykowanym jeszcze przed paru laty) nie ma już mowy, ale nawet filmowcy i historycy filmu, którzy pragną obejrzyć niektóre pozycje z repertuaru przedwojennego w pracowni CAF, muszą uzyskiwać uprzednio zgodę Centralnego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Do wglądu otrzymują zresztą kopie okaleczone, gdyż pełne już nie istnieją.

FRAGMENTS (FRAGMENTY)

publikują w języku angielskim niektóre artykuły
z *KULTURY*.

Ukazuje się rocznie 10 numerów. Cena prenumeraty:
\$8,50 rocznie łącznie z przesyłką pocztową.

Redaktor: Charles JOEL;
Wydawca: CORRESPONDENCE HOME STUDY
OF LANGUAGES.

Korespondencję i zamówienia na prenumeraty wraz
z czekiem należy kierować na adres:

CORRESPONDENCE HOME STUDY OF LANGUAGES,
P.O. BOX 744, SUTTER CREEK, CAL. 95 685 (U.S.A.)

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Na początku czerwca dziennik *Le Monde* zamieścił triumfalną notatkę: Nareszcie wszystkie przeszkody na drodze Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa zostały usunięte, Związek Sowiecki i inne kraje socjalistyczne poszły na ogromne ustępstwa w jedynym pozostałym zagadnieniu spornym — wymiany idei i ludzi. Po dokładniejszym rozpatrzeniu „ustępstwo” sowieckie sprowadza się do zgody na stworzenie zagranicznym dziennikarzem pewnych warunków do pracy: udzielanie wiz i zgoda na ograniczone rozjazdy po Związku Sowieckim. A przecież niewiele dni przed ukazaniem się tej triumfalnej notatki, to samo pismo (31. 5. 75) zamieściło artykuł Aleksandra Sołżenicyna pt. „Trzecia wojna światowa”.

Autor „Archipelagu GUŁag” pisze w nim: „Gdy po pierwszej wojnie światowej przyszła druga któż nie był pochłonięty w myślach i słowach problemem: czy z kolei nie wybuchnie trzecia?... Ale jedynie nieliczni mieli odwagę powiedzieć, że trzecia wojna ma już miejsce, że właściwie już się zakończyła, że w bieżącym roku jakby się rozstrzygnęła i że wolny świat beznadziejnie ją przegrał.

Trzecia wojna światowa zaczęła się natychmiast po zakończeniu drugiej; zaczęła się ona w roku 1943 w Jałcie na skutek zidiociałych podpisów Roosevelta i Churchilla, którzy spieszyli się, by świętować zwycięstwo wielokrotnymi ustępstwami: Estonia, Łotwa, Litwa, Mołdawia, Mongolia, miliony sowieckich obywateli siłą wydanych śmierci i łagrom, utworzenie Narodów Zjednoczonych, pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia, a potem Jugosławia, Albania, Polska, Bułgaria, Rumunia, Węgry, Czechosłowacja, Wschodnie Niemcy pozostawione niczym nieograniczone-mu gwałtowi... Dążąc do uniknięcia za wszelką cenę trzeciej wojny światowej Zachód utworował jej drogę, pozwolił jej zniszczyć i zniewolić dwa dziesiątki krajów i całkowicie zmienić obraz kuli ziemskiej.

Potężne państwa zachodnie, które wyszły zwycięsko z dwóch poprzednich wojen światowych, w ciągu tych 30-tu lat pokoju jedynie słabły, jedynie traciły swoich realnych lub potencjalnych sojuszników, traciły w ich oczach cały swój prestiż, pozostawiały bezlitosnemu wrogowi terytoria i ludność: ogromne Chiny, które były jednym z ich najważniejszych sprzymierzeńców w latach drugiej wojny światowej, Północną Koreę, Kubę, Północny Wietnam; dziś Południowy Wietnam, dziś Kambodżę; Laos już jest po stronie strat, niebezpieczeństwo zawisło nad Syjanem, Południową Koreą i Izraelem”.

Ale sam Sołżenicyn przepowiada: „Jeszcze dwa lub trzy dziesięciolecia pokojowego współżycia — równie pełne glorii jak poprzednie trzy — i nawet pojęcie Zachodu zniknie z oblicza ziemi”.

Sołżenicyn dodaje: „Przedstawiłem sytuację tak, jak ją widzą przeciętni obywatele krajów Wschodu — od Poznania do Kantonu”. Jeden z liberalnych dziennikarzy francuskich gorąco zaprotestował: „... od Chin do Wietnamu, od Kuby do Rosji, miliony ludzi umierających z głodu przestały głodować, miliony dzieci nie znających szkół poszły do szkół, a miliony oszukanych i zapomnianych znalazły nadzieję...”.

Liberalnemu francuskiemu dziennikarzowi, tak jasno interpretującemu poglądy Zachodu, który przegrał „trzecią wojnę światową” — odpowiedział autorytatywny głos Moskwy. Na zebraniu wyborczym wystąpił przewodniczący KGB, Jurij Andropow, niewątpliwie najbardziej inteligentny z sowieckich przywódców.

Andropow mówił co prawda o sytuacji w Związku Sowieckim, ale nakreślił obraz dobrze znany wszystkim mieszkańcom krajów „od Poznania do Kantonu”, obraz z którym być może zapoznają się również i mieszkańcy innych krajów. Wystąpienie przywódcy KGB miało charakter teoretyczny, był to jego wkład do skarbnicy marksizmu-leninizmu. Temat wystąpienia: socjalistyczna demokracja i burżuazyjna demokracja.

Przede wszystkim przywódca KGB zaznaczył, że między demokracją socjalistyczną a pseudo-demokracją burżuazyjną nie ma nic wspólnego. „Komuniści — powiedział — nigdy nie zaprzeczali, że demokracja socjalistyczna ma charakter klasowy”. Tu następuje ciekawa definicja tej klasowej demokracji: „Wszyscy obywatele sowieccy, których interesy pokrywają się z interesami społeczeństwa, korzystają z naszych swobód demokratycznych. Zupełnie inaczej wygląda sprawa jeżeli te interesy się nie pokrywają. W takim wypadku otwarcie mówimy, że interesy społeczeństwa jako całości, interesy pracujących, mają pierwszeństwo i uważamy, że ta zasada jest sprawiedliwa. Demokracja socjalistyczna to nie tylko prawa i wolności...”.

Myśl przewodniczącego KGB można więc przedstawić następująco: „Kto zgadza się z nami, jest wolny aby się z nami zgadzać. Kto zaś z nami się nie zgadza, to niech nie ma pretensji...”.

Jurij Andropow pozwolił sobie nawet na lekką ironię wobec umierających z głodu bezrobotnych na Zachodzie. „Los tych mi-

lionów nieszczęśliwych i ich rodzin nie staje się lepszy od tego, że mogą pójść do Białego Domu czy do Hyde Parku i mówić to, co myślą”.

W warunkach socjalizmu chodzić i mówić co kto myśli nie ma potrzeby: za wszystkich myśli Partia, i ona także mówi za wszystkich. W wypadku „niezgodności” — mówi głosem KGB.

Przewodniczący KGB wyłożył podstawy socjalistycznego porządku ogólnikowo, można by powiedzieć — teoretycznie. Praktyczny wypadek tego porządku analizuje w *Literaturnoj Gazecie* (21. 5. 75) N. Pawłow, który jest docentem w Akademii MWD ZSSR. Policyjna akademія została utworzona całkiem niedawno, ale już obecnie możemy zapoznać się z filozofią, w jakiej będą kształceni pracownicy tej instytucji. Artykuł N. Pawłowa nosi tytuł: „Osąd przed sądem”. Poświęcony jest on pytaniu, które od pewnego czasu, bardzo nieśmiało, zaczynają sobie zadawać obywatele sowieccy. Pytanie to można sformułować następująco: kto określa człowieka jako przestępcę? Zdawałoby się, że odpowiedź jest prosta: sąd. Ale prostota ta jest pozorna. Sąd rzeczywiście, skazując człowieka na taką czy inną karę, określa go jako przestępcę. Ale z zasady dopiero wtedy, gdy decyzja została już powzięta przez kogoś innego. Jest takie sympatyczne powiedzonko: małżeństwa zawierane są w niebiosach. Wyroki w Związku Sowieckim ogłasza sąd, ale są decydowane przez bardziej kompetentne organy — chociaż na pewno nie w niebiosach.

N. Pawłow przyznaje, że tego rodzaju praktyka — osądzania człowieka jeszcze przed sądem — rzeczywiście istnieje. Przed rozprawą sądową w czasopiśmie informuje się obywateli o przebiegu śledztwa, zawczasu nie tylko osądza się, ale także wyznacza karę. N. Pawłow przytacza jako przykład sprawy kryminalne. Ale wiadomo dobrze, że tego rodzaju praktyka jest jeszcze szerzej stosowana w wypadkach procesów politycznych. Tak było w latach 30-tych w okresie stalinowskiego terroru, tak było w okresie procesu Siniańskiego i Daniela, tak było całkiem niedawno w czasie procesu Jakira i innych. Obecnie — oświadcza N. Pawłow — została szeroko rozpowszechniona następująca praktyka: śledczy w sprawach, które znajdują się w jego gestii i które mają określony charakter społeczny, wyjeżdża do przedsiębiorstw, organizacji i instytucji i tam, na ogólnym zebraniu kolektywu, przedstawia materiały sprawy. Takie zebranie zwykle kończy się uchwaleniem stosownej decyzji: kolektyw skazuje człowieka. N. Pawłow przyznaje: „... ma miejsce prawdziwy sąd społeczny nad oskarżonym — jego faktyczne skazanie przed osądzeniem przez specjalnie powołane do tego organy...”. Przekładając z języka sowieckiego na amerykański: „sąd społeczności” oznacza lynch. N. Pawłow podkreśla także rezultaty tego rodzaju „sądowej” polityki: „Niedoświadczeni w naukach prawnych ludzie uważają: skoro aresztowali, to znaczy że jest winny”. Bez powodu nie aresztują; jak oskarżają — to znaczy że jest przestępcą, „nie ma dymu bez ognia”. Po krótko — jak wyraża się autor artykułu — powstaje stereotyp „myślenia”.

Ten stereotyp myślenia był wbijany w głowy „niedoświadczonych w naukach prawnych” obywateli sowieckich przez ponad pół wieku: organy nigdy się nie mylą, aresztowany — to znaczy, że jest wrogiem ludu. Dzisiaj, w warunkach naukowo-technicznej rewolucji i powszechnego dziesięcioletniego nauczania, niektórzy — jeszcze bardzo nieliczni — obywatele sowieccy zaczynają zadawać pytania. Niezmiernie „biegły w naukach prawnych” N. Pawłow odpowiada im: możliwe, że ten „stereotyp myślenia” nie jest idealny. Jednakowoż, po pierwsze towarzyszył Leninowi wiedział kiedyś że „sąd jest obowiązany... brać pod uwagę wszystkie lokalne okoliczności”. W swoim czasie ta charakterystyczna cytata byłaby całkowicie wystarczająca, ale N. Pawłow podaje i inny argument: „W prawie (tj. w sowieckim prawodawstwie) nie ma konkretnych wskazań o zakazie „przedsądowych” publikacji, a więc „niewątpliwie będą one miały miejsce i w przyszłości”.

Długi i celowo skomplikowany artykuł docenta Akademii MWD potwierdza zasadniczą zasadę sowieckiego ustawodawstwa. Jedną jego stroną jest zwrócona do obywateli: co nie jest dozwolone prawem — jest zakazane; druga — zwrócona ku władzy: co nie jest zakazane prawem — jest dozwolone.

Artykuł N. Pawłowa jest przykładem nowego stylu sowieckiej propagandy: wobec niektórych ostrych problemów, próbuje odpowiedzieć na nie przy pomocy słownej ekwilibrystyki.

W literaturze najwybitniejszym majstrom takiej ekwilibrystyki jest Jewgienij Jewtuszenko. W marcu bież. roku czasopismo *Oganiok* (nakład 2.050.000 egz.) zamieściło poemat Jewtuszenki pt. „Uciekinier z Chin”. Poeta w króciutkim wstępie wyjaśnia: „Będąc w Hong Kongu w charakterze specjalnego korespondenta *Ogańka*, zapisałem wierszem spowiedź jednego tylko z licznych uciekinierów z Chin”. A więc opowieść Chińczyka uciekającego z Chin do Hong Kongu — do kapitalizmu. Przepytyujący uciekiniera Jewtuszenko zadaje mu liczne pytania: Dlaczego uciekliście? Kim są: Szekspir, Mozart, Goethe, Tołstoj?, czy cenicie Mao?; Kim są Rosjanie?

Uciekinier odpowiada (cały czas wierszem): uciekłem, bo chciałem się jeść; przewodniczącego Mao poprzednio cenili; żadnych Szekspirów itp. nie zna; Rosjanie — nasi wrogowie. Tu Jewtuszenko zadał dodatkowe pytanie: „A kim są Amerykanie?”. Na co uciekinier odpowiedział: „Lepszy od Rosjan, ale... cudzoziemcy”.

Jewgienij Jewtuszenko już pisał o Chinach w 1969 roku, po bojach nad Ussuri. Swój ówczesny wniosek: „Kto depcze kulturę, rozdepcze później człowieka” — powtarza i w 1975 roku: „W braku kultury są zawsze ziarna przestępstwa”. Tym razem jednak bardziej szczegółowo zatrzymuje się nad chińskim brakiem kultury. Wyraża się ona w „kłamliwej propagandzie” („jakbyście nie ogłupiali narodu — prawda zawsze jest jedna”); brak kultury wyraża się w głodzie, którego propaganda nie potrafi ukryć: „Wy wrzeszczycie o narodzie, ale naród nie jest już tak głupi. Z tego co wywrzeszczycie nie ugotuje się zupy narodowi; brak kultury

wyraża się w tym, że Chińczykom zwykła narodowa pepsikola, którą można kupić w każdym (w prawie każdym) moskiewskim sklepie wydaje się „burżuazyjnego społeczeństwa trucizną”; brak kultury wreszcie to to, że w Chinach zabrano chłopom całą bydło do kołchozów.

Trudno w czymkolwiek zaprzeczyć poecie sowieckiemu. O Chinach można niewątpliwie powiedzieć nie tylko takie rzeczy. Jewtuszenko jednak przedstawia wszystko to, co dzieje się w Chinach jako rezultat wielkomocarstwowego chińskiego szowinizmu — jako chiński wynalazek. Oświadcza, że „linia braku kultury” może stać się linią ognia, to znaczy, że niekulturalne Chiny zagrażają światu, a kulturalny Związek Sowiecki stał się dzisiaj „przedmurem kultury”.

Zonglerski trick Jewtuszenki sprowadza się do tego, że pisząc najbardziej cyniczną, propagandową agitkę zawsze potrafi podrzucić kilka dwuznacznych aluzji, które przy dobrej woli można interpretować tak, albo zupełnie inaczej. Nie ma żadnej wątpliwości, że Jewtuszenko pisząc „Uciekiniera z Chin” doskonale rozumiał, jakie asocjacje w związku „z kłamliwą propagandą”, „kolektywizacją”, „kultem Mao” mogą powstać u czytelników sowieckich. Ale z drugiej strony z naciskiem podkreślił, że ma na myśli wyłącznie Chiny.

Psychologia twórczości nie jest całkowicie zbadana. Zdarza się, że pisarz, jak gdyby wbrew swej woli, mówi o sobie więcej niżby chciał. Jewtuszenko przedstawił sam sobie świetną charakterystykę w swoim poemacie: „Zrozumiał: władza nie darmo ceni tych, którzy są tak gięty jak ona. Żył — patrząc skąd wieje wiatr. Przykładem dla niego byli wyłącznie ci, którzy wierzą w to co wierzą, chociaż nie wierzą w nic”.

W początkach lat trzydziestych pisarze sowieccy, I. Ilf i Je. Pietrow, zwracając się do pisarzy rzucili hasło: Mało jest kochać władzę sowiecką, trzeba zrobić, aby władza sowiecka nas pokochała. Nie ma wątpliwości, że Jewtuszenko to osiągnął. Ale tak było zawsze: Nie można zdobyć wszystkiego. Miłość władzy sowieckiej drogo kosztowała poetę: ten kto żyje patrząc tylko skąd wiatr wieje, ostatecznie traci nawet resztki talentu. Wystarczy porównać dwa utwory Jewtuszenki o Chinach — przedzielone tylko 5-ciu latami.

Poemat Jewtuszenki jest przykładem „kulturalnej” propagandy sowieckiej, obliczonej na tych, których Sołżenicyn nazywa „obrazowanymi”, nie chcąc nazwać ich inteligentami. Przykładem propagandy, która już za drzwiami zostawiła samo słowo kultura, jest broszura Władimira Bieguna „Pełzająca kontrrewolucja”. Na broszurze zaznaczono: „książka przeznaczona dla masowego czytelnika”. Tematem broszury jest walka ze syjonizmem — „pełzającą kontrrewolucją”. „Jakieś 5-7 lat temu wielu z nas nie orientowało się jakiego mamy przed sobą wroga, jaki jest stopień jego wpływów, jak daleko sięgają jego macki, jaki jest jego główny cel strategiczny, formy i metody dywersyjnej działal-

ności". Półtora roku temu wspominałem w jednym z moich przeglądów o broszurze Bieguna, której rozdziały były publikowane w mińskim piśmie *Nieman*. Dziś mamy przed sobą dzieło w całości. I gdy by się komu chciało, można by było stworzyć obecnie całą bibliotekę z sowieckiej literatury antysemitycznej: „Ostrożnie: syjonizm” Ju. Iwanowa; „Faszyzm spod błękitnej gwiazdy” Je. Jewsiejewa; „Syjonizm na służbie antykomunizmu” W. Bolszakowa; „Syjonizm — wróg młodzieży” zasłużonego antysemitę T. Kiczko, i in.

Broszura Bieguna zasługuje na uwagę z szeregu powodów. Przede wszystkim dlatego, że jest to ostatnia w czasie pracy, obrazująca dzisiejszą politykę sowiecką. A polityka ta sprowadza się do tego, że zasadnicze źródło informacji o wszechświatowym spisku żydowskim celem zdobycia władzy nad światem, włącznie ze zdemaskowaniem Mojżesza — wzięte bez zmian z „Protokołów Mędrców Syjonu” — przybiera się obecnie w leninowsko-marksistowską formę. Biegun twierdzi, że antysemityzm ma charakter klasowy, i dlatego jest niezbędny i usprawiedliwiony historycznie, gdyż jest wyrazem „gniewu ludu”. Był on taki „w czasach Bohdana Chmielnickiego, w latach powstania hajdamaków, w czasie powstania kruczewskiego na Białorusi w XVIII stuleciu”. Taki pozostał do dziś, gdyż kapitalizm światowy to kapitalizm żydowski. Na ten temat są — jak wyjaśnia Biegun — „wskazania W. I. Lenina w sprawie walki z żydowskim nacjonalizmem i również ze syjonizmem”. Lenin staje się jednym z ojców współczesnego sowieckiego antysemityzmu.

Drugą ciekawostką broszury Bieguna są wykorzystane przez niego źródła. Jeśli porównamy źródła wykorzystane przez Iwanowa w 1969 roku, w pierwszej teoretycznej, antysemitycznej książce, z bibliografią Bieguna — to możemy stwierdzić, że obydwaj korzystali z tej samej literatury. Z tą tylko różnicą, że wiele prac, które cytował Iwanow według wydań angielskich, Biegun cytuje z wydawnictw polskich: polscy autorzy, przekłady na język polski, *Trybuna Ludu* i *Polityka* — są tą zasadniczą bazą, na której opiera się Biegun. Jest to widomy przykład przyjaźni polsko-sowieckiej...

I wreszcie trzecia osobliwość broszury Bieguna — pałaca, osobista nienawiść autora do obiektu „badań”. Autor przedmowy podkreśla tę specyfikę „Pełzającej kontrrewolucji” nazywając broszurę „publicystycznie ostrą, ofensywną”.

Georg Orwell, który wszystko przewidział i rozumiał, pisał o codziennych „minutach nienawiści”, organizowanych w 1984 roku. Broszura Bieguna to „godzina nienawiści” (tyle czasu potrzeba by z nią się zapoznać) organizowana w Związku Sowieckim w roku 1975.

Nic więc dziwnego, że do bohaterów współczesności trafił u Bieguna nieustraszony bojownik z wszechświatowym żydowskim spiskiem — prezydent Ugandy Idi Amin Dada. W Biegun cytuje wywiad, który Idi Amin Dada dał *Komsomolskiej Gazecie* mówiąc o swych doświadczeniach w walce z Żydami. Niedaw-

no widziałem film o prezydencie Ugandy, którego scenariusz on sam napisał, jak również i muzykę do filmu, i sam wystąpił w roli samego siebie. Ten znakomity film wyjaśnia przyczyny popularności Idi Amin Dada u przywódców sowieckich, którzy dzisiaj są głównymi dostarczycielami broni dla Ugandy. Nie jest to spowodowane strategicznym położeniem Ugandy w Afryce. Po prostu charakter Idi Amin Dada niezmiernie przypomina im charakter niezapomnianego Wodza Narodów. Idi Amin Dada — to Stalin poczerniały w bojach za komunizm.

Adam KRUCZEK

Kronika litewska

Ukazujące się w Kanadzie pismo litewskie *Tev Žiburiai* w nrze 15/1975 zamieściło wywiad z redaktorem *Kultury* z dopiskiem redakcji: „Dziękuję Szanowny Redaktorze za udzielenie odpowiedzi na nasze pytania, za pańskie idee, które niewątpliwie będą ciekawe dla litewskiego społeczeństwa. Może nie ze wszystkimi Pańskimi stwierdzeniami można się zgodzić, jednak Pańskie odezwanie się do społeczeństwa litewskiego jest wiele znaczące.

Tygodnik litewski w Sydney *Musu Pastoge* z dn. 24. 3. 1974 zamieścił obszernie cytaty z artykułu J. Mieroszewskiego „Rosyjski 'kompleks polski' i obszar ULB”, z *Kultury* Nr 9/324, 1974.

We wstępie czytamy: „Nareszcie po wielu latach, a nawet wiekach, część polskich działaczy wyrzeka się polskiego imperializmu i zaczyna myśleć bardziej realnie i rozsądnie”.

Na zakończenie tłumacz-komentator, V. Sliogeris, dodaje:

„Starsi ludzie dobrze pamiętają, że w ciągu całego okresu niepodległości w litewskiej polityce zagranicznej dominował problem stosunków z Polską. Nasi politycy zrozumieli, że problem stosunków litewsko-polskich wiąże się ściśle z problemem stosunków polsko-rosyjskich. Zdawali sobie oni sprawę z imperialistycznych dążeń naszych sąsiadów i mieli możliwość manewru, wobec sprzeczności tych interesów.

Warto też przypomnieć, że od zarania niepodległości, również u nas byli zwolennicy ułożenia stosunków z Polską celem zadzierzgnięcia politycznych powiązań z Polską, federacji itp.

Jednak w pierwszym okresie ta grupa była w mniejszości — przeważali zwolennicy pełnej niepodległości, i ci prowadzili politykę.

W ostatnich latach niepodległości (1935-1941) również w kołach kierowniczych zaistniało wahanie, poszukiwanie nowych dróg w polityce, i w ciągu trzech lat prowadzone były tajne rokowania z Polską. Później był nawet rozważany w tajemnicy projekt bałtyckiego sojuszu wojskowego z udziałem Polski, który jednak nie został urzeczywistniony, gdyż wypadki w Europie wyprzedziły nasze decyzje. Zdecydowano się wreszcie na neutralność, co zważywszy na geograficzną sytuację Litwy, okazało się nieusprawiedliwione.

Podane poniżej w streszczeniu rozważania polityczne J. Mieroszewskiego dobrze przedstawiają trwające od czasów jagiellońskich współzawodnictwo dwóch wielkich narodów Wschodniej Europy: Wielkorusów i Polaków o dominację Ukrainy, Litwy i Białej Rusi...

Trzeba przypomnieć dążenia polskich polityków uchodźczych do zgody i poprawy stosunków z Ukraińcami, Litwinami i Białorusianami. Odzwierciedla to prasa polska.

Medycyna. W Chicago ukazuje się od 12 lat kwartalnik *Medicina*, organ światowego związku lekarzy litewskich, mającego liczne oddziały na trzech kontynentach. Pismo przynosi też wiadomości z Litwy Sowieckiej.

Medycyna litewska w ostatniej dekadzie była pod pewnym względem przodująca w Związku Sowieckim. Litwini byli wysyłani za granicę na specjalizację i pierwsi zaczęli wprowadzać komputeryzację do medycyny krajów za żelazną kurtyną. Instytuty badawcze w Kownie, a potem i w Wilnie, miały osiągnięcia, zwłaszcza w dziedzinie kardiologii. Na Litwie dokonywano skomplikowanych operacji serca, zaczęto wyrabiać aparaturę (często według własnych patentów) w zakładach „Elektroniki i inżynierii bio-medycznej”. W roku ubiegłym, w związku z ruchami dysydenckimi wśród inteligencji litewskiej, nastąpiły represje. Wstrzymano wyjazdy za granicę, a przybyły z Moskwy minister zdrowia wszystko krytykował, i zarządził czystkę, toteż dokonano wielu aresztów wśród personelu instytutów badawczych, oraz studentów medycyny. Dodać można, że wśród najwybitniejszych lekarzy-naukowców, wymienianych w prasie, spotykają się co najmniej dwa nazwiska wychowanków polskich szkół w niepodległej Litwie.

Charakterystyczna dla Sowietów rozbieżność między niskim poziomem ogólnym a wysokim obiektów pokazowych, bodajże stosuje się i do służby zdrowia na Litwie. Np. w Szawlach, liczących sto tysięcy mieszkańców, w roku 1970, jedynie 37 % zgonów nastąpiło w szpitalach, a 63 % w prywatnych mieszkaniach. Wcześniej, bo w roku 1960 sytuacja była lepsza, przy proporcji 47 % i 53 %, chociaż według statystyk sowieckich, wykazujących permanentny wzrost szpitalnictwa, powinno być odwrotnie. Ilość łóżek w szpitalach przypadająca na 10 tys. mieszkańców wynosiła bowiem w roku 1940 (z Wilnem) 17,4, w roku 1960 — 77,5 i w roku 1966 — 92.

Rolnictwo na Litwie po ostatniej wojnie było w stanie opłakanym. Po paru latach odbudowy, pozostawionej przeważnie inicjatywie prywatnej, zaczęło się spędzanie chłopów do kółchozów, co spowodowało masowe deportacje opornych na Sybir, i wstrzymanie rozwoju rolnictwa. Początkowo powstało 6 tys. małych kółchozów, następnie szukano ratunku w tworzeniu wielkich jednostek i wprowadzaniu mechanizacji. W ciągu pierwszej dekady ilość kółchozów spadła do dwóch tysięcy o przeciętnym obszarze 1.400 hektarów. Ilość sowchozów wzrosła z 90 do 300, o obszarach około 2,8 tys. ha. Te ostatnie obejmowały 31 % gruntów, kółchozy 63 %, a prywatne działki przyzagrodowe 6 %. Produkcja mleka i mięsa z hektara prywatnej gospodarki kółchożników była równo 10 razy większa, niż z hektara obszarów uspołecznionych. W sowchozach i kółchozach personel administracyjny stanowi 10 % zatrudnionych. Po drugiej dekadzie i wybudowaniu fabryk sztucznych nawozów, produkcja zaczęła osiągać, a potem przekraczać, poziom przedwojenny.

Od paru lat wprowadzana jest stopniowo specjalizacja gospodarstw uprawiających dotychczas wielostronną produkcję. Jedne gospodarstwa mają mieć hodowlę przychowku, inne produkcję mleka, jedne hodowlę prosiąt, inne

tuczników lub bekonów; uprawa buraków cukrowych ma być centralizowana itd. Ma to być organizacja rolnictwa na wzór amerykański. *Plus que ça change, plus ça reste le même.* Przed 70-ciu laty dziedzice „kluczów” też koncentrowali gospodarke mleczną w „fundum”, a przychowek, owce itd. hodowali w folwarkach. Robotnik rolny też otrzymywał 0,6 hektara do własnego użytku, a administracja dworska nie stanowiła 10 % zatrudnionych.

Jeżeli słowo wieśniak oznacza mieszkańca wsi-wioski, to tacy stanowili znaczną mniejszość ludności rolniczej na Litwie. Większość miała osobne farmy. Spośród około 300 tysięcy farm, pozostało po trzydziestoletniej gospodarce sowieckiej jeszcze 200 tysięcy rozproszonych domostw, a kilkadziesiąt tysięcy zlikwidowano lub przeniesiono do ośrodków kółchożnych. W ub. roku ogłoszono atrakcyjne warunki przenoszenia się do ośrodków — agrorodów, chcąc przyspieszyć ten, pożądanym przez władze proces. Rolnik uprzednio trzymał się swej chaty w nadziei, że może kiedyś odzyska swą gospodarke, zaś młode pokolenie już się tego nie spodziewa, chętnie przenosi się do miast, a w kółchozach odczuwa się brak robotnika.

Stosunki między Litwinami a Rosjanami. Paweł Litwinow, wnuk komisarza spraw zagranicznych, przebywający obecnie w Ameryce, udzielił wywiadu litewskiej prasie emigracyjnej. Na pytanie jakie byłyby stosunki między „Wolną Rosją a Wolną Litwą”, odrzekł, że mogłyby być dobre, ale nie od razu, gdyż między obu narodami istnieje wielkie napięcie. Litwini mają poczucie krzywdy. „Znam wypadki, że Rosjanie współczują Litwie. To narodowościowe napięcie jest korzystne dla władz, umożliwia bowiem stosowanie starej zasady: *divide et impera*. Pod tym względem jest mi bardzo bliski pogląd polskiego, emigracyjnego czasopisma *Kultura*, która stara się nie pogłębiać sprzeczności narodowościowych, popierając porozumienie, przynajmniej w dziedzinie kulturalnej”.

Jak odnosi się do Łotwy przeciętny Rosjanin? Przeciętny Rosjanin o nie wysokim poziomie kulturalnym jest naładowany propagandą i patrzy na inne narody dosyć powierzchownie. Sądzi on, że Litwini żyją lepiej, że Litwa jest bardziej europejska niż Rosja, że tu znajduje wyższy poziom produkcji, obsługi, stosunków między-ludzkich. Gdy przyjeżdżny z Rosji widzi, że tu ludzie żyją lepiej — to go irtuje. Powstaje kompleks zazdrości: „My ich karmimy”. Jest to pogląd niedorzeczny, ale rozpowszechniony. Zaś wśród Litwinów panuje pogląd, że Rosjanie gnieźdzą się w błocie i tylko robią rewolucje. Gdyby nie oni, to byśmy żyli spokojnie, powiadają Litwini i nazywają Rosjan tam przyjeżdżających — okupantami. Zaś Rosjanie uważają, że po prostu przyjechali do innej republiki.

Takie nastawienia nie sprzyjają wzajemnemu zrozumieniu. W obszernym wywiadzie Litwinow opowiada m.in. o Litwinach, którzy jeszcze przebywają na Syberii. „Dom, w którym mieszka Litwin różni się od domów zamieszkałych przez Rosjan — jak niebo i ziemia. Różni się czystością, architekturą, umiejętnością gospodarowania i kulturą obyczajową. Jest to mała farma.

Inny znany dysydent rosyjski, Sołżenicyn, zapytany, co sądzi o domaganiu się, aby Bałtowie mieli, na równi z Żydami, prawo emigracji, oświadczył: Prawo wyjazdu? Oni powinni domagać się swobodnego powrotu, a nie wyjazdu.

Z życia kulturalnego. Kowieński reżyser Jurašas uzyskał sławę nie tylko lokalną, został on również zaproszony przez moskiewski teatr „Sowremiennik” do wstawienia Makbeta. Jednak interpretację uznano za nieprawomyślną i do przedstawienia nie doszło. W Kownie wystawiał on „Tango”

Mrożka, lecz bez ostatniej sceny, uciętej przez cenzurę. Nie mogąc uzyskać pozwolenia na wystawienie sztuki zagranicznej, sięgnął po litewski dramat Grušasa „Barbora Radvilaite”, czyli Barbara Radziwiłłówna, na co uzyskał zgodę, jako że temat romantycznej miłości nie jest niebezpieczny. Jednak w reżyserii Jarašasa został uwypuklony konflikt wolności osobistej i nacisku społeczeństwa, czy raczej machiny państwowej. Sztuka nie została wystawiona. Dyrektor-reżyser stracił posadę i poprosił o powrotną wizę wyjazdową na Zachód. Po bez mała dwóch latach dostał rozkaz-zezwolenie na wyjazd do Izraela. Po opłaceniu paru tysięcy rubli znalazł się w Wiedniu, wraz z żoną Słucką-Jurasową.

W związku z sowiecką książką o „wyzwoleniu” Litwy, omawianą w Nrze 31 *Zeszytów Historycznych*, ukazały się głosy w litewskiej prasie emigracyjnej, przypominające udział AK w walkach o Wilno w roku 1944. Również wydawnictwa żydowskie omawiają tę książkę i wyjaśniają, że chodzi tu o stworzenie mitu, że Litwini współdziałali z armią sowiecką w „wyzwalaniu”, co nie jest zgodne z prawdą. Np. w „Litewskiej Dywizji”, uformowanej w Sowietach w pierwszych latach wojny, w ciągu pierwszych 18-tu miesięcy jej istnienia, 70 % stanowili Żydzi. Pismo dodaje, że Żydzi na Litwie zupełnie się nie asymilowali, więc rozróżnienie narodowości nie było trudne.

W Wilnie ukazało się nowe tłumaczone litewskie „Pana Tadeusza” w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy.

Uznanie inkorporacji przez USA? Dnia 16 lutego br. z okazji święta niepodległości, litewski chargé d'affaires w Waszyngtonie otrzymał w serdecznym tonie utrzymane pismo gratulacyjne z podpisem H. Kissingera. Lecz już 15 marca *Chicago Tribune* doniosła, że dr Kissinger przygotowuje uznanie inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego, gdyż to ułatwi rozmowy na konferencji w Genewie. Prezydent Ford ma przyjaciół Bałtów i jest im przychylny. Przywódcy trzech grup bałtyckich uzyskali audiencję u prezydenta, za pośrednictwem kongresmana Derwinskiego. Lecz o życzliwym ustosunkowaniu się prezydenta do Bałtów nie można było poinformować prasy, na skutek zakazu rady obrony narodowej. Jedynie radio „Liberty” w Monachium, nie podlegające bezpośrednio Departamentowi, nadało tę wiadomość. Prezydent zaczął otrzymywać po tysiąc depezy dziennie, protestujących przeciw ewentualnemu uznaniu inkorporacji — jako głos paru milionów Amerykanów pochodzących z krajów bałtyckich. W lutym bawiła w USA delegacja 20-tu duchownych z Sowietów, a wśród nich był też administrator archidiecezji wileńskiej, prałat Krivaitis. Stwierdził on, że na Litwie nie ma ucisku religijnego itd.

Prasa emigracyjna twierdzi, że dwaj prawdziwi biskupi litewscy są pod domowym aresztem, a oficjalnie uznawana hierarchia nie idzie w ślady obrońców wiary, jak niegdyś Valančius (biskup żmudzki Wołaczewski). Na zachód docierają dalsze nazwiska osób aresztowanych w związku z wydawaniem Kroniki Kościoła Katolickiego Litwy.

Na Litwie pisze się obecnie o dwóch projektowanych nowych budowlach: przedłużeniu autostrady Wilno-Kowno do Kłajpedy, i o nowoczesnym 23-piętrowym hotelu w Wilnie, z basenem pływackim, „kuchnią litewską” itd.

O wielkiej katastrofie kolejowej na linii Wilno-Kowno żaden reporter nie śmiał podać wiadomości; ukazał się jedynie bardzo lakoniczny komunikat Rady Ministrów.

E. ŻAGIELL

Białoruskie czasopisma na Zachodzie (3)

Omawiane uprzednio *Zapisy* i *Journal* są wydawane przez ciała zbiorowe — instytuty naukowe. *Litva* jest dziełem jednostki, która potrafi się dwoić i troić.

Urodzony w 1910 w Białymstoku Wacław Panucewicz, po uzyskaniu w 1939 stopnia magistra uniwersytetu w Wilnie, w toku dalszych studiów doszedł do wniosku, że źli sąsiedzi, dążąc do całkowitego zniszczenia lub zniewolenia jego narodu, systematycznie fałszowali historię, narzucili mu niewłaściwą nazwę i dokonywali na nim różnorodnych operacji, w rezultacie których stał się bezwładną niemal masą. W dobie dzisiejszej, poszczególne części tej masy są włączone „do Rosyjskiej SSR, Łotewskiej SSR, Litewskiej SSR, Polski Ludowej i Ukraińskiej SSR”, zaś kadłubowy ośrodek z Mińskiem jest w dalszym ciągu systematycznie wynaradawiany.

Pogląd taki wypowiedział Panucewicz w odpowiedzi na prośbę udostępnienia mi ostatnich jego prac, które na ogół nie są łatwe do osiągnięcia. W dalszym ciągu listu z 1 grudnia 1974 pisał:

„... naród ograbiony ze swego imienia, z historycznej ciągłości państwowej, ze stanowej elity, doprowadzony w etnogenezie do plebsu, karmionego fałszem i negacją, kultem rosyjskości albo narzuconymi mu innymi substancjami, potrzebuje olbrzymiej walki na wszystkich zagrożonych pozycjach”.

Walkę taką Panucewicz podjął zaraz po wojnie, jeszcze podczas pobytu w dipisowskich obozach w Niemczech. W artykułach podpisanych różnego rodzaju pseudonimami walczył istotnie na wszystkich „zagrożonych pozycjach”. Poruszał zagadnienia dotyczące historii kilkunastu wieków, stawiając „sprawę białoruską” na, jego zdaniem, „właściwe nogi”.

1. Utworzony przy poparciu amerykańskim przez Dipisów Instytut Badań ZSSR w Monachium w latach 1955-60 wydawał *Białoruski Przegląd* w językach białoruskim i angielskim. Siedem zeszytów *Belorussian Review* wyszło pod redakcją St. Stankiewicza, 8-my — A. Markowicza. Zawierały m.in. prace J. Mienskigo o utworzeniu BSSR i P. Urbana o jej historii; A. Adamowicza o sowietyzacji białoruskiej literatury; J. Stankiewicza o polityce językowej w BSSR i o sowieckiej falsyfikacji białoruskiej historii; o L. Horoszkio o stosunku do religii; N. Nadeska o narodowym samookreśleniu pod Sowietami.

W największym uproszczeniu i skrócie, wysuwane przez niego tezy wyglądały jak następuje:

1. Najstarszą nazwą dzisiejszych Białorusinów, dotąd zachowaną we współczesnym języku litewskim, była Gudowie, Gudzinowie, czyli Gotowie. Ich kwitnąca organizacja społeczno-kulturalno-polityczna została zniszczona przez Hunnów w IV wieku, zaś historyczna tradycja przywłaszczona przez Germanów.

2. W następnych wiekach, rusko-warezskim ośrodkiem w Nowgorodzie i Kijowie przeciwstawiał się i z nimi rywalizował tubylczy ośrodek Krywicy w Smoleńsku i Połocku.

3. W okresie najazdów mongolsko-tatarskich, Krywice nie byli podbici przez Gedyminowiczów, lecz pod ich firmą utworzyli niezależne państwo, zwane Wielkim Księstwem Litewskim; toteż jedynie dzisiejsi Białorusini mają prawo do historycznej po nim spuścizny.

4. Prawosławne księstwa Pskowskie i Nowgorodzkie, niewchodzące w skład W. Ks. Litewskiego w wiekach XIV-XV nazywano Białą Rusią; za sugestią mnichów pskowskich, nazwę tę przyjęła także Moskwa za Wasyła II Ciemnego i używała jej do początku XVII wieku.

5. Za Romanowych, Moskwa zastąpiła w swej nazwie przymiotnik „Biała” przez „Wielką” zaś przymiotnikami „Biała” i „Mała” obdarzyła Ruś Zachodnią i Południową, sugerując przez to ich zależność od Rusi „Wielkiej”. Następnie większość przyłączonych do „Wielkiej Rusi” ziem W. Ks. Litewskiego zaczęto nazywać „Białą Rusią”, zaś historyczną nazwę „Litwa” przywołała sobie mała Żmudź.

6. Do XVI wieku kultura narodowa w W. Księstwie stała na wyższym poziomie niż w Polsce. Wówczas gdy w Polsce języka narodowego używano tylko pospólstwo, w W. Księstwie był on językiem warstw rządzących i druki w języku W. Księstwa ukazały się w Krakowie o co najmniej 30 lat wcześniej niż pierwszy druk w języku polskim.

7. Jagiellonowie byli dziedzicznymi władcami Litwy i z reguły byli wybierani na tron polski już będąc W. Książętami Litwy; można by zatem mówić, że to Polska „przyłączyła się” wówczas do Litwy. Litwa dzieliła z Polską tylko Koronę, która w owych czasach była pojęciem niemal mistycznym i stanowiła oddzielną osobowość prawną.

8. W związku z operacjami finansowymi Bony, szlachta wymogła na Zygmuncie Starym oświadczenie, że Korona należy nie do dynastii lecz do „narodu polskiego”; spowodowało to, że Polacy zaczęli nazywać swoje państwo „Koroną” i w konsekwencji zasadniczo zmieniło charakter związku Litwy z Polską.

9. Po Unii Lubelskiej, *de facto* wymuszonej na Litwie, W. Księstwo zachowało charakter odrębnego państwa i jego mężowie stanu, hetmani i twórcy kulturalni uważali się za Litwinów. Gdy, w związku z zanikiem używania łaciny, język polski stał się, z początkowego narzędzia porozumiewania się obywateli połączonych państw, językiem codziennym warstw rządzących w W. Księstwie, stali się oni „Litwinami mówiącymi po polsku”, zaś dawny urzędowy język W. Księstwa zdegradowany został do „prostej” gwary pospólstwa.

10. Do dalszej „polonizacji” W. Księstwa po rozbiorach przyczyniła się w pierwszym rzędzie likwidacja Unii. Był to obrządek najbardziej rozpowszechniony i w pewnym stopniu i sensie „religia narodowa” W. Księstwa. Po jej przymusowym zniesieniu, pozostały dwie wiary: „polska” — katolicyzm i „rosyjska” — prawosławie. Odmienne niż w województwach po-

granicznych z Rosją, gdzie „powrót do prawosławia” odbył się względnie bezboleśnie (ale przyczynił się do rusyfikacji ludności), znaczna część mieszkańców województw bardziej zachodnich, czując się bliższa katolicyzmowi, wybierała „polską” wiarę i ulegała dalszej polonizacji. Tendencja do uważania katolików za Polaków przetrwała na sowieckiej Białorusi do dzisiaj.

W warunkach życia dipisowskiego, Panucewicz mógł w dorywczych artykułach tylko z gruba szkicować swoje oryginalne tezy historiograficzne. Dopiero po przybyciu do Ameryki i osiedleniu się w Chicago zdołał stworzyć warunki do ich szerszego rozwijania i głębszego uzasadniania. Po napisaniu kilku prac monograficznych, m.in. o Jozafacie Kuncewiczu, Arcybiskupie Połockim z XVII wieku, o księciu Konstantym Ostrogskim z XVI wieku i o Kostusiu Kalinowskim w powstaniu 1863, oraz po wykończeniu w 1965 wstępnego tomu zakrojonej na szeroką skalę Historii Białorusi, w 1967 rozpoczął wydawnictwo specjalnego „czasopisma naukowego *Litva*”, pisząc „Od redakcji” w słowie wstępnym:

„Nasza narodowo-historyczna nazwa kraju, Litwa, została przez nas wzięta jako nazwa czasopisma, którego zadaniem będzie badać krytycznie na nowo (*nanova vyvučać i pieraaceńvać*) naszą pełną sławę przeszłość i walczyć z jej zafałszowywaniem. Czasopismo będzie również badać zagadnienia współczesne, związane z naszym narodem”.
Grudzień 1974

Litva, z herbem Pogoni na okładce, wydawana była w sposób raczej rzemieślniczy, techniką fotografowania ilustracji oraz tekstów pisanych na maszynie, (przeważnie łaćcińskimi literami, choć zdarza się i cyrylica) i nie ukazywała się zbyt regularnie. W 1967 wyszły dwa tomy po 280 stron każdy; tomy 3-ci i 4-ty tej samej objętości ukazały się w 1969 i 1970; tom 5-ty o 304 stronach wyszedł w 1973, zaś tom 6-ty jest gotów i ponoć „w druku”. Zgodnie ze wstępną zapowiedzią, była ona poświęcona głównie krytycznemu badaniu na nowo historii Białorusi, czyli rozwijaniu i uzasadnianiu wyżej streszczonych tez historiograficznych jej redaktora. On też, pod własnym nazwiskiem, kryptonimem „V.P.”, lub różnego rodzaju pseudonimami wypełniał niemal w całości jej tomy, bądź to ogłaszając swe prace badawcze, bądź przedrukowując zgodne z jego tezami prace ogłoszone przez innych, bądź wreszcie ostro polemizując i surowo krytykując poglądy z jego tezami niezgodne. Ponieważ okresy wcześniejsze były już wystarczająco oświetlone w pierwszym tomie *Historii*, prace ogłaszane w *Litvie* dotyczyły głównie okresu Wielkiego Księstwa; były one z reguły oparte na obfitym materiale źródłowym, z licznymi i obszernymi z niego wypisami, co zabierało wiele stron. Dla zilustrowania, zróbmy krótki przegląd treści poszczególnych tomów *Litvy*.

2. *Litva. Navukovy časapis* — The Belorusien (Lithuanian) Research Periodical. Editor V. Panucevič, 3006 W. Logan Blvd, Chicago, Ill., USA 60647. Wydaje: Biełaruskaja Vydavieckaja Siabrynja Chicago. Ostatni Nr 5 Styczeń-Marzec 1973, powielany, str. 304. Cena dol. 4,00.

Tom pierwszy zawiera reprodukcje kilku stron białoruskich pierwodruków z 1491 oraz 50-ciostronicową pracę Panucewicza o „Pierwszej białoruskiej drukarni S. Fijoła w Krakowie”; 45-ciostronicowy artykuł „M. Wołaciča” o XIX-stowiecznym polsko-białoruskim pisarzu i poecie Wincentym Dunin Markowiczu oraz tłumaczenie jego (pisanych po polsku) obrazków scenicznych „Lucynka czyli Szwedzi na Litwie”; wreszcie przeszło 100-stronicowe polemiki Panucewicza z artykułami P. Urbana i A. Adamowicza ogłoszonymi w 1964 w *Zapisach*. Poza prawie 30-stronicową Kroniką, częściowo podpisaną kryptonimami Panucewicza, mamy w tym tomie krótką, pisaną cyrylicą, notę o mińczaninie St. Moniuszce, podpisaną A. Maldzis, też bodaj skądś przedrukowaną.

W tomie drugim, poświęconym Jagielle i Jagiellonom i ozdobionym fotografiami fragmentów wawelskich nagrobków, mamy prace Panucewicza o „Języku polskim w XIV-XVIII wiekach i Kościele katolickim w W. Ks. Litewskim” oraz o „Małżeństwie Jagiełły i problemie Korony”; jego recenzje i Kronikę — w sumie przeszło 200 stron. Poza tym białoruskie tłumaczenia pracy S. M. Kuczyńskiego o „Programie pierwszych Jagiellonów”, ogłoszonej w Warszawie w 1965, oraz ogłoszonego w *Kulturze*, Nr 6/234, przemówienia W. Bykowa o wolności sztuki; tekst memoriału złożonego przez Białorusinów w Kownie w styczniu 1923 (cyrylicą); reprodukcja „Radziwiłłowskiej” mapy W. Ks. Lit. z 1613 i jej omówienie przez St. Aleksandrowicza, przedruki not biograficznych współpracownika Sz. Konarskiego Fr. Sawicza oraz profesora uniwersytetu wileńskiego M. Bobrowskiego, i kilka listów do redakcji.

Tom trzeci z reprodukcjami podobizn Moniuszki i W. Ks. Witolda zawiera początek obszernej pracy Panucewicza o genezie Unii Lubelskiej i kwestii niezależności W. Ks. Lit. oraz jego pracę o zabiegach W. Książąt litewskich o uzyskanie Korony i kilka krytycznych recenzji, w sumie też przeszło 200 stron. Poza to mamy tam kilka przedruków, m.in. noty o rodzie Kostrowickich, z którego pochodził poeta Apollinaire, oraz listy do redakcji.

Tom czwarty otwiera przedrukowane z mińskiego *Połyimia* białoruskie tłumaczenie „Pieśni o żubrce”, napisanej w XVI wieku po łacinie przez M. Husowskiego, wraz z komentarzem tłumacza. Pisma Panucewicza zajmują w nim stosunkowo mniej miejsca, około 160 stron, w tym 85 dalszego ciągu pracy o Unii Lubelskiej i 55 ostrej krytyki wydanej w Mińsku książki L. Abecedarskiego o pochodzeniu i historii Białorusinów. Z innych przedruków w tomie czwartym mamy artykuł V. Mialeszki o gospodarce rolnej na Białorusi w wiekach XVII-XVIII, z *Wieści Akademii Nauk BSSR*; notę U. Pauluczoka o pojęciu „Ruskij Jazyk” w historii, z białostockiej *Nivy* i tłumaczenie wyjątków z artykułu J. Drewnowskiego, ogłoszonego w *Kulturze*, Nr 9/276 i inne. Zabawna jest krótka nota o białoruskim pochodzeniu Pana Twardowskiego, podpisana przez F. Juryjana.

Jak dotychczas ostatni, tom piąty *Litvy* nie zawiera przedru-

ków i jest w całości wypełniony przez jej redaktora. Otwiera go podobizna Kościuszki, „wielkiego syna białoruskiego narodu”, oraz artykuł „M. Wołaciča” o terytorium i ludności Białorusi w dobie współczesnej. Tezy tego artykułu są tak zaskakujące, że warto je podać w nieco obszerniejszym streszczeniu.

Zdaniem autora, etniczne i „historyczne” terytorium Białorusi wynosi dokładnie 476.237,1 km². Było ono w różnorodny sposób krajane w toku historii, ostatnio zaś pokieroszowali je Stalin, Roosevelt i Churchill w Jałcie. Pozostawiając ZSSR tylko 207.600 km², pozostałe 268.637 km² podzielili pomiędzy 5 czy nawet 6 óściennych państw, a mianowicie: Rosja dostała 186.973,7 km²; Polska Ludowa — 14.311 km² (m.in. powiaty bielski, białostocki, łomżycki, augustowski i inne); Litewska SSR — 43.700 km² z białoruską stolicą Wilnem; Łotewska SSR — 15.791,6 km²; Estońska SSR — 800 km² (Nowgorod); i Ukraińska SSR — 15.791,6 km². Po podsumowaniu, liczby się nie bardzo zgadzają, ale mniejsza o to, przejdźmy do ludności.

Na wskazanym wyżej białoruskim terytorium etnicznym, zdaniem autora, mieszkało w 1941 ogółem 23.004.000 osób. Zmiany, jakie nastąpiły w latach następnych autor szczegółowo analizuje by dojść do ostatecznego wniosku, że w 1959 ogólna ilość Białorusinów w świecie wynosiła przeszło 20 milionów. Z tego okragło 7,5 miliona mieszkało w BSSR, przeszło drugie tyle w innych sowieckich republikach, przeszło 1,5 miliona w Polsce Ludowej i prawie tyleż na emigracji na Zachodzie. By dojść do tych liczb autor musiał wprowadzić radykalne poprawki do danych oficjalnych spisów ludności, przy których, jego zdaniem, wielu Białorusinów podawało niewłaściwe dane i było włączanych do innych grup narodowościowych. W szczególności dotyczyło to Białorusinów-katolików, których tradycyjnie zaliczano do grupy polskiej³.

Po tym artykule mamy w piątym tomie *Litvy* przeszło 170-ciostronicowe dokończenie studium o Unii Lubelskiej. Autor podaje interesujące dane o związku pomiędzy sprawą Unii a małżeństwem Zygmunta z Barbarą, omawia pierwotne, sprzeczne ze sobą, projekty aktu Unii litewski i polski, oraz przytacza tekst projektu wysuniętego przez króla po aneksji Podlasia i Wołynia, w którym Zygmunt August miał zdradzić „rodzimą ideologię litewską”. Przytacza również po polsku tekst aktu Unii, ostatecznie podpisanego przez delegację litewską 1 lipca 1569, oraz późniejszych aktów królewskich z 19 lipca i 11 sierpnia, twierdząc, że w końcu Litwa zdołała obronić swe narodowe prawa i uzyskać całkowite równouprawnienie z Polską. Dalszą część tomu wypełniają noty i recenzje redaktora, w tym przeszło

3. W nowojorskim *Belorus*, Nr 201 ze stycznia 1974 Panucewicz ogłosił artykuł „Polacy’ na Białorusi”, twierdząc, że na podstawie badań lingwistycznych m.in. polskich przed i powojennych uczonych należy dojść do wniosku, że 1.370.622 tzw. „Polaków”, ujawnionych w sowieckim spisie ludności w 1959 (zaś 1.167.000 w 1970), są to w rzeczywistości Białorusini-katolicy.

40-stronicowa recenzja książki Lubaczki, omawianej krytycznie w *Zeszytach Historycznych* (Nr 23) i *Kulturze* (5/320), pochlebnie zaś w londyńskim *Journalu*⁴. Zdaniem Litvy, „Lubaczko z miejsca wprzął się w rosyjskie hołoble” i powtarza w swej książce wszystkie z gruntu fałszywe, sprzeczne z prawdą historyczną i mające na celu zniewolenie białoruskiego narodu, tezy rosyjskich szkół carskiej i bolszewickiej. W dalszym ciągu recenzji kilkakrotnie podkreślana jest zupełna ignorancja Lubaczki, w szczególności w sprawach dotyczących Rzplitej i okresu porobiorowego, i jego „podśpiewywanie” sowieckim koncepcjom, pomimo „pewnych brykań przeciwko nim”. Takie stanowisko ma być charakterystyczne dla autorów, „którzy nie wypracowali, a nawet nie chcieli wypracować, swego samodzielnego poglądu, i Lubachko znalazł się w takiej właśnie opłakanej sytuacji, ponieważ nie mógł zrozumieć skomplikowanych zagadnień”.

Poza wypełnianiem tomów *Litvy*, Panucewicz w 1972 roku ogłosił w osobnym wydaniu studium o Unii Brzeskiej, traktując ją jako dzieło Białorusinów. Ponadto zajmował się również okresem najnowszym, m.in. ogłaszając w wydawanej w Chicago *Betarskiej Cerkwi*, czasopiśmie o tendencjach ekumenistycznych, obszernie studium o zamordowanym przez hitlerowców w 1942 roku księdzu Winc. Godlewskim oraz 100-stronicowy referat o ideologii białoruskiego odrodzenia w XIX wieku. Wszystkie jego prace, niezależnie od okresu, jakiego dotyczyły, oparte były na źródłowym materiale i jeśli niektóre z wniosków czy tez wydawać się mogą zbyt oryginalne, czy nawet ekscentryczne, trudno przeciwko niemu podnieść zarzut ignorancji, o którą nie bez racji pomawia swoich rodaków uhonorowanych przez Amerykanów tytułami doktorskimi czy profesorskimi.

Wiktor SUKIENNICKI

Ameryka i Bałtowie

W połowie kwietnia *New York Times* doniósł o rosnącym niepokoju wśród Bałtów amerykańskich (1.600.000 osób) w związku z konferencją geneńską: czy nie zanoszą się aby na uznanie przez Stany Zjednoczone inkorporacji Litwy, Łotwy i Estonii do Związku Sowieckiego? Edward J. Derwinski, republikański członek Kongresu ze stanu Illinois, znany ze swojego zaangażowania w sprawę Wschodniej Europy, podjął próbę zmuszenia Departamentu Stanu do odsłonięcia kart. Zgłosił rezolucję, podpisaną przez 68 członków Kongresu, wzywającą rząd amerykański do stwierdzenia raz jeszcze, że Stany Zjednoczone nie uznają zaboru państw bałtyckich. Równocześnie Bałtowie amerykańscy rozpoczęli bombardowanie Białego Domu li-

4. *Kultura*, Nr 1/2 (328/9), str. 114.

tami, depeszami i petycjami. W wyniku tej akcji Derwinski otrzymał list od Kemptona B. Jenkinsa, wysokiego urzędnika Departamentu Stanu. „Jeśli o mnie chodzi” — oświadczył — „ten list rozprasza wszelkie wątpliwości odnośnie postawy amerykańskiej w kwestii bałtyckiej”. Jenkins pisał: „Departament Stanu potwierdza, że pozostaje polityką amerykańską nie uznawać włączenia siłą państw bałtyckich do Związku Sowieckiego”. I dodawał, że delegacja amerykańska na konferencję w sprawach bezpieczeństwa i współpracy nie zgodzi się na żadną formułę uznającą inkorporację. W liście była też mowa o tym, że konferencja przyjmie prawdopodobnie dokument końcowy, w którym podkreślone zostaną zasady „pokojowych zmian granicznych”, „samostanowienia narodów” i „praw ludzkich”. Miałyby to zrównoważyć niepokojącą dla Bałtów zasadę „nienaruszalności granic”, również włączoną do dokumentu końcowego. Dr. Kazys Bobelis, przewodniczący Rady Amerykańsko-Litewskiej, oświadczył: „Od lat Rosjanie usiłują zdobyć uznanie prawne brutalnej okupacji państw bałtyckich. Jeśli konferencja potwierdzi zasadę swobodnego samostanowienia, to bardzo dobrze”.

W miesiąc później tenże *New York Times* ogłosił korespondencję z Leningradu swego wysłannika specjalnego James'a Clarity. Zaczyna się ona tak: „Stany Zjednoczone, poprzez swój konsul w Leningradzie, rozcieńczają (*is diluting*) politykę nie uznawania od 35 lat inkorporacji Litwy, Łotwy i Estonii do Związku Sowieckiego. Zachodni dyplomaci tutaj wyczuwają stopniowe lecz niewątpliwe dążenie Ameryki do faktycznego, jeśli nie formalnego, uznania sowieckich republik bałtyckich”. Konsulat amerykański w Leningradzie otwarto 22 miesiące temu: od tej chwili, zdaniem dyplomatów zachodnich, amerykańskie kontakty polityczne, gospodarcze i kulturalne z republikami bałtyckimi wzrosły w sposób znaczący. Joseph Neubert, konsul amerykański w Leningradzie, oznajmił w wywiadzie że amerykańska polityka nie uznawania nie zmieniła się, ale jednocześnie przyznał że jest w praktyce ambasadorem amerykańskim w trzech republikach; od objęcia urzędu, osiem miesięcy temu, Neubert odwiedził Wilno, Rygę i Tallin, spotykając się tam (oczywiście dla zachowania pozorów) nie z wysokimi funkcjonariuszami rządowymi i partyjnymi, lecz z ich zastępcami. Neubert poświęca większość czasu republikom bałtyckim, i to on a nie ambasador amerykański w Moskwie pisze o nich raporty dla Departamentu Stanu. Korespondent dziennika nowojorskiego przytacza opinię dyplomatów amerykańskich: nie odczuwa się ze strony sowieckiej silnego nacisku w kierunku formalnej zmiany polityki USA, Związek Sowiecki wydaje się być zadowolony z obecnego stanu rzeczy; formalne uznanie nie nastąpi szybko, lecz jest nieuniknione.

Znamienne jest zakończenie korespondencji: „Bałtyckie rządy na wygnaniu utrzymują wciąż uznawane oficjalnie przedstawicielstwa w Waszyngtonie. Niektórzy dyplomaci tutaj, wskazując na starzenie się przywódców emigracyjnych, sądzą że opór przeciwko uznaniu kontroli sowieckiej ustanie”.

Kronika ukraińska

„Rok święty wymaga łaski odwagi... Odnowa i rekoncylacja powinny zacząć się od własnego domu, wśród nas samych. Dotyczy to zwłaszcza przeladowanych Kościołów Milczenia, które nie mogą pozostać ciągle milczące...” — powiedział mons. John J. Mowatt, amerykański duchowny, pracujący w

Ośrodkiem Bizantyjskim w Fatimie, w referacie wygłoszonym na sympozjum 19 kwietnia w Filadelfii dla uczczenia ostatniego trzydziestolecia (1945-1975) Katolickiego Kościoła Ukraińskiego. Na sympozjum, zorganizowanym z inicjatywy ukraińskiego Towarzystwa „Za Patriarchat”, przemawiało 11 prelegentów, profesorów amerykańskich uniwersytetów oraz religijnych instytucji naukowych (jeden z Kanady i jeden z Anglii). Poruszając różne aspekty rocznicy poszczególni prelegenci podkreślali że jest ironią losu, iż greko-katolicy na Ukrainie, Rusi Zakarpackiej i Rumunii, których życie religijne uległo zdławieniu ponieważ wybrali unię z Rzymem, są wciąż ignorowani przez odpowiednie dykasterie Stolicy Apostolskiej, która tymczasem „wyciąga rękę przyjaźni do ich prześladowców”. Kilku mówców wezwało katolików ukraińskich w diasporze do przedłożenia petycji w Papieskiej Komisji „Iustitia et Pax” — ponieważ Watykan nie dotrzymał warunków zawartej unii „należy go więc traktować jako odpowiedzialnego za brak uznania i obrony katolików na sowieckiej Ukrainie”. Watykańskiej Kongregacji dla Kościołów Wschodnich oraz Sekretariatowi d/s jedności chrześcijan zarzucano dążenie do zachowania „milczącego Kościoła” po to, by nie przeszkadzał „politycznym manewrom i rozgrywce ekumenicznej”. Petycja ma domagać się od Komisji „Iustitia et Pax” „publicznego osądzenia sprawy... Nasze głosy muszą brzmieć donośnie i zdecydowanie” (akcja zbierania podpisów już się rozpoczęła — petycja ma być złożona w lipcu bież. roku w czasie wielkiej pielgrzymki ukraińskiej do Rzymu z okazji Roku Świętego). Potępiono „zmowę milczenia” i politykę „odprężenia” w wersji watykańskiej z reżymami komunistycznymi, faworyzujące katolików obrządku łacińskiego, co „dyskredytuje Kościół Powszechny uznający równość wszystkich obrządków”.

Według prof. Vasila Markusa z uniwersytetu chicagowskiego, władze sowieckie niszczą Kościół Katolicki na Ukrainie nie tylko ze względów doktrynalnych, lecz przede wszystkim kulturalnych i politycznych, mając na uwadze znaczenie tego Kościoła w ukraińskim życiu narodowym. Ktoś inny określił go jako „naturalny most pomiędzy Wschodem a Zachodem i przypominał specjalną misję tego Kościoła w procesie zbliżenia do prawosławia. Według Ojca A. Meloney S.J., profesora ośrodka ekumenicznego na uniwersytecie Fordham, nie da się zatrzeć różnic pomiędzy spirytualizmem zachodnim i wschodnim: pierwszy kładzie nacisk na transcendencję (tzn. „Bóg jest trudny do osiągnięcia w skali osobistej”), podczas kiedy wschodni widzi Boga „immanentnego, zdolnego do poznania, chociaż mitycznego”. Ten sam temat poruszył prof. J. Pelikan z Yale University: „w Kościele zachodnim człowiek jest uplasowany tak nisko, że jest niezdolny do zbliżenia się do Chrystusa — w teologii wschodniej, natomiast, Bóg i człowiek są nierozłączni. W zachodnim obrządku, wzór stanowi Chrystus na krzyżu i jego boskość jest akcentowana; we wschodnich obrządkach Chrystus jest widziany przede wszystkim w relacji do Jego przeistoczenia, a akcent jego położony na ubóstwie człowieka. To stawianie się bogiem odnosi się do Marii jako do wzoru. Matka Boska stąd też jest bardziej czczona w Kościołach Wschodnich.

W czasie sympozjum wystąpili również przedstawiciele ukraińskich prawosławnych i ewangelików-baptystów. Przypomniano w szczególności *casus* pastora G. Vinsa z Kijowa aresztowanego w 1966 roku i skazanego powtórnie w ub. roku na 10 lat łągru. Była mowa o prześladowaniach tych wyznań, o „barbarzyńskich” walce z religią i „upolitycznieniu” hierarchii ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, podporządkowanej Moskwie. Zdaniem organizatorów, sympozjum powinno przyczynić się do „zmniejszenia ignorancji” o Kościołach Wschodnich, panującej wciąż na Zachodzie.

Ukazało się w tych dniach oficjalne wydawnictwo „Oriente Cattolico”. Jest to czwarte wydanie, zawierające dane historyczne i statystyczne, odno-

zące się do obrządków wschodnich, opracowane przez Kongregację dla Kościołów Wschodnich. Pod hasłem „ryt bizantyjski” wyliczone są następujące grupy narodowe: Bułgarzy, Albańczycy, Jugosłowianie, Melchici, Słowacy i Wękrzy oraz odrębnie pod nagłówkiem „Kościoły zniszczone lub rozproszone”: Białorusini, Ukraińcy, Rumuni, Rosjanie i Starorusini. Co się tyczy ukraińców w diasporze, wydawnictwo podaje liczbę 14 diecezji oraz 21 członków hierarchii (metropolici i biskupi). W treści mowa jest o „prześladowaniach” Kościoła na Ukrainie i „zniszczeniu Unii”. Tom zawiera pewną ciekawostkę, która zainteresuje czytelników: w rubryce „Papieska Komisja *Pro Russia*”, której członkami są abp Casaroli, abp Benelli i bp Brini, wyliczone są diecezje rosyjskie obrządku łacińskiego, wszystkie *impedite*. Komisji tej podporządkowane są formalnie: metropolia mohylewska wraz z diecezjami (sufraganaty): Kamieniec Podolski, Terespol, Żytomierz i Mińsk oraz diecezja wladystocka i wikariat apostołski dla Syberii. Administrator apostołski Mińska i Mohylewa, pb Bolesław Słokans (Łotysz), urodzony w 1893 roku, rezyduje na wygnaniu w Lovanium w Belgii.

D. M.

Kronika czeska i słowacka

Z okazji trzydziestej rocznicy Czechosłowackiej Republiki Ludowej grupa socjologów z dwóch rozwiązanych po inwazji instytutów — Instytutu Socjologii przy Akademii Nauk i Instytutu Badań Ludnościowych — przeprowadziła ankietę podziemną, której wyniki w odbitkach maszynopisowych krążyły w Pradze w środowiskach opozycji. Postawiono dwa pytania: „Jak oceniacie trzydzieści lat naszej republiki?”; „Czego spodziewacie się po konferencji europejskiej w sprawach bezpieczeństwa i współpracy?”. Zadano je 209 osobom w okresie lutego i marca 1975. Wiek badanych: połowa od 30 do 50 lat; ówczierc poniżej 30 lat; ówczierc powyżej 50 lat. Skład narodowościowy: 9 Słowaków, dwóch Węgrów, reszta Czesi. Płeć: 151 mężczyzn, 58 kobiet. Podziemną ankietę omówił Jiří Pelikan w mediolańskim tygodniku *Il Mondo*.

Na pierwsze pytanie odpowiedziało tylko 115 osób, na drugie 187. Pierwsze wywoływało jakby zakłopotanie i powściągliwość, drugie skłaniało do znacznie większej otwartości. Około 50 % badanych w wieku powyżej trzydziestu lat odpowiedziało na pierwsze pytanie z grubszą tak: „Sąd uogólniający jest trudny. W dziedzinie socjalizacji rezultaty są dość pozytywne, ale wzbogaceni się materialnemu towarzyszy zubożenie moralne. Odwrotną stroną pewnego zrównania dochodów jest niepokojący upadek wszystkich wartości moralnych. Narodziła się pogarda człowieka wobec człowieka, znikł prawie duch tolerancji. Stworzono sztucznie egalitaryzm fałszywy: zły robotnik, ale politycznie aktywny i zapisany do partii, ma do powiedzenia o wiele więcej niż ludzie z innych warstw społecznych”. Absolwent filozofii, dziś pracownik fizyczny, lat 41: „Mówi się demagogicznie bez przerwy o tym co zostało zrobione w okresie tak zwanej republiki socjalistycznej, ale zapomina się dodać że cały świat (łącznie z Afryką) poszedł naprzód z punktu widzenia społecznego. Trzeba by mieć możliwość zorientowania się jakie byłyby nasze osiągnięcia bez tak zwanej pomocy sowieckiej, albo w wypadku gdyby kierownictwo naszej gospodarki nie znajdowało się w rękach tępaków. Kiedy przyglądamy się naszym sąsiadom Austriakom, wstyd ogarnia. Szkoda, że w roku

1968 świat nas nie rozumiał. Jestem wciąż socjalistą, ale chcę socjalizmu bardziej ludzkiego”.

Na drugie pytanie („Czego spodziewacie się po konferencji europejskiej w sprawach bezpieczeństwa i współpracy?”) 138 badanych odpowiedziało: „Niczego!”. Niektórzy dorzucili: „Przynajmniej jeśli chodzi o nas, o nasz kraj”. Tylko 33 osoby wyraziły nadzieję, że zostaną wycofane garnizony sowieckie, że dojdzie do normalizacji życia politycznego, że Czechosłowacja odzyska suwerenność. Pracownik praskiego transportu miejskiego, lat 48: „Myślę że jedynymi którzy chcą nam naprawdę pomóc są Chiny i może Strauss. Amerykanów nasz los nie obchodzi, przecież Johnson dał zgodę na interwencję rosyjską”. Nauczyciel historii w szkołach średnich: „Kiedyż to Rosjanie wycofali się dobrowolnie z jakiegokolwiek terytorium? Zachód umrze na demokrację i naiwność. Za kilka lat Austria, Jugosławia i może któreś z państw skandynawskich będą mogły liczyć na internacjonalistyczną pomoc wojsk sowieckich. Amerykanie wysłał notę protestacyjną, że jeśli coś podobnego raz jeszcze się powtórzy, odwołają kolejne spotkanie na szczycie. I po wszystkim”. Intelektualista, lat 46: „Konferencja nas nie dotyczy... Wymiana informacji zostanie zorganizowana w ten sposób, że *Głos Ameryki* będzie dalej nadawał, a dobre stacje zamilkną na mocy układów”. Pracownik obsługi lotnisk, lat 38: „Dajcież mi święty spokój z tymi pytaniami. Zachód robi to, czego chce Rosja... Może tylko Chiny są szczerze w swoich stosunkach z małymi państwami”. Robotnik CKD, lat 27: „Pamiętam że w sierpniu 1968, zaraz po okupacji, Zachód przysięgał że nigdy Rosjanom nie wybaczy. Zapomniał widać o tej obietnicy... Brudna sprawa. Współczuję narodowi wietnamskiemu. Teraz pewnie kolej na Izrael. I wciąż gada się o pokoju, oczekuje że Breżniew dostanie wkrótce pokojową Nagrodę Nobla”. Chłop w wieku emerytalnym: „Pierwszy raz opuścili nas w roku 1938, drugi w roku 1948, trzeci w 1968. I zawsze chodziło o pokój. Czemu więc obecna konferencja miałaby nie zalegalizować okupacji naszego kraju? W interesie pokoju, oczywiście”. Lekarz, 53 lata: „Nie wierzę w ustępstwa państw socjalistycznych na konferencji. Byłoby to sprzeczne z logiką. Rządząca klika nie wyrzeknie się dobrowolnie władzy. Jeśli Rosjanie wycofają wojskowe garnizony okupacyjne, to zostawią doradców specjalnych w cywilu. Na naszą prośbę, rzecz jasna. Ciekawe kto dostanie następną pokojową Nagrodę Nobla”. Żona więźnia politycznego: „Nie zadawajcie mi pytań, nie potrafię chyba być obiektywna. Było mi smutno, gdy przyjechał do nas Brandt i ścisnął rękę tym, którzy trzymają w więzieniu mojego męża, również socjaldemokratę. Co się stanie w Genewie i w Helsinkach? Używając terminologii sportowej, zawody polityczne skończą się remisem i pierwsze miejsce w klasyfikacji zajmą Rosjanie”.

G. H.

NOWE AKCJE BEZPIEKI

Czechosłowackie źródła emigracyjne doniosły niedawno, że policja bezpieczeństwa przeprowadziła w kwietniu br. szereg rewizji w mieszkaniach wybitnych osobistości, które w roku 1968 wypowiedziały się po stronie ruchu reform. Według dotychczasowych informacji akcje te skoncentrowały się głównie w Pradze, istnieje jednak prawdopodobieństwo, że również w Bratysławie miały one miejsce. Brak też bezpośrednich dowodów na to, że pozostawały one w związku z ostatnimi atakami Husaka na Dubczeka.

29 kwietnia fakt akcji policyjnych potwierdzony został przez osobę jak najbardziej miarodajną, mianowicie przez znanego pisarza Ludwika Vaculika, u którego właśnie taka rewizja została przeprowadzona i któremu skonfiskowano szereg przedmiotów. Vaculik wystosował list do zachodnich agencji pra-

sowych w Pradze, w którym doniósł o zaszłym wydarzeniu. Podobno rewizja domowa u Vaculika pozostawała w związku z toczącym się postępowaniem karnym przeciwko nie ustalonej bliżej osobie podejrzanej o „działalność wywrotową”, przy czym chodziło o zebranie dowodów przeciwko niej. W liście swym Vaculik stwierdza, że zabrano mu około 80 przedmiotów — czasopism, dokumentów oficjalnych z lat 1968-69, notatników, taśm z nagraniami, czysto osobistych fotografii, 32 rękopisów literackich i filozoficznych pióra przyjaciół pisarza, wreszcie kilka wydanych za granicą przekładów jego książek.

Vaculik oświadczył, że w październiku 1973, po wywiadzie udzielonym dla zachodniemieckiej TV złożono mu ofertę „ekspatriacji”, od tego zaś czasu czyniono mu stale przeszkody w składaniu publicznych oświadczeń. Vaculik dodał, że nigdy nie zamierzał zwrócić się o zezwolenie na wyjazd — gdyby miał to uczynić to jedynie ze względu na zdrowie. To zaś, że oświadczenie swe złożył w ten właśnie sposób tłumaczy tym, że inne sposoby zawiodły — w październiku 1973 pisał do Husaka, lecz odpowiedzi nie otrzymał.

Vaculik dodał, że tego samego dnia rewizje przeprowadzone zostały w mieszkaniu pisarza Ivana Klimy, historyka Jana Krena, dawnego działacza partyjnego, jednego z organizatorów tzw. wysoczańskiego zjazdu partii, Jaromira Litery, byłego sekretarza KC i jednego z czołowych ideologów Praskiej Wiosny Zdenka Mlynarza, innego byłego działacza partyjnego ekonomisty Venka Silhana, historyka Vilema Precana oraz słowackiego krytyka literackiego Ivana Kavlečeka.

30 kwietnia organ czechosłowackiej partii socjalistycznej *Svobodne Slovo* opublikował krótką wzmiankę, z której wynika, iż organy bezpieczeństwa państwowego „skontrolowały 679 obiektów w Czechach Środkowych zatrzymując 522 podejrzanych”. Gazeta nie wymienia żadnych nazwisk ani też nie podaje, czy akcje te pozostawały w związku z opisanymi wyżej.

K. S.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynie pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Sprawy i troski

Testament i krzywda Romana Gronowskiego

Najpodlejszym rodzajem oszczerstwa jest mściwa obmowa zmarłych. Krzywdę taką wyrządzono śp. Romanowi Gronowskiemu, redaktorowi *Tygodnika Polskiego* w Melbourne, gorącemu Polakowi, któremu — póki żył — bakę świadczono tu czołobitnie, by po śmierci odrzeć Go doszczętnie z dobrego imienia. Dokonano tego w tymże *Tygodniku*.

Wprowadzenie

Pismo to niegdyś było własnością ks. Konrada E. Trzeciaka. Założone przez niego w roku 1949 pod nazwą *Tygodnik Katolicki*, w roku 1960 zostało kupione przez Romana Gronowskiego. Ks. Trzeciak wydawał je przez jedenaście lat; Gronowski dłużej, bo przez lat czternaście. Obaj redaktorzy zmarli: ks. Trzeciak po sprzedaży pisma opuścił Australię i życia dokonał w Kanadzie; red. Gronowski padł wyczerpany w swej redakcji, niemal w przeddzień 25-letniego jubileuszu pisma. Wkrótce po tej śmierci ukazała się w *Tygodniku* (nr 31/1974) uwertura do oszczerstw pt. *Rocznicowy apel*, pióra świeżo upieczonego redaktora pisma, p. Mariana Kałuskiego:

„*Tygodnik Polski*”, którego 25-lecie wydawania obchodzimy w bieżącym miesiącu, był wspólnym dziełem śp. ks. Trzeciaka i czytelników pisma”.

Nad świeżą śmiercią Romana Gronowskiego, nad ogromem jego 14-letniej pracy — p. Kałuski prześliznął się gładko. Pióro mu nie drgnęło.

Właśnie pod redakcją Gronowskiego — jeszcze za życia ks. Trzeciaka — tytuł pisma został w roku 1965 zmieniony na *Tygodnik Polski* (zamiast *Katolicki*). Gronowskiemu chodziło o wyeliminowanie parafianšczyzny z tytułu, o nadanie pismu charak-

teru szerszej, bojowej polskości. Ks. Trzeciak uznał te argumenty za słuszne, co potwierdził listem. Gronowski wycisnął na piśmie pieczęć swej własnej osobowości, własnej determinacji walki z reżymem. *Tygodnik* stał się jego pismem, odziedziedlał ideowe oblicze swego redaktora, jego własną bojową postawę o lepsze jutro Polski. Nas, w Australii rozproszonych po całym kontynencie, *Tygodnik Polski* począł scalać i umacniać w oporze. Nigdy przedtem i już nigdy potem żadne inne pismo polskie w Australii nie miało poziomu tak górnego, postawy tak twardej. Czternaście lat — gdy żył i działał red. Gronowski — to karta chlubna, której z dziejów prasy naszej nie da się wykreślić. Śmierć Gronowskiego ucięła ten okres, zaczęło się nijactwo moralne.

Roman Gronowski (dla przyjaciół „Marek”), wyczerpany śmiertelnie zmarł nagle 12 lipca 1974 roku, przy redakcyjnym biurku (potrafił nadto spędzać 12 godzin przy kasztach drukarskich). Wbrew uprzednim zawałom serca i kuracji szpitalnej, wbrew radom lekarzy miał zwyczaj pracować do późnej nocy. Znalezione go rankiem martwego w pokoju przy redakcji, wpoprzek łóżka, w ubraniu. Pracował do ostatniej chwili. Do grobu zabrał z sobą przyszłość ukochanego swego pisma.

Tajemnica testamentu

W kilkanaście dni po tej nagłej śmierci dwie wrogie faksje społeczne rozżarły się o schedę po Zmarłym. Oskarżono go w *Tygodniku* o zdradę społeczną, o złośliwe przemilczenie losu pisma w testamentcie, co — według powszechnie przyjętej tu konkluzji p. Kałuskiego — miało być dowodem, że Gronowski nie chciał by *Tygodnik* istniał po jego śmierci!... A przecież przyjaciel Gronowskiego (za jakiego ogłosił się tu p. Kałuski), znający jego życie prywatne i powikłania małżeńskie — w lot uchwyciłby sytuację i zrozumiał rzekomą tajemnicę testamentu.

Ks. Trzeciak, w roku 1960 szukając kandydata do objęcia pisma, chciał koniecznie człowieka żonatego. Sądził, że redaktor bez domowego ogniska, osamotniony, mógłby zaniedbać pismo i narazić je na upadek. Ksiądz przeto przekazał je Gronowskiemu pod warunkiem, że w akcie kupna-sprzedaży figurować będą nazwiska obojga małżonków jako nabywców i właścicieli pisma. Gronowski nieopatrznie przyjął warunek Księdza. Niestety, warunek ten po latach okazał się niezwykle niebezpieczny dla pisma...

W roku 1963 Gronowscy rozeszli się. Gdy pani Irena wojażowała po Europie i przysyłała mężowi reportaże dla *Tygodnika*, jeszcze nie przypuszczała, że do Australii nie wróci: niespodzianie przeniosła się na stałe do Polski i tam wyszła za mąż powtórnie. Wkrótce stało się jasne, iż poczęła hołdować innym poglądom politycznym, wyrażając coraz większą niechęć do emigracji, a wreszcie już zdecydowanie — na rzecz reżymu PRL. Przyjęła zatem poglądy diametralnie przeciwnie linii *Tygodnika*. A przecież — *de nomine* — p. Irena była współwłaścicielką pisma...

Kontakt listowy z nią urwał się zupełnie. Nie sposób już było wybrnąć z nieznośnej sytuacji, by prawnie uregulować faktyczną własność pisma. Na łamach swych wiodło ono ostrą walkę z reżymem. Gronowski żył w ustawicznym lęku, że gdyby władze PRL — poprzez presję polityczną na p. Irenę — zażądały w jej imieniu albo zmiany linii pisma, albo też przekazania jej nominalnej połowy kapitału, to... *Tygodnik* przestałby istnieć.

Gronowskiemu nie brakło rozumu politycznego. Wolał nie budzić czujności sydneyjskiego konsulatu PRL, z którym wciąż toczył wojnę. W testamentie swym nie mógł ujawnić, iż jego eks-małżonka — obywatelka PRL — mieszka dziś w Polsce i jest nominalną współwłaścicielką antyreżymowego *Tygodnika*: takim bezmyślnym aktem przekreśliłby byt pisma nieodwołalnie. Dlatego — i tylko dlatego — musiał przemilczeć *Tygodnik* w testamencie.

Spółceństwo — czy Rodactwo?

Chciano tu udowodnić, że Gronowski nie siebie, lecz społeczeństwo polskie uważał za prawego, legalnego właściciela *Tygodnika* — oraz że fundusze pisma (ba, nawet prywatna scheda Zmarłego) muszą przeto być przekazane „w ręce Społeczeństwa”. Czyje to jednak ręce, którego odłamu wśród rozżartych fakkji? Znaleźli się chętni reprezentanci „całego Społeczeństwa”. W imię Prawdy przez wielkie P dla dobra Społeczeństwa przez wielkie S (aż pióro śwędzi by określić to: Rodactwa przez wielkie R) — ochoczo dołączyli się do kampanii oszczerstw spod pióra p. Kałuskiego, którego sami obrali sobie na redaktora pisma i wyrazieli wspólnoty poglądów.

Gronowski rzeczywiście posługiwał się sloganem, że *Tygodnik* jest własnością społeczną, ale określił to wyraźnie: *moralną własnością*.

Cytowano tu więc w *Tygodniku* mec. Jana Gruzewskiego (którego podpis widnieje na testamencie), jakoby Gronowski w jego obecności stwierdził, iż nie uważał się za prawnego właściciela pisma. Sprytnie opuszczone słówko „wyłącznego” (właściciela, boć nominalną współwłaścicielką była jego eks-małżonka) — dostarczyło społecznej sitwie niezbędnego argumentu, że Gronowski w ogóle nie uważał się za właściciela pisma. Takiej bzdury żaden prawnik stwierdzić nie mógł. Nie wątpię, że Gronowski zwierzył się mec. Gruzewskiemu ze swych prawnych powikłań wynikłych z podpisu eks-małżonki, i że ten uznał słuszność decyzji przemilczenia ich w testamencie celem uratowania egzystencji pisma.

Dopiero dzisiaj, po wielomiesięcznych a gorszących targach „społecznych” o *Tygodnik*, zakończonych publiczną jego licytacją — gdy więc przestał być nominalną współwłasnością obywatelki PRL — nareszcie dopiero teraz wolno jest ujawnić ową tajemnicę testamentu.

Własność Zmarłego — czy oszczerców?...

Co zarzucono Zmarłemu, prócz jego przemilczenia *Tygodnika* w testamencie?... Gdyby zarejestrowano je z obowiązku dziennikarskiego jako fakt zgodny z rzeczywistością — nie byłoby oszczerstwa. Ale całą kampanią seryjnych publikacji poczęto utwierdzać czytelników pisma w przekonaniu, że Gronowskiemu chodziło tylko o to, aby pismo zniszczyć. I forsując tezę, iż jego mienie prywatne musi być przekazane „w ręce Społeczeństwa”, oskarżono Zmarłego, że mienie to zgromadził drogą przywłaszczenia sobie funduszy społecznych...

Akt prawny kupna-sprzedaży pisma między ks. Trzeciakiem z jednej strony a małżeństwem Gronowskich z drugiej — związał nominalnych nabywców z usługami drukarni *Polpress Pty Ltd.* jako strony trzeciej. Kierownikiem drukarni był p. S. K. Jundzis, którego podpis też widnieje na akcie. Z czasem między red. Gronowskim a p. Jundziszem powstał ostry zatarg, utrudniający normalny tryb pracy wydawniczej. W roku 1964 Gronowski, decydując się na zorganizowanie sobie niezależnej drukarni, ogłosił publiczny apel do przyjaciół *Tygodnika* z prośbą o pożyczkę brakującej mu sumy £.2.000. W rok później ogłosił zestawienie otrzymanych pożyczek (£.1.065, które z czasem i zgodnie z przyrzeczeniem zwrócił wierzycielom), a nadto bezzwrotnych darów £.1.143, co łącznie pozwoliło mu — wraz z kapitałem p. Czesława Małeckiego jako współnika — na kupno używanego linotypu oraz, po koniecznym remoncie, skromnej drukarenki wystarczającej na potrzeby pisma. Tak powstał *Typol Press*, drukarnia, którą Gronowski uniezależnił *Tygodnik* od usług p. Jundzisa i *Polpressu*.

Oczywiście, czytelnicy pisma w dalszym ciągu nadsyłali mu — od czasu do czasu — drobniejsze datki na fundusz prasowy, podobnie jak dzieje się to wśród wszystkich czasopism emigracyjnych, stale borykających się z finansami (nie wyłączając np. *Kultury* czy londyńskich *Wiadomości*). Ale w Australii, niestety, pokuszono się na tej podstawie o przywłaszczenie sobie pisma po Gronowskim. Powstało ono — głoszone — z ofiar społeczeństwa, a więc jest własnością społeczną.

Drukarnia była bezsporną własnością Zmarłego. Pożyczkę na kupno maszyn zwrócił wierzycielom. Aż do roku 1969 współwłaścicielem *Typol Press* był p. Małcki, któremu Gronowski spłacił należną mu połowę kapitału. Redakcji *Kultury* przesyłam fotokopie następujących dokumentów: 1) umowy rozwiązującej spółkę, z podpisami obu współników; 2) kwitu p. Małeckiego na sumę udziału, spłaconą mu przez Gronowskiego.

W niespełna dwa lata przed śmiercią Gronowski wyjechał na krótko do Europy. Redakcję w jego zastępstwie prowadził p. Małcki, a drukarnię p. Edward Myszka, też długoletni i wierny współpracownik Gronowskiego. W Australii, gdzie pleciugów nie

brak, natychmiast rozeszły się pogłoski, że Gronowski już nie wróci z Europy. Toteż koło drukarni poczęła kręcić się pewna firma „import-eksport” (będąca handlowym pośrednikiem między konsulem PRL a emigracją), wywąchując czy drukarnia jest może na sprzedaż... Gronowski po powrocie zorientował się co w trawie piszczy, bo podkupienie drukarni przez konsulat równałoby się odcięciu *Tygodnika* od polskich czcionek. Aby pismo zabezpieczyć przed groźną ewentualnością, drukarnię w testamencie swym zapisał p. Myszcze, dobrze mu znanemu z postawy antyreżymowej (*nota-bene* za swą wieloletnią, ofiarną pracę drukarską, p. Myszka otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi).

Zawiść o darmochę

Pisze p. Kałuski w *Tygodniku* (nr 38/1974):

„Podczas swej 14-letniej pracy na stanowisku redaktora, p. Roman Gronowski otrzymał od społeczeństwa polskiego — poza zbiórką na drukarnię — dalsze tysiące dolarów”.

Ile miało być owych dalszych tysięcy, tego p. Kałuski nie umie podać. Stwierdza za to, że w posiadaniu p. Jundzisa znajduje się dokument prawny kupna pisma z rąk ks. Trzeciaka. Cyfr transakcji nie podaje, bo przekreśliłby sobie własną insynuację. Woli przeto — pt. *Dowód bezinteresownego przekazania pisma* (tj. Gronowskiemu przez ks. Trzeciaka) — ogłosić tekst następujący:

[...] W końcu — by nie było niedomówień: Przy przejmowaniu 'Tygodnika Katolickiego' przez p. Gronowskiego, otrzymał on prócz urządzenia redakcji sumę — o ile mnie pamięć nie myli — ponad 900, albo też i 1.000 funtów. Kiedy załatwiałem sprawę u adwokata, adwokat był przekonany, że z moim rozumem czy sądem coś w nieporządku, bo oddaje *a going concern* i jeszcze dopłacam. Chodziło mi, czego Australijczyk zrozumieć nie mógł — o dalsze istnienie 'Tygodnika Katolickiego'. [...]

Ks. Konrad E. Trzeciak”.

(Według listu do p. S. Jundzisa z dnia 11 października 1964).

Chodzi tu o tegoż p. Jundzisa, kierownika pierwszej drukarni, z którym Gronowski rozstał się po ostrym zatargu. Interesuje mnie, co p. Kałuski wykropkował z tekstu listu, i w ogóle w jakim celu tekst ten poddał? Albowiem coś tu się nie zgadza. *Primo*, ks. Trzeciaka pamięć na pewno zawiodła: cyfry te są myłne. *Secundo*, skoro p. Jundzis własnym podpisem zaopatrył posiadany przez siebie akt kupna-sprzedaży pisma, i skoro prawdziwe cyfry są p. Jundzisowi dobrze znane, bo widnieją w dokumencie — to w jakim celu ks. Trzeciak miałby p. Jundzisa informować o nich dodatkowo? *Tertio*, dlaczego p. Jundzis własnym listem do redakcji nie sprostował, że cyfry podane w tekście listu nie są zgodne z prawdą, tj. z cyframi aktu kupna-sprze-

daży?... A może p. Kałuski nie zechciał ogłosić takiego sprostowania?... Nie wiem.

Opublikowany tekst listu głosi: „by nie było niedomówień”. Redakcji *Kultury* przesyłałam przeto fotokopię aktu kupna-sprzedaży *Tygodnika*. Są tam podpisy i ks. Trzeciaka i p. Jundzisa. Widnieje tam czarno na białym, że nie było to ani „900, albo też i 1.000 funtów”, ani... „prócz urządzenia redakcji”. Ks. Trzeciak — z własnej kieszeni — nic nie wpłacił Gronowskiemu. Natomiast Gronowski zapłacił Księdzu £.622.10.0 za urządzenie redakcji. Cyfry są następujące:

„Zadłużenie <i>Tygodnika</i> wobec wierzycieli z tytułu przedpłaconych prenumerat (niewygastłych) i ogłoszeń (jeszcze nie ogłoszonych), tj. gotówka wierzycieli pod pieczę ks. Trzeciaka w dniu sprzedaży pisma	£.1.229. 8.1
Minus: Cena urządzenia redakcji policzona Gronowskiemu, tj. część gotówki wierzycieli, jaką ks. Trzeciak zatrzymał sobie w zamian za przekazanie Gronowskiemu urządzenia redakcji	£. 622.10.0
Reszta gotówki wierzycieli, przekazana Gronowskiemu przez Księdza	£. 606.18.1”.

Jasne, że za urządzenie redakcji Gronowski zapłacił Księdzu. A ponieważ z całości gotówki, zaawansowanej przez wierzycieli, Ksiądz wypłacił mu tylko niecałą połowę, jasne więc, że Gronowski rozpoczął wydawanie pisma niedoborem £.622.10.0, co pokryć musiał z własnej kieszeni. Z biegiem czasu pokrył ten niedobór, drukując przedpłacone ogłoszenia i dostarczając *Tygodnik* prenumeratom w miarę ukazywania się nowych numerów pisma, za których druk musiał oczywiście płacić drukarni p. Jundzisa. *Summa summarum*, kosztem redakcyjnych gratów, Gronowski swą 14-letnią harówką rozpoczął przyjęciem na siebie zadłużenia. Darmochy żadnej nie otrzymał. Ani jednego grosza.

Kudy mu — do obecności!...

Metoda konsekwentna. Wmówiono w łatwawiernych, że Gronowski dostał pismo za darmochę, że chciał je zniszczyć po śmierci, i okłamano ich, że kosztem mienia społecznego zmasował sumy bajońskie, które testamentem zapisał osobom prywatnym — z niepowetowaną krzywdą społeczną...

Ale nie tylko to. Gdy Zmarłego odarto już z imienia uczciwego człowieka i dobrego Polaka, rozpoczęto kampanię mającą wykazać, jak bardzo przeciętnym był... redaktorem.. Zrazu jeszcze chwalono go półgębkiem za to i owo, jakby z obawy aby nie przeholować w nagonce, jakby grunt badając, czy próbki te ujdą bezkarnie. A gdy, niestety, uszły bezkarnie, rozhasał się p. Kałuski na całego.

Numer po numerze pisma, przez szereg długich miesięcy, pomowano truciznę w małe duszyczki, ogłupiając je cynicznie, bez-

czelnie. Zapewniano, że pod nową redakcją *Tygodnik* jest lepszy, o wiele lepszy, bezwarunkowo lepszy. A Gronowski jako redaktor? Owszem, był niezły, ale kudy mu do jego niezwykle inteligentnego następcy.

Nasza Droga w Adelajdzie (red. dr J. Sobolewski) sprzymierzyła się z obecnym *Tygodnikiem*, a sydneyjskie *Wiadomości Polskie* (red. J. Dunin-Karwicki) w długim artykule redakcyjnym nagonce *Tygodnika* na Zmarłego, to jednak ogłaszać ich nie mogą.

Jak mogło stać się to wszystko? Gdzie szukać przyczyn ponurej kampanii przeciw Zmarłemu, wstyd niosącej nam wszystkim?...

W roku 1964 pojawił się w Australii młody człowiek, świeżo przybyły z Polski, i nawiązał kontakt z red. Gronowskim. Miał pociąg do pióra, dostał więc stałą posadę w *Tygodniku*. Gronowski zaopiekował się młodym talentem, wdrażał go w redakcyjną rutynę, poprawiał mu styl i błędy, pożyczył swoją maszynę do pisania, by młodzian w domu mógł wprawiać się w wystukiwaniu własnych tekstów. Niestety, po roku idylla ta zamieniła się w piekło. Pupil stawał się coraz bardziej niechętny, arogancki, i wreszcie redaktor musiał go usunąć. Wydalony począł nadsyłać obelżywe listy, gnębiąc nimi Gronowskiego przez cały rok (w latach 1965/66). Listy drobnego szantażysty, bezczelne i pełne pogroźek, w których arogancja dziwnie mieszała się z pobekiwaniem o zgodę, z płakawym skamlaniem o ponowne przyjęcie do *Tygodnika*.

A co na to Gronowski? Stary, wytrawny publicysta nie dał się zastraszyć rynsztokową logiką groszowego stylisty. Spokojnie i z godnością odpisał tylko na pierwszy z serii listów, całą resztę kwitując wzgardliwym milczeniem. Ale intryg i plotek nie zabrakło w Melbourne (napastnik kolportował własne „melburneńskie plotki”). Toteż po roku tych napaści Gronowski zdenerwował się i przysłał mi plik fotokopii owych listów, prosząc o przyjacielską radę jak ma na to zareagować. Poradziłem: „Machnij na to ręką, niech się sam zakwasi własną żółcią”.

Z biegiem lat sprawa ta ucichła. I dopiero po śmierci Gronowskiego napastnik mógł zemścić się na znienawidzonym przez siebie człowieku...

Redakcji *Kultury* przesyłam fotokopie owych listów. Świadomie narażam się na zarzut, iż wbrew przyjętym obyczajom ujawniam czyjeś listy prywatne. Niech mnie rozgrzeszy ogrom mściwej perfidii autora listów. Jeśli śmiał publicznie zbryzgać błotem grób Zmarłego, kłamstw kampanią niszcząc Mu dobre Jego imię — to niech teraz własne listy oszczercy poświadczą, że podłości swej dopuścił się nie w imię Prawdy przez wielkie P, nie dla Społeczeństwa przez wielkie S — lecz tylko i tylko aby wygodzić swej własnej, mściwej prywatnie.

Dziś p. Kałuski nie jest już młodziankiem, podrośł znacznie. Przez 8 długich lat cierpliwie czekał na okazję „odkucia się” na red. Gronowskim. Obecnie podając datę śmierci swej ofiary,

ma czelność zapytać publicznie Andrzeja Chciuka (w związku z jego powielanym *Listem otwartym*):

„Czy p. Chciuk może udowodnić, że w okresie przed 12 lipca 1974 r. nie byłem przyjacielem Romana Gronowskiego?”.

Zacni, sumienni powiernicy

Tak mamy sobie wyjaśnić zjawisko zaiste społeczne, iż człowieczek tak mizernego kalibru zdołał zakręcić w głowach przywódców organizacyjnych i powierników ostatniej woli Zmarłego?... Stanęli za oszczercą murem, wsparli go w *Tygodniku* własnymi oświadczeniami, i wspólnie z nim dokonali reszty, owych 80 % „wszystkim możliwości” p. Kałuskiego w planowym zniszczeniu imienia śp. Romana Gronowskiego.

Organizacje polskie w Melbourne zainteresowały się przejęciem *Tygodnika* jako „własności społecznej”. Kampanię p. Kałuskiego spotkano z milczącym przyzwoleniem. Dogadzała ukutemu *ad hoc* pogładowi jakoby Zmarły przywłaszczył sobie mienie społeczne, i usprawiedliwiła machlojki w celu „wyrwania pisma z rąk prywatnych, na powrót w ręce Społeczeństwa”. Z szeregu rzeczników tego poglądu, wspierających p. Kałuskiego, nie wyszedł ani jeden głos protestu przeciw oszczerstwu.

Zrazu, gdy w kilka dni po śmierci Gronowskiego zawiązał się *Komitet Przyjaciół Tygodnika*, napełniało to nadzieją, zanościło się na piękną zgodę (jedna ze spadkobierczyń schedy po Zmarłym gotowa była zrzec się swej spuścizny na rzecz *Tygodnika*, byle tylko imię Zmarłego jaśniało dalszym światłem w ukochanym Jego piśmie). Ale zgoda runęła po pierwszych próbkach oszczerczego talentu p. Kałuskiego: rozpoczęły się zażarte swary między adherentami „Londynu” a ich przeciwnikami. Dwaj wykonawcy woli Zmarłego murem stanęli przy boku p. Kałuskiego i Federacji Organizacji Polskich w Wiktorii, a „Londyn” poszedł w odstawkę.

W niezwykle przykrym świetle ujawniły się tu postacie dwu wykonawców woli Zmarłego (a zwłaszcza b. aktywnego p. dra Zbigniewa Stelmacha). Powiernicza ich rola była i powinna być im wyraźna, boć nie mogła być inna niż po linii wykonania woli Zmarłego, a więc dokładnie tak jak życzył sobie tego w testamencie. Skoro Zmarły przemilczał w nim sprawę *Tygodnika*, to jasne, że sam ją wyeliminował z zakresu zadań powierników. Jak najwyraźniej: powierzył im tylko pieczę nad schedą określoną testamentem — i nic więcej.

Nadto, zważywszy etyczne aspekty powiernictwa, niepisany obowiązek moralnym wykonawców testamentu — skoro samowolnie włączyli się w zatarg społeczny o *Tygodnik* — było czuwać, by nikt nie krzywdził dobrego imienia Zmarłego, który przecież przed śmiercią zaufał im bardziej niż komukolwiek innemu. Publiczne ich włączenie się w zatarg o pismo, ich cicha zgoda

na te wszystkie paskudztwa wypisywane o Zmarłym, na domiar otwarte sprzymierzenie się z autorem oszczerstw i wsparcie oszczercy — jest wstrząsającym świadectwem naszej moralności „społecznej”.

Gdyby powiernicy w sumieniu swym uznali, że Zmarły wyrządził krzywdę *Tygodnikowi* i społeczeństwu, gdyby więc sumienie nakazało im zrzec się powiernictwa — byłoby w porządku. Niestety, powiernicy załatwili to sobie inaczej. Prawem kaduka ujęli sprawę *Tygodnika* we własne ręce, przeciw oszczerstwom nie zaprotestowali i sprzymierzili się z adherentami oszczerczej kampanii. Mimo iż drukiem zastrzegli się w *Tygodniku*, że sprawa pisma do nich nie należy — wyraźnie określili *Tygodnik* jako własność społeczną poprzez publiczne wezwanie Federacji do objęcia pisma na własność!...

Zmarłego rozdeptano bezlitośnie.

Monopol na Społeczeństwo

Sprawa zakończyła się skargą do Sądu Najwyższego w Wiktorii i publiczną licytacją *Tygodnika*. Jedną z spadkobierczyń prywatnej schedy po śp. Gronowskim wykazała niezwykły hart, odwagę cywilną i wzruszającą lojalność wobec Zmarłego. Jej determinacja w przywróceniu Mu dobrego imienia powstrzymała potok dalszych oszczerstw w piśmie. Nie bacząc na tzw. gromy społeczne, na brutalne wyzwiska publiczne — łeb udarła hydrze. Kobieta ta wykazała więcej męstwa niż... tzw. mężowie stanu.

Zrazu usiłowała wytoczyć sprawę przeciw p. Kałuskiemu, ale — prawo australijskie nie przewiduje akcji o przywrócenie czci osobom zmarłym. Wszelka inna akcja przeciw redakcji pisma wlekałaby się długie lata, a w międzyczasie dalej bezkarnie hasano by sobie po Zmarłym. Pozostała więc droga jedyna: skarga przeciw powiernikom woli Zmarłego, iż część Jego mienia usiłowali bezprawnie przekazać Federacji. Zanim powódka zdobyła się na krok ostateczny, adwokat jej wezwał powierników, by odwołali swój publiczny apel do Federacji o objęcie pisma. Odmówili, i w rezultacie powódka zmuszona była skierować sprawę przeciw nim do sądu. Na podstawie przedłożonych dokumentów Sąd Najwyższy uznał, że *Tygodnik* jest własnością prywatną i że powiernicy przekroczyli prawo. Nie pomogła obrończa kauzyperdia powierników: Sąd Najwyższy przyznał słuszność stanowiska powódce. I, wbrew temu co później wypisywano o tym w *Tygodniku*, sprawa ta skończyła się polubownie: powiernicy zwinęli chorażewkę i sami zgodzili się na poddanie pisma publicznej licytacji.

A oto dalszy ciąg hec „społecznych”: *Tygodnik* ogłasza *Uchwałę Rady Federacji*, która — podcinając powagę Sądu — „wzywa Społeczeństwo Polskie do powstrzymania się od udziału w tej licytacji”. Redakcja pisma wzywa czytelników by wycofali swe

prenumeraty. Panowie powiernicy oświadczają, że przedlicytacyjny nr 44/74 pisma jest ostatni z powodu rezygnacji p. Kałuskiego ze stanowiska redaktora, a ten ogłasza patriotyczne *Pożegnanie*:

„Pismo umiera, gdyż takie było życzenie śp. Romana Gronowskiego, który w swoim testamencie o nim w ogóle nie wspominał, włączając tym samym pismo [...] do masy spadkowej. Pismo, na które Społeczeństwo Polskie łożyło tysiące dolarów!”.

Następny numer ukazał się pt. *Nowy Tygodnik Polski* — jako wydawnictwo *Spółdzielni Dom Polski im. T. Kościuszki* w Melbourne — znów pod batutą p. Kałuskiego. (Po licytacji przywrócono pismu tytuł poprzedni i po dziś dzień ukazuje się pod tą samą batutą).

Publiczny przetarg odbył się dnia 22. 11. 1974. Protegowana przez Federację *Spółdzielnia Dom Polski* ofiarowała symbolicznego dolara, a przeciwnicy oszczerczej kampanii, pp. Stanisław Różycki i Czesław Małecki (bliski współpracownik Zmarłego) posunęli się do sumy \$ 1.500. *Spółdzielnia* wycofała się, ale... pismo kupiła: posłużyła się nikomu nieznanym pośrednikiem, który podbił cenę do \$ 3.000 (sądzono mylnie, iż jest to agent konsulatu PRL, z którym konkurować finansowo byłoby nie sposób).

Trudno zrozumieć, czym pokierował się p. Zdzisław Drzymulski (prezes Federacji) w artykule swym pt. *Na nowym etapie* w następnym, policycyjnym numerze *Tygodnika*:

„*Tygodnik Polski* stał się własnością społeczeństwa. Należy tylko 'podziękować' tym jednostkom, które dla osobistych swych celów nie wahały się wystąpić w licytacji przeciw społeczeństwu i znacznie podbiły cenę *Tygodnika*. Mam wrażenie, że jednostkom tym stanowiska w tej sprawie społeczeństwo polskie nie zapomni”.

Przywłaszczono tu sobie społeczeństwo, tak jakby całość jego stanowili tylko sojusznicy kampanii przeciw Zmarłemu. Na licytacji cenę podbijały obie strony. A społeczeństwo, to także ci, których sponiewieranie Zmarłego zabolowało do głębi.

Ha! Społeczeństwo!... Nie łudźmy się: społeczeństwo, nie podjudzane przez rozrabiaczy, ma zwykle krótką pamięć. Zapomni i wybaczy. Inne sprawy zajmą uwagę ogółu. Masa społeczna w Australii jest na ogół bierna. Jaka prasa taka masa, i na odwrót. To tylko pp. społecznicy u jej szczytu będą wypominać, jedni drugim. Ale i oni zapomną. Pogodzą się, gdy będą sobie potrzebni wzajemnie. Pogodzą się, by do starych uraz wrócić gdy się znów pożą między sobą. Tak jak nieraz bywało i jak będzie nieraz. Sojusze zawiązują się i giną w nowych zawiściach. Nie byłibyśmy Polakami, nie byłibyśmy, ha! społeczeństwem!...

Na razie — pamiętamy. Zadry są zbyt świeże. Po dziś dzień w prasie naszej w Australii nie ogłoszono ani jednego artykułu, ani nawet jakiegoś pojednawczego komunikatu w obronie czci

Zmarłego. Tabu. Oszczerstwa miały udowodnić, że *Tygodnik* należy wyrwać z rąk prywatnych. Nie udało się wyrwać, więc cel osiągnięto forsą. Podbito cenę i kupiono pismo.

Ale wbrew zwycięskim fanfaronom — bynajmniej nie stało się własnością całego społeczeństwa polskiego. Slogan red. Gronowskiego głosił, że *Tygodnik* jest własnością wszystkich Polaków w Australii i Nowej Zelandii! Po Jego śmierci pismo pod batutą p. Kałuskiego głosi, że *Tygodnik*... „nie stać na skryzalizowane oblicze”. Wizję zniszczono i pismo przeszło w... prywatne ręce ograniczonej ilości udziałowców spółdzielni wyłącznie melbournskiej. Slogany, ostatecznie, są tylko sloganami. Rzeczywistość polską (nie tylko w Australii) da się wymierzać cyframi.

Oczywiście, *Spółdzielnia Dom Polski* jest instytucją społeczną. Dziś jest to instytucja, której trzeba udzielić kredytu zaufania. Baczmy, byśmy w dalszym ciągu mogli ją darzyć zaufaniem. Pełnią zaufania.

Stać się to może dopiero po naprawieniu ogromnej krzywdy wyrządzonej Romanowi Gronowskiemu. Jest to w mocy Spółdzielni jako właścicielki *Tygodnika*.

Zbigniew JASIŃSKI

Opowiadanie o polskim życiu kulturalnym we Francji

Tematy „polonijne” nie schodzą z łamów prasy PRL, co świadczy o wadze tego zagadnienia w oczach społeczeństwa, a w szczególności tych wszystkich którzy decydują o zamieszczeniu (lub nie-zamieszczeniu) wszelkiego rodzaju tekstów na łamach prasy codziennej i czasopism.

Używamy terminu „teksty”, gdyż stajemy w obliczu dużej gamy, która idzie od artykułu dziennikarskiego do rozprawy naukowej.

Kwartalnik „KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO” (Tom XVIII, Nr 3, Warszawa, lipiec-wrzesień 1974) zamieścił tekst sygnowany „Jan GRUSZYŃSKI, Polska Akademia Nauk”. Nie wiemy czy tego rodzaju podpis odpowiada francuskiemu „N.N. de l'Académie Française”, ale ogłoszony tekst zaliczymy do kategorii opowiadań, gdyż mało jest w nim rygoru naukowego socjologa.

We wstępie do opowiadania o „życiu kulturalnym Polonii Francuskiej” autor pisze:

„Badaniami objąłem 600 osób z różnych warstw społecznych w największych skupiskach na północy Francji w departamentach Nord i Pas-de-Calais,

w regionie paryskim oraz we wschodniej i południo-środkowej (sic!) części Francji”.

„Badania terenowe przeprowadzałem w dwu okresach (od lipca 1969 do marca 1970 roku i od listopada 1971 do końca 1972 roku). Rodziny polonijne badałem według kwestionariusza wywiadu. Przeprowadziłem również liczne rozmowy z działaczami polonijnymi, dotyczące tego, jaką rolę spełniają w życiu Polonii organizacje i instytucje, którymi kierują. W badaniach stosowałem także metodę tzw. obserwacji uczestniczącej”.

Analizy (terytorialnej i personalnej) owych 600 osób autor nie daje. Nie wiemy więc ile osób pochodziło z tej „południowo-środkowej części Francji”, ilu było górników, ilu rolników, a ilu profesorów uniwersytetu. Nie uważa także za właściwe zaznaczyć czytelników ze swoim „kwestionariuszem wywiadu” a wszyscy wiedzą jakie znaczenie ma w takich wypadkach nie tylko treść pytania, ale i jego sformułowanie.

O ile pamięć nas nie zawodzi, w pierwszym okresie badań autor był turystą na przedłużanym paszporcie, a w drugim stypendystą jakiejś instytucji. Z tymi badaniami „w terenie” były zdaje się jakieś trudności, gdyż część zainteresowanych wzięła „kwestionariusz wywiadu” dosłownie i doszła do przekonania, że jest on bardziej potrzebny konsulatu PRL niż Polskiej Akademii Nauk. Dlatego też tym więcej żałujemy, że go autor nie przytoczył w swoim opowiadaniu.

W opowiadaniu roi się od truizmów. I tak dowiadujemy się, że pokolenia urodzone we Francji nie znają już dobrze języka polskiego, że emeryci mają więcej czasu na oglądanie telewizji itp., itp.

W największym rozdziale opowiadania, poświęconym czytelnictwu, optymizm może mieć charakter dydaktyczny (*sursum corda!*), ale — niestety — nie odpowiada rzeczywistości.

Podobno pokolenie „emigrantów” (to znaczy ilu spośród 600 badanych?) ma 83,2 % czytelników książek, pierwsze pokolenie urodzone na obczyźnie (ilu?) — 64,0 %, a drugie (ilu?) — 29,3 %. W tej samej tabelce autor dodaje rozbitcie na mężczyzn i kobiety i wyciąga przeciętną 63,3 % dla czytelnictwa książek polskich, a 82,0 % dla książek francuskich. Kiedy się czyta w prasie francuskiej wynurzenia księgarzy i bibliotekarzy z których wynika, że duży procent „autochtonów” nie czyta... ani jednej książki w ciągu roku, należy się cieszyć, że instrument badawczy Autora (znany we Francji pod nazwą „pifomètre”) wykazuje że przeciętna trzech pokoleń Polaków w tym kraju, plus mężczyźni i kobiety, daje 63,3 % czytelnictwa.

Zakochany w cyfrach Autor pisze:

„W każdym z trzech pokoleń odsetek czytelników wzrasta wraz z ich wykształceniem (to zupełne odkrycie! — przyp. J.J.). Książki w języku polskim czyta 58,1 % badanych z wykształceniem niepełnym podstawowym, podstawowym i zawodowym, a książki w języku francuskim 67,7 %; książki polskie czyta 58,3 % badanych z wykształceniem niepełnym średnim i średnim, książki francuskie 93,2 %. Książki polskie czyta 80,9 % badanych

z wykształceniem niepełnym wyższym i wyższym, książki francuskie — 97,1 %.

I dalej:

„... 15,2 % osób należących do pokolenia emigrantów czyta przeciętnie 11 do 20 książek polskich w ciągu roku. Największy odsetek (22,0 %) osób z generacji średniej czyta trzy do pięciu polskich książek w ciągu roku, a największy odsetek (16 %) osób z młodej generacji czyta w ciągu roku jedną do trzech książek polskich”.

Z załączonej tabeli dowiadujemy się, że 2,4 % czyta powyżej 50 książek polskich rocznie; wypada to 1 na tydzień. Czy chodzi tu o emerytów, należących do pokolenia „emigrantów” — Autor nie wyjaśnia. A szkoda!

W spisie autorów, którzy cieszą się poczytnością nie znaleźliśmy wprawdzie Machejka, ale dowiedzieliśmy się, że Polonia lubi „książki batalistyczne” (co to jest i jaki procent? — przyp. J.J.).

A teraz księgozbiory:

„... książki polskie składają się na 96 % księgozbiorów emigrantów, 90 % księgozbiorów osób wywodzących się z pierwszego pokolenia i na 85,5 % księgozbiorów osób wywodzących się z drugiego pokolenia, urodzonych poza Polską”.

Ile tych książek zawierają te księgozbiory? W pokoleniu emigrantów 3,2 % ma w swoich prywatnych, domowych bibliotekach 501-1.000 książek, a 0,8 % — ponad 1.000. W pierwszym pokoleniu, urodzonym poza Polską stanowi to — w obydwu wypadkach — 1,0 %. Myślę, że warto byłoby zrobić spis imienny osób, które mają tak zasobne biblioteki prywatne. Jak sam Autor pisze, Biblioteka Polska w Paryżu, powstała w 1838 roku posiada 150.000 tomów. A więc mamy we Francji zasobne biblioteki prywatne a skromne — publiczne. Nie wiemy tylko czy to u rolników w „południowo-środkowej części” tego kraju?

Autor stwierdza „trudności w dotarciu do książek polskich o określonej, danej osobą tematyce”. Racja, książki o innej tematyce docierają bez trudności! „Książki Polonia otrzymuje zazwyczaj od rodzin i przyjaciół w Polsce, kupuje je sama odwiedzając kraj”. Natomiast „nabycie książek na własność we Francji jest nierzadko problematyczne (? *sic!*)”, bo jest mała ilość punktów sprzedaży, ograniczony wybór i wygórowana cena. Godzimy się bez dyskusji, że „nie bez znaczenia jest fakt jakie książki docierają do rąk polskich czytelników za granicą”. Dobra rada dla tow. „POLONIA”.

W następnym rozdziale Autor opisuje „ważniejsze polonijne placówki biblioteczne, księgarskie i wydawnicze z niewielkimi potknięciami się. Wśród „polonijnych placówek” wlicza ambasadzką „La Boutique Polonaise”. Zdaje się, że w Lille pomieszat zmarłego Emila Godlewskiego z żyjącym Wacławem Godlewskim.

Cieszymy się, że poinformował swoich czytelników, że *Narodowiec* wydaje „książki polskie, zwłaszcza z dziedziny literatury”. Mały rozdziałik o czytelnictwie prasy jest znów pełen cyfr.

„70,4 % pokolenia emigrantów czyta prasę w języku polskim, 29,6 % nie czyta w ogóle gazet polskich, wychodzących zarówno w kraju jak i emigracji. — ... Prasa francuska jest czytana przez średnią generację w 95 %, a przez młodą generację w 97,3 %, odpowiednio prasa polska 65 % i 53,3 %”.

Jeżeli cyfry te nie wywołają wybuchu radości, co mówię: entuzjazmu wydawców i redaktorów prasy polskiej we Francji, to naprawdę trzeba będzie dojść do wniosku, że „pifomètre” przedstawiciela Polskiej Akademii Nauk zupełnie nawalił.

„Jeśli chodzi o prasę polską, to wśród całej badanej populacji 31,3 % czyta ją regularnie, 26,3 % — nieregularnie, 7,7 % bardzo rzadko i 34,7 % — nie czyta w ogóle. Prasę francuską natomiast czyta regularnie 28,7 %, nieregularnie — 56 %, bardzo rzadko 1,3 % i nie czyta wcale 14 %. Warto też nadmienić, że czytana przez Polonię prasa polska w 63 % jest wydawana we Francji, w 27,7 % w Polsce, a w 9,3 % w innych krajach. Dzienniki czyta 79,3 % badanych, tygodniki — 56 %, miesięczniki — 31,6 %. Ogółem prasa polska ma 64,3 % czytelników wśród Polonii francuskiej, a prasa francuska 86 %”.

Następuje wyliczenie pism polskich we Francji. „Bulletin d'information en langue polonaise édité par le Parti Communiste Français” przestał wychodzić kilka lat temu. Pozostał tylko na placu *Tygodnik Polski*, o którym czytamy: „Wydawany jest od 1957 roku. Drukowany w Polsce. Czytają go różne warstwy i środowiska społeczne”; jest to najbardziej dyskretna wzmianka dotycząca pism wychodzących we Francji. Kto zgadnie za czyje pieniądze wychodzi *Tygodnik Polski* i jaki jest jego charakter. Autor poza pretensjami do socjologii musi także w wolnych godzinach pracować w dyplomacji! *Kultury* rzecz jasna nie zauważył.

„Słuchanie radia i oglądanie programu telewizyjnego”. Znowo dużo cyfr poprzedzonych tezą: „Masowe korzystanie w ostatnich latach przez Polonię z radia i telewizji wpłynęło na osłabienie polskiego życia społeczno kulturalnego w środowiskach emigracyjnych”. — Cóż to za mało kulturalni ludzie ci „emigranci”. Ale o tym, że francuscy właściciele kin kłócą się z telewizją, że im odbiera klientelę — Autor nie słyszał. Dowie się chyba jak dostanie nowe stypendium dokszałcające. Wracajmy do cyfr:

„Jak się przedstawia dziś zagadnienie słuchania audycji w języku polskim wśród trzech generacji polonii francuskiej? — Audycji polskich słucha: 62,4 % w grupie emigrantów, z tego 11,2 % słucha je (czy „ich”?) co-dziennie, 28 % nieregularnie i 23,2 % — bardzo rzadko; 39 % w grupie należącej do średniej generacji, z czego 9 % — słucha codziennie, 20 % nieregularnie i 10 % bardzo rzadko; 29 % w grupie należącej do młodej generacji, w tym 4 % — słucha codziennie, 12 % nieregularnie i 13,3 % — bardzo rzadko”.

„Polonia francuska najczęściej (w 68,3 %) słucha polskich audycji nadawanych przez sekcję polską radia francuskiego. Następnie 30,9 % słuchających audycji odbiera program nadawany przez rozgłośnie w różnych krajach i 18,7 % słucha, rzadziej lub częściej programu Polskiego Radia, zwłaszcza audycji nadawanych dla Polaków za granicą”.

Ten ostatni cytat jest ciekawy, choć częściowo już nieaktualny ze względu na likwidację Sekcji Polskiej Radia francuskiego. Szkoda, że rozkochany w cyfrach Autor nie rozbił tych 30,9 % na poszczególne stacje, co byłoby ciekawe. — 18,7 % słuchaczy radia PRL Autor tłumaczy wyłącznie jego słabą słyszalnością. Czy tylko jednak? — A te 1.417 listów do warszawskiego radia w roku 1969, to w ogromnym procencie pułapka zastawiona przez reżym w dziennikach francuskich (np. *France-Soir*) z „konkursem”, którego nagrodą był wyjazd do Polski „na kazonnyj szczot”.

Autor pisze, że 90 % naszych biednych emigrantów, którym z pomocą śpieszy „POLONIA”, ma telewizory, w tym 12 % kolorowe. Nic więc dziwnego, że 0,8 % pokolenia emigrantów i 3 % pierwszego pokolenia urodzonego poza Polską spędza tygodniowo... ponad 30 godzin przed telewizją. Mają zdrowie.

Po mądrym zastrzeżeniu, że „zupełnie inaczej przedstawia się... uczestniczenie w przedstawieniach teatralnych osób mieszkających w Paryżu i większych miastach niż osób mieszkających w osadach górniczych lub na wsi” Autor znów się rzuca w wir cyfr i tabelki. Wprawdzie nie pisze jakie przedstawienia teatralne oglądają ci „badani” ludzie, polskie czy francuskie, ale informuje nas, że 4,0 % pokolenia emigrantów chodzi ponad 20 razy w roku do teatru, a następne pokolenie — 3,0 % — od 11 do 20. 52 % pokolenia średniego chodzi do teatru: w Paryżu czy w Hagondange, nie wiadomo, ale cyfra jest — a o to zdaje się chodzi.

Na końcu tego opowiadania jest trochę o różnych formach życia kulturalnego, o występach „Mazowsza” lub „Śląska” (regularnie dziesiątki „zespołów” odwiedzają Francję w okresie kampanii wyborczych w tym kraju!), o płytach i wreszcie o udziale w „impresach, uroczystościach, spotkaniach”, w których bierze udział 90 % „częściej lub rzadziej”, w tym: „gwiazdki i zabawy — 60 %, „występy taneczne i śpiewacze” — 41,5 %, „odczyty, pogadanki” — przeszło 30 %, „doroczne zjazdy polonijne i imprezy z okazji świąt narodowych” (ok. 25 %), „wystawy, filmy (ok. 20 %), „inne imprezy” (ok. 30 %). Jednego tylko typu uroczystości Autor nie zauważył, prawdopodobnie ze względu na mały procent uczestników: uroczystości religijnych! Ale czy wypada o tym pisać tak dobrze zapowiadającemu się socjologowi?

Ostatnim tchem dobiegliśmy do końca opowiadania Jana Gruszyńskiego, Polska Akademia Nauk. Autor też musiał być zmęczony jeśli sądzić, że na ostatnich stronach pisał już: „ok. 20 %” a nie „21,8 %”.

Takie to gadki ukazują się z „label'em” Polskiej Akademii Nauk, na łamach pism robiących wrażenie naukowych. *Kultura i Społeczeństwo* nie stanowi — jeśli chodzi o tematykę polonijną

—wyjątku. Warto by kiedyś zajrzeć do „Zeszytów Naukowych K.U.L.”, gdzie artykuły o Polakach w Rosji wywołują... uczucia mieszane.

J. J.

DZIAŁALNOŚĆ BIBLIOTEKI POLSKIEJ W LONDYNIE W ROKU 1974

Zbiory własne Biblioteki obecnie wynoszą:

78.572 dzieł (tytułów) książek polskich lub obcojęzycznych dotyczących spraw polskich;
1.751 skryptów (wyd. powielanych);
491 rękopisów;
210 atlasów i map;
1.037 nut;
127 płyt gramofonowych;
37.500 fotografii;
11.257 exlibrisów.

Kolekcja czasopism obejmuje przeszło 3.000 tytułów zarówno krajowych jak i emigracyjnych oraz obcojęzycznych, w tym ok. 300 otrzymywanych bieżąco.

W dalszym ciągu przeszło 10.000 książek i broszur oczekuje jeszcze na skatalogowanie i włączenie do księgozbioru bibliotecznego. Pod opieką Biblioteki pozostaje księgozbiór depozytu Fundacji z Brzezia Lanckorońskich, obejmujący obecnie ponad 3.000 dzieł (3.015 skatalogowanych pozycji — w sumie 3.532 tomy) a także cenna kolekcja grafiki, map i rękopisów.

W ciągu 1974 roku do zbiorów własnych zakupiono jedynie 95 tytułów. Względy finansowe spowodowały poważne ograniczenie zakupu wydawnictw. Utrzymano natomiast prenumeratę najważniejszych czasopism slawistycznych i krajowych, których nie można było uzyskać w drodze wymiany.

Do depozytu Lanckorońskich zakupiono dodatkowo 19 pozycji w tym m.in. dalsze części uzupełniające całość opracowania Sławomira Leitgebiera („Przedrozbiórowi urzędnicy grodzcy i ziemscy”, wyciągi z lustracji, wypisy z metryk szlacheckich, rejestru podatkowego, akt komisji cywilno-wojskowej, relacji grodzkich XVI-XVIII wieku z ziemi wieluńskiej, poznańskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kaliskiej itd.), St. Wiszniewskiego „Brzezańczycy przy odbudowie państwa polskiego od 1831 do 1920”, J. Grzymały-Grabowieckiego „Tablica synchronistyczna rozwoju Polski współczesnej 1918-1933”.

W roku 1974 otrzymano do zbiorów Biblioteki:
— od ofiarodawców emigracyjnych — 1.858 t. książek i 1.273 egz. czasopism;
— od ofiarodawców z Kraju — 1.159 t. książek i 897 egz. czasopism i periodyków.

Otrzymano ponadto w darze 179 fotografii, 39 wyd. muzycznych, 33 mapy. Dział rękopisów powiększył się o 20 pozycji.

Odwiedzin zanotowano 2.536 podpisów (w roku 1973 — 2.609). Wzrosła natomiast ilość książek wypożyczonych do czytania na miejscu w czytelni — 3.295 t. (w 1972 r. — 2.022 t., w 1973 r. — 3.008 t.). Czytelnicy korzystali również licznie z działu czasopism.

◆

Czytelnicy z terenu Londynu wypożyczyli w roku sprawozdawczym 17.289 t. Do czytelników zamiejscowych wysłano 351 paczek z zestawami książek wybranych według życzeń indywidualnych.

◆

Biblioteka kontynuowała nadal współpracę z The British Library, Boston Spa, Yorkshire, która jest Centralną Biblioteką w Anglii rozprowadzającą książki do bibliotek w całym kraju. Wypożyczono bibliotekom w okresie sprawozdawczym 312 książek.

◆

Wobec licznie napływających zapytań o książki traktujące o sprawie Katynia zdecydowano przygotować i wydać w formie powielanej rozszerzoną bibliografię wydawnictw o Katyniu, która powinna ukazać się w 35-tą rocznicę zbrodni katyńskiej.

◆

Na Fundusz Biblioteczny zebrano £ 3.536.34 (w tym z kowenantów — £ 281.57). Uniwersytet Londyński wpłacił roczną subwencję w wysokości £ 3.000, za świadczenia na rzecz innych instytucji itp. wpłynęło £ 772.21, ze sprzedaży dubletów uzyskano £ 500.83, za fotokopie £ 222.86.

Podobnie jak w latach ubiegłych POSK pokrył część kosztu lokalu — £ 2.500. Resztę kosztów utrzymania Biblioteki (wynoszących ogółem — £ 13.940.53, w tym £ 4.500 czynsz lokalu) pokryto z rezerwy Funduszu Bibliotecznego. Fundusz ten został już jednak wyczerpany i chociaż saldo jego na 1. 1. 1975 wynosiło £ 97.72 w rzeczywistości przedstawiało się ujemnie na skutek zadłużenia w POSK'u na kwotę £ 2.000.

Z legatu po śp. Sergiuszu Piaseckim otrzymano w ub. roku dalszą wpłatę £ 65.80.

Dzięki ofiarności publicznej Biblioteka Polska mogła podołać swoim zadaniom pomimo wzrastających trudności finansowych.

Skład personelu w roku 1974 przedstawiał się następująco:

- Dr Zdzisław Jagodziński — kierownik Biblioteki,
- p. Jadwiga Nowakowa — zast. kierownika,
- p. Wanda Ruszczyk-Fox,
- p. Zofia Przedrzyńska,
- p. Salomea Witkowska — sekretarka,
- p. Marian Piliszański — prace porządkowe,
- p. Wanda Sokołowska — wymiana wydawnictw (4 godz. tygodniowo),
- p. Elżbieta Cybulska de Marchi — prace bibliograficzne (dorywczo).

W Wypożyczalni i Czytelni bądź też przy innych pracach bibliotecznych bezinteresownie udzielały pomocy pracując w różnych okresach czasu przez kilka godzin tygodniowo:

pp. Maria Babicka, inż. Zofia Domaszewicz-Witorowa, Joanna Fox, mgr Elżbieta Strzemboszowa, Anna Szajna, mgr Helena Świdarska.

Kronika kulturalna

Demoralizacja szlachetna

1.

Notatki te piszę z okazji tomiku Jacka Bierezina „Wam”*. Z Bierezinem w materiałach głównych nie zamierzam polemizować, ani tym bardziej z autorem przedmowy, Feliksem Niedolskim; zresztą nie wiem, czy dostrzeżono, że imię to i nazwisko złożone zostały na zasadzie oksymoronu: felix znaczy po łacinie szczęśliwy, nadto zaś niedola; takie rzeczy trzeba umieć odczytywać, jeśli się chce wyłowić motyw przewodni tego wynurzenia.

Polemizować natomiast chciałbym z Herlingiem-Grudzińskim, który napisał po zacytowaniu publicystycznego raczej akapitu ostatniej powieści Vaculika, że Czesi ostrzej obecnie reagują na dyktaturę sowietyzującą, aniżeli Polacy: w Polsce to tylko i z mniejszym impetem młodzi poeci. Otóż ani to prawda, ani nieprawda, a także i pośrodku nic nie leży. Podobne to jest do zdania, zasłyszanego niedawno w Warszawie: Sołżenicynowi łatwo robić dobrą literaturę, bo w Rosji jest rzeczywiście terror; w Polsce właściwie terroru nie ma, więc i literatura gorsza. I to znowu z kolei do czegoś jest podobne, a mianowicie do poglądu Goethego, że to nie sztuka pisać dobre wiersze po francusku, gdyż język francuski sam za poetę wiersze składa. „Ale to wszystko nonsensa, to moje wierszyki nowe, kiedy się język wałęsa i bawi zęby trzonowe” — napisał Słowacki.

Dobre wiersze pisano i w innych językach, aniżeli francuski. Wielka literatura powstawała i poza zasięgiem despoty. Opór przeciwko sowietyzacji da się także innymi środkami, aniżeli dramatycznie napiętą publicystyką, stawiać. Dzieje tego oporu w Ro-

* Jacek Bierezin, „Wam”, Poezje. Instytut Literacki, Paryż 1974

sji, Czechosłowacji i Polsce są na razie nieporównywalne i wobec tego ważne jest tylko to, że ten opór istnieje. Jeśli o literaturze pięknej mowa, to po odsiewie, jakiego nieuchronnie dokona czas, ostaną się i tak jedynie teksty dzielne i arcydzielne; przed zacnymi intencjami może ktoś schyli głowę, jeśli o nich będzie wiedział.

2.

Pokolenie, do którego należą Bierezin i Niedolski, debiutowało w chwili, kiedy tzw. pokolenie „Kolumbów”, które wystarowało w czasie wojny lub zaraz po wojnie, nie tylko wróciło do swojej sceptycznej postawy wyjściowej (słynne powiedzenie Borowskiego z roku 1946: „Demokracji trzeba patrzeć na palce!”), ale, co u niektórych przynajmniej się ujawniło, w sceptycyzmie tym poszło jeszcze dalej. W latach czterdziestych nieufność ta wynikała również i z konfliktu pokoleniowego, który można by obrazowo tak opisać:

Starsze pokolenie widziało świat jak mapę; młodsze jak geologiczny przekrój pionowy. Starsze chciało uzyskać pewność, że skoro się pokaże pewien punkt na mapie i powie: Sandomierz, to odpowiada temu rzeczywisty Sandomierz w krajobrazie i tylko o to chodzi; młodsze powiadało: no dobrze, Sandomierz, ale co jest pod spodem, bo Sandomierz się dziwnie obsuwa. Starsze widziało świat jako rozległą powierzchnię i na tę powierzchnię (jej istnienie) się godziło w mniemaniu, że jest ona taką, jaką się jawi; młodsze upatrywało sobie odcinek powierzchni i miało wielką ochotę tam drążyć, na co starsze się oburzało: kto pozwolił wiercić dziury w całym!? Dla starszego język kartografii powierzchniowej był językiem zgodnym z sensem świata; młodszemu nie trafiało to do przekonania: zaczęło ten język wykრęcać i podłamywać. Nazwijmy sobie dla uproszczenia starszych (reprezentatywnie: Miłosz, Jastrun) deterministami, młodszych zaś (Różewicza, Borowskiego) deterministami tak dalece sceptycznymi, że już dostrzec można było w ich tekstach załączki postawy indeterminalistycznej.

Otóż w chwili, kiedy ukazało się w polskim życiu literackim „pokolenie 70”, dojrzały już sceptycy pokolenia „Kolumbów” nie tylko dalej dochodzili tego, co jest „pod Sandomierzem”, ale nadto, naturalną kolejną rzeczą zaczęli wątpić, czy punkt na mapie odpowiada punktowi w krajobrazie, a nadto niekiedy nie byli pewni, czy nazwa Sandomierz na mapie oznacza to samo, co nazwa Sandomierz na stacji kolei żelaznej; inaczej: zaczęli podejrzewać, że mapa jest sfalszowana. To samo w marcu roku

1968 z niebywałą ostrością zobaczyło „pokolenie 70”. Pisze o tym Niedolski w swojej przedmowie do tomiku Bierezina: „Po raz pierwszy w życiu mieliśmy okazję przekonać się, jak ważną jest rzeczą trywialne przekonanie, że istnieje coś takiego jak prawda obiektywna — i z jaką niepojętą łatwością ta prawda obiektywna, widzialna i namacalna, może zostać po prostu i bez odwołania usunięta sprzed ludzkich oczu, zastąpiona ponurą brednią 'środków masowego przekazu'”. To jest pierwsza przesłanka: że istnieje zwykłe łgarstwo, podawane za prawdę. To, co Niedolski powiedział prozą publicystyczną, Bierezin wyraził poetycko tak oto (w wierszu „Lampy”): „Jesteśmy skazani na sztuczne światło, na lampy stojące i wiszące, świecące prosto w oczy i gasnące nim zrobimy krok naprzód. Jesteśmy skazani na gwiazdozbiory lamp na nieprawdziwym niebie”.

Drugą przesłankę sformułował Niedolski następująco: „[...] ta wciąż obecna stylizacja (w utworach Bierezina — W.W.) demaskuje wewnętrzny absurd i pustkę oficjalnych stwierdzeń. Więcej: zestawiając je ze znaną każdemu empiryczną rzeczywistością każe czytelnikowi właśnie myśleć, dochodzić do samodzielnych wniosków na temat i tej rzeczywistości i tego języka”. Bierezin, wyrażając tę samą myśl w wierszu „Platon” poszedł chyba o krok dalej, pisząc ironicznie o tzw. języku klarownym: „Jasność sylogizmu przeciw ciemnej i strasznej jak noc mocy metafory, rodzącej dramat i niepewność, budzącej chaos i przerażenie. / Jego (Platona — W.W.) jednowymiarowe państwo [...]”.

Platońskiej jasności (przejrzystości) przeciwstawił Bierezin mroczność (nieprzejrzystość) metafory; państwu Platona, ustanowionemu przez ostry sylogizm na *pewnych* (nienaruszalnych) podstawach, przeciwstawił *niepewność* (naruszalność); jednowymiarowości (czyli geometryczności: linearności) zniewolenia przeciwstawił rodzącą się w domyśle rozumującego czytelnika wielowymiarowość (geometryczność: sferyczność) swobody. I oczywiście nie tylko o państwo tu chodzi; chodzi o więcej: o mentalność, o sposób rozumnego bycia.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że między prozą Niedolskiego a poezją Bierezina zachodzi sprzeczność. Niedolski pragnie dojść zarówno obiektywnej prawdy, jak i mechanizmu kłamstwa, czyli zdaje się stawać po stronie „jasnego sylogizmu”. Tylko że z tym jasnym sylogizmem rzecz się bynajmniej nie przedstawia tak jasno: od punktu wyjścia zależy, jakie wyniki się przez jasny sylogizm osiąga, a także od konwencji językowej, w jakiej sylogizm funkcjonuje. Niedolski powiada: „Dla poety [...] świadomość społeczna dostępna jest przede wszystkim poprzez język. Walka z fałszem językowym godzi tutaj w „fałszywą

świadomość” — zwłaszcza w takie jej formy, które są oficjalnie propagowane i rozpowszechniane”. Bierezin: „Nasz brak miłości Nasze kłamstwa codzienne / wiele wojen o których nie pisze się w gazetach” („Bezsenność I”); i w wierszu tytułowym „Wam”: „Wam, którzy jesteście pod wpływem przemożnej logiki / codzienności, konieczności, strachu i podłości / dalszego socjalistycznego rozwoju osobowości / życzy święty Mikołaj”. Jest więc coś, co paczy język: owa „przemożna logika” właśnie; według Niedolskiego jest to „fałszywa świadomość”.

Fałszywa świadomość tak jasna, że oczy wypala. Inny pisarz tego pokolenia, Stanisław Barańczak, tak określa funkcję poezji wobec ideologii (fałszywej świadomości): „[...] poezja we współczesnym świecie stanowi — jeśli chodzi o strukturę myślenia — biegunowe przeciwieństwo ideologii. Jest — być może, w przypadku braku innych możliwości — rodzajem społecznej kontroli tego wszystkiego, co staje się praktycznym rezultatem ideologii. [...] poezja stawia sobie za zadanie wytrącić człowieka z myślowego i językowego automatyzmu” („Student”, 13-26. VI. 1974). A jeszcze inny poeta „pokolenia 70”, Ryszard Krynicki, pisze w przedmowie do swego tomiku „Pęd pogoni, pęd ucieczki”: „Doświadczenia z trudem wydostają się na powierzchnię języka. Wynurzają się i na powrót zanurzają, obciążone nowonarodzonymi znaczeniami i aluzjami. Te same słowa, oprócz genetycznych znaczeń podstawowych, mają również znaczenia umowne, będące publiczną tajemnicą, są nośnikami najróżnorodniejszych tabu emocjonalnych, które z kolei przesłaniają znaczenia państwowe”. (Tomik wyszedł w grudniu 1968, a więc już po zaburzeniach marcowych). — To „państwowe” wydaje mi się nieprecyzyjne, wolałbym „polityczne”; ale być może, że to przygoda z cenzurą. Zresztą: „ideologia” i „fałszywa świadomość” u Barańczaka i Niedolskiego daje się też miejscami przetłumaczyć na „politykę”; zdaje się, że ten rzeczownik w określonym polu znaczeniowym jest w pewnych wypadkach chroniony przez moce państwowe.

Wróćmy do Bierezina; z wiersza „Emigracja”: „Po zanegowaniu związków przyczynowo-skutkowych / rewolucji w sferze świadomości oraz piękna i szczęścia / (patrz księgi Sankhaja: ten kto potrafi rozróżnić / uważa ludzkie szczęście za rodzaj cierpienia) / nic mnie nie łączyło z tym miastem”. I raz jeszcze Niedolski: „[...] poezja [...] powinna swe naturalne i odwieczne atrybuty — indywidualną niezależność w widzeniu świata, bezkompromisowość sądów, językową autonomię — wykorzystać dla pobudzenia ludzi do myślenia, obracać na wytwarzanie w nich tej energii, jaką jest niepokój, wytrącać ich ze stanu biernego samozadowolenia”. — Z rozmysłem zestawiam tu te dwa cytaty, w których raz mowa jest o „zanegowaniu związków przyczynowo-skutko-

wych rewolucji w sferze świadomości”, drugi raz o „niepokoju”. To z sobą się łączy, a nadto przyda mi się później nieco.

Tymczasem zreasumujmy (włączając w tę sumę parę innych jeszcze ingrediencji):

Po pierwsze. Wystąpienie „Pokolenia 70” jest reakcją na zaburzenia marcowe w roku 1968; jak słusznie wywodzi Niedolski, zwierchność polityczna stara się temu zaprzeczyć, ponieważ jest to niewygodne, a zasadą ustrojów totalitarnych jest wygoda rządu. Ale nie jest bynajmniej i tak, że między buntem młodzieży i intelektualistów w roku 1968 a rewoltą robotników w roku 1970 nie było żadnego *iunctim*. Przeciwnie: *iunctim* to istnieje i łączy się w sposób istotny z walką pokoleniową, przypominającą, przynajmniej w środowisku inteligenckim, konflikty lat czterdziestych. Bardzo symptomatyczny jest w tym kontekście głos Ryszarda Krynickiego na „Wiosnie Kłodzkiej” w roku 1972, a więc już po doświadczeniach i marcowych, i grudniowych. Pozwalam sobie na dłuższe cytaty. Po gwałtownej polemice z postawą pokolenia „Współczesności” (debiuty po roku 1956 z postawą pokolenia „Współczesności” (debiuty po roku 1956 i w latach późniejszych), Krynicki powiedział: „Poeci starsi, bardziej doświadczeni (i to w dwojakim znaczeniu tego słowa) problem ten (chodzi o aktualne wstrząsy społeczne i polityczne — W.W.) omijają. [...] Indywidualizm stylowy nowej poezji polega na tym, że wypowiedź poetyczna została nasycona realiami teraźniejszości niekiedy do granic wytrzymałości wiersza, a przede wszystkim na tym, że nowa poezja nie chce utożsamiać się ze zniewalającymi mechanizmami rzeczywistości, zarówno z jej mechanizmami „naturalnymi”, językowymi, umownie nazwanymi „językiem gazety”, jak i tymi, które „subtelniej” pozwalają tą rzeczywistością manipulować. [...] — Mówiąc metaforycznie, tak ukształtowany obraz rzeczywistości jest w pewnym sensie grafomański, sformułowany kalekim, zranionym językiem [...] Młode pokolenie poetów musiało wychowywać się samo, bo jego wychowawcy byli skompromitowani i nie można im było zaufać [...] Musiało dojść do sporu z dojrzałymi pokoleniami, skoro np. po zjeździe literatów w Łodzi, dzięki rzuconemu przez Antoniego Słonimskiego hasłu „kompromisu”, po raz kolejny zmienili skórę ludzie tak skompromitowani musieliśmy w swoim czasie poznawać zafałszowany obraz historii i współczesności literackiej. — Z mojego punktu widzenia sprzeciw nowej poezji i nowej kultury dotyczy przede wszystkim skażonego języka i zniewolonej świadomości [...] Ci, którzy mają odwagę odwrócić się od rzeczywistości w czasie największego zagrożenia godności ludzkiej, kiedy po jakimś czasie znowu odwracają się w jej stronę — mogą zobaczyć, że twarze ich przyjaciół, którzy patrzyli

rzeczywistości na palce i w oczy, że te twarze są oplute” („Nowy Wyraz”, Nr 1-2/1973).

Z tego przydługiego cytatu, a także i z tego, co napisał Niedolski, wynika, że marzec 1968 był dla „pokolenia 70” impulsem wywoławczym i wyzwającym; że grudzień 1970 był pogłębieniem poprzedniego doświadczenia; że obie rewolty są składnikami tego samego procesu społecznego, o wiele już bardziej zakłamanego, aniżeli w roku 1956. Jest to teza niewygodna dla zwolenników rozumowania w kategoriach „czyste” polityki, uważających politykę za rzecz nadrzędną. Z cytatu tego wynika również, że literacka walka pokoleń w jakiś sposób nawiązuje do sporu lat czterdziestych. Znamienne przy tym, że młodzi poeci przyznają się do solidarności z częścią debiutantów lat czterdziestych — z Różewiczem czy Woroszyńskim, czy tzw. debiutantami spóźnionymi, z Białoszewskim i Karpowiczem — i że dzieje się to ponad głowami debiutantów popaździernikowych; z równą natomiast furją co tych ostatnich atakują młodzi pogrobowców „Kuźnicy”, jak np. Matuszewskiego czy Artura Sandauera („... pan Sandauer jest w pewnym sensie chodzącym symbolem bierności polskiej inteligencji” — z przemówienia Krynickiego). Różnice oczywiście między tymi dwoma konfliktami pokoleniowymi są: „mała odwilż” 1971-1972, o której pisze Niedolski w przedmowie do „Wam”, pozwoliła mimo wszystko konflikt ujawnić i to z bez mała pełną argumentacją; pokolenie „Kolumbów” tej szansy nie miało; dalej: to pokolenie nie stoi, przynajmniej do tej pory, przed koniecznością zawierania takiego rozejmu i takiego kompromisu ze swymi przeciwnikami sprzed kilku miesięcy, który był w okresie stalinizmu obustronnym sprzężeniem, jakże słodkim, zakłamanym i strachu. Trzeba pamiętać o tych różnicach między pokoleniami, między którymi zawiązało się i trwa spontaniczne przymierze.

Po drugie. Niedolski pisze: „To marzec zmusił młodą poezję lat sześćdziesiątych do poszukiwania nie tyle piękna, co prawdy — i do poszukiwania języka nie pięknego, lecz takiego, którym dałoby się tę prawdę wyrazić”. Jak się ma prawda do piękna, o tym do tej pory chyba nikt nic przekonującego nie powiedział. Ale tu Niedolski pociągnął za nitkę i warto przyjrzeć się kłębowi, jak się dalej rozkłębić może. Rozumiem to tak:

Z jednej strony rzeczywistość nie znajduje w Polsce wyrazu w słowie głoszonym; nie mniej jednak to słowo głoszone, sprzeczne albo nieprzystające do rzeczywistości, do tej rzeczywistości przynależy. Mówiąc tedy prawdę, należy mówić prawdę zarazem o rzeczywistości „pozasłownej” i o rzeczywistości kłamstwa (słowa głoszonego). Przez owo kłamstwo deprawowana zostaje i rzeczywistość, i język, w jakim o niej mówiono i nadal się mówi.

Nadto zaś — a jest to widome, dla każdego, kto myśli — obie te deprawacje i uzależniają się wzajem, i nie pokrywają się ze sobą na tyle, aby móc powiedzieć: „Albo przywrócę prawość rzeczywistości, a wtedy język sam się będzie musiał odełgać; albo przywrócę prawość językowi, a wtedy będę mógł zmienić zdeprawowaną rzeczywistość”. Taki pogląd byłby łudzeniem samego siebie. Jedno z wyjść proponuje Bierezin, powtarzam: „zanegowanie związków przyczynowo-skutkowych w sferze świadomości”. Niedolski mówi o niepewności, Bierezin w innym zresztą miejscu także. Spróbujmy rozszyfrować, co to znaczy:

Rzeczywistość została narzucona z zewnątrz i przemocą; język również został narzucony z zewnątrz i przemocą; i rzeczywistość, i język narzucone zostały przemyślnie, tak mianowicie, aby język nie nadawał się do wyrażenia rzeczywistości, lecz jedynie do idealizacji czegoś, co nie z rzeczywistości zostało wywiedzione, lecz z dawno martwego — bo utrupionego rozmyślnie — ideału czy utopii i aby rzeczywistość dawała się sztucznie uzasadnić sylogizmami (sofizmatami), zbudowanymi w owym nic z rzeczywistością nie mającym wspólnego języku. W ten sposób, przemocą, uzyskano oczadzające pozory spójności tego, co się dzieje, z tym, co się mówi, przyczem przestrzegano pilnie zasady, aby sądy o narzuconym układzie wypowiadać jedynie w obrębie tegoż układu: co, jak wiadomo, prowadzi do logicznych nonsensów, ale chodzi właśnie o to, aby nie wypowiadać sądów sensownych. I tak zatem się stało, że ani prawość rzeczywistości, ani prawość języka przywrócone być nie mogą, jeżeli tkwić się będzie bezwładnie w zastanym układzie.

Po trzecie. Otóż układ, o jakim mowa, wymaga arbitralnie zabsolutyzowanego determinizmu, przy czym jest to determinizm abstrakcyjny: nie chodzi, jako się powiedziało, o odniesienie do rzeczywistości, lecz o niewzruszalną zasadę, na mocy której dekretuje się rzeczywistość jako konieczność historyczną i ustrojową. Warto przypomnieć, jak to Lenin z genialnym chyba jednak wycuciem potrzeb (nie: konieczności) politycznych swojej partii zajadłe bronił w „Materializmie i empiriokrytycyzmie” powszechnie jakoby obowiązującej zasady determinizmu i równie zajadłe przeciwstawiał się dopuszczalnej w określonych okolicznościach zasadzie indeterminizmu. Leninowi bowiem chodziło o interes polityczny, a nie o interes powszechny i ze swego punktu widzenia miał rację: z zabsolutyzowanej zasady determinizmu wynikała absolutna konieczność posłuchu; konieczność, jeśli się miała jako konieczność urzeczywistnić, wymagała totalnej dyscypliny, ponieważ urzeczywistnianie musiało być totalne, aby urzeczywistnieniem być mogło; dopuszczenie indeterminizmu oznaczałoby uznawanie indywidualnych ocen, samodzielnych, niedostosowanych do

tak rozumianej konieczności sądów i niestosownych ujawnień osobowości.

Nie wiem, czy zdają sobie z tego sprawę, ale w istocie rzeczy pisarze „pokolenia 70” powzięli decyzję wyjścia poza ten układ językiem swej poezji, a także i rozstrząsań teoretycznych. Prowadzi to nieuchronnie do tego, że neguje się, na pewnych przynajmniej płaszczyznach, związki przyczynowo-skutkowe. To, co już zostało tu powiedziane i zacytowane (a zacytować dałoby się więcej jeszcze), pozwala chyba na określenie ich postawy, jako postawy, wywodzącej się z relacji dwóch niepewności (czy nieufności): wobec rzeczywistości takiej, jaką ona się przedstawia lub zdaje się przedstawiać oraz wobec języka, jakim dałoby się tę rzeczywistość czy też indywidualne jej przedstawienie wyrazić. Rodzi się tedy podejrzenie, że środki wyrazu nie są zdeterminowane przez rzeczywistość, albo są nie w pełni zdeterminowane, bo takimi być nie mogą. Znaczy to, że zakłócona została pewność, jaka zwykła wynikać z bezwzględного uznania uwarunkowań przyczynowych; że potęguje się sceptycyzm zarówno wobec świata, jak i jego znaków, wobec treści informacji, jak wobec jej przekaziciela i nośnika. Ta ustawiczna niepewność i nieufność, jaką przenikniętych jest wiele utworów poetyckich „pokolenia 70” ma również w jego postawie swoje pozaliterackie odpowiedniki: nieufność moralną, prowadzącą do moralnej dociekliwości, oraz związany z nią sprzeciw wobec politycznego posłuszeństwa (co bynajmniej nie jest równoznaczne z rozprzężeniem dyscypliny społecznej).

Zagadnienie, jakie starają się rozstrzygnąć młodzi poeci, da się być może tak sformułować: jak wyprzeć sfałszowaną pewność słowa głoszonego? I, jak się wydaje, wybrali sobie taki stan własnych umysłów, gdzie podważona została pewność reflektującej świadomości. W tym to właśnie rozumieniu dokonuje się wyjście poza narzucony układ: o języku sfałszowanej pewności politycznego determinizmu można sensownie mówić w języku pozapolitycznego układu determinizmu „słabego”, albo i wręcz indeterminizmu.

Popełniając teraz spory skrót myślowy powiem, że wypieranie sfałszowanej pewności jest wypieraniem spustoszeń sowieetyzacji w dziedzinie świadomości, czyli w obrębie treści i form myślenia: w niezeterminowanej niepewności myślenie staje się swobodne.

3.

Stanisław Barańczak w „Nieufnych i zadufanych” napisał, że jego formacja literacka ma dwie tradycje: negatywną, tzn. tradycję

cję pokolenia „Współczesności” i debiutów pierwszej połowy lat sześćdziesiątych oraz pozytywną, tzn. tradycję poetów-„lingwistów”. Czytając wszelako tomiki poetyckie i różne artykuły i książki odnoszę wrażenie, że istnieje jeszcze tradycja trzecia; nazwałbym ją neutralną, gdyby nie okoliczność, że wielu pisarzy tej formacji (ograniczam się tu do poezji jedynie, nie mówię o prozie, bo to rozsądziłoby ten mój i tak dość kapryśny tekst) pisze o tej tradycji z sympatią a nawet i z atencją; że więc całkowicie neutralną nie jest, nazwę ją tradycją postawy moralnej i wymienię dwa nazwiska- sygnaly: Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta. Obaj ci znakomici poeci postavili sobie zresztą (obok innych zapewne, i to bardzo ważnych) cel podobny, co ich młodszy koledzy. Zmierzają wszakże do tego celu inną drogą: w swym języku rozwijają sceptyczną aktywność, zabarwioną nadto moralnie, wobec rzeczywistości i w tym miejscu się zatrzymują; sceptycyzm nie odnosi się już do języka. „Lingwiści”, zwłaszcza Białośzowski i Karpowicz, łączą w swym języku sceptyczną aktywność wobec rzeczywistości ze sceptyczną aktywnością wobec języka. Pierwsi wierzą (naiwnie czy nienaiwnie, mniejsza z tym), że język — ich język, ale i poprawnie używany język w ogóle — zawsze może się adekwatnie wobec rzeczywistości ustawić, jeśli zaś poeta żywi wobec rzeczywistości jakąś wątpliwość, to język wątplenie to odda. U „lingwistów” język podlega krytyce równocześnie z jego użyciem.

Innymi słowy: Miłosz i Herbert uważają, że przemocą narzuconej i sfałszowanej pewności języka urzędowo głoszonego i używanego wystarczy przeciwstawić niesfałszowaną pewność języka, a to w celu uzyskania pewności sądów. Przyjmują (albo im się tak wydaje, że przyjmują), że język ich jest dostatecznie przez rzeczywistość i swoje własne mechanizmy zdeterminowany, aby tej rzeczywistości oddać sprawiedliwość. Ich konsekwentny determinizm zamyka im drugi człon aktywności (wobec języka). Do tego dochodzi jeszcze — co zdaje się wyczytałem w ich pismach — postulat jasności sformułowań oraz ich możliwie powszechnej dostępności; mają niechęć do mowy ciemnej lub trudnej, czytelność tekstu jest dla nich sprawą pierwszej wagi. Wszystko to znaczne założenia, ale tu zaczynają się moje wątpliwości: w sensie, czy trwając w tej postawie, dadzą sobie radę; myślę, czy dadzą sobie radę z wypieraniem sfałszowanej pewności sądów, głoszonej językiem nie tylko jasnym i dostępnym, ale także pozornie zdeterminowanym przez rzeczywistość. „Człowiek utonął, bo lód się pod nim załamał” (Herbert), „rzeczy biorą odwet” (gdy człowiek wylatuje z okna) (Miłosz); otóż takie zdania, bezsprzecznie słuszne, mocą swej słuszności, jednoznaczności i czytelności łącznie mogą zwieść na manowce: zarówno bowiem

u autora jak i u czytelnika wzbudzić mogą przeświadczenie, że inne zdania, zbudowane na tej samej zasadzie, są z reguły równie słuszne i bezsprzeczne, mimo że dotyczą innej zgoła materii i głoszone są z całkiem innych pozycji.

A tak oczywiście nie jest.

Zastanawiam się teraz, pod koniec artykułu, jakie są równoległości między „pokoleniem 70” a pokoleniem moim, zwanym słusznie czy niesłusznie pokoleniem „Kolumbów”. Jakże to mieliśmy u startu tradycje negatywne i pozytywne? Wydaje się, że w tej kwestii paralele rysują się dobitnie. Tradycję negatywną stanowił dla nas w drugiej połowie lat czterdziestych Skamander (do którego przyczepiono, żeby już był jeden worek, Broniewskiego i Gałczyńskiego), a przede wszystkim poeci, zgrupowani wokół „Kuźnicy”, zwłaszcza Mieczysław Jastrun i Paweł Hertz; tradycję pozytywną stanowiła (dla tzw. „grupy warszawskiej”) Awangarda Krakowska oraz (dla tzw. „pryszczatych”) futuryści, w szczególności Bruno Jasioński. Jeśli natomiast mam określić stosunek pokolenia „Kolumbów” do Żagarów i do naczelnego jej przedstawiciela Czesława Miłosza, to popadam w niejaki kłopot. Zapewne żywił się wobec Miłosza w latach czterdziestych i później, kiedy stał się, nieobecny w Polsce, postacią legendarną, wielki szacunek, ale — z zachowaniem dystansu: wprawdzie Bratny postulował w roku 1946 branie pod uwagę poetyki Miłosza wraz z poetyką młodego wówczas Różewicza jako elementów możliwej syntezy, na dobrą sprawę wszelako jeden tylko Herbert do tego nawiązał.

Zadania jednakże, jakie stoją obecnie przed „pokoleniem 70” są w pewnej mierze odmienne aniżeli te jakie stawiało sobie pokolenie „Kolumbów”. W momencie startu pokolenia „Kolumbów” bowiem nie stał tak ostro problem sowietyzacji kultury i języka, jak to było później i jest po dziś dzień; opierając się na zawodnej pamięci przypuszczam, że nie zdawaliśmy sobie zupełnie sprawy z tego zagrożenia (choć właśnie Miłosz o tym wówczas dobrze wiedział) i sądziliśmy, że powinniśmy w sposób normalny rozwijać literaturę polską. „Pokolenie 70” boryka się z tą sprawą i na tym — niezależnie od mocy talentów — polega jego znaczenie. Nie ma więc racji Grudziński pisząc, że literatura polska z mniejszą siłą atakuje sowietyzm, aniżeli literatura rosyjska i czeska. Robi to po prostu inaczej, a mianowicie sięgając w głąb struktury języka i narzuconych nawyków myślenia: fałszywej i jednoznacznej pewności.

Język sztuki na szczęście nie jest językiem jednoznacznym. Można na przykład pewną rzeźbę Rodina i tak prawomocnie zinterpretować, jak spróbowałem to uczynić kilka miesięcy temu:

RĘKA BOŻA

*Ciało z marmuru trzyma między
Palcami glinę z marmuru. Ukształtowane
Ciało z marmuru kształtuje nieu-
kształtowaną jeszcze glinę z marmuru
(Znać ślady palców) i ta glina z
Marmuru napiętnowana jest
Zarysami ludzkiej głowy z gliny.
Marmur jest biały, ciało jest blade
I lepiona glina jest blade. Palce
Boże są smukłe i mocne, i przy-
Pominają palce pianisty. Dłoń
Boża wylania się pionowo ze słabo
Obrobionej bryły marmuru, będącej
Marmurem i zarazem zwartą
Otcblanią.*

*Tak to rzeźbiarz ukształtował
Garść Stworzyciela na podobieństwo
Garści własnej. Zrobił sobie, spoglądając
W zwierciadło i na własną kończynę
Wprost, autoportret cząstkowy: ponieważ
Część jest równa całości; ponieważ
Pycha jest bliska miłości; ponieważ
Obie są rodne.*

Paryż, 10 września 1974

A w prozie swojej pt. „Pociąg” Jacek Bierezin kreśli postać sowietyzującego ideologa i każe mu mówić: „[...] człowiek, który nie mieści się w zdaniu prostym oznajmującym, nie jest człowiekiem. Podobnie jak nie jest człowiekiem człowiek, który wyszedł, tzn. samowolnie opuścił zdanie proste oznajmujące. [...] Zdania proste oznajmujące przekazywać będziemy antropologom zdań złożonych oznajmujących, których zadaniem będzie budowanie systemu [...] Zdania 'człowiek jest dobry', 'społeczeństwo jest szczęśliwe', muszą być prawdziwe. Wynika to z ich składni, tzn. z faktu, iż zawierają formę osobową czasownika. Możemy spotkać się z zarzutem, że wobec tego zdania przeczące są również prawdziwe. Nic bardziej mylącego! Z punktu widzenia opisowej i historycznej dialektyki zdań jest to fałsz”.

Jacek Bierezin odrzeka się w ten sposób (a metafora jego jest bardzo nośna) od zdań prostych oznajmujących, jako niebez-

piecznych i groźących wewnętrznym zakłamaniami mowy. *Implicit* proponuje zdania, nie dające się opisać przez wielorakie gramatyki, a kryjące w sobie szlachetną demoralizację. Czcigodne wezwanie „*Edel sei der Mensch, hilfreich und gut*” zostało tak bardzo nadużyte, że rodzi się potrzeba jego zaprzeczenia.

„Człowiek niech będzie”: zdanie to często wypowiada się w formie „człowiek jest” i wtedy zaczyna się nieszczęście, wynikające z bezbronnej łatwowierności tych, co są ludźmi symetrii i którym obce jest dialektyczne rozprężenie. Być może przyjdzie w sukurs Bierezinowi (i nie tylko jemu), jeśli zacytuje mój skłcony niedawno wiersz pt.:

TANIEC OCZADZIAŁYCH

Edel sei der Mensch, hilfreich und gut.
(Goethe)

*Szlachetny, pomocny, dobry.
Na pamięć to znają, nieszczęśni, i
Nie widzą, że to pręty trójnoga, na którym
Nie szewc siedzi, lecz Pytia, i nie
Pytia nawet, lecz wiedźma, co bredzi, a
Dobrze wie, co bredzi. Przed wiedźmą zaś
Na innych trzech prętach (nikczemność,
Egoizm, zło) wisi kociołek; pod
Kociołkiem żar, w kociołku
Bulgocze wywar: oszołomienia.
A oni, nieszczęśni, patrzą wiedźmie
Pod zad i łudzą się, że to
Pręty szlachetności itd. tak ich
Odurzają i, świadomi niczego,
Wdychają opary wywaru, i
Zataczają się oślep wokół
Trójnogów (drugiego nie postrzegając),
I sądzą, że to ich zataczanie się
Jest tańcem i harmonią. Jako iż
Okolice skalista, rozbijają sobie łby
O głazy. Pytia*

*(wiedźma) będzie po ich
Śmierci nadal z usadowionym
Na prętach dobroci itd. zadem
Bredziła przed siebie, wiedząc
Dobrze, co bredzi.*

Śladem Piniego

Artykuł Brońskiego „Laur i ciemność” w majowej *Kulturze* to nie tylko recenzja książki G. Gömöriego o Norwidzie i nawet nie krytyka bezkrytycznej idolatrii poety (wyprowadza ją Broński z Miriama, który jakoby „wręczył Norwidowi laur głównie za ciemność”) — to atak „pozytywisty” na samą poezję Norwida i na jego osobę.

Dowcipy Klaczki („Zwolony” — androny), ataki niechętnego Norwidowi Piniego to kaszka na mleku w porównaniu z ostatnią wypowiedzią Brońskiego.

Zresztą cóż mówić o Norwidzie, jeżeli według krytyka „dla przeciętnego polskiego czytelnika Norwid jest nieczytelny i zgoła odpychający”.

Chciałbym wiedzieć bliżej co znaczy polski *przeciętny* czytelnik? Nie lubię słowa tak nieprecyzyjnego: gdzie granica między przeciętnym, a nieprzeciętnym czytelnikiem? Prawdopodobnie Broński ma na myśli takiego, który w ogóle nie ma jakiegokolwiek stosunku do poezji, który nic nie czyta, poza gazetami i ewentualnie Sienkiewiczem. Ale czego sprawdzianem jest ocena takiego czytelnika? Czy wielkim poetą może być tylko ten, który jest przez takich czytelników przyjęty? Wtedy na śmietnik trzeba wyrzucić z Norwidem razem iluż innych, chociażby Mallarmé’go, Rimbaud’a we Francji — u nas Leśmiana, Miłosza, Herberta.

„Norwida nie czyta się bez tego wewnętrznego drżenia radości, jakie znamionuje *dobrą sztukę*” — pisze Broński. Kogo ogarnia to „się”, dla kogo Norwid nie jest *dobrą sztuką*? Broński tłumaczy ten wstręt do Norwida „maniakalnym” charakterem jego tekstów, a maniakalność tę widzi w jego tematyce, m.in. w częstym nawoływaniu poety do konieczności odrodzenia człowieka. Może wówczas trzeba by również wyrzucić na śmietnik autora „Ody do młodości”, a bardziej jeszcze poetę, który ośmielił się napisać „Was zjadaczy chleba w aniołów przerobię”?

Przeciętnego czytelnika odrzuca również „paranoiczna wizja upadku ludzkości”, pesymizm wobec przyszłości naszej cywilizacji, którą Broński nazywa traktatem o zbliżającym się końcu świata. Ależ i Krasiński ze swoją „Nieboską Komedią” musi być wtedy również wykreślony.

Tadeusz Pini, wzór dla mojej generacji autora krzywdzących Norwida tekstów, kładzie nacisk, pisząc o nim, na jego niedokształcenie.

Zakochana babka, jakoby „pozwoliła iść w życie 16-letniemu leniuchowi z wykształceniem zaledwie elementarnym”. Pini nie

odmawia mu talentu, choć i nad tym długo się zastanawia, dyskwalifikując jednocześnie jego ułomną poezję, ilustrując to analizą wierszy tej miary co „Krzyż i dziecko” i „Fortepian Chopina”.

W pierwszym wierszu syn płynąc z ojcem łodzią ostrzega go przed krzyżem, krzyż ten widzi dziecko, patrząc na wysoki maszt ich łodzi, przeciętej poprzeczną linią mostu, ku któremu łódź zdąży.

„Synku trwogi zbądź!
To znak zbawienia;
płyniemy bądź co bądź
patrz jak się zmienia!
Oto wszereż i wzwyz
wszystko to samo”.
„Gdzie się podział krzyż
Stał się nam bramą”.

Pini widocznie nic nie rozumie z tego, tak prostego, symbolu, stwierdzając, że wiersz kończy się „nieuzasadnionym frazesem” i wywołuje „tylko niesmak”!

Drugi wiersz, „Fortepian Chopina”, po przeczytaniu również napełnia Piniego „uczuciem niesmaku”, bo jak można kończyć uroczyste akordy ironią zupełnie nie na miejscu. Pini nie rozumiał, nie czuł, że istotę poezji Norwida stanowią nieustanne kontrasty ironii przy *właśnie* najbardziej uroczystych akordach.

Broński, późny wnuk Piniego, idzie jego tropem, ale nierównie dalej, popierając swą krytykę cytatami z Verhoevena, filozofa holenderskiego, który poświęcił całą książkę analizie poezji *maniakalnej* i choć „zapewne nigdy Norwida nie czytał” umieszcza w swej książce „nieomal laboratoryjny opis stylu Norwida”.

Cóż określa ten typ poezji: „brak *dobrego* stylu, świadczącego o jednolitej informacji”, „*jakaś* odbiegająca od normy pisownia, czy układ graficzny”, „*jakieś* naruszenie konstrukcji składniowej”, „*jakis* tryb rozkazujący, nakłaniający do działania... anarchiczność formy”**.

Ale Broński nas pociesza, że te wszystkie cechy maniakalne nie świadczą jeszcze by Norwid był wariatem klinicznym, był on tylko psychopata, a w jego utworach jest jedynie „wiew szaleństwa”, który wywołuje instynktownie u „*normalnych*” czytelników odruch obronny.

Ale czy wiew szaleństwa, a nawet szaleństwo dyskwalifikują koniecznie poetę? Cóż wówczas zrobimy z Hoelderlinem, Nerwalem?

Czując się bardziej w domu w malarstwie, niż w poezji pytam:

* Wstęp Piniego do „Dzieł Cypriana Norwida”, Warszawa 1934.

** Moje podkreślenia.

czy był Van Gogh? U źródeł jego twórczości tkwiło narastające szaleństwo, ten genialny malarz zdobył sławę większą niż w swoim czasie Rafael, wywarł wpływ na malarstwo kuli ziemskiej, z żadnym innym malarzem nieporównalny. Jego malarstwo to był *crimen* przeciw „dobremu stylowi” malarstwa epoki.

A Cézanne? Jeden z wielkich, jeżeli nie największy malarz wieku, który jeszcze za mojej młodości przez krytyków jak Broński był uważany za nie umiejącego rysować i malować maniaka.

Jeszcze jeden kamień obrazu w twórczości Norwida, do którego Broński parokrotnie powraca, to sprawa treści „filozoficznych”. Jak mógł Norwid jedną trzecią „Vademecum” poświęcić treściom filozoficznym! „Czy zadaniem poezji jest uprawianie filozofii?” — pyta autor artykułu, rozumiejąc pod nazwą filozofii myśli o bycie człowieka, o sensie życia w historii. Czy wykreślając z poezji tę sferę myśli nie trzeba by wykreślić i poetów największych od Dantego poczynając aż do Miłosza z jego „Traktatem poetyckim”, aż do Herberta. Jeżeli zaś chodzi o Norwida, którego Alicja Lisiecka słusznie nazwała „pisarzem historii” i który był jednocześnie pisarzem chrześcijaństwa, Broński znajduje w nim jedynie „nikłość zdobytego materiału”, tam gdzie Brzozowski odkrywa genialne wyczucie epoki, na przykład antycznego Rzymu w „Quidam”.

Swój osąd, tak kategoryczny i lekceważący, Broński buduje na analizie treści wierszy, ale treści *rozebranej* z formy, jakby nie zauważył nawet właśnie tego co istotę tej formy cechuje. Przecie jasne jest, że w autentycznej poezji treść i forma stanowią jedność nierozdzielną.

Nie pamiętam bym kiedy czytał o tej prawdzie najprostszej bardziej wnikliwego tekstu niż to co pisze Weidlé, pisarz i poeta rosyjski (z emigracji), w swej ostatniej książce „O poetach i poezji”*. Ten „sekret” poezji naświetla autor poprzez analizę wierszy i przeróżnych ich wersji: Goethego, Tiutczewa, Mallarmé i wielu jeszcze innych, a przede wszystkim Puszkina. Jeden z najbardziej znanych jego wierszy:

„Ja was lubił, miłobow' jeszcze byt' mozet...”.

Weidlé podaje na wstępie jego treść mową potoczną, używając tych samych co Puszkina słów. Cóż otrzymujemy? Banalny list miłosny z paru zaledwie, rzadziej dziś używanymi, słowami — list taki mógłby każdy z nas bez trudu napisać. Zaraz potem Weidlé sam wiersz umieszcza: parę przestawień słownych, rytm i nagle wszystko się przemienia, nie tylko świat formy, ale i świat treści z tą formą zlany istnieć zaczyna w innym wymiarze.

„Die Kunst ist eine Vermittlerin des unassprechlichen” — pisał Goethe*.

* YMCA Press, Paryż, 197?.

W eseju Brońskiego o poezji Norwida ani słowa o niezwykłości jego metafor, o białym wierszu, który Norwid do poezji polskiej wprowadził, o rytmach nowych i złożonych poety w reakcji przeciw temu co nazywał „siekanką” i „mazurkami” poezji polskiej. Nic o samej postawie poety, który się odcinał równie od poezji ciasno utylitarnej, jak od sztuki dla sztuki.

„Myślałem ja, że lira i że styl,
choć fala je nosi, jak łabędzia,
nie obliczającego dróg i chwil,
choć cel mając w sobie, są narzędzia.

.....
Myślałem, że wieszczów było tyle,
ile jest blizn dotkliwych, a które
przez form czary, przez stosowną chwilę
opatrują się i leczą w porę.

.....
Och, ja byłem błędny i sam chory!
.....

Co może znaczyć ocena poety w majowej *Kulturze*, widziana jakoby oczami „przeciętnych”, „normalnych” czytelników, których Broński grzebie, uznając w czambuł za niezdolnych przejrzeć, ocenić poetę, który odświeżył, odrodził, wzbogacił nurt poezji polskiej. Może więcej niż Baudelaire i Mallarmé razem nurt poezji francuskiej.

Józef CZAPSKI

PS. Zniechęcony do książki Alicji Lisieckiej** przez artykuł Brońskiego „Bilard” (*Kultura* nr 9/312, 1973) dziś dopiero po napisaniu powyższego artykułu czytam ją z pasją. Z autentyczną erudycją i czuciem Lisiecka naświetla między innymi związki, a bardziej jeszcze zasadnicze różnice między Norwidem a poetami XIX wieku — Baudelairem, Nervallem, Hoelderlinem, Gautier, Bainvillem i tylu innymi. Najciekawiej, odkrywczo wypadła paralela z Baudelairem — odnajduje ona jedno z konkretnych wspólnych źródeł (zachwył dla sonetów Michała Anioła!), wykazując jednocześnie ich zupełną inność kwestionując tezę Gomołickiego o zależności „Vademecum” od „Fleurs du mal”, w którą nigdy nie mogłem uwierzyć.

Bilard? Czy można poetę całkowicie oderwać od tła epoki?

J. C.

* „Sztuka jest pośredniczką niewyraźnego”.

** „Norwid — poeta historii”, Veritas Foundation Publication Center, 1973.

Odpowiedź

Czuję się zaszczycony uwagą, jakiej p. Józef Czapski udzielił memu artykulikowi o Norwidzie. Jako zwolennik różnorodności cieszę się, że ma on odmienne zdanie od mojego i korzystam z przywileju odpowiedzi jedynie dla obrony mego stanowiska przed nieporozumieniami.

Za przeciętnych polskich czytelników uważam w miarę odczytanych i samodzielnie myślących inteligentów. Wydaje mi się, że sam jestem jednym z nich i omówienia dla *Kultury* pisuję z tego właśnie punktu widzenia, tzn. przedstawiam własną czytelniczną opinię, starając się ją uzasadnić, nie wyrokuje natomiast generalnie — jakimż-by prawem?! — w sprawie: należy czy nie należy czytać i podziwiać Norwida, Lisiecką czy innych omawianych autorów.

W wypadku Norwida wyraziłem jednak nie tylko własne zdanie. Jest faktem, że zaledwie niewielu czytelników potrafi przedrzeć się przez jego twórczość z przyjemnością, która w końcu stanowi jakieś kryterium w sztuce. *Exemplum*: na długo przed moją recenzją z Gómöriego podzieliłem się swym brakiem entuzjazmu dla formy Norwida z kimś, kto wprawdzie jest swym brakiem entuzjazmu dla formy Norwida z kimś, kto wprawdzie jest o tyle nietypowy, że jest jednym z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, ale kto jako czytelnik niewątpliwie podpada pod sformułowaną wyżej definicję. Oto co wówczas odpisał:

„Dzięki za Norwida. Kupiłem sobie ze dwa lata temu jego wiersze zebrane, miałem ciekawość, dobrą wolę, nie dało się. Miałem nawet upór i wytrwałość, nie dało się. Utknąłem, odłożyłem, odłożony do dziś. Wysiłek zrozumienia o co mu właściwie chodzi, i to nie w wielkich myślach, ale tak, zdanie po zdaniu, okazał się dla mnie zbyt wielki i zbyt irytujący. Co chwila miałem ochotę krzyknąć: dlaczego pan tego nie powie po prostu, jeżeli panu chodzi o proste rzeczy? Dostaje się niejasności, na którą nie ma rady, żeby jeszcze zamętnić to, co nie musi być niejasne. No, ale Norwid święty. Nie wiem, może on i wspaniały, ale ja o tym nigdy się nie przekonam, bo on zrobił wszystko, żeby mi to uniemożliwić. Jest jak taki pan, który może i dużo by dał, ale co z tego, kiedy unika się go na spacerze. Coś tam bełkoce do siebie. Unika się jego towarzystwa i już nie można inaczej”.

Z podobnymi reakcjami stykałem się częściej, sądzę więc, że pokraczność stylistyczna Norwida jest istotną wadą jego twórczości; przechodzenie nad nią do porządku lub składanie winy wyłącznie na barbarzyństwo niegodnych czytelników wydaje mi się jednym z najwspanialszych polskich wierszy, ale że rapsoz bemoski jest jednym z najwspanialszych polskich wierszy, ale np. wyrażenie „płynny bądź co bądź” w zacytowanym przez p. Czapskiego fragmencie jest — jak cały wiersz zresztą — poetyckim *horrendum* i nie na to nie można poradzić; co gorsza, wspaniałości tego pierwszego rodzaju jest u Norwida bardzo mało, a okropności drugiego bardzo dużo.

Niestuszenie zarzuca mi p. Józef Czapski „atak” (brak komplementów nie jest atakiem) na Norwida za treść z pominięciem formy: pisałem właśnie głównie o formie, upatrując jej źródło w norwidowskim kompleksie zapożnanej proroka. Podkreśliłem, że zaledwie jedną trzecią „Vade-me-

cum" można zakwalifikować jako treści filozoficzne, podczas gdy reszta ma charakter osobisty, a zatem ze punktu ciężkości tej poezji należy szukać w subiektywnych nastrojach autora, nie w filozofii. Zilustrowałem to analizą zakończenia „Fortepianu Szopena”, utworu wielbionego i cytowanego najczęściej bez zrozumienia, o czym świadczy mnogość rozbieżnych jego interpretacji. O ile w zakresie odbioru sztuki można w ogóle mówić o obowiązkach, to w moim pojęciu pierwszym obowiązkiem czytelnika wobec autora jest zrozumienie, nie uwielbienie i w tej intencji napisałem moje uwagi o Norwidzie.

M. BROŃSKI

POLSKI NUMER „MODERN POETRY”

Daniel Weissbort, redaktor londyńskiego kwartalnika *Modern Poetry in Translation*, prosi nas o zaznaczenie dwóch rzeczy w związku z ukazaniem się numeru polskiego pisma (por. notę w czerwcowym zeszycie *Kultury*).

Wszystkie wiersze Norwida, z wyjątkiem *Italiam! Italiam*, zostały przełożone przez Adama Czerniawskiego, a nie (jak omyłkowo podano) przez J. A. Laskowskiego. Czerniawski również, a nie (jak omyłkowo podano) autor, przełożył dwa wiersze Jana Darowskiego *Post Mortem* i *Droga*.

Polski (podwójny) numer kwartalnika kosztuje 3 dolary lub 1 funta i 20 pensów. Zamówienia należy kierować do:

COMPTON RUSSELL LTD.,
COMPTON CHAMBERLAYNE, SALISBURY, WILTSHIRE,
ENGLAND.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

ogłasza przedpłatę na tom pt.:

DROGA DO TOBOZO

Książka licząca przeszło 540 stron, składać się będzie z następujących części:

- I. Proza, opisująca pierwsze dwie wyprawy Don Kichota, któremu autor towarzyszy po czterech stuleciach.
- II. Dwadzieścia kilka wierszy oryginalnych o tematyce hiszpańskiej.
- III. Antologia poezji hiszpańskiej w przekładach autora: utwory prawie pięćdziesięciu poetów.

Książka kosztuje w przedpłacie £ 4.

Po ukazaniu się cena będzie znacznie wyższa.

Czeki i postal orderzy na imię i nazwisko Józefa Łobodowskiego należy wysyłać pod adresem:

11, PALLISER ROAD, LONDON, W.14. — ENGLAND.

Książki

Stara linia w nowym wydaniu

Ewa i Zbigniew Bonieccy byli w latach 1966-1970 angielskimi korespondentami prasy polskiej (Interpressu). Korespondencje ich ukazały się w wydaniach książkowych, mianowicie: *Polskie Spotkania na Wyspach Brytyjskich* (Interpress, 1972) autorstwa obojga małżonków i *Anglicy* (Książka i Wiedza, 1974), firmowani tylko przez Ewę Boniecką. Autorstwo nie jest tu zresztą rzeczą istotną. Tworzenie literatury nie jest celem Interpressu, wymienione publikacje nie są literaturą, a ich autorzy są po prostu wykonawcami określonych zleceń, którym w sferze władania „Wielkiego Brata” nadaje się miano „zamówienia społecznego”. Można by zabawiać się w detektywistyczną scholastykę i dociekać, co naprawdę napisali autorzy, co im skreślono, co zmieniono, a co dopisano. Można by też szukać autorskiego alibi, jakim w PRL dysponuje każdy pisarz od specjalnych poruczeń, jak np. Czechowicz: a to że strona 41 złożona po przekątnej i przyłożona do analogicznie złożonej strony 14 tworzy w pierwszej linijce rewolucyjne zdanie STALIN TO DUPA; albo że pozytywny bohater ma 33 zęby i wskutek tego jest osobą niemożliwą ze względów technicznych; albo najprościej, że autor, pisząc co mu kazano, odmawiał litanie do Matki Boskiej... Tego rodzaju metafizyka bawiła 20 lat temu i dawniej, ale już nie dzisiaj. Nie ważne co pisali Bonieccy, co Zenobia Miller (redaktorka *Polskich Spotkań*), co Bogdan Bero (redaktor *Anglików*), a co sam ambasador Piłotowicz — ważne są wytyczne, które określają obraz Anglii i Polaków w Anglii, przekazywany społeczeństwu polskiemu.

Zacznijmy od Polaków na Wyspach. Podobno kurs w stosunku do nich został zmieniony, unowocześniony, wypoliturowany na wysoki połysk. Słyszy się na ten temat wypowiedzi oficjalnych drobnych rybek, wspominają to i Bonieccy: „Dążenie do odprężenia w stosunkach międzynarodowych, wyciszenie ostatnich elementów zimnej wojny ma również kapitalne znaczenie

dla polepszenia klimatu między Polonią a Macierzą. Wiele faktów wskazuje na to że pogrudniowe zmiany w Polsce będą również miały pomyślny wpływ...".

„Kraj nie musi kaptować Polonii i nie robi tego”, piszą Bonieccy. A jednocześnie połowa ich książki to właśnie nic innego, jak najzwyczajsze staroświeckie kaptowanie za pomocą nadawania sztucznego rozgłosu, drobiazgowego opisywania pseudodokonań emigracyjnych bohaterów pozytywnych, których jedynym tytułem do sławy jest wysiadywanie w konsulacie PRL i jego przybudówkach.

Bonieccy stosują technikę indywidualną — dziesiątki życiorysów, przeważnie nieciekawych, przeważnie takich samych, przeważnie bez żadnej pointy. (Choć może? To ciągle powtarzanie zwrotów typu „chłopak przeszedł z rodzicami szlak armii Andersa” może być owym alibi, przypomnieniem o martyrologii Polaków w Rosji w latach 2-iej Wojny). Natomiast, w kompletnej zgodzie z dawną linią, ignorują angielskich Polaków w ich aspekcie zbiorowym. Nie zauważają więc *Dziennika Polskiego*, *Wiadomości*, partii politycznych (z których każda, nawet najmniejsza i rozbita na czworo, jest ciągle większa niż wszystkie przyambasadowe organizacje razem wzięte); Stowarzyszenie Polskich Kombatantów to dla nich tylko budynek.

W wydanych przeszło 20 lat temu *Zielonych Oczach* St. Maciekiewicz dał obraz emigracji, który jeszcze dziś lepiej trafia do czytelnika, niż to co piszą Bonieccy.

Już nie gomułkowszczyznę, a staroświecki stalinizm przypominają wszystkie wypowiedzi, dotyczące historii emigracji. Wzory przywódców emigracyjnych, którzy 30 lat temu wyrządzili nieopisaną krzywdę masom żołnierskim nie namawiając ich do powrotu do Polski i teraz chodzą przygięci brzemieniem tej krzywdy, zostały opracowane chyba jeszcze za czasów tow. Radkiewicza i — jak świadczą *Polskie Spotkania* — ciągle jeszcze służą. Przy okazji charakterystyczny błąd rzeczowy: E. Racyński przedstawiony jest jako „ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Wielkiej Brytanii w latach 1934-1944” (powinno być: 1945). Czy to tylko gorliwość Interpressu, czy już ogólnie obowiązująca poprawka do historii?

Tym samym celem — porachunkom z czasów stalinowskich i pośredniemu wybielaniu Stalina — służy niezwiązana tematycznie z resztą książki część VI „W oczach tubylców”. Rozdziałek „Cienie Gruzji”, należący do tej części ma 7 stron, z czego jedną zajmuje fragment wiersza *Kufer* Wierzyńskiego; dwie — cytat o rozbiciu ośrodków politycznych, wzięty z książki *Polacy w Wielkiej Brytanii* Czaykowskiego i Sulika; dwie i pół — cytat z pseudoemigracyjnej (finansowanej przez ambasadę PRL) publikacji opisującej spór gen. Andersa z płk. Czarneckim. Reszta to odpowiednie zdania łączące i dziesięć linijek zakończenia, zaczynającego się tak: „Anglicy patrzą na to wszystko z pełnym wyniosłości wyrozumiałym znudzeniem”. Anglicy aż do znudzenia czytający Wierzyńskiego (w oryginale?) i informowani (przez angiel-

ską prasę, telewizję?) o sporach w łonie polskiej grupki, to rzadki nonsens. Ale potrzebny on był po to, aby wrzucić, jak Piłata w credo, zdanie że „antyradzieckie wystąpienia niektórych polityków polskich na Zachodzie” były szkodliwe dla samych Polaków. Chodzi oczywiście o lata 1943-1944.

Ale tak w ogóle, jeśli pominąć (o ile można — wyrzucić) tzw. treść główną książki, to niewątpliwie podstawowa teza *Polskich Spotkań*, zawarta we wstępie i zakończeniu, jest słuszna. Emigracja nasza była zjawiskiem jednorazowym, niepowtarzalnym, mało skalowym i przechodzącym już w przeszłość. Cyfry przytoczone przez Bonieckich za angielskimi spisami ludności z lat 1951 i 1961 mówią więcej, niż całe strony mowy-trawy. Warto je tu przytoczyć, uzupełniając je dostępnymi dopiero od kilku miesięcy danymi ze spisu 1971 roku:

Osoby urodzone w Polsce zamieszkałe w Wielkiej Brytanii

Spis 1951 roku	162.371 (w tym w Londynie 53.638)
Spis 1961 roku	127.846 (w tym w Londynie 44.794)
Spis 1971 roku	110.920 (w tym w Londynie 32.505)

Można dodać, że według spisu z 1971 roku 85 % Polaków i 70 % Polek miało lat 45 i więcej, a więc dzisiaj — 49 i więcej.

(Uwaga metodologiczna. Aktywista propagandowy nie musi umieć liczyć, więc u Bonieckich ilość Polaków w Anglii wyraża się milionami nie tysiącami, a spadek ilości Polaków w Londynie w dekadzie 1951-61 uznają oni za wzrost. W rzeczywistości wzrosł uległ procentowy udział Polaków londyńskich w całości ludności polskiej w Anglii).

Przyjęcie tezy o substancjalnym skończeniu się emigracji nieuchronnie prowadzi do wniosku, że stracił rację bytu krajowy aparat do walki z emigracją. Potrzebna jest rzeczywiście nowa linia, polegająca m.in. na tym, że Bonieccy i in. zostaną posłani do pracy, np. w dystrybucji, a lasy, które do tej pory niszczone na drukowanie ich książek, zostaną otoczone opieką.

◆
Anglicy zbudowani są według prostej recepty: dać obraz w miarę zbalansowany, trochę światła, trochę cienia, nieco dobrego, nieco złego. Wykonanie przypomina ów pasztet z zająca, na który wzięto jednego zająca i jednego konia. Złe w Anglii są warunki życiowe, mieszkaniowe, gospodarka, polityka, szkolnictwo, bezrobocie, ucisk UB (tak jest, po angielsku *Security Service*); dobre — sztuki teatralne i telewizyjne, które Ewa Boniecka widziała swego czasu w Anglii.

Co się tyczy konia, czyli ciemnych stron życia w Anglii, Boniecka stosuje wypróbowaną już w *Polskich Spotkaniach* metodę *pars pro toto* czyli wyciągania ogólnych wniosków z pojedynczych wypadków. Ale o ile tam mamy do czynienia z homogenicz-

ną grupą, a indywidualne rozmowy odnoszą się głównie do uczuć i nastrojów, to tu służą one do podania informacji rzeczowej, którą na szczęście mamy już gdzie indziej (np. w *Rocznikach Statystycznych GUS'u*). Dlatego wrażenie, że ma się w ręku publikację propagandową starego stylu, starającą się przekazać nakazaną ideę za pomocą szeregu prymitywnych kłamstw, jest przy czytaniu *Anglików* znacznie silniejsze. Możliwe, że kłamstwa te są niekiedy niezamierzone. Bonieccy, ich redaktorzy i wydawcy nie są „numeryczni”, a *Anglicy* poruszają się w dużej części na terenie technicznym, gdzie dominuje ekonomia i statystyka. Ponieważ Bonieckiej i reszcie dyscypliny te wiszą nacią od pietruszki, więc powstają duże ilości błędów. Błędy te można podzielić na trzy kategorie.

Do pierwszej należą proste niedopatżenia, nie mające wydźwięku politycznego, a wynikające z lenistwa czy niechlujstwa autorki. Przykłady: Fotografia hotelu Hilton, pod nią podpis „Nowoczesne budownictwo zaczyna wypierać parterową zabudowę — luksusowy blok mieszkalny w Londynie”. Inna fotografia pokazuje nocną budkę z herbatą dla taksówkarzy i autobusiarzy, a podpis mówi „W londyńskim pubie”. Wzmianka o katastrofie obsunięcia się hałdy na szkołę i śmierci 130 dzieci umiejscawia ten wypadek w Aberdeen, 750 km od miejsca, gdzie się w rzeczywistości wydarzył.

Do błędów należy zaliczyć wypowiedzi na tematy, których autorka nie rozumie, ale o których — przez chucpę czy chęć nabicia linijek, ale nie dla celów politycznych — mówi, np. tak: „...wiele olbrzymich gmachów w centrum Londynu, jak słynny wieżowiec Centre Point, stoi latami pusty, gdyż właścicielom bardziej opłaca się taka lokata kapitału, niż wynajmowanie pomieszczeń użytkownikom. Ceny budynków tak szybko idą w górę, że puste przynoszą większe zyski”. A oto odmiana tej samej kategorii w dziedzinie czysto językowej: „Od przeszło już dekady z okładem Londyn cieszy się...”.

Najliczniejsza i najważniejsza jest jednak trzecia kategoria błędów. Należą do niej błędy zamierzone, a więc fałszywe i kłamstwa. Dla ich wyjaśnienia i poprawienia trzeba by napisać *Anglików* na nowo. Poniżej zaledwie kilka poprawek do tez zawartych w *Anglikach*.

Studenci (str. 184-6) nie podlegają „testom ubóstwa”. Wysokość stypendium zależy od dochodu rodziców. Przy dochodzie przekraczającym 5.000 funtów rocznie stypendium znika. Metodę tę wprowadzili socjaliści, dla których ściąganie pieniędzy od bogatych studentów było jedną ze „świętych krów” wyborczych; konserwatyści byli i są przeciwni różnicom w stypendiach. Student może uniknąć „testu” przez usamodzielnienie się, tzn. przez zrobienie rocznej przerwy między ukończeniem szkoły średniej a zaczęciem studiów. Student otrzymujący stypendium nie płaci czesnego.

Dodatki rodzinne (str. 147) płatne są dla wszystkich rodzin, nie tylko dla „najniższej zarabiających”. Rząd konserwatywny nie

uwarunkował ich przyznania „skomplikowanym systemem testów, określających stopień tej nędzy”. Szczególnie niskie kłamstwo, spotęgowane ciągłym używaniem słowa *nędza* gdy kontekst wymaga słowa *bieda*.

Przy opisie specyficznej sytuacji nie można dawać komentarza *explicitie* wskazującego na powszechność tej sytuacji. Oto metoda Bonieckiej (str. 121): „Mały angielski domek nie lubi ukazywać wnętrza. Stąd pospieszny przechodzień nie zgaduje, że jest ono często żałośnie stare, zniszczone, pozbawione ogrzewania, nowoczesnej kanalizacji i urządzeń sanitarnych. Po wejściu do tej małej fortecy okazuje się, że na górze w pokoju mieszka młode małżeństwo z dzieckiem, frontowy pokój zajmują trzy studentki, a dla miłych państwa S. pozostaje do dyspozycji ciemna sypialnia od podwórza”. Obiektywne dane (vide *Rocznik Statystyczny GUS'u*) wskazują, że przeciętny Anglik ma więcej przestrzeni mieszkalnej, niż mieszkaniec jakiegokolwiek innego kraju w Europie.

Bezrobocie jest wielkością wymiarną. W czasie pobytu Bonieckiej w Anglii nie istniało ono, tzn. ilość miejsc wolnych przekraczała ilość zarejestrowanych bezrobotnych. Ani wtedy, ani dziś, nie było „bezrobotnych górników walijskich”. Fotografia z podpisem „Ten stary człowiek zarabia na życie noszeniem po ulicach Londynu ogłoszenia firmy fotograficznej” jest kłamstwem — starzy ludzie mają zapewnione „życie” w systemie opieki społecznej. Jeszcze większym kłamstwem jest zdanie, że „wobec pogłębiającej się w świecie zachodnim inflacji dochody robotnika angielskiego są coraz niższe” — w rzeczywistości inflacja ma źródło w nieumiarkowanych podwyżkach płac robotników; gdy ceny rosną po 20 % rocznie, a zarobki robotników po 30 %, robotnicy ci stają się warstwą uprzywilejowaną.

Przegląd „błędów zamierzonych” zawartych w *Anglikach* daje wyobrażenie o linii propagandowej w Polsce w stosunku do Anglii. Chodzi o przedstawienie tego kraju jako niewiele różniącego się od PRL. Podobny brak mięsa (osoby spotkane przez Boniecką zazwyczaj jedzą mięso raz na tydzień), brak mieszkań, angielskie UB rozciąga nad wszystkim swe złowieszcze macki tak samo jak polskie UB w Polsce, telewizja angielska, tak jak polska, daje „produkcyjniaki, gloryfikujące piękno ludzkiej pracy i prezentujące moralne wzorce zachowania się w społeczeństwie”.

Anglicy przeznaczeni są dla społeczeństwa polskiego w kraju. Przypuszczalnie efekt tej publikacji będzie odwrotny od zamierzonego, a zgodny ze zdrowym rozsądkiem. Społeczeństwo uzna tę książkę za to czym jest — za chałą lub cegłę. Bo te parę tysięcy „krajowców”, które przyjeżdża co roku do Anglii (por. *Polskie Spotkania*) utrwaliło w Polsce sławę Anglii jako kraju, w którym można każdej chwili dostać pracę i za trzymiesięczne oszczędności kupić sobie samochód. A więc znów linia okazała się niewłaściwa, i tylko niepotrzebnie wycięto ten las.

Bohdan BRODZIŃSKI

Polak wieczny tułacz

Dedykacja: „Książkę tę poświęcam mojej towarzysze życia, adiustatorce i korektorce, która kiedyś, bardzo dawno temu, dała się oczarować na dzieciennym balu — osiołkiem”.

Liebert wspomina* swoje wczesne dzieciństwo: Moskwa, pierwsze dziesięciolecie dwudziestego wieku. Ojciec — zamożny inżynier-górnik, dwie szramy na czole (niepowstańcze), rzucił pracę w prowincjonalnym Królestwie. Polska dzielnica w Moskwie: bogata burżuazja, wolne zawody, trochę średnio zakamuflowanych patriotów. Kościół, francuska szkoła dla dziewcząt *Sacré Cœur*, dom parafialny. W domu parafialnym: biblioteka, czytelnia, sala teatralna, druż Bobrowski. Klub patriotyczny zakonspirowany pod nazwą Towarzystwo Śpiewacze Lutnia. W klubie z nazwisk znanych: Lachman, Remigiusz Napiórkowski. Dziecko obserwuje wrony przelatujące nad kościołem. Złowróbne ptaki będą mu odtąd towarzyszyły w zwrotnych punktach życia.

„Dom nasz prowadzony był całkowicie po polsku, służba sprowadzana z Warszawy, kontakty z Rosjanami minimalne i wyłącznie w związku z interesami ojca”. Ale pieniądze były rosyjskie, zresztą w Królestwie też.

Może to wina literatury współczesnej, opisów dzieciństwa erotycznych i groźnych, że sposób w jaki Liebert formułuje swoje wspomnienia wydaje się mdławy, pośpieszny, sztucznie udzieliniony:

„Kiedyś podsłuchałem rozmowę starszych, że czarnowłose Cyganki tańcząc trzęsą biustem, więc próbowałem przed lustrem w łazience także trząść biustem, ale z tego nic a nic nie wyszło”.

Jest Liebert człowiekiem, który kilka razy opuszczał miejsca swojego życia, umykając z jednej zawieruchy w następną, zaczynając za każdym razem od nowa, za każdym razem mniej zabierając z poprzedniego życia. Może dlatego tak razi infantylizm stylu i konserwatyizm myślenia.

Co w tej książce, pisanej na prywatny użytek, jest pasjonujące, to opis bogactwa przedrewolucyjnej Moskwy i mieszczańskiego dostatku. Niedyskretny czar burżuazji; w lecie wyjeżdżało się na daczę, z daczki do Warszawy, „... a potem dalej na zachód, do Biarritz, do Ostendy, albo nad Jezioro Lemańskie, gdzie miałem pozostać z mamą; do późnej jesieni”. Przypomina mi to sowiecki film według „Anny Kareniny”, z którego pamiętam tylko bufet dworcowy w Skierniewicach, z wyfraczonym kelnerem i półciami różowego łososia. Liebert opowiada o podróży w wa-

gonie sypialnym, gdzie w przyległych do przedziału łazienkach stały posrebrzane nocniki:

„Syci wrażeń zasnęliśmy wreszcie. Ranek jest nieprzyjemny. Mama budzi się z migreną, to bukiet z tuberozami zaczął się w nocy”. To musiało się skończyć rewolucją.

W Warszawie odwiedza się dziadków, dostrzega drastyczną różnicę między bogactwem metropolii i biedą głównego miasta podbitej prowincji. Mały Liebert, oprowadzany przez kuzynów po zdegradowanej stolicy, dowiaduje się, że tu dzieci nie bawią się w „kozaków i rozbójników” ale w „porwanie Kurcewiczówny przez Bohuna”. Kino nazywa się bioskop...

Liebert senior — o którym, jak i o siostrze autora stanowczo w książce za mało — przypomina trochę bohaterów opowiadań Żeromskiego i pokątne postaci Dąbrowskiej. Jest inżynierem z duszą finansisty i rolnika-estety. Odkupiony majątek na Mazowszu, Łęki, urządza na modłę zachodnią. O Łękach opowiada autor ciekawie i na moment odrobina dekadentyzmu zabarwia życiem tę książkę; zarządca, pan Fredzio, popełnia samobójstwo, jego siostra Lina narkotyzuje się eterem nad pobliskim stawem.

Pierwsza światowa psuje trochę mieszczańską idyllę, lecz uaktywnia ducha. W Moskwie powstaje polska szkoła, kierowana przez ojca autora, organizuje się pomoc dla polskich jeńców wojennych (tych z niemieckiego zaboru), uczestniczy w seansach spirytystycznych na Krymie. Wreszcie przychodzi dzień, w którym pijany portier mamrocze przekleństwa na cara, dotychczasowe „słoneczko Rosji” i „naszego dobrego batiuszkę”. *Tous comme chez nous...* W Moskwie powstaje polski teatr:

„Nie upłynęło miesiąca, jak w Domu Polskim i my, Polacy, także zaśpiewaliśmy naszą pieśń rewolucyjną. Nie była to 'Marsylianka' ale 'Warszawianka', odśpiewana na stojąco przez całą publiczność premiery sztuki Wyspiańskiego, zabronionej dotąd przez cenzurę, a teraz wystawianej przez Marię Mirską na cześć niepodległej Polski”.

Tymczasem tymczasowy rząd księcia Lwowa nadaje Polsce tymczasową niepodległość. Rodzą się kontrowersje na temat tworzącego się wojska polskiego. Podczas ostatnich rosyjskich wakacji rodziny Liebertów powiada woziwoda, diadzia Lawon z nadwożańskiej wsi:

„Ot, zobaczycie, car nasze słoneczko, rozmyśli się. Ludzie przyjdą do Carskiego Sioła, czapki zdejmą, pokłonią się nisko i poproszą, żeby panował nam dalej na sławę i strach wrogom. A jakby się nie zgodził... — Tu nasz Sokrates zamyslał się na dłuższą chwilę [...] — to dobry Bóg ześle nam innego samodzięczę na radość prawosławnego narodu”.

Zesłał.

Potem rządy Kiereńskiego, inflacja i zabawna opowieść o genezie sowieckiego pisma satyrycznego. W zaraniu rewolucji śpiewano w Moskwie sprośną piosenkę o głodnej Krokodylicy:

* Wacław Liebert, *Wrony nad Moskwą*, Londyn, PFK, 1974, str. 233.

„Choć głupia — pisze Liebert — piosenka ta przetrwała całą rosyjską rewolucję, nasiąkając z czasem akcentami politycznymi przez konfrontację Krokodylicy z tak zwanym 'społeczeństwem burżuazyjnym'. A gdy nazwała się już krwi 'kapitalistów', narodziła bękartą w postaci oficjalnego pisma satyrycznego pod nazwą 'Kraakadii' czyli krokodyli”.

Ach, te cudzysłowy!

Potem rewolucja, Nadzwyczajna Komisja z Radkiem i Dzierżyńskim (w książce zdziwienie, że Polacy zajmują się takimi rzeczami), pierwsze egzekucje na Łubiance, głód, rewizje. Narrator kończy szesnaście lat, matka likwiduje mieszkanie, rozbija bezcenne omszałe flaszki alkoholu, żeby nie wpadły w ręce bolszewików. Wagonami Czerwonego Krzyża wraca rodzina Liebertów do Niepodległej. Potem wojna. Potem po wojnie. Znowu wyjazd:

„A potem przyleciały nad Polskę znajome wrony znad wież kremlofskich i obsiadły dymiące ruiny. I trzeba było znowu uciekać w nieznaną i nie oglądać się nawet za siebie, pozostawiając za sobą wszystko, wraz z całym dotychczasowym życiem. Raz jeszcze trzeba było zaczynać od początku. Tyle że tym razem nie było już obciążenia żadnym bagażem [...], zaś na szerokim świecie nie czekał nikt bliski. Osiało się wśród obcych, zupełnie obcych, nie rozumiejących nawet po cośmy uciekali, przed czym i dlaczego”.

Są na to dwa sposoby: próbować wytłumaczyć i starać się zrozumieć tych, wśród których żeśmy osiedli.

Janina KATZ-HEWETSON

Krajowe nowości wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

PRASOZNAWSTWO

SZOSTAKOWSKI, Stanisław: *Z kart Wielkiej Emigracji*. Prasa obozu arystokratyczno-konserwatywnego w latach 1832-1848. Olsztyn, 1974, Pejezierze, str. 297, bibliografia, streszczenia w językach francuskim i angielskim.

Autor książki, marksista, deklaruje wielokrotnie negatywne podejście do tematu. Terminologia, której używa, utrudnia i zaciemnia lekturę, bo nie zwykliśmy dzielić Wielkiej Emigracji na członków „obozu arystokratyczno-konserwatywnego” (reakcjonistów) i odłamu „burżuazyjno-demokratycznego”, którego przedstawicielami są np. Lelewel czy Worcell. Czartoryski + Chłopiczki + Skrzynecki contra Lelewel i kluby. Trudno o dalej idące uproszczenia!

Z deklaracjami tego typu kłócą się liczne inne stwierdzenia autora. Pisze np. niewątpliwie rozsądnie, iż „w warunkach niewoli wszelka niezależna myśl narodowa i nieskrępowana cenzurą twórczość kulturalna mogły znaleźć odbicie jedynie na łamach prasy wydawanej poza krajem”. Prasa stanowiła dla emigrantów platformę „deklarowania poglądów” i „dokumentowania swego bytu politycznego” — była ponadto łącznikiem pomiędzy „wygnańcami” rozrzuconymi po zakładach na prowincji francuskiej i poza Francją.

Jako kryterium doboru pism „obozu arystokratyczno-konserwatywnego” przyjął Szostakowski stosunek wydawców do spraw agrarnych oraz dróg i sposobów odzyskania niepodległości. Wytypował w ten sposób 15 pism w językach: polskim, angielskim i francuskim, co oznacza, że włączył ryczałtowo potraktowane wydawnictwa propagandowe. I tu znów niekonsekwencja: zasadniczy plan propagandy wśród obcych uważa autor za pozytywny: pisma w językach angielskim i francuskim, które pojawiły się najwcześniej „informowały czytelników o tragedii narodu polskiego, przypominały jego dzieje i kulturę — popularyzowały jak umiały sprawę polską na terenie międzynarodowym”. Co więcej: prasa „prawicy” „wniosła swój własny, oryginalny wkład w życie emigracji w latach 1832-48”.

Piętnaście pism objętych opracowaniem to: „Polonia or monthly reports of Polish affairs” (1832), „The Hull Polish Record” (1832), „The Polish Exile” (1833), „Souvenirs de la Pologne” (1833), „Feniks” (1833), „Le Polonais” (1833), „Magazyn powszechnych wiadomości użytecznych i ciekawych” (1833), „Kronika Emigracji Polskiej” (1834), „Kraj i Emigracja” (1835), „Rocznik Emigracji Polskiej” (1836), „Wiadomości Krajowe i Emigracyjne” (1837), „Młoda Polska” (1838), „Skarbiec Historii Polskiej” (1839), „Trzeci Maj” (1839) i „Dziennik Narodowy” (1841). Towarzystwo wysoce niezgrane, bo pisma obcojęzyczne dzieli przepaść od „podstawowych organów ideologicznych i polemicznych czartoryszczyzny” tj. „Kroniki Emigracji Polskiej”, „Kraju i Emigracji” i „Trzeciego Maja” czy „Młodej Polski”.

Jeśli nawet przyjmujemy, że większość wymienionych wyżej pism korzystała z pomocy Hotelu Lambert lub służyła jego celom, trudno udowodnić ich „arystokratyczność”. Autor jest w tym określeniu obsesyjnie rozkochany. Ubawiłoby to niewątpliwie głównych protagonistów działalności politycznej, ofiarnych służebników sprawy narodowej, w życiu prywatnym często do przesady skromnych i oszczędnych a w sprawach publicznych zdobywających się na daleko posuniętą bezstronność i dających temu wymowne świadectwo przez powierzanie odpowiedzialnych misji pozornym przeciwnikom politycznym, na co pamiętniki Jeża czy Janowskiego dostarczają wiele przykładów. Tendencje monarchiczne nie były, z czego autor zdaje sobie zresztą sprawę, narzucane przez Hôtel Lambert, ale wychodziły od dołów, od potomków szaraczkowej szlachty, która dawniej oblegała wielkopańskie pałace a we Francji chciała się przypodobać „Księżciu Adamowi”. Zwolennikami monarchii byli ponadto ówczesni legaliści, wychodzący z założenia, że konstytucja 3 Maja nie obaliła monarchii i zgodnie z wytycznymi ideowymi „prawicy” głoszący hasło „Pierwej być a potem radzić jak być potrzeba”. Hasło to atakuje Szostakowski najostrzej, widząc w nim formę uchylania się od jasnego postawienia sprawy przyszłej struktury Polski. Jeśli zdarzy się, że poglądy na kwestie społeczne nie są bynajmniej tak reakcyjne, jak odpowiadałoby to założeniom autora, zbywa je określeniem „liberalistycznej frazeologii”.

Autor doliczył się 15 pism. W Nr. 1/1975 nowojorskiego kwartalnika *The Polish Review* prof. Zygmunt Wardziński opisał odkryty ostatnio nowojorski magazyn ilustrowany pt. „Poland” z roku 1842. Był to, jak się zdaje, amerykański odpowiednik „Souvenirs de la Pologne”.

Pisma, omówione w książce Szostakowskiego, nie wychodziły równocześnie

nie, ale się raczej miały, i nie odznaczały się długowiecznością. Rekordowe okresy wychodzenia nie przekroczyły 10 lat. Tu nasuwają się ciekawe analogie z czasopismami naszej Emigracji. Wiele z nich pochłubić się może znacznie dłuższymi okresami ciągłości i to bez pomocy możnych mecenasów. Inne analogie nasuwają tematy artykułów i dyskusji a nawet listów do redakcji, które już wówczas były ulubioną formą wypowiedzi umysłów bardziej niezależnych.

Najciekawiej rysuje się sprawa stosunku prasy emigracyjnej do Kraju, której omówieniu poświęcone jest wiele miejsca. W rozdziale pt. „Emigracyjna prasa konserwatywna a kraj” nową niespodzianką jest oświadczenie autora, iż „literatura emigracyjna bogactwem swych treści i liczebnością pozycji przekraczała potrzeby życia wewnętrznego emigracji, służyć miała i na ogół służyła krajowi”. Dla poparcia swych wywodów przytacza piękną cytate wyłuskana z historii Wielkiej Emigracji Gadona: wydawnictwa emigracyjne — pisze Gadon — „witaliśmy jak zesańców sfer lepszych a kryliśmy się z nimi jak ze zbrodnią jaką... Książki krążyły z rąk do rąk... szły dalej — do Moskwy, Petersburga, Dorpatu... Kiedy egzemplarz wydany w Warszawie lub Wilnie trafił do jednego lub kilku czytelników, to książka polska drukowana w Paryżu miała ich sto, miała ich dwieście. Nieraz ten co ją przewoził, lub co ją posiadał, szedł do więzienia lub na wygnanie; ale i tam nawet, do głębi Rosji i dalej, iście cudownym sposobem dolatywały te kartki od braci znad Sekwany”.

Dla pełni obrazu podaje Szostakowski ciekawe dane o przemycie i sposobach rozpowszechniania książek i czasopism emigracyjnych. Dużą rolę odegrały tu księgarnie takie jak np. Lipska Brockhousa; żywym ośrodkiem kolportażu wydawnictw paryskich był Wrocław. „W granice Rzeczypospolitej Krakowskiej przywozili je tzw. grossfurmani, trudniący się przewozem towarów między Krakowem, Wrocławiem i Lipskiem. Niekiedy książki i pisma umieszczano w opakowaniu innych towarów, na przykład beli materiału” a następnie rozprowadzano za pośrednictwem małych kramików żydowskich na Rynku (krakowskim) i na placu świętego Ducha”. We Lwowie — pisze Szostakowski — „do dobrego tonu należało posiadanie szkatułki z podwójnym dnem na wydawnictwa tajne”. Że, jak w czasach obecnych, nie były to niewinne igraszki świadczą aresztowania i wyroki skazujące na karę więzienia za kolportaż wydawnictw emigracyjnych. Różnie zresztą się działo w każdym z trzech zaborów. „Pochwycenie pisma emigracyjnego pod panowaniem rosyjskim — pisze Szostakowski — opłacało się Sybirem i cytadelą, w Galicji za podobne grzechy pokutowało się kryminałem lwowskim”, a w Poznańskim kończyło się przeważnie na konfiskacie przemytu. Tam też spływały najszerszym strumieniem owe nielegalne druki. Ze spełniły swoje zadanie i że w jakimś stopniu przyczyniły się do awansu tamtej Emigracji na Wielką — to już inna sprawa!

Kończącą osobliwością książki Szostakowskiego są obcojęzyczne streszczenia, z których wyłania się obraz bardziej wyważony i bliższy prawdy niż z tekstu polskiego zapaskudzonego dziwolągami, których przykładem jest np. zdanie ze str. 22: „Powstańczy demokracy — to szlachetcy rewolucyjniści grupujący się głównie wokół Tow. Patriotycznego i działający w sojuszu z drobnomieszczaństwem”. Niektóre fragmenty książki należałoby przetłumaczyć na normalną polszczyznę.

HISTORIA LITERATURY

EUSTACHIEWICZ, Lesław: *Między współczesnością a historią*. Warszawa, 1973. Instytut Wydawniczy „Pax”, 8°, str. 342 (2).

Ujęty zbyt ogólnie tytuł ukrywa przed czytelnikiem właściwy temat książki, będącej ambitną próbą nakreślenia obrazu literatury polskiej lat 1919-1939 na tle literatury światowej. Określenie autora: „swobodna gawęda o przedwczorajszych książkach” jest pomniejszeniem wyników jego pracy. Rezultatem jej jest — chyba po raz pierwszy w literaturze krajowej — uporządkowany, poszufladkowy zarys piśmiennictwa międzywojennego dwudziestolecia. „Piśmiennictwa” — bo znalazło się miejsce na omówienie tandety powieściowej z gatunku „Iwonki” czy „Dzikuski”.

Dwudziestolecie rozpada się u Eustachiewicza na dekadę powojenną, w czasie której dopala się wielka literatura okresu Żeromskiego, i okres narastania niepokojów i przewidywania nowej katastrofy. W poezji jest to naprzód bezapelacyjne panowanie „Skamandra” a następnie wyłanianie się grup opozycyjnych z Pierwszą Awangardą na czele. W imaginacyjnej antologii przewijają się ważniejsze grupy literackie: „Zdrój”, „Kwadryga”, łódzki „Meteor”, wileńskie „Żagary”, poznański „Prom”, ostrzeszowska „Okolica Poetów”, „Czartak”, „Zwrotnica”, lubelski „Reflektor” — z krótkimi charakterystykami programów artystycznych i wskazaniem najwybitniejszych indywidualności twórczych.

Eustachiewicz wydobywa słusznie brak konfliktu między starymi a młodymi pisarzami we wczesnym okresie Niepodległości. Żeromski, Kasprzowicz, Staff byli autorytetami dla Skamandrytów — i tylko na drugim planie, wśród pomniejszych wierszokletów krzewiła się „liryka odchodzących — kłopotliwy produkt uboczny literatury”.

W omówieniu twórczości Skamandrytów Eustachiewicz słusznie podkreśla zasługę zbliżenia do języka potocznego i walkę z patosem. Tuwim jest dla niego przede wszystkim mistrzem słowa, poetą „przemieniającym życie w słowo”, Słonimski — „lirycznym moralistą”, Lechoń — wirtuozem, którego poezja jest „unerwiona widmami przeszłości, zapatrzona w narodową mitologię symboliki literackiej”, Wierzyński — po euforii młodzięcych porywów — „samotnym i tragicznym kontemplatorem zwierciadła historii”, o Iwaszkiewiczzu najmniej ma do powiedzenia, widzi w nim raczej prozaika, autora „wielkich płócien epickich i rzeźbionych z maestrią złotniczą nowel”. Poza rozdziałem o „Skamandrze” znaleźli się poeci, którzy byli czymś więcej niż satelitami grupy — a więc Pawlikowska (niedoceniona), Błakowiczówna (słusznie uznana za poetkę którą przyszłość „przeciwi”) i postawi bardzo wysoko, niedostrzeżony i prawie przemilczany Stanisław Baliński i Broniewski, który do niedawna figurował w podręcznikach szkolnych jako niemal najważniejszy Skamandryta.

Proza powieściowa Dwudziestolecia wybija się w opracowaniu Eustachiewicza, jako złoty rozdział w historii literatury, gdy każdy rok przynosił utwory dotąd powszechnie czytane i przedrukowywane, a więc powieści Dąbrowskiej, Nałkowskiej, Kuncewiczowej, Boguszewskiej, Gojawiczyńskiej, Szelburg-Zarembiny — plejady autorek, których twórczość nie ma odpowiednika w literaturze najnowszej — i przez długie lata przemilczanego Kadena-Bandrowskiego i dotąd ukrywanego przed czytającą publicznością Ferdynanda Goetla. Temu ostatniemu poświęcił Eustachiewicz ponad dwie strony, zatrzymując się dłużej przy „Sercu lodów” w przekonaniu, „że dla metody narracyjnego opisu u Goetla jest ona niezmiernie charakterystycznym arsenałem przykładów”. „Z dnia na dzień”, „powieść o pisaniu powieści” ocenia jako interesujący eksperyment w którym „powieść” przepłata się z fikcyjnym pamiętnikiem w sposób pełen finezji. Ani słowem nie wspomina Eustachiewicz o nadal trwającej znowie milczenia, której świadectwem jest brak przedruków powieści Goetla.

Niewspółmiernie szeroko potraktowana jest twórczość Zofii Kossak — pełne zastosowanie taryfy ulgowej z nadużyciem przymiotników „epicki”, „sugestywny” i śmiałym porównaniem z Sygrydą Undset.

W zgodzie z modą tropienia przyczyn powodzenia powieści „drugiej klasy” i lektur przedwojennego szarego człowieka Eustachiewicz omawia dość obszernie twórczość Morcinka, Jerzego Bandrowskiego, Wandy Miłaszewskiej i schodzi coraz niżej — do „Iwonki” i „Dzikuski”. Skoro jednak uwzględniony został Dołęga-Mostowicz, Marczyński i German, nie mówiąc o Ossendowskim, zastanawia i razi pominięcie Sergiusza Piaseckiego, którego „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”, sfilmowany niedawno temu we Włoszech, krąży dotąd w przekładach po całym świecie a w okresie debiutu autora był wydarzeniem nie tylko sensacyjnym ale i artystycznym.

To jedno z pominięć. Innym, jeszcze trudniejszym do zrozumienia, jest przemilczenie Mariana Czuchnowskiego i lakoniczność wzmianek o Wacławie Grubińskim i Herminii Naglerowej. Fakt, że działali na Emigracji nie tłumaczy tych luk, skoro znalazło się miejsce dla wielu pisarzy przebywających poza Krajem.

Zbyt pobieżnie i wyliczeniowo ujął Eustachiewicz twórczość debiutantów lat trzydziestych, którzy w pełni doszli do głosu już po wojnie, ale, jak np. Jerzy Andrzejewski w „Ładzie serca” dali coś więcej nad młodzieńcze ujawnienie talentu. W jeszcze wyższym stopniu odnosi się to do Gombrowicza, w którego dorobku „Ferdynand” oznacza osiągnięcie szczytowe. Prawda, że ta odkrywcza powieść została doceniona dopiero po wtórnym debiucie powojennym, ale już w roku 1938 była czymś więcej niż „prologiem narracyjnym”. Nie daje też Eustachiewicz podbudowy pod przyszłe, pośmiertne „przeceny” twórczości Witkacego i Brunona Schulza. Miłośz jest dla niego „w fazie juveniliów monumentalnych”, neoklasykiem, „o szerokim oddechu frazy poetyckiej”, członkiem wileńskich „Żagarów”.

Wreszcie, już tylko wzmianka, o przeplatających tematykę polską rozdziałach o literaturze światowej ze szczególnym uwzględnieniem autorów i utworów, odzywających się wyraźnym echem w Polsce. Próba nakreślenia takiego tła i umiejscowienia twórczości krajowej w obrębie literatury powszechnej była przedsięwzięciem śmiałym, może nad siły autora, choć erudycja jego budzi podziw a sumiennosc imponuje. Jako próba pionierska zasługuje na dobre przyjęcie. Jak i cała książka.

Pożytecznym uzupełnieniem opracowania jest indeks tytułów obejmujący około 2.000 pozycji.

PUBLICYSTYKA HISTORYCZNA

KARPIŃSKI, Wojciech i KRÓL, Marcin: *Sylwetki polityczne XIX wieku*: Maurycy Mochnacki, Kaliszanie, Hôtel Lambert, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński, Henryk Kamiński, Cyprian Norwid, Zmartwychwstańcy, Aleksander Wielopolski, Julian Klaczko, Stanisław Tarnowski, Włodzimierz Spasowicz, Michał Bobrzyński, Aleksander Świętochowski, Jan Ludwik Popławski. Przedmowę napisał Henryk Wereszycki, Kraków, 1974, Wydawnictwo ZNAK, 80, str. 126 (szkice) + str. 127-148 (informacje biograficzne i bibliograficzne + 16 portretów). (Pierwsze wersje szkiców ukazały się w *Tygodniku Powszechnym*).

Na książkę składa się 15 szkiców, z których pięć (o Mochnackim, Kamińskim, Norwidzie, Klaczce i Popławskim) napisał Wojciech Karpiński — dziewięć (o „Kaliszanach”, Hotelu Lambert, Zmartwychwstańcach, Wielopolskim, Tarnowskim, Spasowiczu, Bobrzyńskim i Świętochowskim) — Marcin Król i jeden (o Słowackim) Małgorzata Dziewulska-Król. W doborze tematów można doszukać się wyraźnej wspólnoty: jest nią analiza stanowisk politycznych publicystów XIX-wiecznych wybranych (zasadniczo) spośród „prawego” odłamu opinii. Intencją autorów szki-

ców jest doszukiwanie się wytycznych poglądów na problem narodowości, narodu i państwa, niezawisłości, reform społecznych i ekonomicznych, podniesienia i upowszechnienia oświaty — i stosunku do zaborców, przy czym — jak z doboru tematów wynika — będzie to przede wszystkim sprawa stosunku do caratu.

Fakt, że w gronie bohaterów szkiców znalazł się Słowacki, Krasiński i Norwid nie wypacza linii generalnej, gdyż interesują autorów jako publicyści polityczni, których formą wypowiedzi była poezja. Pominięcie Mickiewicza nie tłumaczy się jasno, choć trudno się powstrzymać od zacytowania znamiennej wypowiedzi Małgorzaty Dziewulskiej-Król w szkicu o Słowackim: „nasza największa poezja i publicystyka romantyczna narodziła się jako ekspiacja za wyjazd Krasińskiego z Polski w 1829, za wyjazd Słowackiego w 1830, za podpis Mickiewicza na dokumencie darującym mu karę, jaka była udziałem jego kolegów kosztem obietnicy lojalności, wreszcie za winę Mochnackiego, który załamał się w więzieniu”. Ów podpis Mickiewicza na dokumencie (gdzie ogłoszonym?) i niechęć do grzebania się w Mickiewiczianach rosyjskich mógł być zresztą przyczyną wtórną — gdyż główną jest negatywna postawa autorów w stosunku do mesjanizmu i licznych jego zwyrodnień tak wyraźnie dochodzących do głosu w politycznej publicystyce *Wieszca*.

Motywy zmiany poglądów, załamania się i błędów powraca wielokrotnie w szkicach. Cechą charakterystyczną — a zarazem zaletą szkiców — jest zajmowanie przez autorów zdecydowanego stanowiska i podejmowanie oceny poglądów. Trochę to młode czy młodzieńcze, ale w czasach nagminnie panujących obwiniania prawdy w bawelnę — bardzo odświeżające i odważne. Proteuszowa zmienność sądów Mochnackiego uzasadniona jest jasno: „rewolucyjne drogi były dla Mochnackiego tylko środkiem narodowej restauracji. Odbudowana narodowość — tylko najbardziej uchwytyną formą uczestnictwa w ogólnoludzkich wartościach. Dlatego tak rewolucyjny pisarz nie zagubił się w złudzeniu braterstwa ludów, dlatego tak narodowa publicystyka nigdy nie popadła w iluzję szepcowej jedności”.

Zagubił się natomiast Henryk Kamiński, wierzący w pewnym okresie w przywódczą rolę Polski w „słowiańskim zlewku” — i pozornie tak od niego daleki Wielopolski, który przegrał, gdyż zawiódł go nadzieje na potęgę i panowanie nad światem, które miały być osiągnięte „dzięki przyczepieniu się do ponoć łaskawego wroga”. I Spasowicz kierowany w swej działalności złudzeniem w dobrą wolę Rosji i nie dostrzegający „jej historycznego pędu ku realizacji absolutnych wartości, ku objęciu wszystkiego”. Zagubił się i Świętochowski, traktowany szczególnie surowo i niechętnie przez Króla, nie mogącego usprawiedliwić aż tak daleko idących „meandrów myśli politycznej”, które w etapie końcowym doprowadziły „posta Prawdy” do antysemityzmu. „Droga myślowa Świętochowskiego dostarcza też okazji do zastanowienia się — pisze Król — nad obiektywną potrzebą i celowością ograniczania się do pracy organicznej w zniewolonym kraju. Bo przecież nie jest zupełnie oczywiste ani bezsporne przekonanie, że wzrost oświaty, dobrobyt materialny i elementarna sprawiedliwość w kwestiach społecznych są wystarczającą gwarancją zdrowia społecznego i narodowego”.

W poszukiwaniu imponderabiliów przetrwania i doskonalenia się narodu obaj: Karpiński i Król zatrzymują się przy tradycji i wolności jako wartościach kluczowych. Kamińskiemu zarzuca np. Karpiński, że „zabrakło mu punktu odniesienia i drogowskazu, którym jest zrozumienie przekazanych przez historię wartości indywidualnych i ogólnych, narodowych i uniwersalnych”. Najpełniejsze ich wyczucie miał Norwid, którego „konserwatyzm jest opowiedzeniem się za wartościami stałymi, choćby były w sprzeczności z polityczną teraźniejszością”.

Waga przywiązywana do rodzimych tradycji ma wpływ na ocenę wzorów

obcych: tak więc „Kaliszanie” (Niemojowscy) zgrzeszyli w ocenie Króla tym, że kopiowali taktykę francuską w wierze w doktrynę Constant'a, „nie rozumiejąc, że uczestniczą nie w zmaganiach politycznych ale w dramatycznym starciu dwóch narodów, dwóch kultur”. Przetęteżowali. Błądził też Wielopolski, nie doceniający tradycyjnego przywiązania Polaków do wolności i niezawisłości. Znaczenie dziedzictwa przeszłości narodowej doceniał natomiast w pełni Stanisław Tarnowski: „Musimy czynem wpływać, by nie zaprzepaścić historycznie powstałych możliwości”.

Bardzo interesująco wypadł szkic Króla o „Hotelu Lambert”, jako „szkole polskich polityków” i symbolu ciągłości, „stałego punktu odniesienia” dla Kraju. Autor szkicu nie potępia, o dziwo, nawet tak często atakowanych tendencji monarchistycznych Czartoryszczyków, uważając że restytuowana monarchia byłaby „konsekwentnym i funkcjonalnym posunięciem”.

Współpraca autorów posunięta jest bardzo daleko. Karpiński włada lepiej piórem, Król zdaje się górować nad nim swobodą poruszania się po zaułkach polskiej problematyki politycznej XIX wieku — dalekiej zresztą od wyczerpania w wydanym obecnie tomie, bo gdzie Lelewel, Cieszkowski, Libelt, Rzewuski, Mierostawski itd., itd.? Obaj, może nieświadomie zdają się nawiązywać do „Rodowodów niepokornych” B. Cywińskiego, i jak on, torują drogę radykalnej rewizji poglądów na wytyczne polskiej myśli politycznej XIX wieku, oglądanej dotąd zbyt często przez okulary mesjanizmu.

Zaletą książki jest jasność i zwięzłość wykładu wzmożona rozsądnym przesunięciem pełnych życiorysów do przypisów, co pozwoliło na koncentrację na kluczowych zagadnieniach. W sumie, jak słusznie to ujął prof. Wereszycki w przedmowie: „Autorzy spełniają zadanie jakie sobie postawili: mianowicie przybliżenie polskiej myśli politycznej XIX wieku młodszemu pokoleniu”.

SZTUKA KULINARNA

BEREZOWSKA, Maja; PRZYPKOWSCY, Stefania i Tadeusz; SAMOZWANIEC, Magdalena: *Żyłka za cholewą a widelec na stole*. Mała kulinarna silva rerum. Kraków, 1974, Wydawnictwo Literackie, 80, str. 94, ilustr., nakład 30.000 egzemplarzy, cena zł 40.

Wielka dawka snobizmu znakomicie obliczona na potrzeby duchowe przeciętnego obywatela PRL'u. Książeczka pseudobibliofilska, przeznaczona na prezenty i nadająca się do tego celu idealnie.

Zarówno rysunki Maji Berezowskiej jak i „staropolska” gawęda Magdaleny Samozwaniec o pannie Ochędżyńskiej, która A.D. 1736 zdobyła serce (?) Hieronima Świnki zupą cebulową à la Przypkowski i dwiema porcjami zrazów radziwiłowskich, wymagają stosowania taryfy ulgowej, bośmy już to wszystko i widzieli i słyszeli. Nawet zupa cebulowa, którą Sarmata z Jędrzejowa czaruje „etranżerów” jako swoim wynalazkiem kulinarnym, nie jest w 100 % nowością, bo w niezmiernie zbliżonej wersji figuruje w siedemnastym (a zapewne i wcześniejszych) wydaniu „Praktycznego kucharza warszawskiego” z roku 1903. Poważne zastrzeżenia budzi także przytoczone wyżej menu, w którym po zupie zagęszczonej przetartym chlebem razowym, figurują „zrazy radziwiłowskie” podawane w wydrążonych bochnach chleba razowego.

Staropolski pęczak (czy pęczak? — oto jest pytanie!) potraktowany został niezaskuszenie negatywnie. Zyskuje niezmiernie na smaku, gdy kupuje się go w złoczonej torebce za ciężkie eskudy w najwytworniejszym sklepie kolonialnym Lizbony, aby w najwykleszym krupniku wzbudzał nostalgię na miarę „Pana Tadeusza”.

Książeczce nadaje ton wstęp Tadeusza Przypkowskiego w stylu wańkowiczowsko-mackiewiczowskim. Straszliwym uzupełnieniem rysunków Berezowskiej są „dowcipne” wierszyki — od siedmiu boleści. (Lepiej ze po wierszykach a nie menu, bo wierszyków cudzoziemcy nie czytają a zrazami się ponoć delektują).

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Od Marxa do Alexa

„I have always thought the detective story a most diverting and ingenious variety of fiction, and have regretted that I never had the skill to write one”.

W. Somerset Maugham
(„Footprints in the Jungle”)

W Polsce, przed drugą wojną światową, tylko trzech autorzy specjalizowali się w pisaniu powieści kryminalnych możliwych do przyjęcia przez szanujących się wydawców. Nakłady ich utworów wahały się między sześcioma a dziesięcioma tysiącami egzemplarzy. Każdy z krajowej trójki pisał mniej więcej cztery książki rocznie, co w sumie dawało maksimum cyrkulacyjne do stu dwudziestu tysięcy. Drugie tyle ukazywało się w tłumaczeniu kryminałów zagranicznych, prawie wyłącznie z angielskiego i francuskiego. W związku z niskimi nakładami cena książki była wygórowana, wahała się około stu dwudziestu centów amerykańskich, podczas gdy tego rodzaju książka wydana w bogatej Anglii czy Francji kosztowała czterdzieści centów, czyli trzy razy taniej niż w biednej Polsce. Nic więc dziwnego, że głównymi odbiorcami były u nas wypożyczalnie oraz pewna mała grupa spośród lepiej zarabiających bibliofilów, wybrednych i mogących sobie pozwolić na tę stosunkowo kosztowną rozrywkę. Bo to trzeba jednak podkreślić: nawet klasyczna powieść kryminalna jest w pierwszym rzędzie rozrywką intelektualną i nie powinna pretendować do tytułu literatury w ścisłym tego słowa znaczeniu. Czyli: lekka beletrystyka — tak; *belles-lettres* — raczej nie.

W chwili obecnej można w Polsce naliczyć ponad stu autorów kryminalnych, wśród nich aż dwadzieścia kobiet; w tym ponad piętnaście wyspecjalizowanych, piszących regularnie. Wydają ich najpoważniejsze krajowe domy wydawnicze, z których prawie każdy ma dział kryminalny, poczynając od sekcji Ministerstwa Obrony Narodowej, poprzez poważny „Czytelnik”, i kończąc na serii „Z Krukiem” katowickiego wydawnictwa „Śląsk”. (Są to oczywiście przedsiębiorstwa państwowe). Przeciętnie, włączając wznowienia, ukazuje się trzydzieści tytułów rocznie, w nakładach około stu tysięcy, a więc w ogólnej cyrkulacji sięgającej

trzech milionów egzemplarzy. Cena kryminału w kraju wynosi około 50 centów amerykańskich. Jest ona niska dzięki wysokiemu zapotrzebowaniu czytelniczemu. Przed wojną wydawcy lepszych powieści kryminalnych byli czasami subsydiowani przez rząd. Natomiast w PRL literatura kryminalna jest biznesem w sumie bardzo dochodowym i doskonale żywi sama siebie.

Naturalnie, przy takim wzroście nakładów skierowanych do szerokich mas — przeciętny poziom tych powieści jest nieco niższy od przedwojennego, ale książka, choć wielokrotnie tańsza, nie jest jakościowo gorsza od zagranicznej; pod wieloma względami jest nawet na wyższym poziomie — często moralnie zdrowsza, mniej brutalna — nawet gdy miejscami nudniejsza. Czterdzieści procent ogólnego nakładu stanowią tłumaczenia z języków obcych, lecz nie z dwóch-trzech jak przed wojną, tylko z piętnastu, w tym ze wszystkich prawie języków europejskich włącznie z irlandzkim i fińskim, oraz z tak odległych jak kanadyjski, i chiński.

Pomimo zdegradowania rangi literackiej przez masową produkcję — oficjalna klasyfikacja brzmi: *usługi drugorzędne* — popyt ogólny wzrasta (nawet wśród klas tzw. inteligentnych), milionowe nakłady nie wystarczają i kryminały w Polsce są rozszarpywane. Wciąż ich brak. Wyrzębuje się skądś rozpadające się przedwojenne egzemplarze, na których antykwariusze, po małym zabiegu introligatorsko-kosmetycznym, robią kokosy. W poważnej prasie (*Kultura, Polityka, Życie Literackie*) pojawiają się rozważania znanych publicystów, próbujących analizować ten fenomen intelektualno-społeczny, tę zdumiewającą, nawet w skali światowej, poczytność. Co sięyczy nowości — to niektórzy recenzenci uskarżają się publicznie, że bez zaprzyjaźnienia się z pracownikiem dobrze zaopatrzonej księgarni, nie udaje im się dostać egzemplarzy nawet spod lady, a i wtedy po cenie bezczelnie czarnorynkowej. Taka to i przyjaźń.

Czym wytłumaczyć ten bujny rozkwit, ten wybuch popularności typu książki uznanej przez marksistowską pedagogikę społeczną za jeden z symptomów rozkładu społeczeństwa kapitalistycznego? Jest pewne, że to pytanie zadały sobie czynniki decydujące w Polsce — a także w Rosji, w Bułgarii, w Czechosłowacji czy w Chinach, oraz w innych krajach „demokracji” ludowej, nim, po latach doktrynalnego oporu, w Polsce dopiero w połowie lat 50-tych — udzieliły swego *placet* na taką masową popularyzację rodzaju literatury kwalifikowanego stosunkowo niedawno jako dekadentki, bezwartościowy, socjologicznie nierealistyczny, ba — wręcz szkodliwy na dłuższą metę. Co skłoniło odnośne komisje ministerialne do wydania redaktorom naczelnym i sekcjom finansowym poufnych instrukcji rozpoczęcia, z pieca na łeb, wydawania książek dla których określenia oficjalne encyklopedie i wszystkie poważne słowniki nareszcie udzieliły obywatelstwa wyrazowi „kryminał”, dawniej pogardliwemu, obecnie pełnoprawnemu.

Dla otrzymania odpowiedzi na to pytanie, dla zrozumienia tego zjawiska socjologicznego, trzeba zrobić krok wstecz, do historii — aby stwierdzić, że od zarania ludzkości masy i jednostki były zafascynowane sprawami sądowymi, przede wszystkim procesami o morderstwo. Dlatego chyba, że zabicie człowieka jest aktem nieodwracalnym i przeciwnym naturalnemu instynktowi samozachowawczemu — zarówno po stronie mordercy jak i po stronie jego ofiary. Za morderstwo grozi najwyższa kara: śmierć; lub o wiele gorsza: długoletnie pozbawienie wolności, wsadzenie człowieka do ponurej klatki, skazanie go na vegetację za kratami, na los biologicznie o wiele gorszy niż pobyt dzikiego zwierza w nowoczesnym ogrodzie zoologicznym.

Morderca zdaje sobie z tego sprawę i przeto prawie żaden inteligentny człowiek nie popełnia premedytowanego zabójstwa przy świadkach. Sprawcę trzeba przedtem wykryć, potem schwycić, wreszcie udowodnić mu zbrodnię — oto w paru słowach kwintesencja powieści kryminalnej. Kulminacją czynu zabicia człowieka jest proces karny w którym domniemany sprawca — nierzadko osobnik o nieprzeciętnej inteligencji — dosłownie walczy o życie. Dla widzów obecnych na procesie, gdzie przed rzadko głupim sędzią występują poważnie mądrzy i wyrafinowani oskarżyciele i obrońcy — taki spektakl jest więcej niż fascynujący. To surowiec życia — i widowisko trzymające w napięciu bardziej niż najlepszy teatr. Ale sala procesowa jest przestrzenią ograniczoną; poza tym normalnie pracujący ludzie nie mają czasu na wysiadanie w sądach, oprócz pewnych pań w szynszylach lub norkach. Istnieją wprawdzie sprawozdania prasowe — lecz te są najczęściej powierzchowne, fragmentaryczne, naturalnie subiektywne i pisane przez reporterów nie zawsze tak inteligentnych jak im się wydaje.

Nic zatem dziwnego, że już ponad dwieście lat temu niejaki François Gayot de Pitaval wpadł na zyskowny pomysł wydawania zbiorów dokładnych reportaży i sprawozdań sądowych z głośnych i ciekawych spraw kryminalnych. Opublikował dwadzieścia tomów nim umarł w 1743 roku, prawie dokładnie sto lat przed ukazaniem się pierwszej angielskiej klasycznej powieści kryminalnej, „The Woman in White”, pióra adwokata Williama Collinsa. Nazwisko pana de Pitaval, w polskiej transkrypcji „pitawal” przeszło też do naszych encyklopedii i słowników jako rzeczownik zbiorowy. A siedemdziesiąt lat temu inny entuzjasta i dobry szkocki handlowiec-wydawca, Mr Harry Hodge, począł publikować podobną serię reportażową w Anglii, jako po dziś dzień redagowane *The Notable British Trials*. Takie same cykle autentycznych opisów powstały w Niemczech i we Włoszech. Ale inteligentne morderstwa są *rare and far between*; zaś zaostrzone pitalami apetyty szerokich mas zaczęły domagać się bardziej regularnie dostarczanych opisów zbrodni. Od tego był tylko jeden krok — od faktu do fikcji — czyli do nowoczesnej powieści kryminalnej, która zaczęła za niewielką opłatą i w dostępnej formie zmyślonej fabuły zaspokajać popyt na taką lekturę w zas-

tępstwie często bardziej krwawych pitawałów, „Hodge'ów” i innych *Kriminalfälle ohne Beispiel* aż do dzisiejszego dnia wydawanych w Niemieckiej Republice Demokratycznej

W ten sposób — *for better and for worse* — powstała powieść kryminalna oparta na zasadach procesu, na stipulacji że czytelnik powinien wiedzieć tyle co detektyw prowadzący dochodzenie; gdzie nie ma cudów, nie powinno być rozwiązania *deus ex machina* i — rzecz ważna — autor nie powinien pozwalać sobie na akrobację psychologiczną i kazać, na przykład, bohaterce otruc ukochanego, dlatego że nie spodobał jej się odcień jego krawata lub to, że spóźnił się na randkę o pół godziny. Inaczej mówiąc: morderstwo powinno mieć logiczny motyw, przeważnie materialny, rzadziej emocjonalny. (Nawiasem mówiąc: to morderstwo z powodu spóźnienia się na randkę — zdarzyło się).

Jak zauważył kiedyś Jerzy Putrament, którego nie można posądzać o brak doświadczenia, skoro i on w 1958 „popęłnił” powieść odcinkową „Strzały w Biesalu” — wbrew pozorom, pisanie powieści kryminalnych nie jest łatwe. Toteż pierwsze regularne próby na tym polu, pod koniec dziewiętnastego wieku, nie były bardzo udane. Autorzy poruszali się w nowym terenie jak przysłówiowy słoń w sklepie z porcelaną — byli niezgrabni, zbyt sentymentalni lub za sztuczni; nieprawdopodobni, gdy zabijali ofiary w zapieczętowanych pokojach żeby było trudniej zgadnąć; gdy kazali pokojówkom i lokajom rozmawiać i rozumować jak profesorowie uniwersytetu i zamiast inteligentnych oficerów policji pokazywali kretynów z koniecznie płaskimi stopami. Wkrótce jednak wydawnicze zestawienia bilansowe wykazały, że tylko znikomy odsetek takich książek przynosił zyski w oczekiwanej wysokości, że publiczka nie była jednolicie naiwna i nie wszyscy pożykali każdą brednię. I mniej więcej w pierwszych latach po Wielkiej Wojnie można już było rozróżnić dwa rodzaje powieści kryminalnej: klasyczną, czyli subtelną szaradę dla intelektualistów, których nie można wodzić za nos... no, nie za bardzo; ten klasyczny kryminał miał być przyjemną lekcją logiki i abstrakcyjnego myślenia, napisaną poprawnym, a nawet literackim językiem (Van Dine czyli profesor Willard Huntington Wright, Rufus King, Chandler). I drugi rodzaj: kryminał dla mas, literacko nijaki, łatwostrawny, życiowo nieprawdziwy, bezkarnie torturujący język, pod względem dramaturgicznym pozbawiony jakiegokolwiek finezji, eskapizm dla niezamożnych, policyjny *Küchentreppenroman*, tani i ukazujący się seryjnie.

Powieść kryminalna w Polsce dwudziestolecia wzorowała się na klasykach, na dobrej konwencji anglo-amerykańskiej, gdy dla inteligencji pisano prawie tylko dobre utwory — albowiem ani Wańkiewicz & Kister, ani Gebethner i Wolff, ani inż. Marek Przeworski, ni mec. Jarosz, ani inne szanujące się wydawnictwa nie przyjęłyby byle czego — primo, aby nie narazić swego subsydium z ministerstwa oświaty (tylko za autorów krajowych) i secundo: dlatego że mieli dość materiału zagranicznego wysokiej

klasy i tłumacze byli kompetentni i łatwo osiągalni. Równolegle — lecz tylko w latach 20-tych — produkowano, dosłownie, szmelnę zeszytowy dla mas, seryjnie, anonimowo, na miazdżonym papierze i po groszowej cenie — angielskich Lordów Listerów fabrykowanych w Stanisławowie i amerykańskich Natów Pinkertonów *made* na Piotrkowskiej, w Łodzi; oraz innych, aby handel szedł. I szedł.

Wojna położyła kres polskiej powieści kryminalnej typu zachodniego — i tej klasycznej, i tej bezwartościowej. Jednak mylili się ci, którzy sądzili że koniec niemieckiej okupacji i otwarcie na nowo drukarni i wydawnictw w PRL pociągnie za sobą ukazanie się na rynku także i rozrywkowej literatury kryminalnej. Albowiem przez dziesięć lat po samobójstwie Hitlera normalny kryminał był w Polsce na indeksie. Nie wolno go było wydawać, choć wątki sensacyjno-szpiegowskie występowały od czasu do czasu w książkach wydawanych przez Ministerstwo Obrony Narodowej (MON), raczej naiwnie przedstawiających walkę z agentami imperialistycznych wywiadów przenikających do kraju.

Wszelako, choć partia i jej placówki terenowe były niewątpliwie poinformowane o cenach jakie płacono (i wciąż płać) na czarnym rynku za postrzępione egzemplarze Marczyńskiego i dwóch innych — nie wznawiano przedwojennych autorów kryminalnych, ponieważ reprezentowali jakoby treści ideologicznie szkodliwe. To nastawienie byłoby częściowo zrozumiałe gdyby zamiast „tanich” kryminałów dawano wtedy wygodzonemu czytelnikowi coś bardziej wartościowego. Okolicznością łagodzącą mógłby być także fakt, że papier był wtedy drogi, bardzo trudny do nabycia, a na dewizy były cele ważniejsze. Jednak ówczesni publicyści, nawet najlojalniejsi, najbardziej dogmatyczni i ustrojowo ortodoksyjni, byli prawie jednomyślni w opinii, że literatura w owych latach była nieznośnie przesiąknięta polityką, ignorowała bujność i wielotorowość życia — słowem była literaturą nieprawdziwą. A co najsmutniejsze — trawiła tę literaturę przemożna nuda. I czytelnicy mieli jej dość, więcej niż dość: nie chcieli być więcej szantażowani „palącymi problemami”; do niestrawności przejadł im się „realizm” czerpiący swe wskazania z doktrynalnych założeń lansowanych oficjalnie teorii o tym jak powinno być, bez opisywania jak rzeczywiście było.

Drewna propaganda oficjalna, tuż po wypędzeniu Niemców, próbowała mówić w rozsądnych ludzi, że występki i zbrodnie, aczkolwiek niewątpliwie zdarzały się, należały jednak do tematów o których lepiej nie mówić. W opisach czy choćby nawet relacjach o zbrodni dopatrywano się czynnika mogącego rozbudzać wyobraźnię czytelnika i ożywić tkwiące w nim niezdrowe instynkty. Literaturę sensacyjną Zachodu traktowano jako produkt schyłkowy, żerujący na najniższych popędach. Wnioskowano z fałszywego założenia, że budującemu socjalizm społeczeństwu zbrodnie jest w zasadzie obca, że to relikty przeszłości, zjawisko

marginalne i rzekomo nietypowe. W zbrodni dopatrywano się nie ludzkiej ułomności, tylko wrogiej działalności politycznej, jeszcze jednego chwytu aktywnych przeciwników władzy ludowej — osób związanych z przedwojennymi klasami posiadającymi, przedstawiciele prywatnej inicjatywy i ludzi mających powiązania z zagranicą. Wszelkie przestępstwa mogły być popełniane tylko przez te grupy, lub z podżegania tych wrogów ustroju. Reszta społeczeństwa to były niewinne, dogmatyczne baranki.

W takim dialektycznym kaftanie bezpieczeństwa tylko jakiś fanatyczny wielbiciel Karla Heinricha Marxa mógłby napisać powieść kryminalną, gdyby wiedział jak się do tego zabrać.

I znów — dziwnym zbiegiem okoliczności — do „renesansu” polskiej powieści kryminalnej przyczynił się proces sądowy. W połowie lat 50-tych rozpoczął się cykl rozpraw publicznych (dotyczących przestępstw gospodarczych, nierządu i innych) które na dłuższy czas stały się tematem rozmów i publicystyki. Za bilety wstępu — rzecz jasna „na lewo”, jak przystało na państwo socjalistyczne — płacono do dwóch tysięcy złotych. Może był to po prostu głód sensacji, stary jak świat; może (tak jak w innym sensie masowe chodzenie do kościołów) objaw buntu przeciwko wyżej wspomnianej absurdałnej teorii, traktującej dorosłych ludzi jak dzieci, którym nie wolno oglądać makabrycznego filmu. W każdym razie, te procesy znów wydobyły na światło dzienne świat ludzkiej ułomności, zbrodniczych czy asocjalnych namiętności i instynktów, tak starannie dotychczas ukrywanych, opatrywanych zagmatwanymi wyjaśnieniami doktrynerskimi, albo wręcz negowanymi.

Oczywiście powyższe wyjaśnienie byłoby zbyt symplicystyczne — gdyż kilka procesów karnych lub kilkanaście artykułów gazetowych (przypuścimy, że były to swobodne wentyle bezpieczeństwa, nie inspirowane *leader'y* redakcyjne), nie nakłoniłoby góry partyjnej do tak radykalnej zmiany kursu: Do udzielenia pozwolenia na wznowienie rodzaju literatury niezbyt prestiżowego także w przedwojennej Polsce — powieści sensacyjnej. Być może przyczyniła się do tego poprawa w sytuacji ekonomicznej i ułatwienia w otrzymywaniu papieru. Może decydująco wpłynęła tu zmiana kursu w Rosji, gdzie nagle pojawiły się na pewno inspirowane z góry opinie prasowe chwające powieści, które „pomimo kryminalnej osnowy mogą być dydaktyczne jeżeli nie akcentować tematu 'kto winien' lecz kłaść nacisk na zagadnienie stosunku jednostki do zbrodni jako faktu społecznego”. Może — i to jest chyba najistotniejsze — nie dało się, bez narażenia się na śmieszność, negować tych przestępstw gospodarczych, zbrodni o podłożu alkoholowym, występków popełnianych przez recydywistów, przez młodocianych, i nie tak znów rzadkich zbrodni kryminalno-obyczajowych, które trudno byłoby bez śmiechu na sali zaopatrzyć w podszewkę polityczną. A wiemy, że nikt tak się nie boi ośmieszenia jak dyktatura.

Wtedy to, jak powiedział Krzysztof Teodor Toeplitz „zaczęliś-

my kochać polską powieść kryminalną”. Wówczas to, w roku 1955, ktoś tam na samej górze zrozumiał, że trzeba dać ludziom także książki, które nie mają ambicji artystycznych, nawet książki złe, kiepsko napisane, łatwiutkie w pomyśle, nietrudne w wykonaniu... i łatwe w odbiorze. I pozwolono na wydanie kilku powieści kryminalnych, które stały się prawie natychmiast *best-seller'*ami, były czytane przez radio i szły jak wódka. Chyba także dlatego, były czytane przez radio i szły jak wódka. Chyba także dlatego, że w porównaniu z dotychczasową dogmatyczną nudą były przyjemnym odetchnięciem, lub też dlatego — jak napisał wtedy krytyk *Tygodnika Powszechnego* — że powieść sensacyjno-kryminalna była jedynym gatunkiem piśmiennictwa w Polsce, w którym można było odnaleźć autentyczne realia ówczesnego życia w kraju.

Lecz kryminał, który teraz stoi na półkach księgarskich w Polsce, nie przypomina ani wzorów obcych, ni przedwojennych. Nim ustaliła się jego obecna forma przeszedł przez różne perypetie. Przede wszystkim, po szesnastu latach zahamowania tego rodzaju twórczości, po prostu nie było specjalistów. Pierwsze utwory na tym polu przeważnie oznaczały się niezgrabnością, nijakim poziomem inwencji autorskiej, niezdatnym podrobieniem wzorów zagranicznych, zwłaszcza angielskich, z akcją na obcym terenie — i nawet z burżujskimi milionerami w pałacach i na luksusowych jachtach. Prawie nie ulega wątpliwości, że mniej lub więcej dyskretnie dawano zamówienia pisarzom nie mającym do tego ochoty, ani talentu, ni powołania.

Pierwsi autorzy zmartwychwstałej powieści kryminalnej byli zdezorientowani — czemu nie można się dziwić. Fakt zdjęcia tej literatury z partyjnego indeksu po tylu latach jej potępienia postawił piszących wobec dylematu: co wolno, a co wciąż jest tabu? Jak tu wychynąć bez — daj Boże — wychylenia się. Niektórzy — z nadgorliwości? z ignorancji? z idealizmu? — próbowali przyzwać na pomoc problematykę socjalną i moralną i wysunęli ją na pierwszy plan w akcji. Uczynił to Kisielewski w „Zbrodni w dzielnicy północnej” — i, zdaniem krytyków, położył tym swą powieść. Inni autorzy, jak pionier-Piwowarczyk, próbowali (z powodzeniem) zagrać na sentymencie lokalnym, zręcznie przeplatając fikcję i realia. Wielu jednak, w desperacji, zwróciło się do sztuczności, tworzyli papierowych morderców, pajacowych oficerów policji, mordowali nie tylko fikcyjną ofiarę ale przy okazji także żywy język ojczysty, często pisali bzdury dla szerokich mas, też jeszcze nie zorientowanych w sytuacji. Wszystko to uchodziło początkującym bezkarnie — bo redakcji. Wszystko to oszołomieni partyjną *volte-face*, puszczali wszętko na linotyp i wszelkie niechlujstwo, partaninę, lenistwo, nieuczynność, pojmowali jako twórcze poszukiwanie nowego stylu kryminalnego.

Wreszcie jednak musiała osłabnąć pierwsza fala entuzjazmu reakcji. Nie tylko apetyt czytelniczy wzrastał w miarę jedzenia — wysubtelniała też wybredność. Szczególnie gdy od roku 1957

zaczęły ukazywać się, już bardzo starannie dobierane tłumaczenia amerykańskie, angielskie, niemieckie i bułgarskie, nie tylko w Warszawie, ale i w Moskwie która przygotowywała się do przystąpienia do międzynarodowej konwencji praw autorskich, aby — między innymi — móc pobierać honoraria za swoje eksportowane, i stojące na wcale nie niskim poziomie kryminały. Już jasne było dla każdego, że czynniki *naprawdę* decydujące zmieniły zdanie o determinizmie, o kapitalistycznym monopolu na brzydkie zbrodnie i o zdegenerowanej literaturze sensacyjnej. Następną fazą wprost narzucała się: w ustroju, którego jedną z dźwigni jest trwałość i uporczywa propaganda, ktoś musiał pomyśleć, że ta ogromna poczytność literatury kryminalnej może — i powinna — być wykorzystana. Skoro ma tylu odbiorców, można jej użyć nie tylko w walce z przestępczością; trzeba w nią wpleść ważne zadanie socjalne: zakorzenienie w umysłach czytelników poczucia prawa i sprawiedliwości. O tym pisała nie byle jaka publikacja — jeno sama *Polityka*, już w 1958. Wkrótce zaczęto rozpisywać konkursy na dobre kryminały, z okazałymi nagrodami oficjalnie ufundowanymi przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, przez Komendę Główną Milicji Obywatelskiej i przez inne instytucje pod egidą poważnych wydawnictw. Był nawet projekt tzw. mecenatu, czyli dofinansowywania kryminałów społecznie przydatnych.

Rzecz zrozumiała, że w takich warunkach pisarze rzucili się na kryminały, które, wydawane w tak wielkich nakładach dają autorom stosunkowo niezłe zarobki. Nie płacą im wprawdzie w dewizach, jak np. firmie londyńskiej Agatha Christie Ltd. — lecz na ogół nie mogą narzekać. Nikt już nie dziwi się, że w poszukiwaniu dodatkowego zarobku próbują swoich sił na tym polu prawdziwi literaci, ale ukrywający się wstydliwie, często pod kilkoma pseudonimami naraz — z obawy wystawienia na szwank swego nazwiska. Rzecz znamienna, lecz jakże bardzo ludzka, że jakoś dość szybko dochodzi do wiadomości publicznej kto się ukrywa pod takim *nom de plume*. Ale pseudonimy nie zostają wtedy zaniechane, bo chociaż powieść kryminalna daje swoim twórcom tysiące złotych, to jej autorstwo, nawet przy imponujących nakładach, wciąż nie daje szacunku w Polsce. Dlatego tylko jednostki spośród pisarzy z prawdziwego zdarzenia mają odwagę pisać kryminały pod własnym nazwiskiem — przykładowo można tu wymienić Edmunda Niziurskiego, Stanisława Lema, kilku innych. W związku z tym warto zanotować, że w ogłoszonych przez redakcję *Nowych Książek* planach wydawniczych na rok 1975, redaktorzy Mieczysław Otto i Stanisław Siekierski dyskretnie nie wymieniają tytułów kryminalnych, aczkolwiek wliczają wszystkie wydawnictwa, które regularnie publikują sensacyjne serie wydawnicze. Najważniejsze z nich to „Iskry” — wydające popularną serię „Klub Srebrnego Klucza”, Ministerstwo Obrony Narodowej z serią „Labirynt” i „Czytelnik” — seria „Z Jamnikiem”.

Powoli, lecz konsekwentnie, polska powieść kryminalna przy-

biera charakter specyficzny. Niechętna jest motywom zysku i z bogacenia się jako podstawom zbrodni — bo zamożność budzi podejrzenie i jest propagandowo anty-ustrojowa w państwie komunistycznym. Odpada więc główny motyw przestępstwa dominujący w powieści zachodniej. Krajowa książka sensacyjna jest nieufna wobec hipotezy, że miłość, zazdrość czy erotyczna pasja może być powodem morderstwa — przy panującej swobodzie obyczajów i łatwości rozwodu. Na domiar, pozbawiona detektywów z prywatnej inicjatywy, skazana jest na posługiwanie się wyłącznie policją, która nigdzie na świecie nie jest jakoś darzona specjalną sympatią.

Ten brak klasycznych rekwizytów konstrukcyjnych: materialnych lub emocjonalnych motywów zbrodni; ulubionego *spiritus movens* (od ilości wchłanianego alkoholu?) i ostoi eleganckiego kryminału — detektywa-amatora; oraz narzucona tej powieści rola polityczno-socjalna — powoduje, że autorzy wciąż tworzą w gorszej, który się jeszcze na nich nie uleżał. Nie jest zatem przypadkiem, że polski czytelnik kupuje serie, a nie poszczególne autorów. Albowiem polski kryminał nie wyłonił jeszcze postaci reprezentatywnych dla tego rodzaju twórczości. Wspomniane już obarczenie ich obowiązkiem służby w walce ze złem społecznym hamuje swobodę opracowania utworu, którego istotnym, można by rzec historycznym celem od „Tysiaca i jednej nocy” do braci Grimm jest stworzenie rozrywkowej bajki dla dorosłych, dostarczenie relaksu, a nie zamaskowanej lekcji socjologii. Dodajmy do tego wymóg realizmu w opisach — i zrozumimy, że autor staje wobec bardzo trudnego zadania: jeżeli ma być takie ciekawe, to czemu musi być nudne?

Szczególnie trudny dla piszącego jest tu warunek realizmu, który stypuluje, oczywiście nieoficjalnie, że głównym obrońcą prawa jest milicjant, pracownik państwowego aparatu bezpieczeństwa. Opisany być powinien bez aureoli sławy czy bohaterstwa. Pracuje bez przesadnego — i, przynajmniej to, sztucznego — entuzjazmu detektywa zachodniego. Jest pokazany jako człowiek który pracuje w Milicji Obywatelskiej — tak jak jego sąsiad przez ścianę odwala robotę w elektrowni lub warsztatach autobusowych. Walka z przestępstwem jest dlań codzienną harówką, a nie jakimś posłannictwem społecznym. Nie wychodzi na niebezpieczne wyprawy nocne i nie ma na rewolwerze tak ulubionego w amerykańskich książkach absurdalnego tłumika, który po trzech wystrzałach wykończyłby najlepszą lufę. Milicjant w polskim kryminale rzadko pracuje sam i przeważnie prowadzi dochodzenie z biura. Nie wymaga aby go kochano — ale żąda by mu ufano. W domu ma kłopoty jak każdy zwykły śmiertelnik w PRL czy gdzie indziej. Psuje mu się kran w łazience, nawala mu elektryczne żelazko do prasowania i czasem musi stać w ogonku aby po godzinie czekania dostać inną kiełbasę niż ta, którą kazała mu kupić żona. Pytanie brzmi: czy po to ludzie czytają powieści sensacyjne aby dowiadywać się o takich tarapatkach domowych kapitana MO. Przecież o tych

kłopotach wiedzą z własnej codzienności bez wydania osiemnastu złotych na książkę objętościowo mniej więcej o jedną trzecią cieńszą od zagranicznego przekładu. Odpowiedź brzmi: a jednak nakłady są wciąż milionowe i egzemplarze znikają z półek prawie tuż po wydawaniu. Może dlatego, że to swojskie; że nowy czytelnik zna tylko polski *modus operandi* i nie ma *modus comparandi*. Albowiem tłumaczenia zagraniczne są poddawane dokładnej analizie nim są podpisane do druku — i wyraźnie faworyzują autorów kryminalnych o zacięciu socjologicznym (Patrick Quentin, Georges Simenon i im podobni). Ktoś powinien zbadać ten problem, odpowiedzieć na te wszystkie „może”, wyjaśnić fenomen milionowych nakładów. I chyba ktoś to robi, prędzej czy później.

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że ostrożność osób odpowiedzialnych za dobór materiału z zagranicy jest usprawiedliwiona. Powieść kryminalna anglosaska, niegdyś klasyczny model, to teraz *nothing to shout about*. Z bardzo nielicznymi wyjątkami — schodzi na psy, pisana jest coraz gorszym językiem i niemal z pogardą dla roztelewizowanego czytelnika-ćwiećinteligenta. W poszukiwaniu nowych pomysłów staje się absurdalna i groteskowa. „Klasyczny” model lat 70-tych to taki, w którym wiecznym podgazowanym detektywem prywatnym lata z kontynentu na kontynent własnym odrzutowcem, lub posyła swego lokaja-do-wszystkiego po flachę burbonu lub po paczkę zapalek — w jednym z Bentley'ów lub Stutz'ów swojej motorowej stadniny. A jeżeli w ostatnim zdaniu jest mała przesada, to tylko dla zaakcentowania absurdów fabularnych, którymi karmi się teraz publiczność czytelnicza i telewizyjna. Poza tym — i to jest bodaj najgorsze — prawie każdy autor na Zachodzie pisze obecnie z zezem w kierunku potencjalnego scenariusza filmowego. Rezultatem takiego zerkania w stronę telewizji — bo ona jest popłatniejsza — jest hybrydowa tandeta sensacyjna, ni to powieść ni synopsis. A cena tych szmir staje się z dnia na dzień coraz bardziej prohibicyjna i nie dziwota że ludzie przestają się tym interesować. Jest kilka wyjątków (John Le Carré, Len Deighton, Nicolas Freeling, Adam Hall), lecz one tylko akcentują smutną regułę.

Więc może eksperyment polski wart jest wypróbowania: dania czytelnikowi książki mniej fantastycznej, więc zbliżonej do życia, choćby za cenę pewnej nudy, która z biegiem czasu i przy dobrej woli da się wyeliminować. Ponadto — a w okresie galopującej inflacji światowej to nie jest bez znaczenia — polski kryminał jest tani i nie jest pretensjonalnie reklamowany. Oczywiście na razie nie jest to książka dla wyrafinowanego pięknoducha. Z myślą o tym niektórzy publicyści znów wysuwają propozycję wydawania dwóch rodzajów powieści kryminalnej: sensacyjno-dydaktyczno-realistycznej dla szerszych rzesz odbiorczych — i subtelniejszej, bardziej dialektycznie wyrafinowanej, jako odpowiedź dla pracujących umysłowo. Jak na bezklasową demokrację ludową, to jest odważna propozycja. Jeżeli to jest propozycja, a nie dyrekcyjna instrukcja.

Takie subtelniejsze kryminały mógłby pisać, gdyby chciał, na przykład Maciej Słomczyński. Człowiek ciekawy, któremu warto poświęcić kilka zdań. Ma lat 55. Pisał tuż po wojnie książki dla dzieci. Napisał kilka — wystawionych — sztuk scenicznych. Między 1959 i 1968 napisał sześć powieści kryminalnych, które osiągnęły łączny nakład miliona egzemplarzy. Píše kryminały po dziś dzień — pod pseudonimem Joe Alex. Lecz to nie jest jego jedyne, ni nawet główne zajęcie. W roku 1969 przełożył na polski „Ulysses'a” James Joyce'a, swego rodzaju „biblię” nowoczesnej literatury, napisaną niezwykle trudnym angielskim. W roku 1971 trzeci Międzynarodowy Kongres Fundacji im. Joyce'a wybrał Słomczyńskiego wiceprezydentem i generalnym sekretarzem Fundacji. „Joe Alex” jest też autorem scenicznej adaptacji „Ulysses'a”. Obecnie pracuje nad przekładem drugiego wielkiego dzieła Joyce'a: „Finnegan's Wake”. I wciąż pisze kryminały — niektóre trochę sztuczne, ale prawie wszystkie odznaczające się swoistym wdziękiem, elegancją i precyzyjną konstrukcją.

Jeżeli tacy ludzie piszą w Polsce powieści kryminalne to — kto wie? — może ten rodzaj twórczości ma jednak jakąś przyszłość. To pytanie jest wciąż przedmiotem długich rozpraw uczonych socjologów krajowych. Bo zagadnienie jest psychologicznie frapujące.

Powyższy szkic, poza opiniami subiektywnymi, zawiera też informacje zaczerpnięte z publicystyki, w której części z krajowej. W niektórych punktach — szczególnie gdy chodziło o scholastyczne definicje dialektyczno-teoretyczne i pewne dogmatycznie traktowane fakty — prawie dosłownie cytowanie było niemal nieuniknione. Można było oczywiście w tych miejscach zastosować odsyłacze — ale ta forma adnotacji zarezerwowana jest coraz częściej dla prac naukowych i raczej wychodzi z mody gdy chodzi o krótkie eseje; nie lubi odsyłaczy redaktor, nie kochają ich towarzysze sztuki drukarskiej i — co najważniejsze — nie znosi ich czytelnik, któremu przerywają koncentrację i utrudniają gładkie wchłanianie tekstu. Jednak — ze względu na cytowanie czy choćby parafrazowanie — byłoby co najmniej nietaktem nie wymienić autorów z których publikacji niezbędne informacje zostały zaczerpnięte. Są to: Błoński, Bielicki, Borski, Budrecki, zostali zaczerpnięte. Są to: Błoński, Bielicki, Dęga, Grabowska, Barańczak, Bronisławski, Caillois (Francja), Herdegen, Helman, Hyde (Anglia), Iwaszkiewicz, Irzykowski, Jastrzębski, Kwiatkowski, Kasprzycki, Kubikowski, Kurczab, Kwiryn, Kisch (USA), Lichniak, Lutorodzki, Lichański, Maciejewski, Nawrocki, Otto, Putrament, Radomiński, Siekierski, Skierski, Schmid (Szwajcaria), Siewierski, Toporowski, Terpiłowski, K. T. Toeplitz, Vogler, Wilhelmi, Zalewski, Zagórka.

Każdej z tych osób należy się podziękowanie.

Adam NASIELSKI

Socjalizm dla dorosłych

Zbiory referatów sympozjonowych nie są najlżejszą formą przekazywania myśli i skłamałbym mówiąc, że wydana przez Kołakowskiego i Hampshire'a książkę* czyta się z wypiekami na twarzy, niemniej z pewnych względów jest ona interesująca. Słowo „socjalizm”, nigdy nie posiadające zbyt precyzyjnej treści, w ostatnich dziesięcioleciach zmieniło się w semantycznego dżokera — często z naganem zamiast kaduceusza w ręku — toteż próba zrekonstruowania jego znaczenia, podjęta przez ludzi wyznających idee socjalistyczne *bezinteresownie*, zasługuje na uwagę. Omawiana książka jest zbiorem materiałów, przedstawionych na konferencji w Reading wiosną 1973; wśród filozofów, socjologów i ekonomistów, reprezentujących kilka krajów europejskich znaleźli się reprezentanci m.in. Jugosławii (Petrovic, Sirc), Czechosłowacji (Kusin) i Polski (Brus, Maria Hirszowicz, Kołakowski); jak widać choćby z polskiego zestawu nazwisk mowa tu o reprezentowaniu w sensie istotnym, nie delegacyjnym. Początkowo tytuł konferencji miał brzmieć „Co dolega idei socjalizmu?”, następnie uległ zmianie na „Czy coś dolega idei socjalizmu?”, aż wreszcie został zredukowany do prostej nazwy „Idea socjalizmu”; metamorfoza ta, podjęta w imię niesugerowania niczego nikomu świadczy, iż organizatorzy mieli od początku poczucie, że idei socjalizmu coś dolega. We wstępie do książki, pióra Leszka Kołakowskiego, znajdujemy rodzaj listy tych dolegliwości:

Kiedy myślimy o społeczeństwie w terminach socjalistycznych, brakuje nam nie ogólnych wartości, które chcielibyśmy widzieć w rzeczywistości, lecz brak nam raczej wiedzy o tym jak uniknąć sprzeczności pomiędzy nimi i brak głębszej znajomości sił utrudniających realizację naszych ideałów. Jesteśmy za równością, lecz zdajemy sobie sprawę, że organizacja ekonomii nie może opierać się na równości płac, że zacofaniu kulturalnemu towarzyszy mechanizm zapobiegający wyjściu z niego, mechanizm, którego żadne zmiany instytucjonalne nie potrafią w szybkim tempie usunąć, że pewne formy nierówności mają źródła genetyczne i że za mało wie się o ich wpływie na procesy społeczne, etc. Jesteśmy za demokracją ekonomiczną, ale nie wiemy jak zharmonizować ją z fachowym kierowaniem produkcją. Mamy wiele argumentów przeciwko biurokracji i równie wiele za zwiększeniem kontroli społecznej nad środkami produkcji, tzn. za zwiększeniem biurokracji. Ubolewamy nad niszczącymi skutkami nowoczesnej techniki, ale jedynym zabezpieczeniem przeciwko temu jakie znamy jest: jeszcze więcej techniki. Jesteśmy za wzrostem autonomii małych grup i za zwiększeniem globalnego planowania — jak gdyby między tymi dwoma hasłami nie było sprzeczności.

* *The Socialist Idea — A Reappraisal*: Edited by Leszek Kołakowski & Stuart Hampshire; Weidenfeld and Nicolson, London s.d. [1974], 272 p.

Jesteśmy za zwiększeniem nauczania w szkołach i za większą swobodą uczniów, czyli w praktyce: za zmniejszeniem nauczania. Jesteśmy za postępowaniem technicznym i za pełnym zabezpieczeniem pracownikom miejsca pracy, czyli stagnacją. Powiadamy, że ludzie winni być wolni w dążeniu do szczęścia a zarazem utrzymujemy, iż posiadamy gwarantowane kryteria szczęścia dla wszystkich. Jesteśmy przeciw nienawiści i izolacjonizmowi narodowemu, a równocześnie stwierdzamy wokół siebie więcej ich przejawów, niż kiedykolwiek przedtem w ludzkiej historii. Utrzymujemy, że należy rozpatrywać człowieka jako istotę materialną, a równocześnie nic bardziej nas nie szokuje jak myśl, że ludzie posiadają ciała: co oznacza, że są zdeterminowani genetycznie, że rodzą się i umierają, że są młodzi lub starzy, że dzielą się na mężczyzn i kobiety i że wszystkie te czynniki grają swoją rolę w procesie historycznym niezależnie od tego, kto jest właścicielem środków produkcji, a zatem że szereg ważnych sił społecznych nie stanowi produktu historycznego uwarunkowania i nie zależy od podziałów klasowych.

Dziewiętnaście referatów, zawartych w książce, nie rozwiązuje tych sprzeczności — byłoby zresztą niepokojące, gdyby taki cel przyswierał uczestnikom konferencji, ponieważ właśnie mit Jednej Książki, W Której Wszystko Jest Wyjaśnione uczynił z socjalizmu i marksizmu narzędzia totalistów i pozbawił je charakteru przedmiotów dyskusji na serio. Wrażenie, że w Reading dyskusja o socjalizmie toczyła się na serio ma swe źródło w dwóch tendencjach, widocznych w większości wypowiedzi: 1) w stopniowym odchodzeniu od marksistowskiego doktrynerstwa, 2) w zaakcentowaniu postawy moralnej jako istoty ideologii socjalistycznej. Ten drugi punkt znalazł najlepszy wyraz z postowiu książki, pióra prof. Hampshire'a:

Dla mnie socjalizm jest nie tyle teorią, co zbiorem nakazów moralnych, które wydają mi się słuszne w sposób oczywisty i dają się uzasadnić racjonalnie: po pierwsze, że likwidacja nędzy winna stanowić najważniejsze po obronie zadanie rządu; po drugie, że ponieważ duże nierówności majątkowe między różnymi grupami społecznymi prowadzą do nierówności siły i swobody działania, są one niesprawiedliwe i winny być skorygowane przez akcję rządu; po trzecie, że demokratycznie wybrane rządy winny stworzyć warunki, zapewniające pierwszeństwo w systemie ekonomicznym podstawowym wymaganiem i potrzebom ludzkim, nawet za cenę pewnego zmniejszenia potencjalnie osiągalnej sumy dóbr i usług. W jaki sposób te postulaty moralne można najlepiej urzeczywistnić [...] jest kwestią nauk społecznych, a także krytycznej lektury historii; ponadto kwestią osobistego doświadczenia i zrozumienia rzeczywistości. W chwili obecnej socjalizmowi potrzebne są: zróżnicowane doświadczenie, otwarte umysły zorientowane moralnie oraz nieufność wobec jakichkolwiek skodyfikowanych doktryn.

Tę definicję socjalizmu dla dorosłych profesor Hampshire za skarbił sobie mój podziw w równym stopniu co inny uczestnik konferencji, odkrywca pism „młodego Marksa” profesor J. P. Mayer, który w swych „Refleksjach nad równością” rzucił dwie ważne uwagi: „...powinniśmy przestać odwoływać się do Marksa czy Tocqueville'a i starać się sami formułować nasze problemy i ich rozwiązania” — oraz parę wierszy dalej: „Spodziewam

się, że w międzyczasie stało się jasne, iż uważam pojęcia takie jak *dialektyka i alienacja za mgliste i bezużyteczne*".

Pojęcie alienacji występuje wprawdzie gęsto w referacie Kołakowskiego „*Mit ludzkiej samo-tożsamości: jedność społeczeństwa prywatnego i politycznego w myśli socjalistycznej*”, ale w intencji — można rzec — chwalebnej: autor wykazuje bowiem, iż postulowana przez Marksa ostateczna likwidacja alienacji w socjalizmie (mówiąc prościej: stworzenie społeczeństwa idealnie bezkonfliktowego) jest mitem, dającym się zrealizować jedynie drogą totalnej opresji. Na pierwszy rzut oka zarówno barok tytułu jak i skondensowana erudycja referatu wydają się nadto ciężkim kalibrem wymierzonym w oczywistą chimerę rodem z Hegla, jednak mit ten ma twarde życie, o czym m.in. świadczy jego popularność w goszystowskich dyrdymałach na Zachodzie, toteż powtórzenie, że księżyc nie jest zbudowany z zielonego sera wydaje się celowe.

Mówiąc o mitach warto zwrócić uwagę na przekonujący wywód Jugosłowianina Ljubo Sirca, zwrócony przeciw marksistowskiemu pojęciu wartości oraz na nieprzekonywującą jego obronę przez Domenico Nuti'ego, który wieńczy swe wywody cytatem z Guevary, gdzie m.in. czytamy: „*Aby zbudować komunizm należy równocześnie z bazą materialną stworzyć nowego człowieka*”.

„Nowy człowiek” jest w tym i podobnych kontekstach tak starym znajomym, że przestano nań zwracać uwagę — niesłusznie, moim zdaniem. Mit ten zasługuje na uwagę i to baczną.

Tak się składa, że znałem osobiście „nowego, socjalistycznego człowieka”. Był to mechanik, pracujący w państwowej fabryce, który niczym się nie wyróżniał aż do dnia, kiedy rozbił się na motocyklu. Wypadek był poważny, delikwent był długo nieprzytomny; gdy się wreszcie wylizał i zaczął ponownie pracować, wszyscy zauważyli, że się zmienił. Przestał interesować się czymkolwiek — rodziną, rozrywkami, zarobkiem — oprócz swej pracy zawodowej: przesiadywał w fabryce po godzinach pracy, robił usprawnienia, przekraczał normę. Zaczął zbierać dyplomy, wyróżnienia i nagrody, zasiadał w prezydium. Na nalegania rodziny poddał się jednak leczeniu neurologicznemu i po pewnym czasie — no, znormalniał. Jest to autentyczny wypadek i wniosek z tego wydaje się oczywisty: można by dość łatwo tworzyć „nowych ludzi” metodą chirurgiczną.

Powody, dla których wszyscy normalni ludzie odrzucają taki sposób uszczęśliwiania ludzkości *nie* są oczywiste na pierwszy rzut oka. Mój znajomy był w okresie swej chorobliwej pozytywności człowiekiem w pełni szczęśliwym. Społeczeństwo korzystało. Gdyby tak wszystkich równocześnie, w ten sam sposób...? Skąd — mimo wszystko — przeświadczenie, że nie mamy prawa do tego dążyć?!

W moim przekonaniu stąd, że człowiek ma moralne prawo do przemawiania jedynie *we własnym imieniu*, tzn. jako reprezentant gatunku ludzkiego w takiej postaci, w jakiej gatunek

ten istnieje aktualnie, *hic et nunc*. Każde inne stanowisko, każdy inny punkt widzenia jest w najdosłowniejszym znaczeniu *nie-ludzki*, obojętnie czy przemawia się w imieniu postulowanego „nowego człowieka”, wyróżnionej grupy blondynów o chabrowych oczach czy też — na przykład — ryb (istnieje nowela Lema, ilustrująca ten ostatni wypadek). Wykraczając poza normalne człowieczeństwo, wykracza się poza moralność. Jestem nieco rozczarowany faktem, że żaden z filozofów biorących udział w *reappraisal* socjalizmu w Reading nie zajął się tym złowieszczym mitem, zwłaszcza iż wśród ich grona były osoby wiedzące z własnego doświadczenia, że granica między „oddziaływaniem otoczenia” a chirurgią mózgu bynajmniej nie jest ostra.

M. BROŃSKI

Encyklopedia Lithuanica

Już ukazały się trzy tomy encyklopedii litewskiej w języku angielskim, obejmujące litery A-M. Całość ma być ujeta w sześciu tomach; wydawana jest w Bostonie, podobnie jak i 35-ciotomowa encyklopedia w języku litewskim, omówiona w *Kulturze* Nr 250/251.

Wobec braku podobnego polskiego wydawnictwa w języku angielskim, i wobec tendencji wydawnictw PRL'owych przemilczania dziejów W. Ks. Litewskiego, młody Amerykanin polskiego pochodzenia, którego rodzice pochodzą z Litwy historycznej, będzie miał w tej encyklopedii źródło informacji o kraju swych przodków.

Może sobie przy tym wyrobić zdanie, że aczkolwiek Polacy narzucili Litwinom swój język, to jednak rykoszetem kulturę i rząd dusz częściowo również Litwini narzucili Polakom. Nie tylko Mickiewicz i Słowacki wyrosli na Litwie, manifesty Kościuszki i pisma Piłsudskiego urabiały umysłowość na Litwie, manifesty Kościuszki i pisma Piłsudskiego urabiały umysłowość polską. Z encyklopedii dowiadujemy się, że kardynał Hozjusz, chluba polskiej myśli katolickiej, wyrosł w Wilnie, jako syn Horodniczego tego miasta. Kraszewski urodzony w Grodzieńszczyźnie mieszkał lata na Białorusi, Ukrainie, w Dreźnie a tylko 4 lata w Polsce etnograficznej w ciągu swego długiego, 75-cioletniego żywota.

O ile w wydawnictwach PRL'owych miejsce urodzenia jest nieraz dyskretnie przemilczane o tyle encyklopedia litewska zawsze je wymienia, a że inteligenci litewscy za czasów carskich znajdowali zatrudnienie przeważnie w głębi Rosji, a pierwsza wojna wyrzuciła masy litewskich uchodźców na wschód, więc też w żywotach zasłużonych, rzuca się w oczy, jak wielu spomiedzy nich urodziło się na Kaukazie, nad Wołgą...

Nie ma tu tendencji umniejszania wkładu współziomków urodzonych poza krajem, jak się obecnie czyni w Polsce, aby to nie przeczyło hasłu, że Polska leży nad Wisłą, co sugeruje, że tylko nad Wisłą. A przecie — szeroka nasza Polska od Chicago do Tobolska.

Encyklopedia lituanistyki omawia też ośrodki litewskiej emigracji i sylwetki Litwinów, którzy już nie znali swego kraju pochodzenia, jak np. „minister finansów” Watykanu, biskup Marcinkus, urodzony w Chicago.

Encyklopedia podaje krótkie życiorysy profesorów dawnych i współczesnych litewskich pisarzy, malarzy, dziennikarzy, księży na dwóch kontynentach, jak też postacie historyczne dawnego Księstwa, oraz historyków, etnografów, archeologów itd., przeważnie piszących w języku polskim, jak: Kirkor, Kot, Krzywicki, Kutrzeba, Łowmiański, Leleweł i in. Nie ma tylko osobnej wzmianki o prof. Haleckim. Może dlatego, że w wiele lat po „buncie Żeligowskiego”, gdy już Piłsudski dawno odkrył kulisy tej operacji, Halecki wciąż pisał o samorządnym buncie — co Litwini uznali za „nieuczciwość intelektualną”.

Są dzieje znanych rodów na Litwie: Gielgudów (Gelgaudas), Chodkiewiczów (Katkievicius, Katkus), Karpiów (których ród nie wyginął w roku 1919, wbrew informacjom ks. Meysztowicza, np. F. Karp współpracował z *Dniem Polskim* w Kownie). Jest też ród Giedraitisów i wymienieni są biskupi tego nazwiska, ale Giedroycia nie ma nawet w nawiasie. Nazwiska historyczne, które mogą się spotykać w wydawnictwach obcojęzycznych w polskim brzmieniu są też tak podawane, a w nawiasie i potem w tekście, w litewskim. Natomiast nazwiska rzadziej spotykane a litewskiego pochodzenia, podawane są wyłącznie w litewskim brzmieniu.

Poloniki w tej encyklopedii są znacznie rzadsze, zwłaszcza, gdy mowa o współczesnych. Nie ma już Czesława Miłosza (jest Oskar), Meysztowiczów, Cat-Mackiewicz (jest książd-powstaniec) itd.

Imiona królów są podawane w brzmieniu używanym w podręcznikach angielskich: Władysław IV — Ladislas, Waleczus — Henri Valois. Czasem ujęcie bywa ciekawe. A więc Waleczus, król francuski w wieku lat 22, był zmuszony, aby się ożenić z Jagiellonką, w wieku lat 53. Jak mógł, tak odwlekał ślub, a potem uciekł do Francji (czy można bardzo mu się dziwić?). Michael Wiśniowiecki miał poparcie Litwinów, jako potomek Giedymina, a intruz-koroniarz Sobieski, był tak niepopularny na Litwie, że obie skłócone z sobą partie były przeciw niemu. Zniesienie odrębności W. Księstwa w Konstytucji 3-go Maja przysporzyło zwolenników Targowicy (która zresztą jest tu potępiana). W wieku XVIII w polskim sądownictwie obowiązywała łacina, a w litewskim — język polski. W obronie Warszawy poprzedzającej rzeź Pragi zginęło 5 do 7 tysięcy Litwinów.

Dawne dzieje są omawiane z uwzględnieniem litewskiego punktu widzenia, i różnią się w naświetleniu, natomiast w omówieniach czasów nowszych wiele podawanych faktów może wywołać zastrzeżenia. Na przykład dnia 19 listopada 1920 roku po decydującej i zwycięskiej dla Litwinów bitwie pod Giedrojciami, droga do Wilna stała dla Litwinów otworem. Polacy (Żeligowski) byli już w trakcie ewakuowania miasta — gdy komisja Ligi Narodów zarządziła zawieszenie broni i wstrzymała ruch wojsk litewskich.

Inny przykład. Kabeliai. Wieś 24 km. na północo-zachód od Druskiennik, teraz o kilometr od granicy z Republiką Białoruską. Parafia liczyła 2.500 wiernych. Po pierwszej wojnie światowej było 9 szkół powszechnych i liczne organizacje. Niektóre liczyły od 300 do 600 członków. Okolica ta była w latach 1920-1939 pod polskimi rządami. Zaś w latach 1923/24 rząd zamknął szkoły litewskie i wprowadził polskie. Nawet żądania rodziców by uczono również języka litewskiego, zostały odrzucone. Każda działalność kulturalna, była uważana za wywrotową. Aresztowano 72 osoby i oskarżono o przygotowanie powstania. Po trzech latach więzienia zostali oni uniewinnieni przez sąd okręgowy w Grodnie.

Używanie terminu „Grand Prince” zamiast „Grand Duke”, wywołało zastrzeżenia nawet wśród historyków litewskich.

Encyklopedia zawiera obszerne omówienia literatury litewskiej (20 stron), sztuki, muzyki, obyczajów, tańców i pieśni ludowych, grobów, dzwonnicy, budownictwa, spółdzielczości, jak też rolnictwa i przemysłu. Dane o Litwie Sowieckiej obejmują przeważnie okres do roku 1966 lub 1970. Ciekawy jest

rozdział o kolektywizacji wsi, rzucający światło na analogiczny proces na dawnych kresach. Ponieważ Republika Litewska jest osobną jednostką administracyjną z wyodrębnioną statystyką, więc łatwiej jest o informacje, niż w wypadku części republik Białoruskiej i Ukrainiejskiej, gdzie połączenie danych z dawniej skolektywizowanych obszarów, z nowo przyłączonymi, zacierają obraz.

Uwzględniona jest też w encyklopedii działalność społeczna i polityczna emigracji: np. o amerykańskim Baltic Committee — 4 strony, o ACN — 1 strona. Losy literatury litewskiej pod rządami sowieckimi ujawniają parę znamienitych faktów. Pisarz L. Gira, który w roku 1919 był szefem wywiadu litewskiego i wykrył organizację P.O.W. na Litwie, był w latach 1940/47, jednym z najgorliwszych kolaborantów sowieckich. Poeta i redaktor tygodnika humorystycznego, *Lilvytis*, który dostał od polskiego studenta (po buzi) turę Marszałka Piłsudskiego (i za to dostał od polskiego studenta po buzi) otrzymał potem nagrodę stalinowską. A dziennikarz Paleckis, który organizował burdy na kowieńskich występach Bandrowskiej-Turskiej — został wieloletnim prezydentem Litwy Sowieckiej.

O polskiej mniejszości na Litwie (niepodległej) podano, że próba zamachu P.O.W. dała podstawy do traktowania jej z nieufnością. Skądinąd podobno b. dyrektor policji litewskiej miał się wyrazić już na emigracji, że chociażby polska była potencjalnie nielojalna, to jednak w praktyce policja miała z nią mniej kłopotu, niż z wielu innymi grupami społecznymi. Encyklopedia podaje, że w roku 1919 Litwini stanowili w Kownie nieliczną mniejszość a w roku 1970 już Polacy stanowili zaledwie 1% ludności miasta.

Następne tomy będą zapewne ciekawsze i może bardziej kontrowersyjne, gdy będzie mowa o Wilnie, Suwałkach i ewentualnie o Polsce, bo sąsiedniej Łotwie poświęcono kilka stron. Parę ciekawostek. Liwonia chciała być pod protektoratem polsko-litewskim, ale Korona nie chciała przyjąć protektoratu, i sprawa tym razem spełza na niczym. Dobra ilustracja polskiego nie imperializmu.

Nie tylko nas krzywdzi los i sytuacja geopolityczna. Na Łotwie przy ważnych zmianach zaludnienia wsi, ludność miast podlegała następującym wahaniom: 1914 r. — jeden milion, 1921 r. — 400 tys., 1939 r. — 750 tys., 1970 r. — 1,5 miliona. A Łotysze stanowią już tylko połowę ludności swej ojczyzny.

Jest też mowa o Prusach Wschodnich i słownik geograficzny wschodniej części okręgu Kaliningradzkiego, z podaniem starych nazw litewsko-pruskich, następnie niemieckich i obecnych rosyjskich. Jakże by się przydał taki polski słownik, nie tylko ziem odzyskanych, ale i ziem utraconych. Na Litwie zlikwidowano wiele wsi i ludność spędzono do agrogrodów, pod nazwą np. Czerwonej Gwiazdy itp. Stąd wiele nazw miejscowości ginie bezpowrotnie. Czytelnik polski chcąc się czegoś dowiedzieć z tej encyklopedii może napotkać na trudności. Jeżeli np. pochodzi z Lidy, to znajdzie ją pod Lyda (w nawiasie Lida, po białorusku), Grodno pod Gardinas (Grodno, Horodno).

Jest francuskie, trudno przetłumaczalne powiedzenie: „Poskrob Rosjanina a znajdziesz Tatara”. Studiując tę encyklopedię, można by sparafrazować: „Poskrob Polaka a znajdziesz Litwina”. Bo np. *Wiadomości* w Londynie obchodziły 50-lecie założenia w Warszawie *Wiadomości Literackich*. Genealogia jest o wiele starsza. *Wiadomości Literackie* powstały po raz pierwszy w roku 1760 w Wilnie, jako dodatek *Kuriera Litewskiego*. (Mówiąc o wkładzie litewskim do kultury i dziejów Polski przydałaby się bardziej precyzyjna terminologia białoruska, używająca dwóch odrębnych terminów: Litwin i Lietuvis).

Szkice o rosnącej ideologii*

Książka ta powstała w Związku Sowieckim, gdzie krąży w Samizdacie już od 1971 roku. Nie wiemy kto kryje się pod wymyślnym pseudonimem Burżuadiemow — w wolnym przekładzie znaczy to tyle co „Burżuj z piekła rodem”. Książka porusza skomplikowane problemy ekonomiczne, lecz Burżuadiemow przestrzega się, że nie jest ekonomistą, podobnie jak będąc dyletantem w sferze cybernetyki stosuje metody i terminologię tej ostatniej. Z niektórych aluzji zawartych w książce można wnioskować, że jest to człowiek, który niedawno wyszedł z okresu młodzieńczych iluzji i wiary, gdyż zaledwie 10-15 lat temu był „... zdumiony stykając się z porządnymi ludźmi, którzy nie żywili mimo to wstrętu do podłego kapitalizmu! Pamięta też „swą twardą wiarę, że mimo rozmaitych 'wynaturzeń' nic lepszego niż socjalizm nie może istnieć w dzisiejszym świecie” (str. 45).

Te poglądy ulegały stopniowej ewolucji. Impulsem do sformułowania swego obecnego credo było zapoznanie się z książką amerykańskiego ekonomisty Galbraitha „Nowe społeczeństwo przemysłowe”, wydanej w Związku Sowieckim z wyraźną intencją indoktrynacyjną, że względu na jej tezę o wyższości scentralizowanej gospodarki planowej.

Odpowiedź Burżuadiemowa, zamierzona jako esej, stanowczo przerasta ramy tego rodzaju opracowania i jest — jak dotąd — najbardziej wnikliwą ze znanych mi analiz funkcjonowania gospodarki typu sowieckiego. Aczkolwiek Burżuadiemow zajmuje się tylko gospodarką ZSSR, nie ulega wątpliwości, że z pewnymi raczej drugorzędnymi zmianami, tezy jego rozciągają się również na funkcjonowanie gospodarki tak zwanych kadeólów. Wnosi on element szczególnie cenny, a mianowicie znajomość od wewnątrz, człowieka tkwiącego w systemie, wprzęgniętego weń i odeń zależnego. Jego punkt widzenia nie jest amerykański, francuski lub szwedzki — jest punktem widzenia — chciałoby się powiedzieć *sowieckim*, gdyby nie to, że słowo to oznacza punkt widzenia nie społeczeństwa lecz władz.

Na czoło wysuwa się zagadnienie planów gospodarczych. Na ten temat wśród zachodnich ekonomistów panują dość bałamutne poglądy, z którymi niejednokrotnie przyszło mi się stykać. Burżuadiemow nie ulega mitowi planowania. „Całe życie socjalistyczne odbywa się pod znakiem planu” (str. 127), ale planowanie jest procesem fikcyjnym. Odbywa się ono w sposób następujący: „Każde przedsiębiorstwo z rocznym lub większym wy-

* Burżuadiemow K., *Oczerki rastuszczej ideologii (Szkice o rosnącej ideologii)*. (Monachium) 1974, wyd. Echo Press, str. 217, 5 nbl.

przedzeniem oblicza, czego będzie potrzebowało (plan zaopatrzenia materialno-technicznego) oraz co będzie produkowało (plan produkcyjny). Te dane ze wszystkich przedsiębiorstw sumuje się w ministerstwach, a później zestawia w Gosplanie jako jednolity bilans, którego wnioski zatwierdzane są przez zjazd partii jako dyrektywy oraz przez Wierchowny Sowiet jako ustawa.

Ingerencja państwa sprowadza się do obcinania przydziałów. W istocie rzeczy nie opracowano dotychczas żadnych sensownych kryteriów tego obcinania. Decydują intuicja lub widzi mi się: „... Planowanie sprowadza się do aktu woli naczelnego dystrybutora, przydzielającego więcej osobom sympatycznym, albowiem tak i tak wszystkiego dla wszystkich nie wystarczy...” (str. 128).

Jak dowiódł główny rachmistrz Związku Sowieckiego, dyrektor Ośrodka Obliczeniowego Akademii Nauk ZSSR, A.A. Dorodnicyn, „... stworzenie absolutnie scentralizowanego systemu planowania jest niewykonalne nawet przy pomocy najpotężniejszych jakie można sobie wyobrazić maszyn liczących...” (str. 132).

Nie lepiej dzieje się w sferze produkcji. System sowiecki jest pod tym względem bardzo konserwatywny. W Związku Sowieckim nie powstają wynalazki. Według oficjalnych danych jeden wynalazek sowiecki jest dziełem stu opracowujących inżynierów, podczas gdy w NRF na jeden wynalazek pracuje ich czterech, we Francji — sześciu, w Anglii — ośmiu (str. 37). To jeszcze nic w porównaniu z trudnościami na jakie napotyka wprowadzenie nowej techniki, niezależnie sowieckiej czy też importowanej, w stadium użyteczności produkcyjnej: „Nasza gospodarka nie potrzebuje ani nauki ani modernizacji — przeskadzaj one w zachowaniu utrwalonego porządku i rutyny” (str. 41). Prasa sowiecka dostarcza codziennie dziesiątki artykułów na ten temat, przedstawiając niezmiennie konserwatyzm gospodarczy jako grzech poszczególnych, aktualnie piętnowanych jednostek, przeważnie biurokratycznych dyrektorów, jako grzech konkretnego Iwana Sidorowicza. Tak jednak nie jest. Źródła konserwatyzmu tkwią w systemie: „... Wprowadzenie do produkcji czegoś nowego nie daje żadnych korzyści, wprost przeciwnie, powoduje straty materialne i szarpanie nerwów. O tym wiedzą wszyscy, poczynając od dyrektora, kończąc na niewykwalifikowanych robotnikach” (str. 42). Tu tkwi przyczyna, że groźne zarządzenia a nawet sankcje nie są w stanie wprowadzić wynalazków i udoskonaleń do produkcji. Tu tkwi również paradoks polegający na tym, że konserwatywne państwo zawzięcie walczy o modernizację zakładów przemysłowych. Nie jest to jednak wewnętrzna potrzeba lecz konsekwencja międzynarodowej konfrontacji. Stąd też wniossek, że państwo ingeruje silniej w te dziedziny, które aczkolwiek mało istotne dla zaspokojenia potrzeb społecznych i produkcyjnych, mają szczególne znaczenie w stosunkach międzynarodowych.

Szczególnym przykładem w tej dziedzinie jest zapoczątkowany przez Chruszczowa wyścig w dziedzinie lotów kosmicznych.

Co prawda ten wyścig też dokonywał się inaczej niż przedstawiała go propaganda. Burżuadiemow relacjonuje dzieło byłego zeka, wielkiego Korolowa, który mając oparcie w Chruszczowie potrafił odnieść przejściowe sukcesy; poniósł jednak klęskę, gdy Stany Zjednoczone, zdopingowane przez Związek Sowiecki, wzięły się na serio do rakiet międzyplanetarnych (str. 46-49).

Z kolei autor przechodzi do analizy systemu społecznego. Związek Sowiecki nie stał się obiecany „społeczeństwem równych”, co widać choćby z tego faktu, że zarobki najniżej uposażonych stanowią tylko jedną pięćdziesiątą a czasem nawet jedną setną zarobków grup najwyżej uprzywilejowanych. Charakter ustroju wedle najlepszych marksistowskich tradycji określa się na podstawie charakteru klasy rządzącej. Burżuadiemow zgadza się z Dżilasem, że Związkiem Sowieckim rządzi szczególna klasa, nie zgadza się natomiast z określeniem *nowa klasa*. Uważa on, że: „... nasza klasa rządząca, jeśli abstrahować od przypadkowości pochodzenia (jej członków — J.L.) zupełnie nie jest nowa, przeciwnie jest stara, feudalną klasą składającą się, jak wyraził się Dostojewski, z 'nowych dziedziców — oto wszystko'” (str. 174).

Jest to obserwacja nie pozbawiona racjonalnego sensu. Z historii Rosji wiadomo, że skład warstwy feudalnej ulegał tam stałym zmianom, nieraz, w okresie Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego, dość gwałtownym i radykalnym. Nie jest też pozbawiona racji uwaga o Rewolucji Październikowej jako feudalno-chłopskiej reakcji na rozwój stosunków burżuazyjno-przemysłowych, reakcji, która cofnęła Rosję w rozwoju pod wieloma względami.

W tej słusznej myśli tkwi jednakże i niezrozumienie tego istotnego, bezprecedensowego novum, jakie stanowi system sowiecki i klasa w nim rządząca. Reakcja feudalno-chłopska nie potrafiła bowiem (zresztą i nie zamierzała) utrwalić starych stosunków lecz wytworzyła nowe, typowo i wyłącznie sowieckie. Obawiam się, że zbytne akcentowanie feudalnego charakteru klasy rządzącej i elementów feudalnych w systemie sowieckim może prowadzić do praktycznych błędów socjotechnicznych. Natomiast jako poprawka do dotychczasowych ustaleń, myśl Burżuadiemowa godna jest zanotowania.

Dla Burżuadiemowa głównym zagadnieniem rozwoju jest to, czy „... stara rządząca klasa feudalna... wykaże chęć i inicjatywę przekształcenia się w nową klasę, w klasę rządzącą wielkiej burżuazji” (str. 175). Jeśli klasa rządząca takiej chęci i inicjatywy nie wykaże to nastąpi „...nieuchronna niszcząca rewolucja, gdy góra nie będzie mogła a doły nie będą chciały żyć razem, nieuchronne będą wstrząsy w organizmie państwowym i destrukcja gospodarcza, cofająca wstecz rozwój produkcyjny a wraz z tym i rozwój stosunków burżuazyjnych, nieuchronny będzie nowy cykl neokomunizmu-neostalinizmu” (*ibid.*). Innymi słowy — autor widzi, stosując terminologię Lenina, dwie możliwości, bądź roz-

woju kapitalizmu drogą pruską, bądź kolejne uwstecznienie. Drogi „amerykańskiej”, nieskrępowanego rozwoju kapitalizmu i demokracji Burżuadiemow nie przewiduje.

Drogą skomplikowanych analiz autor dochodzi do wniosku, że w Związku Sowieckim ewolucyjnie, w sposób mało widoczny, rodzą się stosunki burżuazyjne, że rodzą się one we wszystkich warstwach, nie omijając partiokracji. Właśnie w karierowiczostwie, w braku jakiegokolwiek idealizmu obecnych kierowników Związku Sowieckiego (Sołżenicyn mówił o ich pragmatyzmie) widzi Burżuadiemow załóżki tego rozwoju.

Autor poruszył zbyt wiele zagadnień, by móc wszystko opracować wyczerpująco, by ustrzec się występujących tu i ówdzie sprzeczności. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na jedno zagadnienie, które w moim przeświadczeniu nie może pozostać bez repliki. Chodzi mi mianowicie o to, że autor zbyt jednostronnie zaakcentował prymat produkcji nad podziałem w nadchodzącej ideologii demokratycznej. Jest to przeciwstawienie się ideologii marksistowskiej ale w żadnym wypadku — sowieckiej praktyce. Zresztą nierówności społeczne w ZSSR Burżuadiemow dostrzega. Jeśli konstytucyjni demokraci przedrewolucyjnej Rosji przeciwstawiali produkcję i podział to robili błąd, błąd kardynalny, za który i oni i cała Rosja drogą w 1917 roku zapłaciła. Mądrość inżyniera Obodowskiego, na którego i autor i wydawca — w ślad za Sołżenicynem się powołuje („Awgust czterynadcastowo”) w tym wypadku była zawadna. Ruch demokratyczny w Rosji musi nawiązać do swoich antecedensów, chociażby dlatego, że między okresem rewolucji i dniem dzisiejszym leży strefa wypalonej pustyni ideologicznej, okres przerwanej rozwoju myśli. Ale nawiązując do wcześniejszego dorobku nie sposób przejmować go wraz z błędami.

Pragnienie demokracji i zbliżenia z Zachodem, jeśli wiązać się będzie z nadzieją na włożenie melonika, w którym chodzili przedrewolucyjni konstytucyjni demokraci, nie będzie w stanie pozyskać tych, którzy nie czują się spadkobiercami właścicieli meloników. Jest to problem nie tylko sowiecki.

Wiosną ub. roku Gunnar Myrdal, relacjonując swoje kontakty z opozycyjnymi intelektualistami w Polsce, w Czechosłowacji i na Węgrzech, podkreślił ich wysokie walory etyczne, nie mające równych w świecie zachodnim, jednocześnie z ubolewaniem stwierdził, że ich światopogląd zatrzymał się w rozwoju gdzieś na poziomie liberalizmu manchesterskiego. Dla osób znających strukturę intelektualne w obozie wschodnim ocena Myrdala nie wydaje się ani przesadną ani przypadkową. Opozycja w systemie totalitarnym czyni *status quo ante* punktem wyjścia swego myślenia. I to jest słuszne.

Ale kontynuacja tylko wówczas ma sens, gdy łączy się ze stałą i konsekwentną rewizją.

Ruch opozycyjny w Związku Sowieckim przez długi czas ograniczał się do walki o prawa człowieka i do demaskowania zbrod-

ni stalinizmu. Te zadania bynajmniej nie wyczerpały się, ale w miarę rozwoju ruchu rodzi się potrzeba pogłębionego spojrzenia, a sama negacja staje się niewystarczająca. Należy przypuszczać, że praca Burzudiemowa jest jedną z pierwszych naukowych analiz zainspirowanych przez opozycję sowiecką, która dotarła na Zachód.

Józef LEWANDOWSKI

Książka o Bierucie

W PRL obowiązuje przy ocenie jej wodzów zasada *bitego pola*, identyczna jak przy grze w warcaby. Przy Bierucie w latach kultu wyklęte było nazwisko Gomułki, przy Gomułce obłożono anatamą Bieruta, zaś przy Gierku znów Bierut staje się postacią charyzmatyczną. To zaś z kolei powoduje zapotrzebowanie na nowe dzieła biograficzne, dostosowane do aktualnych potrzeb...

Napisania biografii Bieruta podjął się dziejopis ze świty Gierka, Henryk Rechowicz. Już przy pobieżnym zapoznaniu się z książką można się zorientować, że Rechowicz mógł swobodnie korzystać z wielu niedostępnych dla zwykłych historyków zasobów archiwalnych — decydujące czynniki żywy przeświadczenie, że autor ze swej wiedzy zrobi właściwy użytek, że ani na chwilę nie naruszy zasady partyjnej pryncypialności.

Bierut był na pewno postacią niebanalną. Niepozorny działacz społeczny, który przez pierwsze pięćdziesiąt lat życia niczym nie wyróżniał się spośród innych funkcjonariuszy komunistycznych, nagle, u schyłku życia robi wielką karierę, staje się postacią wpisaną tragicznie w historię. Można i należy zadać sobie pytanie, co spowodowało, iż człowiek, który wszedł do ruchu robotniczego w poszukiwaniu sprawiedliwości społecznej, który okazywał dużo zdrowego rozsądku, odmawiając przez kilka lat przystąpienia do sekciarskiej i ekstremistycznej — jego zdaniem! — KPP, nie tylko wszedł do niej, ale i stanąwszy na czele aparatu państwowego, dziesiątkami podpisywał w jego imieniu ferowane wyroki śmierci. O Bierucie można rozmaicie, w jego życiu splatał się szereg wątków.

Ze wszystkich możliwych ujęć Rechowicz wybrał najbanalniejszy: model „Bierut z sarenką”. W ten sielankowy sposób opisywano nie tylko Bieruta ale i wielu innych dyktatorów.

* Rechowicz Henryk, *Bolesław Bierut 1892-1956*. Śląski Instytut Naukowy, PWN, Kraków, 1974, str. 188.

Więc Bierut jako dobry syn biednej rodziny, wzorowy uczeń, który jednakże w pewnym momencie rzucił kałamarnicę w portret cara (co według słów samego Bieruta było nieprawdą), pilny księgowy i kierownik sklepu spółdzielczości spożywców, do późnych godzin przesiadujący nad rachunkami, działacz komunistyczny drugiego lub trzeciego rzutu, funkcjonariusz para-komunistycznej organizacji MOPR. Tym patriarchalnym cnotom — sądząc z książki — zawdzięczał Bierut swoją późniejszą karierę. W każdym bądź razie innych walorów w omawianej biografii nie sposób dojrzeć.

Drugi element metody twórczej autora to oczyszczenie życiorysu z wszystkich elementów i wątków dwuznacznych, zarówno takich, które przemawiają na korzyść jak i na niekorzyść Bieruta. Takim przemilczanym wątkiem życiorysu była przynależność osoby portretowanej do masonerii, do której wszedł pod wpływem i za rekomendacją Jana Hempla, swego duchowego nauczyciela. Po pewnym czasie Bierut z masonerii wystąpił („uśpił się”). O tym wszystkim wiadomo z relacji Stanisława Szwalbego, na którą zresztą Rechowicz stale się powołuje. Zdaniem J.H., osoby kompetentnej, masońskiemu epizodowi w życiu Bieruta zawdzięczać należy stosunkowo łagodny kurs wobec ludzi nauki i sztuki w latach stalinowskich w Polsce. Do roli masonerii w życiu Bieruta wrócimy nieco dalej.

W dążeniu do oczyszczenia życiorysu Rechowicz zgubił kilka lat życia Bieruta. Jak wiadomo termin *manco* zrobił wielką karierę w PRL. Można zrobić *manco* w kasie, w materiałach budowlanych, w galanterii, w deficytowych artykułach. Wodzowie PRL mogą mieć również *manco* w życiorysie. Nawet recenzje opublikowane w PRL dają wyraz zdziwieniu, że życiorys wykażuje duże luki chronologiczne. Otóż jedna z tych luk tłumaczy się tym, że mający kłopoty materialne Bierut w latach dwudziestych podjął się stanowiska rezydenta sowieckiego wywiadu w Konstantynopolu, o czym w Polsce wiadomo chociażby dlatego, że powierzył swą rodzinę opiece sąsiada, tegoż Stanisława Szwalbe. To było w latach dwudziestych. Ale również mgliście przedstawiają się lata 1939-1941 oraz pierwszy okres wojny niemiecko-sowieckiej. Wypuszczony z polskiego więzienia Bierut nie potrzebował żadnych starań, by móc pojechać do Moskwy dla odnowienia kontaktu z rodziną. O tym Rechowicz pisze. Co jednak robił, z jakich źródeł czerpał pieniądze — o tym milczy.

Recenzentem pracy Rechowicza był inny działacz na polu nauki, Andrzej Werblan — autor włączył do książki duże cytaty z wewnętrznej recenzji Werblana. Być może, że niektóre ujęcia winny obciążyć konto ostatniego. O latach 1945-1956 w życiu Bieruta dowiadujemy się niewiele, choć Werblan, przez pewien czas sekretarz i sekretarza PZPR mógłby niejedno ujawnić. O działalności Bieruta w tych latach krążą dość sprzeczne, choć nie wykluczające się wieści. Zdaje się, że rzeczywiście Bierut w niektórych sprawach wpływał hamująco na swoich jeszcze bardziej stalinowskich współpracowników, choć wiadomo, że w wielu

sprawach wykazywał niczym nie usprawiedliwione okrucieństwo. Istnieją również dowody, że w pierwszych miesiącach po śmierci Stalina Bierut dość kategorycznie przeciwstawił się wszelkim rehabilitacjom (np. w sprawie Komara), jako mogącym doprowadzić do obniżenia — jak mówił na posiedzeniu Biura Politycznego — autorytetu organów bezpieczeństwa. Niedługo potem jednak — należy przypuszczać — Bierut uległ załamaniu psychicznemu. Zewnętrznym objawem załamania było ponowne nawiązanie przed laty naderwanych więzi masońskich.

O tym ani słowa w książce. Natomiast Rechowicz szeroko rozwodzi się nad dręczącą Bieruta chorobą serca. Niewątpliwie był on poważnie chory, co nie uchodziło uwadze wszystkich, którzy go nawet przypadkowo widzieli w ostatnich latach życia. Ale autor pisze o wadzie serca z innego względu, by wpoić ewentualnym czytelnikom przeświadczenie, że Bierut umarł śmiercią naturalną, na zawał. W Polsce bowiem mało kto wierzy w naturalne zejście Bieruta. Bierut zachorował i umarł w Moskwie, gdzie przebywał akurat jako przewodniczący delegacji PZPR na XX zjazd. Wiadomo powszechnie, że do ponoć jeszcze żywego ale zwalonego śmiertelną chorobą nie dopuszczono jego lekarza, prof. Fejgina. Nie dopuszczono również syna, Jana Chylińskiego.

Dlaczego „radzieckim towarzyszom” tak bardzo zależało, by nikt się nie spotkał z dogorywającym Bierutem? W okresie odwilży, gdy ludziom rozwiązały się języki, rodzina Bieruta wcale nie ukrywała swego przeświadczenia, że Bieruta sprzątnięto — rodzinie pokazano zwłoki starannie opakowane w trumnie. Również *vox populi* nie ukrywał swego zdania — właśnie wówczas dowcipni przemianowali Moskwę na *Często-chowa*.

Nie wiem, na ile akurat te podejrzenia są uzasadnione. Sowiecki aparat zajmujący się tymi sprawami był w rozsypce. Zresztą, jeśli przyjąć założenie, że Bieruta zamordowano, to trzeba by również spróbować udzielić odpowiedzi na kolejne pytanie, mianowicie, w jakim celu to zrobiono. Próbowałem w swoim czasie zorientować się, jakie przypuszczenia na ten temat mają rzecznicy tezy o zamordowaniu, ale żadnej sensownej odpowiedzi nie dostałem. Zazwyczaj powoływano się na absurdalność działania sowieckich władz bezpieczeństwa. To jednak co było normą za Stalina, przestało nią być w dniach XX Zjazdu. Bardziej przemawia mi do przekonania przypuszczenie, że Bierut popełnił samobójstwo, w rezultacie załamania psychicznego, pogłębionego demaskacjami Chruszczowa na XX zjeździe. W notatkach z lutego 1955 odnajduję zapis przemówienia Bieruta na promocji studium zaocznego Szkoły KC. Przemówienie było banalne, ale w pewnym momencie Bierut uderzył w ton osobisty: „Nadchodzą dla nas komunistów bardzo ciężkie czasy, gdy nie będziemy wiedzieli dokąd się ze wstydu schować. Bardzo ciężkie czasy, gdy nas będą wytykać palcami a my nie będziemy wiedzieć jak odpowiedzieć!”. Ten czas próby prawdopodobnie nadszedł dla Bieruta w czasie XX zjazdu.

Jako biografia praca Rechowicza-Werblana jest niewypałem.

Nawet krajowi recenzenci odważyli się stwierdzić, że jest ona najwyżej „próbą biografii”. Książka posiada jednak specjalne walory, powodujące, że należy ją polecić uważnej lekturze. Chodzi o pewne stwierdzenia, tzw. generalne. A więc polityka Stalina wobec Jugosławii była słuszna, tylko ówczesne metody propagandy były niedobre (str. 107). Wrócono do sloganu o Stalinie — wielkim przyjacielu narodu polskiego. Rekord bije teza, iż co prawda dopiero po śmierci Stalina przystąpiono do rozwiązywania problemów związanych z „łamaniami praworządności” ale zmiany te „... na pewno zostałyby dokonane także i wtedy, gdyby Stalin żył dłużej” (str. 141).

Wydaje się, że po tym cytacie wszelkie rozważania na temat walorów naukowych pracy są zbędne, podobnie jak i rozważania na temat anonsowanego przez prasę kursu politycznego.

Józef LEWANDOWSKI

Nadane nowości wydawnicze

ZAGÓRSKI (Jerzy). *Poezje wybrane*. Wybór wierszy i słowo wstępne Autora. Str. 139 i 9 nlb. (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Biblioteka Poetów-Exlibrisów, Warszawa, 1972; cena zł 10).

KREUTZ (Mieczysław). *Rozwój psychiczny młodzieży*. Wydanie szóste. Str. 77 i 1 nlb. (Wyd. nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas, Londyn, 1975).

HARUSEWICZ (Mieczysław). *Za carskich czasów i po wyzwoleniu*. Jan Harusewicz — Wspomnienia — dokumenty. Str. 467 i 1 nlb. (Wyd. Veritas Foundation Publication Centre, Londyn, 1975).

TABACZYŃSKI (Ludwik). *Żywica*. Wiersze. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).

Liryka szwedzka. Przełożył Łukasz Winiarski. Str. 130 (wydanie II poszerzone). (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).

PISZCZKOWSKI (Tadeusz). *Anglia a Polska 1914-1939 w świetle dokumentów brytyjskich*. Str. 456 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).

BUCZEK (Roman). *Stronictwo Ludowe w latach 1939-1945*. Organizacja i polityka. Str. 504. (Wyd. Jutro Polski, Ltd., Londyn, 1975).

WYGODZKI (Stanisław). *Podróż zimowa*. Wiersze. Str. 64. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975).

MARKS-HAMULCZYK (Janina). *Pajęcza nić*. Zbiór wierszy (1960-1974), tom I. Str. 126 i 6 nlb. (Wyd. w Melbourne, 1974).

CIOLKOSZ (Adam). *Konferencja w Jalcie 1945 r.* Str. 16. (Odbitka z *Tygodnia Polskiego* z 15. 2. 1975 r., wyd. Polish National Fund, Londyn; cena £ 0.06).

BROEL-PLATER (Leon, Ks.). *Krasław*. Str. 40. (Nakładem Autora, Londyn, 1975).

- W służbie pieśni — 20 lat Chóru F. Chopina (1949-1969)*. Str. 48. (Wyd. Chór Chopina, Towarzystwo Śpiewacze w Buenos Aires, Buenos Aires, 1969).
- W służbie pieśni — 25 lat Chóru F. Chopina (1949-1974)*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Chór Chopina, Towarzystwo Śpiewacze w Buenos Aires, Buenos Aires, 1974).
- PANAS (Henryk). *Według Judasza. (Apokryf)*. Wyd. drugie. Str. 256 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974; cena zł 26).
- VON CIESZKOWSKI (August). *Prolégomènes à l'histoire de la philosophie*. Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Editions Champ Libre, Paryż, 1973).
- Malévitch — *Ecrits*. Opracowanie Andrei B. Nakov — tłumaczenie z rosyjskiego Andrée Robel-Chicurel. Str. 450 i 2 nlb. (Wyd. Editions Champ Libre, Paryż, 1975).
- ROLLET (Henri). *La Pologne en 1975: „Une démocratie pas comme les autres”*. Artykuł w miesięczniku „Défense Nationale”, str. 69-76, czerwiec 1975. (Wyd. Défense Nationale”, Paris).
- Serta *Turyńska*. Studies in in Greek Literature and Paleography in honor of Alexander Turyn. Redakcja John J. Heller i J. K. Newman. Str. 624 i 6 nlb. (Wyd. University of Illinois Press, Urbana-Chicago-London, 1974).
- ROZENBAUM (Włodzimierz). *Between the Old and the New: The Protocols of the Elders of Zion in Communist Poland*. (Nadbitka z *Nationalities Papers* str. 61-75 (powielacz), wyd. The Association for the Study of the Nationalities — USSR and East Europe, Autumn, 1974, vol. II, No. 2, Charleston, Ill.).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Men at War: The Polish Version*. (Nadbitka z pracy zbiorowej „For Wiktor Weintraub”. Str. 239-250, Ed. Mouton, The Hague, 1975).
- DUKER (Abraham G.). *Adam Mickiewicz's Anti-Jewish Period*. Studies in „The Books of the Polish Nation and of the Polish Pilgrimage”. (Nadbitka z Salo Wittmayer Barron Jubilee Volume, wyd. American Academy for Jewish Research, Jerusalem, 1975, str. 311-343).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *The Ecology of Knowledge*. (Nadbitka z książki „Science and Society”, opr. Nicholas H. Steneck, str. 258-302, wyd. The University of Michigan Press, Ann Arbor, Mich., 1975).
- Conceptual Basis of the Classification of Knowledge*. Proceedings of the Ottawa Conference on the Conceptual Basis of the Classification of Knowledge, October 1st to 5th, 1971. Opracowanie Jerzy A. Wojciechowski, University of Ottawa. Tekst w języku angielskim i w języku francuskim. Str. 503. (Wyd. Verlag Dokumentario, Pula, Monachium, 1974).
- The Israel Year Book 1975*. Str. 311. (Wyd. Israel Yearbook Publications Ltd., Tel-Aviv, 1975).
- BERGER (L.). *Immigration Motivations and the Structural Changes in Israel*. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. The Office for Economic and Social Research, The World Zionist Organization, Tel-Aviv, 1975).
- LOEBER (Dietrich A.). *Samizdat under Soviet Law*. Str. 84-123. (Nadbitka z *Contemporary Soviet Law*, Essays in honor of John N. Kazard, Wyd. Martinus Nijhoff, Haga, 1974).
- KRZYŻANIAK (Marian), ERIS (Ibrahim). *The Long-Run Incidence of Government Spending on Education*. (Nadbitka *Public Finance Quarterly*, July 1974, vol. 2, No 3, str. 330-351).
- KRZYŻANIAK (Marian). *Comments: Taxation of Foreign Firms: A Note on Karageorgas's Requirements for Horizontal Equity*. (Nadbitka z *Public Finance Quarterly*, Vol. 2, No. 4, October 1974, Str. 485-489, Sage Publications, Inc.).
- GIDYNSKI (Joseph C., LL.M., LL.D., J.D.). *Former Citizens of Poland and the Polish People's Republic*. Str. 15 i 1 nlb. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XVII, No 3, Summer 1972, str. 37-51, New York, N.Y.).
- GIDYNSKI (Joseph C., LL.M., LL.D., J.D.). *Socialist International Law*. Str. 22. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XIX, Nos 3-4, str. 123-42, New York, N.Y.).
- MIECZKOWSKI (Bogdan). *Social Groups in Polish Society*. Eds. D. Lane and G. Kolankiewicz [recenzja]. (Nadbitka z *Journal of Baltic Studies*, Spring 1974, Str. 65-68).
- MIECZKOWSKI (Bogdan), MIECZKOWSKI (Seiko). *Horace Capron and the Development of Hokkaido — A Reappraisal*. (Fotokopia z *Journal of The Illinois State Historical Society*, November 1974, str. 487-504).
- GELIBTER (Giulio). *Polonia oggi e domani*. Str. 141 i 1 nlb. (Wyd. Cappelli, Bologna — seria Univer-sale Cappelli Nr 139 Problemi di politica contemporanea, 1975).
- DE SIATI (Gian Battista). *I Supergrattacioli ovvero I grandi „Golpisti” di tutte le epoche nel mondo*. Rapporto concerto sul primo contributo fondamentale al „Governo Universale”. Appello a tutti i governanti del mondo. Str. 41 i 7 nlb. (Nakładem Autora, Rapallo, 1975).
- TURYN (Alexander) *Michael Lulludes (or Luludes) — A Scribe of the Palaeologan Era*. Str. 15. (Odbitka z *Rivista di Studi Bizantini e Neellenici*, N.S. 10-11 (XX-XI), Rzym, 1973-1974).
- Mitteilungen Nr. 10-11*. Str. 101 i 1 nlb. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V., Monachium, 1974).
- Glaube in der 2. Welt*. Nr 2, Februar 1975 — poświęcony Anatolij Levitin-Krasnov. Str. 71 i 1 nlb. (Miesięcznik wydawany w Zurichu).
- WIRPSZA (Witold). *Die Verarbeitung*. (Nadbitka z *Akzente — Zeitschrift für Literatur*, Heft 1, Februar 1975. Str. 83-94, Carl Hanser Verlag, Monachium).
- MIRCZUK (Petro, J.D., Ph.D.). *Kolijuszczyna*. Hajdamacke powstania 1768 r. Str. 319 i 1 nlb. (Wyd. Shevchenko Scientific Society, Ukrainian Studies, v. 41, Londyn, 1973).
- KIKTA (Stepan). *Ukraiński Muzej-Archiv u Kijewi 1948 — 1952-1973*. (Nadbitka z dodatku do książki: „Derżawni Hroszi Ukrainy 1917-1920 roku”, str. 289-314, wyd. Ukrainian Museum-Archives, Inc., Cleveland, Ohio, (powielacz), cena \$ 1,00).
- Almanach „Homonu Ukrainy” 1975*. Str. 142 i 2 nlb. (Nakładem wydawnictwa „Homoni Ukrainy”, Toronto, Ontario, 1975).
- HNATYSHAK (Mykoła). *Derżawni Hroszi Ukrainy 1917-1920 roku*. Str. 356 (varityper). (Wyd. The Ukrainian Museum-Archives, Inc., Cleveland, Ohio, 1973; cena \$ 8).
- WYTWYČKYJ (Wasył). *Maksym Berezowskiy — zyttyja i tworcist’*. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. M. P. Kots, Jersey City, N.J., 1974).
- BYKOWSKYJ (Łew). *Dwadciat’ lit Naukowo-Organizacyjnych zusył na Zachodi ZSA (Denwerska Hrupa UWAN) 1954-1974 zwidomlennja*. Str. 79 i 1 nlb. (powielacz). (Wyd. Denurian Bibliological Institute, Denver, Colorado, 1974).
- LIVYTŃSKYJ (Mykoła) (V. Tkacz). *West-East Relations and the Problems of the Nations Enslaved by Moscow*. Wydanie w języku ukraińskim. Str. 404 i 4 nlb. (Wyd. Ukrainian Information Bureau, Monachium, 1975).
- KLIMOW (Grigorij). *Dieło No 69 o psich-wojnje, durdomach, 3-j jeumigraciji i neczystich silach — Publicistika i satanistika*. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. Izdatielstwo „Stawija”, Woodridge, N.Y.).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-5-75

Z Warszawy odleciała czwarta zmiana jednostki wojskowej polskiej, wchodzącej w skład sił zbrojnych ONZ na Bliskim Wschodzie.

17-5-75

W Warszawie zmarła, w wieku 68 lat, Sława Wendowa, żołnierzka Polki Walczącej, wdowa po płk. Wende, wicemarszałku Sejmu RP, oficerze do zleceń marszałka Śmigłego w czasie kampanii wrześniowej.

20-5-75

Liczba abonentów telewizyjnych w PRL przekroczyła 6,4 miliony. Odbiorników radiowych jest około 6 milionów. ■ W związku z chronicznym brakiem miodu w PRL podwyższono ceny skupu oraz ceny detaliczne tego artykułu. Cena miodu wzrosła z 29 zł za słoik półkilogramowy do zł 42. ■ Na posiedzeniach plenarnych KW PZPR wybrano nowych pierwszych sekretarzy. Zostali nimi: w Białymstoku — Władysław Juszkiewicz, w Gdańsku — Tadeusz Fiszbach, w Olsztynie — Leon Kłonica, w Krakowie — Wit Drapich, w Rzeszowie — Leon Kotarba. Nowym przewodniczącym Rady Głównej FS ZMP został członek KC PZPR, Zdzisław Kurowski. ■ Po nowej reformie administracyjnej powstały w PRL następujące województwa: stołeczne warszawskie, bielskopodlaskie, białostockie, bielskie, bydgoskie, chełmskie, ciechanowskie, częstochowskie, elbląskie, gdańskie, gorzowskie, jeleniogórskie, kaliskie, katowickie, kieleckie, konińskie, koszalińskie, miejskie krakowskie, krośnieńskie, legnickie, leszczyńskie, lubelskie, łomżyńskie, miejskie łódzkie, nowosądeckie, olsztyńskie, opolskie, ostrołęckie, pilskie, piotrkowskie, płockie, poznańskie, przemyskie, radomskie, rzeszowskie, siedleckie, sieradzkie, skierniewickie, słupskie, suwalskie, szczecińskie, tarnobrzeskie, tarnowskie, toruńskie, wałbrzyskie, włocławskie, wrocławskie, zamojskie, zielonogórskie. Na stanowiska wojewodów powołani zostali: Bielskopodlaskie — Józef Piela; Bielskie — Józef Łabudek; Chełmskie — Alojzy Zieliński; Ciechanowskie — Jerzy Wierzchowski; Częstochowskie — Mirosław Wierzbicki; Elbląskie — Leszek Lorbiecki; Gorzowskie — Stanisław Nowak; Jeleniogórskie — Maciej Szadkowski; Kaliskie — Zbigniew Chodyła; Kieleckie — Józef Stański; Konińskie — Henryk Kazimierzczak; Koszalińskie — Jan Urbanowicz; Krośnieńskie — Wojciech Grochala; Leszczyńskie — Eugeniusz Pacia; Lubelskie — Mieczysław Stępień; Legnickie — Janusz Owczarek; Łomżyńskie — Jerzy Zientara; Nowosądeckie — Lech Bafia; Ostrołęckie — Józef Krotiuk; Pilskie — Andrzej Śliwiński; Piotrkowskie — Leszek Wysocki; Płockie — Kazimierz Janiak; Poznańskie — Stanisław Cozaś; Przemyskie — Czesław Hodór; Radomskie — Roman Maćkowski; Siedleckie — Witold Dąbrowski; Sieradzkie — Tadeusz Barczyk; Skierniewickie — Stanisław Barański; Słupskie — Jan Stępień; Suwalskie — Eugeniusz Żłotorzyński; Tarnobrzeskie — Władysław Bobek; Tarnowskie — Jan Przytarski; Zamojskie — Tadeusz Dmyterko. W pozostałych 13 województwach na stanowiskach wojewodów i prezydentów nie zachodzą zmiany. ■ W Warszawie trwają XX Międzynarodowe targi książki. Bierze w nich udział 291 wystawców z 29 krajów.

22-5-75

Aleksandr Szelepin ustąpił „na własną prośbę” ze stanowiska przewodniczącego sowieckich Związków Zawodowych. Poprzednio, 16. 4. br., Szelepin został usunięty ze stanowiska członka Biura Politycznego KPZS. ■ *Żołnierz Wolności* zamieścił artykuł Piotra Orzechowa „Podpułkownika rezerwy Armii Radzieckiej, uczestnika walk o wyzwolenie ziem polskich”, który pisze jak znakomite przyjęcie znalazły polskie dzieci w Kirgizji, gdy „Polska pozostawała pod okupacją faszystowską, a setki tysięcy jej synów znalazło się na terytorium Związku Radzieckiego”. Redakcja *Żołnierza Wolności* apeluje, by polscy obywatele, przebywający podczas wojny w Kirgizji, odezwali się na ten artykuł do gazet *Sowieckaja Kirgizja* lub *Wieczernij Frunze*, lub na adres płk. Orzechowa: ZSSR, 720-001, Frunze 1, ulica Logwienko 26A m. 49 — Piotr Orzechow. Nie wątpimy, że do płk. Orzechowa napiszą również Polacy, przebywający na Zachodzie, którzy „znaleźli opiekę” na terenie Kirgizji i innych republik ZSSR.

29-5-75

Gustaw Husak został prezydentem Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej na miejsce L. Svobody, który ustąpił z powodu stanu zdrowia. Husak zachowuje stanowisko pierwszego sekretarza partii czechosłowackiej.

31-5-75

Nagrody dla twórców za rok 1975 przyznawane przez Komitet dla Spraw Radia i Telewizji otrzymali: Zygmunt Kałużyński, Wojciech Giełżyński i Andrzej K. Wróblewski. ■ Nagrody literackie im. Stanisława Piętaka otrzymali: Marian Grzeszczak w dziale poezji i Jerzy Pluta w dziale krytyki.

1-6-75

Trzy pierwsze duże polskie tankowce, zbudowane w stoczniach NRF i Japonii są w drodze do Zatoki Perskiej, (skąd mają przywieźć pierwszy ładunek ropy naftowej dla rafinerii gdańskiej). ■ 546 tysięcy kobiet w PRL, to jedyne żywicielki dzieci (do lat 24-ch). 345 tysięcy ma na utrzymaniu jedno dziecko, 129 tysięcy — dwoje, 42 tysiące — troje, 12 tysięcy — czworo, 5 tysięcy — pięcioro.

2-6-75

Prezes Rady Ministrów PRL, Piotr Jaroszewicz, przybył do Moskwy, gdzie wręczono mu Order Rewolucji Październikowej „Za zasługi w rozwoju braterskiej przyjaźni i wszechstronnej współpracy między Polską i Związkiem Sowieckim”.

3-6-75

Została zorganizowana druga z kolei polsko-mongolska ekspedycja fizyczno-geograficzna „Changaj”, w której bierze udział 12-tu polskich naukowców. Jak dotąd wyekspediowano do Mongolii 420 ogromnych skrzyń z „posagiem” polskiej ekspedycji. W czasie pobytu tej ekspedycji naukowej w Mongolii ma być stworzona polska stacja badawcza PAN w sąsiedztwie kolchozu im. Przyjaźni Mongolsko-Polskiej. ■ W PRL ma się ukazać nowy banknot 1.000 złotych, który wejdzie do obiegu z dniem 2 lipca bież. roku.

5-6-75

Po raz pierwszy w Polsce odbyły się w Poznaniu międzynarodowe wyciągi chartów. ■ Według statystyki Lloyd polski przemysł stoczniowy zajął w 1974 roku 13 miejsce w świecie. ■ Zmiany w rządzie PRL: Alojzy Karkoszka, dotychczasowy minister Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych został mianowany wicepremierem; Tadeusz Bejma, dotychcza-

sowy pierwszy sekretarz KW w Gdańsku, został ministrem Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska; Jerzy Gawrysiak, dotychczasowy pierwszy sekretarz KW w Rzeszowie, został mianowany ministrem Handlu Wewnętrznego i Usług; Adam Glazur, wiceminister Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, został ministrem tego resortu. Dr Zbigniew Madej został wiceministrem w ministerstwie Finansów.

7-6-75

W Warszawie został otwarty sezon Teatru Narodów, który po raz pierwszy odbywa się poza Paryżem. Bierze w nim udział 18 zespołów teatralnych z 16-tu krajów. Ze strony polskiej odbędzie się prapremiera opery Krzysztofa Pendereckiego „Diabły z Loudun”. ■ W okresie miesiący wakacyjnych — tj. w czerwcu, lipcu i sierpniu — wszystkie dzienniki w PRL będą ukazywały się jedynie 5 razy w tygodniu. Nie dotyczy to *Trybuny Ludu*, *Życia Warszawy* i *Żołnierza Wolności*. ■ Ambasador ZSSR w PRL, Stanisław Piłotowicz, odznaczony został odznaką: „Zasłużony dla kultury polskiej”.

9-6-75

W Warszawie zmarła Janina Konarska, znana graficzka, żona Antoniego Słonimskiego. Pochowana została w Laskach.

ZACHÓD — EMIGRACJA

27-4-75

Na walnym zebraniu Polskiego Związku B. Więźniów Politycznych w Sztokholmie prezesem Związku wybrano ponownie Jerzego Urbańskiego, a wiceprezesem Marka Teleszewskiego.

15-5-75

W Galerie 8 w Bremen (NRF) odbyła się wystawa obrazów Bożeny M. Bodehoff-Romanowskiej. ■ W znanym paryskim wydawnictwie Calmann-Lévy ukazała się książka Stanisława Lema pt. „Mémoires trouvés dans une baignoire” w przekładzie Dominique Sila i Anny Łabędzkiej.

17-5-75

Znany publicysta katolicki, Andrzej Micewski, który bawi w Niemczech Zachodnich, odbył konferencję z b. Kanclerzem NRF, Brandtem, oraz z sekretarzem generalnym CDU, Biedenkopffem.

18-5-75

Londyńska giełda metali zaproponowała utworzenie w Szczecinie pierwszej w krajach socjalistycznych wolnościowej składnicy metali nieżelaznych.

22-5-75

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór „Le Duo à la polonaise”.

24-5-75

Staraniem Information Catholique Internationale w Paryżu odbyło się kolokwium polsko-francuskie na temat „Les chrétiens face à la société de consommation”. Ze strony polskiej w kolokwium wzięli udział: ks. Adam Boniecki, Zygmunt Skórzyński, Jerzy Turowicz i Andrzej Wielowieyski.

28-5-75

W Solurze (Szwajcaria) zmarł nagle, w wieku 73 lat, Kazimierz F. Vincenz. Był on znanym działaczem społecznym, przede wszystkim twórcą i kierow-

nikiem Kiermaszu Książki Polskiej i sekretarzem zarządu Fundacji im. Anny Godlewskiej.

29-5-75

W Whitechapel Art Gallery w Londynie odbyła się wystawa Magdaleny Abakanowicz „Organic structures and human forms”.

30-5-75

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Zbigniewa Herberta.

1-6-75

Wybitny polski przemysłowiec z USA, dr Tadeusz Sędzimir, został odznaczony przez szwedzką Akademię Nauk Inżynierskich medalem Brinella, który jest najwyższym odznaczeniem tej Akademii. ■ Wobec wyłączenia z dochodzenia — które się toczy w sprawie mordu oskarżonego pozostałego przy życiu, b. SS Hauptsturmführera Hansa Krügera (o czym pisaliśmy w nrze 12/327 *Kultury*) komitet profesorów w Paryżu pod przewodnictwem prof. Jerzego Langroda rozpiisał do profesorów wyższych uczelni zagranicznych list protestacyjny, zapraszający do podpisania zbiorowego apelu do Prezydenta NRF Waltera Scheela. Na odezwę wystosowaną w trzech językach i podpisaną przez 9 profesorów, nadeszły odpowiedzi z 16 krajów z wyrazami solidarności i z podpisami 208 uczonych. ■ W Radio Free Europe zarządzono nowe, wielkie redukcje. Ma odejść dodatkowo 140 osób. Z sekcji polskiej ma tymczasem odejść 10 osób, w tym 8 osób przechodzących na emeryturę w roku bieżącym i przyszłym.

2-6-75

W czasie wizyty Edwarda Gierka w Sztokholmie został przez polską emigrację zorganizowany wiec protestacyjny, w którym poza polskimi ugrupowaniami wzięli udział szwedzki liberalny związek studentów i inne organizacje. W czasie wiecu krążył nad Sztokholmem samolot, ciągnący banderolę z napisem „Żądamy wolności dla dwóch milionów Polaków w Sowietach”. Samolot zrzucił ponadto 10 tysięcy ulotek SPK o analogicznej treści.

4-6-75

W nocy z 3 na 4 czerwca dokonano włamania do Domu SPK w Paryżu. Wracający do domu o godz. 01.00 pracownik Domu SPK spostrzegł, że drzwi wejściowe były otwarte. Wezwana policja schwytała włamywacza, posiadającego paszport wydany przez NRF na nazwisko Andreas Bednarski, ur. w Szczecinie, lat 28. Znalaziono ponadto narzędzia służące do włamania. Sprawca przy aresztowaniu udawał pijanego do nieprzytomności. Policja oświadczyła, że przy aresztowaniu udawał pijanego do nieprzytomności. Aresztowanego Bednarskiego świadkom-pracownikom Domu, że to symulacja. Aresztowanego Bednarskiego doprowadzono do Komisariatu Policji. Włamywacz usiłował dostać się do doprowadzono do Komisariatu Policji. Włamywacz usiłował dostać się do biur Polsko-Amerykańskiego Komitetu Imigracyjnego oraz do Stowarzyszenia Francuzów Polskiego Pochodzenia. Pomimo dowodów włamania Bednarski został zwolniony i deportowany do NRF. Tygodnik *Valeur Actuel* wychodzący w Paryżu podał, że zwolnienie z aresztu nastąpiło na interwencję Quai d'Orsay w związku z wizytą Prezydenta Francji w Polsce, która będzie miała miejsce 17 bm. Bednarski dwa lata temu był w Paryżu za paszportem PRL, wystawionym na inne nazwisko. Jest to już drugie usiłowanie włamania się do wspomnianych wyżej biur, w których znajdują się akty interesujące władze PRL. *Agence France Presse* nasświetliła całą tę sprawę jako pijacką awanturę i w formie lekceważącej Polaków, co spowodowało protest przedstawicieli SPK.

5-6-75

W Librairie — Galerie Galaxie w Paryżu została otwarta wystawa obrazów i rysunków Józefa Czapskiego. ■ Komitet Wyborczy Polaków Naturalizowanych we Francji wystosował list do Prezydenta V. Giscard d'Estaing w związku z jego wizytą w Polsce: „Wierzmy mocno, że na stosunki francusko-polskie patrzy Pan nie tylko jako na współpracę Rządu Francuskiego z władzami PRL, lecz także — a może przede wszystkim — jako na współdziałanie naszych dwóch narodów”. List, wysuwający szereg postulatów podpisali: Jerzy Jankowski jako *responsable national* Komitetu oraz Czesław Błaszczak z Alzacji, Edward Papalski z Pas-de-Calais, Ryszard Ptaszyński z Nord'u I, Edward Kozik z Nord'u II i Jerzy Brodzki z Okręgu Paryskiego.

6-6-75

W Centre du Dialogue w Paryżu Jerzy Turowicz, redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego* w Krakowie wygłosił odczyt pt. „30 lat *Tygodnika Powszechnego*”.

13-6-75

W Paryżu odbyło się międzynarodowe kolokwium zorganizowane przez Société Internationale pour l'Etude de Husserl et de la Phénoménologie pod przewodnictwem prof. L. J. Delphe'a z uniwersytetu Paris VII poświęcone zagadnieniu „L'homme agissant”. W kolokwium wzięli udział kardynał Karol Wojtyła i Anna Teresa Tymieniecka z uniwersytetu w Bostonie.

17-6-75

Prezydent Francji, Valéry Giscard d'Estaing przybył do Warszawy z oficjalną wizytą. ■ Władimir Maksimow otrzymał tegoroczną nagrodę literacką Fundacji stworzonej przez K. Adenauera, która corocznie przyznaje nagrody z dziedziny nauki, publicystyki i literatury. ■ Prof. dr Jan Kostrzewski został wybrany na przewodniczącego Rady Wykonawczej Światowej Organizacji Zdrowia. ■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu prof. Jerzy Wojciechowski z Ottawy wygłosił odczyt na temat „Grupy narodowościowe polska i ukraińska w Kanadzie i ich wzajemne stosunki”. Po odczytzie miała miejsce ożywiona dyskusja.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

4. 5. br. w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku odbyły się dwa odczyty: dr. Stanisława Grossa pt. „Genetic engineering” i Barbary Kielczyńskiej o Iranie. ■ Zmarł, w wieku 56 lat, Zygmunt Umiński, długoletni redaktor dziennika *Nowy Świat*. ■ Kryzys energetyczny w Stanach i w całym świecie — przy wszystkich swoich dalekosiężnych skutkach — odbił się przede wszystkim na przemyśle samochodowym. W Ameryce najbardziej ucierpiały General Motors, Chrysler i Ford. Kapitał Fundacji Forda — jednej z najzasobniejszych w Ameryce — skurczył się w porównaniu z rokiem 1973 z 3 miliardów dolarów do 2 miliardów. W efekcie tego nastąpiło anulowanie szeregu planowanych przedsięwzięć — a więc stypendiów i projektów badawczych jak również działalności filantropijnej. W ślad za tym nastąpiła redukcja personelu naukowego i administracyjnego Fundacji dochodząca do 35% składu osobowego. Według oświadczenia George'a Bundy prezydenta Fundacji reprezentacyjny gmach mieszczący się w centrum Nowego Jorku, w pobliżu ONZ, ma być częściowo wynajęty na lokale biurowe dla instytucji handlowych i finansowych. ■ W końcu kwietnia br. chicagowski związek akademików zorganizował wieczór autorski Haliny i Bolesława Taborskich z Londynu. ■ Do rady nadzorczej Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku dokooptowano trzech nowych członków. Są to: prof. Zbigniew Brzeziński, gen. Leo J. Dulacki i dr Stefan Zieman. ■

18. 5. br. zmarł w Ann Arbor, Michigan, prof. Kazimierz Fajans, przeżywszy 87 lat. Fajans, urodzony w Warszawie 27. 5. 1887 roku, był fizykochemikiem o światowej sławie. Studia wyższe odbywał w Niemczech, Szwajcarii i Anglii. Położył olbrzymie zasługi naukowe w zakresie badań radioaktywności, fizyki nuklearnej i budowy cząsteczek. Był profesorem chemii fizycznej Uniwersytetu w Monachium od 1917 do 1935 roku, następnie profesorem University of Michigan w Ann Arbor od 1936 do 1957 roku, i profesorem emerytowanym tegoż Uniwersytetu od 1957 roku. Był członkiem wielu akademij; w 1929 roku został wybrany na członka czynnego zagranicznego Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. ■ W okresie od 24 września do 26 listopada br. odbędzie się w New York University — w dziesięciu sesjach — specjalny kurs, poświęcony dzieciom Polaków w Ameryce. Głównym wykładowcą będzie dr Frank Mocha. ■ 3. 6. 75 zmarł w San Diego, California, w wieku 79 lat, Chrystian Mieczysław Kretowicz, major pilot-obszernik, nestor polskiego lotnictwa, wieloletni przedstawiciel *Kultury*.

KRONIKA KANADYJSKA

Kanadyjski minister do spraw etnicznych został zaatakowany przez prasę w języku angielskim za danie do 148 gazet etnicznych w Kanadzie płatnych ogłoszeń o programie wielokulturowości rządu federalnego. Krytycy angielscy zapomnieli, że suma pół miliona dolarów jest niewspółmierna do wielu milionów, jakie otrzymuje prasa kanadyjska w języku francuskim. ■ 16. 5. br. w Montrealu odbył się trzeci zjazd naukowców polskich z Ameryki i Kanady. Zjazd był licznie obsesany — uczestniczyło w nim 400 osób. Zgłoszono 191 referatów, nie licząc udziału w tzw. „panelach dyskusyjnych”. Nowością zjazdu była sekcja łączności środków masowego przekazu.

KRONIKA NIEMIECKA

Niemcy Wschodnie stanęły w obronie tajnego paktu Ribbentrop-Mołotow z 1939 roku. *Nazional-Zeitung* (23. 4. 1975), podkreśla, że „zawarcie paktu o nieagresji pozwoliło Związkowi Sowieckiemu na wyjście ze stanu dyplomatycznej izolacji i rozbiło agresywne plany międzynarodowej reakcji”. ■ Federalny Urząd Pracy NRF ogłosił, że po raz pierwszy od roku zmniejszyła się liczba bezrobotnych, która obecnie wynosi 1.017.800. ■ Ziomkostwo Prus Wschodnich postanowiło nadać odznaczenie *Preussenschild* Karlowi Dönitzowi (rocznik 1891), b. admirałowi *Kriegsmarine*. ■ W 1974 roku 30 tysięcy obywateli NRF, b. mieszkańców Prus Wschodnich, odwiedziło Polskę. Przewodniczący Ziomkostwa Prus Wschodnich, poseł do *Bundestagu* z ramienia CDU, Phillip von Bismarck stwierdził: „Szukaliśmy i znaleźliśmy dialog z Polakami”. Co drugi niemiecki gość skorzystał z polskiego zaproszenia. ■ Jan Kuszak, polski kapitan libańskiego statku „*Baabda*”, oczekuje w Hamburgu na proces za próbę przemytu 2,4 ton haszyszu wartości ok. 10 mln. dolarów. Na statku znaleziono także 500 sztuk broni ręcznej i pistolety zadeklarowane były jako... wiatrówki. ■ Programy wschodnie rozgłosi *Deutsche Welle*, nadawane z Kolonii (m.in. rosyjski i polski), podlegają ostatnio wzmocnionej kontroli. Władzom zachodniom niemieckim chodzi o zneutralizowanie programów, zgodnie z życzeniami krajów do których one są adresowane. ■ Prymas Polski, ks. kardynał Stefan Wyszyński, zrezygnował z wizyty w Niemczech Zachodnich. Odwołanie przjazdu nastąpiło przypuszczalnie w wyniku ostrych nacisków reżymu. ■ W Mönchengladbach (Nadrenia), odbyła się premiera opery Krzysztofa Pen-

dereckiego „Diabły z Loudun”. Była ona wielkim sukcesem kompozytora i wykonawców. ■ Heinrich Böll, wraz z innymi pięcioma laureatami nagrody Nobla interweniował na rzecz żony Sacharowa, której władze sowieckie stale odmawiają wydania paszportu na wyjazd do Włoch, gdzie chce się ona poddać skomplikowanej operacji oczu. ■ W 1974 roku eksport NRF do Związku Sowieckiego osiągnął wartość 1,92 mld. dolarów. Import NRF z Sowieców wyniósł 1,32 mld. dol. Władze sowieckie spodziewają się, że w bież. roku wartość obrotów handlowych z Bonn osiągnie sumę 4 mld. dolarów. ■ Zachodniemiecki *Commerzbank* uzyskał zgodę na otwarcie przedstawicielstwa w Moskwie. ■ Nakładem *Marion von Schröder Verlag* w Düsseldorfie ukazała się nowa powieść Stanisława Lema pt. „Trander”. W ostatnich trzech latach w NRF przełożono na niemiecki dziesięć powieści *science fiction* Lema. ■ Około 100 tysięcy osób wzięło udział w tegorocznym zjeździe Ziomkostwa Ślązaków w Essen. Głównym mówcą był poseł do *Bundestagu* dr Herbert Hupka (CDU). ■ Orkiestra Hali Beethovena z Bonn koncertowała w Bydgoszczy, Toruniu i Poznaniu. ■ Środowiska ewangeliczne w NRF wypowiadają się za jak najszybszym załatwieniem sprawy odszkodowań dla byłych polskich więźniów obozów koncentracyjnych. Głos w tej sprawie zabrał pastor dr Helmut Hild — przewodniczący Kościoła ewangelickiego Hesji i Nassau. ■ W Warszawie podpisana została umowa o cywilnej komunikacji lotniczej. Samoloty „Lotu” kursują obecnie na liniach do Hamburga, Kolonii/Bonn i Frankfurtu nad Menem. ■ Księża zgromadzeni w sanktuarium Św. Józefa w Kaliszu, b. więźniowie nazistowskich obozów koncentracyjnych, wydali siedmiopunktowe oświadczenie, w którym zaznaczono m.in.: „Pragniemy, by po wiekach nastąpiło szczere pojednanie Niemców i Polaków. Wołamy o to, by zostały spełnione wszystkie warunki tego pojednania, bez żadnych niegodnych przetargów, osłanianych pozorami dowolnie przyjętych postanowień prawnych”. ■ Republika Federalna jest największym zachodnim partnerem gospodarczym Polski. Dostawy NRF do PRL osiągnęły w roku 1974 wartość 2 mld. dolarów. ■ W pierwszym kwartale bież. roku Polskę opuściło zaledwie 1.468 etnicznych Niemców. ■ Dr Adalbert Rueckerl, kierownik Centrali Zarządów Krajowych Wymiaru Sprawiedliwości NRF do Spraw Ujawniania Zbrodni Nazistowskich w Ludwigsburgu, przebywał w Polsce. Po powrocie do Niemiec wystosował list do b. ministra dla Spraw Wyszędzonych — prof. Theodora Oberlaendera, w którym stwierdził, że dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, Czesław Pilichowski — w obecności świadków — „oświadczył w trakcie rozmowy, że na podstawie wyników przeprowadzonych w Polsce dochodzeń, można obecnie z całą pewnością stwierdzić, że wniesione swego czasu w związku z tym (idzie tu o zamordowanie profesorów lwowskich) przeciwko panu (tj. Oberlaenderowi) zarzuty były nieuzasadnione”. Prasa krajowa, prawdopodobnie po interwencji władz wschodniemieckich, zdemontowała zaraz wiadomość o rzekomej rehabilitacji Oberlaendera. ■ Poczta NRF wydała znaczek pocztowy z okazji 500-lecia „wesela landshuckiego”; w 1475 roku książę Jerzy Bogaty z Wittelsbachów wziął za żonę Jadwigę Jagiellonkę. Wielki festiwal urządzony z tej okazji stał się „wydarzeniem roku” w Bawarii. ■ *Schlosspark-Theater* w Berlinie Zachodnim wystawił sztukę Sławomira Mrożka „Emigranci”. Recenzje prasowe były wręcz entuzjastyczne. ■ „Operetka” Witolda Gombrowicza grana we Frankfurcie, w inscenizacji Hansa Neuenfelsa spotkała się z podobnymi reakcjami. ■ Józef Szajna będzie inscenizował w Essen w sezonie 1975/76 „Fausta”. Prezes Rady Nadzorczej zakładów Kruppa, Berthold Beitz, wziął udział w uroczystościach otwarcia tegorocznych Targów Poznańskich. Niemcy Zachodnie są największym wystawcą. W tym roku NRF była reprezentowana przez 265 firm.

Andrzej J. CHILECKI

RADIO MOSKWA, 8. 6. 1975

Będąc w Wilnie odwiedziłem redakcję polskiej gazety *Czerwony Sztandar*; no przed chwilą skończyło się kolegium redakcyjne a więc naczelny redaktor Leonid Romanowicz już jest wolny, również ma trochę czasu dla nas sekretarz redakcji Jerzy Surwiłło (?).

— Panie redaktorze może na wstępie jakaś krótka historia właśnie waszej gazety.

— Więc *Czerwony Sztandar* powstał w roku 1953. *A propos* chciałbym zaznaczyć, że jest on organem KC KP/Litwy. Już mamy teraz nakład ok. 50 tys. Warto chyba zaznaczyć, że 20 tys. leci na Polskę.

— To jest bardzo dużo.

— Tak, sporo. Tam jest dużo naszych czytelników, ale zwrotów — o ile wiemy — nie ma, bo nakład nam się w Polsce nie zmniejsza.

— Z Polski zwrotów nie ma? A właśnie z Wilna i okolicy, że tak powiem?

— No trzeba powiedzieć, że nie tylko na Litwie się rozpowszechnia gazeta, również i w innych republikach, na Białorusi, na Ukrainie, szczególnie w obwodzie lwowskim.

— Dziękuję serdecznie, a sekretarz redakcji wobec tego niech nam powie, jak wygląda kontakt z czytelnikami? Czy po prostu tylko list i odpowiedź w waszej gazecie, czy są jakieś jeszcze inne spotkania właśnie z całą redakcją waszej gazety?

— Dziennik nasz udostępnia swoje łamy czytelnikom tutaj w republice w ZR, a jednocześnie także czytelnikom z Polski. Oczywiście po pierwsze zamieszczamy artykuły nadsyłane do redakcji, a poza tym mamy stały kontakt z czytelnikiem, raczej taki można powiedzieć pośredni, już nie na łamach gazety. To dotyczy przypuszczonego systematycznych spotkań z czytelnikami czy to w mieście, w Wilnie, tudzież w terenie. A więc to są takie spotkania typu konferencji, jakichś sprawozdań, dziennikarstwa i pracy, gdzie, prawda, wysłuchujemy uwagi naszych czytelników, propozycji. Mile są widziane także propozycje i listy czytelników naszego dziennika z Polski. Zawsze się cieszymy, gdy nasza poczta zawiera te listy. Może przytoczę ciekawy przykład..., gdy został nadesłany list od czytelniczki z Polski, która się interesowała, prawda, rozbudową miasta a także problemami ochrony zdrowia.

— No i oczywiście operatywny zespół redakcji natychmiast zamieścił tego rodzaju artykuł?

— Tak, oczywiście, zamieściliśmy list a potem, prawda, była zamieszczona obszerna odpowiedź od redakcji.

— A czy są organizowane jakieś może koncerty estradowe, powiedzmy typu „żywa gazeta”, coś w tym rodzaju?

— Ja chciałem tu zaznaczyć, że owszem organizujemy takie imprezy razem, przypuszcmy, z zespołem pieśni ludowej i tańca 'Wilia', i jednocześnie z zespołem teatralnym przy wileńskim Pałacu Kultury kolejarzy. To wygląda tak, że przypuszcmy jadą, jadą przedstawiciele redakcji na takie spotkanie i czytelnikami i jednocześnie reprezentuje swój program 'Wilia', ewentualnie zespół dramatyczny pokazuje swoją sztukę.

— Tego rodzaju imprezy na pewno cieszą się dużym powodzeniem?

— O tak, oczywiście.

— To są trzy atrakcje na raz.

— Oczywiście, tak, oczywiście.

— *Czerwony Sztandar* już od 10 lat przeprowadza wspólne konkursy

z odpowiednimi dziennikami w Polsce, z *Ekspresem Wieczornym*, z *Życiem Warszawy*, z *Czasem* o przyjaźni polsko-radzieckiej. Konkursy te się cieszą bardzo dużym powodzeniem, otrzymujemy tysiące listów i co najciekawsze, prawda, i chyba najbardziej radosne, że zwycięscy konkursów z Polski przyjeżdżają do nas, tutaj, na zaproszenie i *vice versa*, prawda, czytelnicy nasi, którzy zdobyli I nagrody jadą do Polski.

— Serdecznie dziękuję, życzę powiększenia grona czytelników i życzę, żeby nie było ani jednego zwrotu!

Rozmawiał Jerzy SKERCZYŃSKI (?)

(rozmowa z z-cą przewodniczącego wszechzwiązkowej agencji praw autorskich, który stał na czele delegacji agencji na XX międzynarodowych targach książki w Warszawie. Powiedział on m.in.:)

— Podczas targów podpisaliśmy 20 kontraktów na wydanie w ZR polskich książek polskich autorów. Tym razem nasi czytelnicy będą się mogli zapoznać z niełumaczonej jeszcze na język rosyjski i języki narodów ZR utworami E. Orzeszkowej, H. Sienkiewicza oraz innych polskich pisarzy. W bież. roku przewidujemy załatwienie formalności wydawniczych na ok. 100 prac polskich autorów. Jeśli zaś chodzi o radzieckich autorów w Polsce to ich nakłady również stale wzrastają. Mogliśmy to również zauważyć na targach książki w Warszawie, świadczy o tym również liczba, którą podano nam w ministerstwie kultury i sztuki PRL. W bież. roku polscy czytelnicy otrzymają dalszych 240 pozycji radzieckich autorów.

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Listy do Redakcji

Toronto, Ont., 28 kwietnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Na ogół ciekawy artykuł „Białoruskie rozbiecie i legalizm” W. Sukienickiego (*Kultura* Nr3/300) zaszczycony miejscami, gdzie ustalone fakty podpira fantazja. Wymienię parę przykładów:

Łatwo jest sprawdzić, że w Wolnym Świecie istnieje jedna Białoruska Autokiefalna Prawosławna Cerkiew (BAPC) z Mitropolitom Andrejem (Cleveland) na czele. Natomiast są parafie, które na zlecenie R. Ostrowskiego (BCR) poszły „z warahau u hreki”, tzn. składa się z Białorusinów, dążących do wyzwolenia ujarzmionej ojczyzny lecz należą do jurysdykcji greckiej cerkwi na emigracji. Oni nie mają białoruskiego biskupa. Zaciekawieni to mogą lekko sprawdzić.

Pan Sukiennicki dalej fantazjuje, niby „L. Rydleusky i P. Szymaniec pozostali w Paryżu, dojeżdżając jedynie do Ameryki”. Otóż żaden z nich nigdy w Ameryce nie był.

W Syrakuzach (New York) długi czas mieszkał i miał swoją drukarnię Jan Piatrowski, pastor białoruskiej sekty metodystów. On wydawał czasopismo „Światecz Chrystowaje Navuki”, zaś nie było tam żadnych białoruskich baptystów. Obecnie (od lat czterech) Piotrowski mieszka w Florydzie a czasopismo już nie wychodzi.

Z tych przykładów widać, że p. Sukiennicki nadużywa fantazję. O ile tak, powstaje pytanie wartości innych faktów i w ogóle samego artykułu. Jeżeli pobudką *Kultury* jest obiektywne informowanie swoich czytelników, to w jakim celu jest używanie fałszu albo fantazji w rzekomo uzasadnionym materiale?

Łączę wyrazy szacunku,

Kastus AKUŁA

14 maja 1975.

Drogi Panie Redaktorze!

Dziękuję za zapoznanie mnie z treścią listu p. Kastusia Akuły. Urodzony po Pierwszej Wojnie w prawosławnej rodzinie na Ziemiach Wschodnich, należy on do średniego pokolenia dzisiejszej inteligencji białoruskiej. Podczas Drugiej Wojny był elewem, nigdy formalnie nie otwartej szkoły oficerów BOK w Mińsku, odbył bezkrwawą kampanię w Niemczech i we Francji, trafił do alianckiej niewoli i zaciągnął się do 2-go Korpusu we Włoszech, gdzie miał możliwość kontynuowania swych studiów ogólnych i wojskowych. Swe przejścia opisał w interesującej, prawie 600-stronicowej, opowieści *Zmagarnyja Darogi* (Drogi zmagają). Po wojnie był jednym z ini-

cjatorów *Zgurtowania* Białorusinów w Wielkiej Brytanii, jeszcze za czasów Korpusu Przystosobienia, następnie zaś w Kanadzie. Jest zwolennikiem BNR oraz autorem dwóch tomów: *Dziarliwaja Ptuska* (Zadzierzasty ptaszek) i *Zakrywaulenaje Sonca* (Skrwawione słońce) zamierzonej trylogii o życiu na Białorusi za czasów polskich, sowieckich i niemieckich, oraz opowieści po angielsku *Tomorrow is Yesterday*.

Z zadowoleniem stwierdzam, że będąc w pełni kwalifikowanym do wytknięcia mi istotnych błędów, jakie ewentualnie popełnić mogłem w opisie nader skomplikowanych stosunków białoruskich, wysunął tylko trzy raczej błahe zarzuty.

1. Jedna czy dwie BAPC? W ustępie o religijnym rozbiću Białorusinów prawosławnych pisałem o ich sporach o gmachy cerkiewne i pomawianiu się wzajemnie o nieortodoksyjność i niekanoniczność. Wynikało z tego, że każda BAPC uważa się za *Jedną* i neguje istnienie innej. Nie jest wykluczone, że ktoś napisze do Pana list, że w prawdzie w chwili obecnej *kanoniczna* Cerkiew nie posiada białoruskiego biskupa, to jednak Mitropolita Andrej w Cleveland jest nie uznawanym przez Wsielenskiego Patriarchę „impostorem” i „tajnym agentem Watykanu”.

2. W drugiej „teologicznej” kwestii błąd mój sprowadza się do użycia czasu teraźniejszego zamiast przeszłego i pomieszaniu baptystów z metodystami. Kajam się!

3. Aczkolwiek list kilkakrotnie zarzuca „podpieranie” się czy „nadużywanie” „fantazji”, trzeci wytknięty błąd wynikał raczej z braku niż nadmiaru „fantazji”. Istotnie, nie byłem w stanie wyobrazić sobie ministrów, z których żaden nigdy nie był w kraju, gdzie przebywał Premier i gdzie musieli się chyba odbywać posiedzenia gabinetu. I znowuż mogę się tylko kajać.

Gdy jednak na podstawie „tych przykładów” autor listu kwestionuje wartość „innych faktów i w ogóle samego artykułu” oraz imputuje *Kulturze* „używanie fałszu”, muszę to tłumaczyć w ten sposób że, pomimo literackiego talentu, nie panuje on w dostatecznym stopniu nad obcym mu językiem i nie zdaje sprawy, jaki wydzwięk w języku polskim mają końcowe zdania jego listu.

Dłóż ściskam,

Wiktor SUKIENICKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Bruksela, 20 maja 1975.

W związku z artykułem p. P. Emigranta (*Kultura*, Nr 5, 1975), proszę o zamieszczenie następujących uwag:

Co najmniej zdziwienie wywołują wysiłki autora, by przedstawić Dr. Czaję wyłącznie jako posła do sejmu NRF pomijając jego funkcję prezesa Związku Uchodźców. Jednocześnie P. Emigrant zarzuca Polakom, którzy występują przeciwko rozmowom z p. Czają, że „automatycznie” wiążą oni jego nazwisko z rewizjonistycznym stanowiskiem w stosunku do granicy na Odrze i Nysie. To przecież sam p. Czaja we wszystkich swoich wystąpieniach i to zarówno przed rozmowami w „polskim Londynie” jak i po nich, samookreśla się jako polityk reprezentujący rewizjonizm niemiecki i całą swoją działalność polityczną ogranicza wyłącznie do zagadnień rewindykacyjnych uchodźców niemieckich.

Czyżby p. Czaja zrobił wyjątek w dniu rozmów w Londynie i reprezentował tam politykę odprężenia polsko-niemieckiego, która jest możliwa jedynie pod warunkiem uznania nienaruszalności polskiej granicy? Z komuni-

katu PAT'a i z artykułu p. Emigranta nie nam o tym nie jest wiadomo. Odwrotnie, ze sprawozdania P. Czaji w Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu i z jego wszystkich wywiadów prasowych wynika, że reprezentuje on w dalszym ciągu stanowisko antypolskie i na podstawie rozmów z emigrantami polskimi w Londynie wyciąga wszystkie kasztany z ognia i przedstawia je jako sukces swojej polityki rewizjonistycznej.

Na szczęście, politycy niemieccy z rządzącej koalicji jak również poważniejsi politycy z CDU nie przywiązują wagi do rozmów londyńskich traktując je jako „marginesowe zagadnienie” a ustawiczny hałas antypolski p. Czaji określają jako „przegraną płytę”. Jeśli są to wypowiedzi szczerze a nie poddyktowane bieżącą koniunkturą i okazałyby się trwałe, mogłyby w przyszłości rzutować na rzeczywiste odprężenie w stosunkach polsko-niemieckich, konieczne dla przyszłej integracji Europy.

Na zakończenie chcę zaprotestować przeciwko sformułowaniu p. P. Emigranta, że krytyka rozmów z Niemcami, a w tym konkretnym wypadku chodzi o rozmowy z p. Czają, jest ze strony polskich działaczy i pism emigracyjnych „tylko uwarunkowanym odruchem wywołanym wieloletnią presją propagandy komunistycznej”. Takie sugestie są chwytem niezgodnym z zasadami *fair play*.

Łączę wyrazy poważania dla Pana Redaktora i całego zespołu *Kultury*,

Hanna CHORAŻYNA

20 maja 1975.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Jak większość czytelników *Kultury* w Kraju, należą do jej gorących sympatyków. Dla nas, ludzi systematycznie dezinformowanych, a w jak najlepszym razie informowanych jednostronnie, wartość *Kultury* jest wprost niewymierna, a troska jej publicystów o imponderabilia pomaga nam zachować poczucie rzeczywistości. Tym dotkliwiej odczuwamy każde zesłiznienie się pisma z wysokiego moralnego poziomu, który stał się jego standartem.

Niestety zdarza się to od czasu do czasu, a ostatnio, bardzo przykrym tego przykładem jest pośmiertne wspomnienie o Melchiorze Wańkowiecu, pióra Tadeusza Katelbacha, w kwietniowym numerze.

Nigdy nie należałem do entuzjastów pisarstwa Wańkowieca, w którym drażni mnie sarmacka krzepa i nadmiar dziennikarskiej swady, ale olbrzymia popularność książek autora „Ziela na kraterze” świadczy, że spełniają one w Polsce zadanie „krzepienia serc”. Nigdy też nie łączyły mnie z Wańkowiecem żadne osobiste stosunki, o czym wspominam, by podkreślić bezinteresowny charakter mojej reakcji na artykuł p. Katelbacha. A reakcja ta jest po prostu niesmakiem jaki odczuwa się po przeczytaniu paszkwilu. Zgadzam się z p. Katelbachem, że zasada *de mortuis nil nisi bene* bywa często niczym innym, jak dewizą hipokryzji, ale kiedy podsumowuje się życie człowieka, należy to czynić w duchu sprawiedliwości i wyzbywszy się wszelkich osobistych uraz. Przede wszystkim zaś trzeba to czynić z ostrożnością nieporównanie większą niż wówczas, gdy ma się do czynienia z człowiekiem żyjącym, zdolnym stawać w obronie własnej czci.

W wypadku Wańkowieca sprawa jest o tyle bardziej delikatna, że jego zasługi i cnoty, mogące zrównoważyć i przeważać wszelkie przywary, którym p. Katelbach poświęca tyle uwagi, należą do tych, których nie rozgłosi prasa w Polsce Ludowej.

Tadeusz Katelbach ma dużo do powiedzenia na temat skłonności Wańkowieca do autoreklamy i na temat jego komercyjnych talentów. Wszystko to prawda. Ale Tadeusz Katelbach nie wie, że w czasie czystek uniwersytec-

kich w 68-ym roku tenże sam Wańkiewicz wspomagał rodziny aresztowanych pracowników naukowych z własnej kieszeni — oczywiście anonimowo. Tadeusz Katelbach nie wie wielu jeszcze innych rzeczy. Nie zna treści testamentu Wańkowicza, nie wie o tym że odrzucił on przed śmiercią propozycje urzędzenia mu państwowego pogrzebu itp. Większość ludzi w Polsce też o tym nie wie (bo skąd?), toteż opinia pisma, cieszącego się takim moralnym autorytetem jak *Kultura* ma wszelkietę szansę stać się dla wielu „ostatnim słowem o Melchiorze Wańkowiczu”. Myślę, że nie ma potrzeby rozwodzić się nad problemem odpowiedzialności Redakcji za taki stan rzeczy.

Tu nie chodzi już tylko o krzywdę, wyrządzoną pamięci człowieka, który — jak każdy z nas — miał swoje słabości i wady, lecz zasłużył przecież na sprawiedliwą ocenę swoich zalet. Chodzi także o ów moralny standart pisma, mającego szczególne wobec Kraju obowiązki.

Sądzę, że miejsce tu na wyciągnięcie wniosku. Jest on prosty: Nie szafować zbyt pochopnie ocenami ludzi i spraw w Kraju z wysokości poczucia własnej, emigracyjnej cnoty i bez dostatecznego rozeznania. Przede wszystkim zaś unikać małostkowych, osobistych porachunków, którym p. Katelbach nie pierwszy raz zresztą daje upust na łamach *Kultury*.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Nazwisko znane Redakcji

Caracas, 20 stycznia 1975.

Emigracja źle odnotowała odejście Wańkowicza. Posypmy głowy popiołem... Miary i oceny użyte były najniewłaściwiej. Moralnie, Wańkiewicz był pisarzem, który ponad wszystko potrafił zachować pełną niezależność myślenia. Zmuszało go to do postaw bardzo różnych, nie mających nic wspólnego z tzw. wiernością i przywiązaniem do... i to do różnych do... włącznie z tymi ostatnimi... co dla innych było ostantacyjnym, „ideologicznym programem” życiowym.

To nie owa udana forma reportażu uczyniła go wielkim. Uczyniła to osobista odwaga i właściwe spojrzenie na fakt. A umiał widzieć jak nikt inny, i nie zabiegał o przyzwolenia. Był ponadto Wańkiewicz twórcą wielu rozgłoszonych odniesień moralnych, co w naszych szczególnych warunkach moralno-politycznych zwracało się przeciw niemu. Mylą się zatem ci, którzy moralnie źle go sądzą. Była to odwaga cywilna, która wszędzie uzyskuje dobry zapis. Ale taki zapis i osąd sprawiedliwy przychodzi później. Toteż żyjąc, płacił za to na najwyższe ceny.

Pan Melchior? — brzmia to właśnie dostojnie! (*contesté* a Sr. WAZ.) i gdyby nie był Polakiem, a np. Holendrem, czy Anglikiem, widziany byłby w zupełnie innej skali. W skali światowej, w jakiej najistotniej był! Zaś że pozostawał wierny polskości, redukował się do jej spraw, w których się nieledwie nie miescił. Toteż nie będzie przesadą, gdy o ten pisarski zakres i rodzaj chodzi — plus ów szczególny rys odwagi, że był to dla nas format zbyt duży...

Już przecież Ksawery Pruszyński wyłaził dość otwarcie z naszych „małych ram”... A takiego języka: „Te, ambasador!”... nie byliśmy przecież w stanie znieść.

Do żyjących pisze się: „Książkę Pana przeczytałem do końca z niesłabnącym zainteresowaniem i często nawet do niej wracam”. Właśnie w ostatnim roku życia Wańkowicza miałem szczęście nabycia aż ośmiu jego książek, czego niegdyś haniebnie zaniedbałem. I choć już niektóre czytałem, wszystkie przeczytałem z wielkim zainteresowaniem i do niektórych najistotniej wracam, co dla Zmarłego wcale nie jest pociechą ni komplementem.

Jest to jednak publiczne stwierdzenie wartości i potrzeby takiego pisar-

stwa, które trzeba wysoko cenić. Dało mi ono więcej niż pisarstwo wielu innych krajowych, i emigracyjnych pisarzy razem wziętych.

Nie, to nie umarł wielki pisarz i twórca wielkiego reportażu. To umarł Wielki fam i dziejopis, który przedłożył listę: Długosów i Pasków... Piękny mu gest pożegnania uczynili: S. Gliwa z Londynu, A. Tomaszewski z Toronto i M. Opaliński z Warszawy.

Beniamin Józef JENNE

Bermagui, Australia, 9 czerwca 1975.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Chciałbym uprzejmie zwrócić uwagę na nieścisłość zawartą w wykazie nowości wydawniczych na str. 144 *Kultury* nr 4/331: Zbiór przekładów na słoweński pt. *Venček poljskih vojaških popevk*, w roku 1974 wydany przez znawcę literatur słowiańskich i wielkiego przyjaciele Polski, profesora Tine Debeljaka (nakładem *Słoweńskiej Akcji Kulturalnej* w Buenos Aires) — bynajmniej nie jest przedrukiem wierszy z jego antologii pt. *Zalost zmagoslavja*.

Antologia ta, wydana w roku 1970 nakładem tej samej instytucji, zawiera 29 przekładów prof. Debeljaka z polskiej poezji wojennej 1939-1945 (utwory Balińskiego, Bielatowicza, Broniewskiego, Hłakowiczówny, Lechonia, Łobodowskiego, Olechowskiego, Pawlikowskiej, Słonimskiego, Tuwima, Wierzyńskiego, i in.). Zbiór *Venček* zaś zawiera przekłady polskich pieśni żołnierskich (*Mazurek Dąbrowskiego, Pierwsza Brygada, O mój rozmarynie, Czerwone maki na Monte Cassino*, itd.).

Jedynym utworem, widniejącym w obu zbiorach przekładów prof. Debeljaka, jest mój wiersz powstańczy *Żądamy amunicji* (pod błędnym jednak tytułem *Apel Warszawy*, wziętym z paryskiej *Antologii poezji polskiej 1939-1945*, wydanej w roku 1945 przez dra Stanisława Lama. Słoweński tytuł przekładu ma dwie różne wersje: w antologii *Zalost* widnieje jako *Krik iz Varšave*, a w zbiorku *Venček* jako *Poziv Varšave*).

Serdeczne pozdrowienia łączę do wyrazów poważania,

Zbigniew JASIŃSKI

Chicago, 21 kwietnia 1975.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

1) We wrześniowym (1974) wydaniu *Kultury* ukazał się artykuł Z. Byrskiego, w którym autor między innymi poczynił sugestię, by członkowie NATO wysunęli hasło zjednoczenia Niemiec.

2) W listopadzie 1974 wysłałem list do redakcji *Kultury* z krytyczną oceną tej sugestii p. Z. Byrskiego.

3) Redakcja *Kultury* nie wydrukowała mego listu, tylko nawiązując do niego zamieściła zdanie jakobym ja twierdził, „że zjednoczenie Niemiec może osłabić ZSSR i nie zagraża Polsce”.

4) To zdanie redakcji *Kultury* jest całkowitym zaprzeczeniem mych poglądów. Ja uważam, że zjednoczenie Niemiec jest niebezpieczne i szkodliwe z punktu widzenia interesów narodu i państwa polskiego. Odnośnie Rosji nie wyrażałem żadnej opinii.

5) Proszę uprzejmie o wydrukowanie, albo mego listu z listopada 1974, albo obecnych uwag.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Stefan MARCINKOWSKI

Szanowny Panie!

Kokomo, Ind., 5 czerwca 1975.

W związku z pracą nad książką o polityce narodowościowej PRL (1944-1974) zwracam się do czytelników *Kultury* z uprzejmą prośbą o podzielenie się ze mną wiadomościami na powyższy temat, jak również o udostępnienie mi posiadanych materiałów (do zwrotu po wykorzystaniu). Interesują mnie materiały o polityce narodowościowej w ogólności i o poszczególnych mniejszościach narodowych w szczególności. Mój adres: Włodzimierz Rozenbaum, Division of Social and Behavioral Sciences, Indiana University, 2300 South Washington St., Kokomo, Indiana 46901

Z wyrazami szacunku,

Włodzimierz ROZENBAUM

New York, 5 czerwca 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z przykrością zauważyłem drobny lecz bardzo istotny błąd drukarski, który zakradł się do mego listu (*Kultura* nr 5/332, str. 155). Wydrukowano: „Habilitacji mej dokonał Lange tuż po wojnie”. Ma być oczywiście: prof. U.J. Jerzy Lande. Chodziło przecież o teorię i filozofię prawa. Prof. ekonomii Oskar Lange z habilitacją mą nie miał nic wspólnego ani też już w tym czasie z Uniwersytetem Jagiellońskim.

Łącząc wyrazy prawdziwego poważania,

Aleksander W. RUDZIŃSKI

25 maja 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Kultura najstuszej piętnuje to, co nazywa swoistym terrorem stosowanym przez ludzi nie chcących dopuścić do publikacji niewygodnych szczegółów dotyczących działalności społecznej. Na to niepokojące zjawisko „tajności” funduszy, niestety, Londyn nie posiada monopolu. Mały imiennik w Ontario także dorzucił swoje trzy grosze.

Przed trzema laty odbył się Festiwal Młodzieży Polsko-Kanadyjskiej w London, Ontario. Pięciu członków Komitetu Festiwalowego, w imię którego kołatano o pieniądze państwowe i prywatne, poprosiło o sprawozdanie finansowe. Kiedy po szeregu prób i bardzo długim czekaniu sprawozdania nie otrzymali, napisali oświadczenie do polskiej prasy w Kanadzie. Za taką „działalność na szkodę SPK” góra Stowarzyszenia listem nakazała lokalnemu kołu zawiesić śmiatków dochodzących swoich podstawowych praw. Komedia poszła tak daleko, że do sądu koleżeńskiego należał nie-kombatant a sam przewodniczący pojechał na miejsce jednego z zawieszonych na walny zjazd SPK. Apelacja, oczywiście, wyższa instancja przetrzymała aż do końca kadencji. Nowy przewodniczący sądu koleżeńskiego na Kanadę oświadczył, że cała afera była sprzeczna ze statutem SPK i regulaminem wewnętrznym, że przecież skarga nie może imputować sądowi treści orzeczenia i wysokości kary itd. Na to prezes SPK na Kanadę p. J. Kott, stojący widocznie ponad

prawem swojej organizacji, oświadczył, że decyzji nie akceptuje wywołując drwiny pod adresem sądu SPK wśród swoich popleczników. Wobec tego rodzaju lekceważenia poszkodowani, wśród nich b. prezes koła i sekretarz, postanowili oddać sprawę do sądu... kanadyjskiego.

Dlatego dobrze by było, by B. Brodziński pisząc historię emigracji nie zapominał o prowincji a w swojej pracy nie ograniczył się do wertowania ksiąg pamiątkowych i hołdowniczych z galeriami fotografii odmłodzonych działaczy o miodowych uśmiechach. Niech sięgnie po bajecznie kolorowe memoriały, listy, komunikaty i zwykłe donosy wysyłane do Rzymu, do Kongresu, do Redakcji i władz przeróżnych nie wyłączając gospodarzy. W nich odkryje prawdziwe oblicze niektórych organizacji i duchowych przywódców, najpewniej niszczących stan polskiego posiadania za granicą, bo od głowy. A do ludzi w terenie warto zaapelować, aby wszelkie tego rodzaju materiały przechowywali i udostępniali piszącym.

Z poważaniem,

Florian ŚMIEJA

Waszyngton, 12 czerwca 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę na łamach Pańskiego pisma wypowiedzieć parę uwag na temat 3-go Kongresu Instytutu Naukowego, który odbył się w Montrealu w dniach 16-18 maja bież. roku.

Nie mam pretensji do oceny zjazdu pod względem naukowym. Należę do Instytutu skromnie — jako bibliotekarka. Po prostu myślę, że moje osobiste odczucie może być ciekawe jako reakcja Polki-Amerykanki, która prawie całe życie spędziła poza Polską. Przyznaję, że żywię mieszane uczucia do polskich imprez emigracyjnych. Czasem mam uczucie, że ja już do tego nie należę, że nie mam z tym wiele wspólnego.

Otóż wydaje mi się, że Instytut Naukowy stworzył pewne forum intelektualne, w którym jest miejsce dla ludzi o różnych stopniach zaangażowania polskością.

Moje pierwsze wrażenia z otwarcia Kongresu majowego — to różnorodność ludzi na sali. Sporo młodych, w średnim wieku, sporo kobiet. Obok mnie siedziała studentka urodzona w Ameryce, słabo mówiąca po polsku. Po przemówieniu Zbigniewa Brzezińskiego pt. „International System — Crisis and Change” zwróciła się do mnie z zachwytem: „Co za przyjemność słuchać kogoś tak jasno myślącego” — powiedziała. Sądząc z okłasków sali, większość podzielała jej zdanie.

Rzeczywiście była to wielka przyjemność móc przez trzy dni chodzić z sali do sali i słuchać takich wybitnych uczonych jak Leszek Kołakowski, Wiktor Weintraub, Tymon Terlecki, Tymoteusz Karpowicz. Na wykładach, na których byłam obecna, uderzyło mnie skupienie, z jakim ludzie słuchali. Parę razy byłem pełen prawdziwego zainteresowania, nawet entuzjazmu. Zawnowała nastroj pełen prawdziwego zainteresowania, często niestety przerywana z powodu sze wywiązywała się żywa dyskusja, często niestety przerywana z powodu braku czasu. Dochodziło czasem do starć pomiędzy młodymi, niedawno przybyłymi z Polski a emigracyjnym establishment. Moim głównym wrażeniem było: jak dobrze, że jest odpowiednie forum dla takich konfrontacji.

Śniadania w dormitorium Royal Victoria College, gdzie gros uczestników mieszkało, dawały dobry przegląd różnorodnych typów gości. Danego ranka można było przy jednym stole usłyszeć dyskusję literacką prowadzoną pięknie po polszczyźnie — przy drugim stole siedziała grupka mówiąca płynnie po angielsku o sklepach w Montrealu — naprzeciwko mnie profesor z dalekiego

kąta Północnej Kanady opowiadał o polskich organizacjach w jego mieście. „Należę do nich z tego samego powodu, dla którego przyjechałem na Kongres. Po prostu lubię rozmawiać z Polakami” — powiedział.

Gdy po powrocie opowiadałam o Kongresie znajomemu Amerykaninowi, ten zauważył: „Nie przypuszczam, żeby wiele grup etnicznych mogło coś takiego urządzić”. Prawda. Dlatego tak bardzo żałowałam, że nic o Kongresie nie ukazało się ani w amerykańskiej, ani w kanadyjskiej prasie. Tego typu imprezy są przecież najlepszą odpowiedzią na *Polish jokes*”.

Z poważaniem,

Monika MIEROSZEWSKA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 234 — MARIA HIRSZOWICZ

KOMUNISTYCZNY LEWIATAN

Wnikliwa analiza biurokracji komunistycznej opracowana przez
znanego socjologa

Str. 132.

Cena F. 15 (dol. 4,25).

TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

Wnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez
autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły:
WSTĘP. — POCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃSTWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA, ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN. — CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.

Str. 288.

Cena F. 40 (dol. 10,50).

Humor krajowy

Opowiastki o mięsie

Chłop przychodzi do jatki mięsnej i pyta:

— Wołowina jest?

— Nie ma...

— A! Pewnie Ruskie zabrały? — No to proszę cielęcinę.

— Nie ma...

— Też Ruskie zabrały? — Dajcie wieprzowiny!

— Nie ma...

— Aha! Ruskie zabrały i to!

Następnego dnia chłopka wezwano do UB, i zapytano:

— Co to ma znaczyć? Podobno wczoraj w sklepie mięsnym twierdziliście, że Rosjanie zabrali całe mięso...

— A tak, mówiłem, że Ruskie zabrały. Bo co? Nie należy im się?...

Cudzoziemiec pyta warszawiaka:

— Podobno u was są stale ogonki przed sklepami?

— Stale? — zdziwił się warszawiak. — Nie, tylko wtedy jak trochę mięsa podrzucą...

W związku z brakiem mięsa w Polsce Biuro polityczne zarządziło posty: dla partyjnych w piątek, a dla innych przez pozostałe dni tygodnia...

Bajki Lafontaine'a

Kruk siedział na drzewie trzymając w dziobie kawałek sera. Podszedł do niego lis i powiada:

— Zaśpiewaj mi, masz taki piękny głos...

Kruk położył ser na gałęzi i zakrakał:

— Nic z tego, już mnie raz nabrałeś! Tym razem już ci się nie uda...

Lis odszedł, ale po chwili wrócił mówiąc:

— Czy wiesz, że sroka zapisała się do partii?

Kruk wybuchnął śmiechem i ser wypadł mu z dzioba, lis go złapał mówiąc:

— Kto się śmieje z partii, ten z głodu zdycha...

Zając zaprosił wilka i lisa na konferencję. Przygotował znakomity obiad. Goście dużo jedli i jeszcze więcej pili postanawiając spotkać się następnego dnia celem dokończenia rozmowy i podpisania układów. Następnego dnia — z bólem głowy po pijaństwie — nie mogli doczekać się zająca... W końcu przypomnieli sobie, że przecież go wczoraj zjedli na deser. Bardzo posmutnieli i chcąc jakoś naprawić tę niemą sprawę zdecydowali się na zredagowanie wspólnego nekrologu. Podpisali go: „Grupa towarzyszy partyjnych”.

Zebrała Zofia HERTZ

Londyn, maj 1975

— Zagadnienie POSK powinno być już znane szerokiemu ogółowi niepodległościowego społeczeństwa polskiego w tym kraju. W Europie i w innych częściach świata uświadomienie w tym kierunku stale się pogłębia.

— Nie sposób podania całego planu finansowego uzgodnionego i przyjętego przez bank i wielką organizację ubezpieczeniową w City. W szczegółach plan ten będzie podany na Radzie i dorocznym Walnym Zebraniu POSK i ogłoszony w „Wiadomościach POSK”.

— W ramach tego planu jest uwzględniona suma wpływająca przeciętnie rocznie od społeczeństwa polskiego, cieszącego się dużym zaufaniem w kołach bankowych i finansowych w londyńskiej City. Obecnie potrzeba £.200.000 rocznie przez dwa lata (1975 i 1976), globalnie £.400.000. Wypada to około £.18.000 miesięcznie. Dotychczas wpływa przeciętnie £.8.500 miesięcznie. Wysiłek społeczeństwa zatem powinien być podwojony.

— Zachodnia część gmachu została już ukończona. Wschodnia część z wejściem, biblioteką, teatrem, siedzibami organizacji społecznych i garażem są jeszcze do wykończenia. Koszt wykończenia przy obecnych cenach wynosi około £.400.000.

— Przypominam, że budowa pomieszczenia i wyposażenia samej tylko Biblioteki Polskiej wyniesie, włączając w to obsługę kapitału pożyczonego, około £.550.000. Dzierżawa obecnego pomieszczenia wygasa w przyszłym roku. Biblioteka musi być przeniesiona do nowego gmachu w maju 1976. POSK jest prawnie i materialnie odpowiedzialny za Bibliotekę Polską.

— Dotychczasowe koszty włożone w budowę, łącznie z zakupem terenu wynoszą £.1.360.000. W tym pożyczka — (overdraft) — £.715.000, reszta z ofiarności społeczeństwa. Obsługa tej pożyczki jest wielkim obciążeniem. W naszym interesie leży, aby jak najszybciej budowę skończyć i pożyczkę spłacić.

Skończony gmach POSK powinien dać dochód z tzw. części handlowej na koszty utrzymania budynku i jego administrację oraz obsłużyć i spłacić długoterminową pożyczkę.

— Forma pomocy: Fundator £.250 (jednorazowo lub na raty), członkostwo £.10 (jednorazowo), lub dar w jakiejkolwiek wysokości. Zapisy testamentowe i imprezy jak: zbiórki, przedstawienia, koncerty, tombole, zabawy itp. — z których całkowity lub częściowy dochód byłby przeznaczony na POSK.

— Jesteśmy Wielką Niepodległościową Społecznością w wolnym świecie. Wykończenie i utrzymanie *Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego* jako centrum wolnej i nieskrępowanej kultury polskiej w wolnym świecie jest obowiązkiem każdego, który czuje się Polakiem.

Mam nadzieję, że ten krótki apel znajdzie szeroki oddźwięk.

B. GOZDEK
Przewodniczący POSK
9, Princes Gardens, London, S.W.7.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1975.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaternergasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CELis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 2,50 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 13,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 24,00 DM. 75,00 F. 120,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 — NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss — SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 9,50 K.S. 11,00	F.S. 50,00 K.S. 65,00	F.S. 85,00 K.S. 120,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärgatan 3/IV. 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50 £ 0,95	\$ US 13,00 £ 5,80	\$US 24,00 £ 10,50
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,40.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 253 — STEFAN KORBOŃSKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE

Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945

Książka zawiera rozdziały: *Warunki w jakich rodziło się i rozwijało Polskie Państwo Podziemne. — Służba Zwycięstwu Polski. — Związek Walki Zbrojnej. — Delegatura zbiorowa. — Delegaci Rządu. — Biuro Polityczne i CKON. — Delegatura Rządu. — Rozporządzenia, oświadczenia i odezwy delegatów Rządu. — Armia Krajowa. — Walka cywilna. — Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP). — Krajowa Reprezentacja Polityczna (KRP). — Rada Jedności Narodowej (RJN). — Podziemie BBWR-owskie i OZON-owe. — Podziemie ONR-owskie. — Podziemie komunistyczne i komunizujące oraz ANTYK. — Prasa i wydawnictwa podziemne. — Żydzi pod okupacją. — Kolaboracja. — Katyń. — Przed „Burzą”. — „Burza”. — Powstanie Warszawskie. — Początek okupacji sowieckiej. Ostatnie miesiące Polskiego Państwa Podziemnego. — Epilog. — Lista „Sprawiedliwych wśród narodów”. Indeks nazwisk.*

Str. 288.

Cena F. 40,00 (dol. 10,50)



TOM 255 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESIETY DRUGI

zawiera m.in. prace: *Świadectwo Smrkowskiego* w opr. Gustawa Herling-Grudzińskiego; J. Lewandowskiego: *Podróż za miedzę*; Bogusława Miedzińskiego: *Wspominając Sawinkowa*; W. Masłowskiego: *Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa*; gen. Antoniego Szyllinga: *O Kampanii Wrześniowej*; Lucjana Szulkina: *O powstaniu i upadku „Ghetta podziemnego”*. Działy: WRZESIEŃ 1939, DOKUMENTY, OKRUCHY HISTORII, RECENZJE oraz LISTY I POLEMIKI.

Str. 240.

(Cena F. 25 (dol. 6,75))